KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Nr 7/93 - 8/94 1955



• «La Culture» • Revue mensuelle •

NKIETA "KULTURY" - KTÓRE Z PRZEMIAN W POLSCE SĄ ODWRACALNE ?

EINRICH BÖLL : **POCIĄG NIE MIAŁ SPÓŹNIENIA**

z. STRASZEWICZ : **ROZDZIAŁ Z POWIEŚCI**

SPIS RZECZY









KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Juillet - Août 1955

INSTYTUT  LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

Z.B.N. (Australia)	1.500 fr.
Henryk Stebelski, Paryż	15.000 "
K. Z. Kilar	1.400 "
Klub Karpatczyków w Melbourne (Australia)	13.600 "
H. Paluch, New Britain, Conn. (USA)	1.400 "
W. Mercik, Windsor, Ont. (Kanada)	1.400 "
Andrzej Wiszniewski, Fort Chambly, P.Q. (Kanada)	2.100 "
Stanisław Chmielewski, Londyn (Anglia)	2.000 "
St. Lisocki, Bogota (Columbia)	1.750 "
Yvonne M. Talbot, Prestwich (Anglia)	400 "
Dr Feliks Dubrawski, Arvika (Szwecja)	1.000 "
Michał Szaranowski, Perth Amboy, N. J. (USA)	1.000 "

Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Sydney (Australia) przekazało nam sumę fr. 28.600, zebraną wśród niżej wymienionych osób : A. Racięski — 1.000 fr.; Dr F. Goldschlag — 1.000 fr.; A .Chrzanowski — 1.000 fr.; E. Janus — 500 fr.; Dr B. Endelman — 1.000 fr.; Inż. T. Rogala — 500 fr.; Inż. M. Trajster — 500 fr.; Dr M. Bern — 500 fr.; A. Schneider — 1.000 fr.; Maria Glass — 1.000 fr.; Inż. T. Ludkiewicz — 1.000 fr.; E. Oziemkiewicz — 1.000 fr.; A. Cieślak — 500 fr.; R. i R. Krygierowie — 5.000 fr.; S. Bogucki — 250 fr.; W. Ryszkowski — 250 fr.; A. Sołtyski — 1.000 fr.; A. Poray-Biernacki — 1.000 fr.; R. Bauer — 500 fr.; L. Muszkat — 250 fr.; W. Furman — 1.000 fr.; Jan Balicki — 1.000 fr.; Dr Z. Przybyłkiewicz — 1.000 fr.; R. Gronowski — 500 fr.; Dr A. Sternhell — 1.000 fr.; Dr S. Gruszka — 1.000 fr.; W. Polak — 500 fr.; W. Rubinstein — 100 fr.; A. Jarecki — 1.000 fr.; Inż. T. Saryusz-Bielski — 500 fr.; (nieczytelne) — 250 fr.; Dr J. Niedziński z żoną — 2.000 fr.; razem: .... 28.600 "

Dalsze wpłaty przekazane przez Polonię Brazylijską na ręce naszej przedstawicielki w Rio de Janeiro : H. Landau — 200 crs.; Paweł Kranc — 120 crs.; Ignacy Jeśman — 150 crs.; M. Czerewko — 200 crs.; J. Kozłowska — 250 crs.; J. Panek — 100 crs. i E. Haubensztok — 200 crs.; razem 1.220 crs.

◆

NOTATKA BIOGRAFICZNA

Antoni POSPIESZALSKI, ur. 1912, w Berlinie. Studia filozoficzne ne Uniwersytecie Poznańskim. Nauczyciel gimnazjalny. W latach 1945-1948 prowadził w Szkocji kurs gimnazjalny I Korpusu, potem pracował w oświacie pozaszkolnej.

Imprimé en France

Które z przemian w Polsce są odwracalne?

ANKIETA POD REDAKCJĄ ST. ZARZEWSKIEGO

W grudniu 1954 ,,Kultura'' ogłosiła ankietę, prosząc swych czytelników o odpowiedź na pytanie: *,,Czy przemiany gospodarcze i społeczne, które, w okresie* 1944-1954, *nastąpiły na terytorium przedwojennego Państwa Polskiego i na Ziemiach Odzyskanych — są odwracalne?''*

Redakcji ,,Kultury'' chodziło o uzyskanie możliwie najbardziej obiektywnych opinii, które stanowiłyby przyczynek do wyjaśnienia problemu tych przemian. Oczywiście, znaczenie ankiety tego rodzaju jest teoretyczne, czy może raczej: nie ma ona celu bezpośrednio-praktycznego. Podstawowym i koniecznym warunkiem zmiany istniejącej dziś struktury gospodarstwa polskiego jest przecież zasadnicza zmiana sytuacji politycznej w Europie środkowo-wschodniej: bez tego żadne odwrócenie rzeczywistości społeczno-gospodarczej jest, rzecz prosta, w ogóle nie do pomyślenia. Sytuacja międzynarodowa jest jednak w tej chwili — i zapewne długo jeszcze będzie — niepomyślna dla powstania układu sił, warunkujących przebudowę gospodarstwa polskiego. W tych

---

W pierwszych dwu rozdziałach ankiety zamieszczamy opinie następujących osób: Profesor dr Tadeusz Brzeski, były rektor Uniwersytetu Warszawskiego, obecnie rektor PUNO; 2) Bohdan Brodziński, B. Sc. (Economics); 3) Inż. S. Dudziński; 4) Michał Gorecki, B. Sc. (Economics), redaktor gospodarczy działu polskiego, Radio Free Europe, Monachium; 5) Prof. dr Tadeusz Grodyński, były wiceminister skarbu; 6) Aleksander Heiman-Jarecki, były senator; 7) Dr Aleksander Hertz, socjolog; 8) Benedykt Heydenkorn, publicysta; 9) Paweł Hostowiec, publicysta; 10) Prof. dr Jan Marczewski, profesor ekonomii na wyższych uczelniach w Caen i Paryżu; 11) Dr Jerzy Paszkowski, ekonomista i publicysta; 12) Józef Poniatowski, były kierownik biura ekonomicznego Prezydium Rady Ministrów; 13) Ks. A. Prusinowski, były kapelan II Korpusu; 14) Mieczysław Sokołowski, były wiceminister przemysłu i handlu i b. minister spraw zagranicznych; 15) Adam Uziembło, publicysta; 16) Dr Alfred Zauberman, ekonomista; 17) Prof. dr Ferdynand Zweig, były profesor ekonomii na Uniwersytecie Jagiellońskim, obecnie profesor Uniwersytetu w Jerozolimie.

warunkach byłoby rzeczą praktycznie bezprzedmiotową robienie jakichkolwiek planów szczegółowych dla realizacji pożądanych zmian. Więc po co ta ankieta? Czy ma ona zdrowy sens? Sądzimy, że ma. Jest bowiem w polityce rzecz, która *zawsze* ma realne znaczenie, nawet w sytuacji, gdy ,,nic nie można zrobić''. Tą rzeczą jest prawidłowy *sposób myślenia*. Gdy go brak, nic się nie zbuduje nawet w sytuacji, obiektywnie umożliwiającej budowanie. Dlatego — istotnym celem tej ankiety jest ujawnienie sposobu myślenia naszej emigracji w sprawie zasadniczego stosunku do przemian, które nastąpiły w kraju w ostatnim dziesięcioleciu. Chodzi nam o wyjaśnienie tych przemian w sposób poważny tzn. nie mający nic wspólnego ani z metodą ,,Huzia na bolszewika'' ani z adorowaniem tzw. ,,postępu w Polsce Ludowej''. Z celu, tak ujętego, wynika zarazem, że dążymy do nakreślenia ogólnych tylko linii polityczno-gospodarczych na przyszłość w oparciu o ogólną krytykę dzisiejszej rzeczywistości. Jeżeli ankieta zarysuje ten sposób myślenia, to zadanie jej będzie spełnione.

Oczywiście, nawet przy takim określeniu celów i charakterystyki ankiety nie może być mowy o jednolitości poglądów jej uczestników: problem jest bowiem skomplikowany. Z drugiej strony nie sądzę, aby ze względu na jego skomplikowanie należało liczyć się tylko ze zdaniem ekonomistów, socjologów, psychologów itd. Także nie-fachowcy mogą wnieść do sprawy myśli istotne. Dlatego, w moim rozumieniu, wszystkie otrzymane odpowiedzi, fachowe i niefachowe, są jednakowo ,,szanowne''. Nie wyrażam swego zdania o ich wartości: po prostu je cytuję względnie referuję.

Dwie kategorie otrzymanych artykułów zmuszony byłem, częściowo albo całkowicie, wyłączyć z niniejszego sprawozdania. Po pierwsze te, które nie odpowiadały warunkom merytorycznym i formalnym, ogłoszonym w kwestionariuszu do ankiety; po drugie te, które w istocie swej były niepoważne. Niestety, pierwsza kategoria była bardzo duża; na szczęście druga sprowadzała się do jednego tylko wypadku, w którym jakiś umysłowo niedorozwinięty, nb. anonimowy autor oparł swą odpowiedź na przekonaniu, że ,,twórcy ankiety nie rozumieją faktu, iż samo postawienie pytania, czy przemiany są odwracalne, stanowi akt zdrady narodowej, bo jest defetyzmem''. Niezależnie od wyeliminowania wielu rzeczy byłem zmuszony nawet w tym materiale, który został zużytkowany, wprowadzić liczne zmiany, dyktowane koniecznością redakcyjnego przystosowania go do potrzeb całości ankiety, ale zawsze w ten sposób, by zachować istotę i cieniowanie myśli poszczególnych autorów. W szczególności, przy opracowywaniu tego sprawozdania kierowałem się następującymi zasadami: 1) z otrzymanych odpowiedzi usunąłem wszystko to, co nie miało dostatecznie bezpośredniego związku z tematyką ankiety albo co dawało zbyt mglistą odpowiedź na pytania, za-

warte w naszym kwestionariuszu; 2) pominąłem wywody nazbyt szczegółowe i specjalne, dotyczące spraw organizacyjno-technicznych i prawnych, czy to w opisie istniejącego obecnie w gospodarstwie polskim stanu rzeczy, czy to w przedstawianiu reform, które poszczególni uczestnicy ankiety zalecają przyszłej Polsce; 3) usunąłem z otrzymanego materiału wszelkie przewidywania co do przyszłego rozwoju zdarzeń, o ile podane były w formie twierdzeń, a nie hypotez. Wychodziłem przy tym z założenia, że nie istnieje żadna podstawa do proroctw. Operowanie nieznaną rzeczywistością w nieokreślonej przyszłości wydaje mi się niewskazane. Dlatego prosiliśmy w naszym kwestionariuszu o nawiązywanie do dzisiejszej rzeczywistości w Polsce i wyprowadzanie zaleceń z tej właśnie rzeczywistości; 4) skomasowałem i przegrupowałem materiał w ten sposób, aby mógł on ułożyć się w działach głównych niniejszego sprawozdania, a przy tym usuwałem, w miarę możności, powtarzanie tych samych rzeczy przez różnych autorów czy też nawet przez poszczególnych spośród nich w ramach ich opracowań indywidualnych. Za koniecznością w tym kierunku przemawiał też fakt, że niektórzy uczestnicy ankiety zamiast artykułów czy krótkich notatek, o które prosiliśmy, nadesłali nam opracowania, będące raczej broszurkami; 5) własne moje poglądy wypowiadam osobno w końcowym rozdziale tego sprawozdania; 6) wreszcie zaznaczam, że materiał niezużyty w ramach ankiety, zostanie opublikowany na łamach ,,Kultury'' w formie osobnych artykułów, o ile w poszczególnych wypadkach Redakcja uzna to za wskazane.

Odpowiedzi, które dotąd napłynęły, złożyły się łącznie na 515 stron rękopisów. Ze względu na oczywistą niemożliwość wydrukowania in extenso całego tego materiału, redaktor ,,Kultury'' postanowił ogłosić wyniki ankiety w formie syntetycznego sprawozdania, którego początek poniżej publikujemy:

Rozdział I.

POJĘCIA PODSTAWOWE: PRZEMIANA I ODWRACALNOŚĆ

Jest rzeczą zrozumiałą, że wielu uczestników ankiety starało się przede wszystkim zdefiniować pojęcie ,,przemiany'', które ma znaczenie podstawowe, w tych rozważaniach. Niektórzy z nich poświęcili dużo uwagi sprawie różnicy, jaka zachodzi pomiędzy ,,przemianą'' a ,,reformą'', aby w ten sposób dokładniej uwypuklić istotę pierwszej, które to pojęcie figuruje w tytule ankiety. P. *J. Poniatowski* uważa ,,przemianę'' za pojęcie szersze: gdy bowiem ,,reforma'' może być rozumiana w wąskim znaczeniu tego słowa, jako akt władzy (np .parcelacja, upaństwowienie), to ,,przemiana'' obejmuje takie procesy jak np. uprzemysłowienie, ewolucję struktury społecznej itd. Liczni uczestnicy ankiety podzielają to zdanie, uważając, że wzajemny stosunek tych pojęć

wyraża się w tym, że podczas gdy każda reforma powoduje pewną przemianę, mniej lub więcej głęboką, stałą czy przejściową, to nie każda przemiana musi nawiązywać do reformy, jako do świadomej i bezpośredniej działalności państwowej czy innej : są bowiem przemiany, dochodzące do skutku bez świadomych dążeń ludzkich albo stanowiące pośrednie tylko pochodne działalności człowieka; pochodne te są czasem niezamierzone, a nawet przeciwne zamierzeniom.

P. *A. Heiman-Jarecki* protestuje przeciwko używaniu obu tych pojęć. Pisze on :

W odpowiedzi na ankietę „Kultury" muszę zacząć od zgłoszenia pewnych zastrzeżeń co do samego tytułu ankiety. Tytuł jest bowiem tak sformułowany że zakłada jako jedną z możliwości, że system gospodarczy, wprowadzony przez bolszewików do Polski, nie jest odwracalny. Wydaje mi się, że jest to nieświadome poddawanie się klimatowi myślenia, narzuconemu przez europejskich intelektualistów, dopatrujących się wiecznie upragnionego rozwoju wypadków według formułki arcykapłana Marxa. Działa też poza tym sugestywna siła pewnego istniejącego stanu faktycznego w dziedzinie gospodarczej i społecznej, choć wiadomo, że stan ten został narzucony gwałtem i utrzymuje się jedynie terrorem. Po usunięciu okupanta i komunistycznego terroru powstanie żywiołowy ruch ku stworzeniu z powrotem normalnego ustroju gospodarczego. Chodzi zatem o to, jak tym ruchem kierować i jakie starać się mu nadać tempo. Drugie moje zastrzeżenie dotyczy terminologii, użytej w tekście kwestionariusza do ankiety : chodzi mi o słowo „reforma". Wprowadzanie siłą utopijnego bolszewickiego ustroju gospodarczego i nastawianie gospodarki według potrzeb rosyjskich, w dziedzinie konsumpcji i w dziedzinie polityki zagranicznej, nie należy do kategorii reform, a do kategorii zarządzeń administracyjnych okupanta. Pokrywanie gwałtów i grabieży uprzejmym słowem „reforma" jest wysoce szkodliwe; myślę, że wchodzi ono w tym kontekście do rodziny orwellowskich „double speak". Powinniśmy się wystrzegać używania terminologii bolszewickiej, nastawionej przecież na szerzenie zamieszania pojęć.

W tym samym duchu pisze *J. T.:* „Wszystkie przemiany społeczno-polityczne są obiektywnie odwracalne, gdyż każde państwo w oparciu o siłę ma możność wprowadzać w życie swe zasady zgodnie z wolą narodu. W państwach, opanowanych przez komunizm, stanie się to tym łatwiej, im płyciej komunizm zapuścił korzenie w mentalności narodu". Autor sądzi, że ani w Polsce, ani w innych krajach za żelazną kurtyną, przemiany w duchu komunistycznym nie ustaliły się jeszcze tak mocno, by nie można było stosunkowo łatwo ich unicestwić.

Prof. F. Zweig pisze : „W sensie powrotu do punktu wyjścia nie ma odwracalności procesów historycznych. Każdy historyk zgodzi się na tezę, że procesy historyczne są nieodwracalne w ten sensie, że nie można wrócić do stanu ex ante. Trzeba wziąć za punkt wyjścia stan istniejący i, od tego punktu po-

cząwszy, obrać kierunek odmienny, być może wręcz przeciwny w stosunku do kierunku poprzedniego. Początkowo kierunek nowej drogi musi być ostrożny i powolny, a dopiero z czasem w miarę akumulacji nowych faktów, nowych procesów, nowych instytucji może być bardziej radykalny. Ale w żadnym razie nie dojdziemy nigdy do stanu ex ante bo stan istniejący poprzednio jest już nieosiągalny jako uwarunkowany historycznie istniejącymi poprzednio warunkami, a poza tym w większości wypadków niepożądany już w 1939 roku, z punktu widzenia aspiracji i uzasadnionych żądań ludu, a tym mniej pożądany z punktu widzenia nowej mentalności ludu i jego nowej ideologii". Uważając problem przemian za bardzo skomplikowany, *prof. Zweig* dodaje: ,,Nie tylko instytucje uległy zmianie, ale i samo społeczeństwo. I to stanowi największy problem. Jeśli nowe społeczeństwo będzie rządzone demokratycznie— co jest założeniem naszych rozważań — to usuwać, względnie radykalnie zmieniać, będzie tylko te instytucje, które uważać będzie za narzucone, a nie instytucje, z którymi będzie się identyfikować. Do nich np. będzie należała reforma rolna, którą przeważająca większość ludności rolniczej będzie popierała, ewentualnie ze zmianami, w szczególności wkraczającymi w sferę gospodarki rolnej lub wymogów kulturalnych, doświadczalnych, dóbr fundacyjnych itd." O ile chodzi o odwracalność w sensie usuwania pewnych nowych instytucji, wprowadzonych w Polsce po wojnie, *prof. Zweig* uważa, że należy to rozpatrywać pod wieloma kątami widzenia. M. in. pod kątem widzenia:

a) użyteczności i konieczności tych instytucji w warunkach gospodarstwa powojennego. Np. instytucja planowania gospodarczego wydaje się zarówno konieczna jak i pożyteczna;

b) trzeba odróżnić strukturę instytucji od ich funkcjonowania. Ta sama instytucja może być użyta do różnych celów, może być ożywiona innym duchem, może być wyjęta z rąk biurokracji i oddana w ręce społeczeństwa. Wielki przemysł znacjonalizowany może być ,,odbiurokratyzowany" a jego działalność i praca oparte na czynniku bardziej społecznym. Jedna i ta sama instytucja może mieć tysiączne formy, a przede wszystkim może być ożywiona innym duchem, wobec czego wystąpi w istocie jako inna, nowa instytucja. Czasem nadaje się jej inną nazwę i traktuje się ją jako nową instytucję.

Prof. J. Marczewski pisze: ,,Ściśle biorąc, historia nie zna przemian odwracalnych. Kontekst historyczny zmienia się stale i powrót do czegoś, co było, nie jest ani możliwy ani pożądany, bo to coś już nie będzie dostosowane do nowych warunków otoczenia". Uważając ogólne pytanie: ,,*czy* przemiany są odwracalne" za nieprawidłowe, *prof. Marczewski* woli rozważania na konkretny temat: ,,*które* z przemian instytucyjnych należy uznać za niekorzystne z punktu widzenia długoterminowych interesów narodu polskiego, a *które,* przeciwnie, mogą być uznane za korzystne i godne dalszego rozwoju?" Zbieżny jest z tym pogląd *p. J. Poniatowskiego,* według którego ,,nikt zapewne nie sądzi,

że na pytanie „czy" odpowiedź może być twierdząca albo przecząca dla wszystkich w czambuł przemian czy choćby reform". Lepiej więc zamiast „czy" powiedzieć „które". Ale, dodaje *p. Poniatowski*, „procesów nieodwracalnych w sensie absolutnym jest bardzo mało; zwykle rzecz wygląda w ten sposób, że „odwracalność procesu jest: a) mniej lub więcej prawdopodobna, b) może nastąpić w pewnych tylko warunkach, c) może nastąpić w całości albo w części, d) może być z punktu widzenia jakiejś hierarchii wartości pożądana albo niepożądana. „Wreszcie, kończy *p. Poniatowski*, może być interesujący wypadek ewolucji powrotnej w wypadku odwracalności, albo dalszej ewolucji w wypadku nieodwracalności".

Z punktu widzenia *dr. A. Hertza* jest „rzeczą jasną, że o odwracalności omawianych wypadków śmieszne jest mówić, zwłaszcza, gdy lata przechodzą". *P. P. Hostowiec* wątpi „czy przemiany gospodarcze i społeczne są w ogóle odwracalne". Daje on następującą ilustrację historyczną: „Kiedy emigranci francuscy wrócili z Koblencji z Ludwikiem XVIII w zamiarze przywrócenia status quo ante, natrafili wszędzie na nowe prawa nabyte, których nie odważali się podawać w wątpliwość. We Francji południowo-zachodniej dziś jeszcze można oglądać tysiące farm, powstałych z napoleońskiej parcelacji majątków, należących przedtem do klasztorów i arystokratów. Oligarchia finansowa, stworzona przez Napoleona, przetrwała również niemal do naszych czasów. Przykład ten jest tym bardziej uderzający, że przeciwieństwa dzielące obecnie etatyzm zachodnio-europejski od komunizmu są mniej ostre od tych, jakie dzieliły ancien régime od rewolucji". W konkluzji *p. Hostowiec* sądzi, że, mówiąc o odwracalności przemian społecznych i gospodarczych, mamy na myśli „nie prosty powrót do status quo ante, ale orientację polityki gospodarczej w razie upadku reżymu komunistycznego".

Prof. Brzeski odróżnia aspekt majątkowy sprawy od jej aspektu ustrojowego. Na temat pierwszego aspektu pisze:

> Przywrócenie prywatnych praw majątkowych do stanu z 1939 roku, czy nawet do chwili likwidacji okupacji niemieckiej, byłoby sprawą niezmiernie trudną jeżeli w ogóle wykonalną. Zależałoby to od odróżnienia transakcji dobrowolnych od transakcji mniej lub więcej przymusowych, a dalej, od ustalenia wartości danych obiektów z uwzględnieniem jej ubytku lub przyrostu w całym tym okresie; od ustalenia ważności, wysokości i rodzaju obciążeń, co wszystko miałoby jeszcze ten dodatkowy skutek, że pociągałoby za sobą niepewność co do stanu prawnego. Przyznać zresztą można, że przy własności miejskiej mogłoby to, choć nie musiało, nastręczać mniejsze trudności. Pewnym, choć z wielu względów odległym, precedensem mogłyby być głośne w swoim czasie sprawy zwrotu majątków powstańczych. Jednak choć taka restytucja obiektów majątkowych wydawać się musi rzeczą nierealną, nie znaczy to aby sama idea nie miała znaleźć wyrazu w czymś innym, a mianowicie w uznaniu słuszności zasady od-

szkodowania. Przemawiałaby za tym najpierw zasada sprawiedliwości, a powtóre — odszkodowanie miałoby znaczenie na przyszłość, jako umocnienie własności prywatnej, gdyż bądź co bądź obowiązek płacenia odszkodowania może być hamulcem dla zapędów wywłaszczeniowych. Czy, kiedy, w jakiej formie i w jakiej wysokości, byłoby możliwe spłacanie odszkodowań, zależałoby od ogólnych warunków gospodarczych i finansowych, a to na pewno byłoby przez długi, czy dłuższy czas czynnikiem krępującym.

W sprawie ustrojowego aspektu *prof. Brzeski* pisze:

W rolnictwie podzielić większe gospodarstwa na mniejsze nie jest rzeczą trudną. Proces odwrotny może być nieco trudniejszy ze względu na urządzenia gospodarstwa (podejmują się jednak tego Sowiety i komuniści w Polsce przez tworzenie kołchozów i sowchozów). O tym, aby po wyzwoleniu przywrócić rozparcelowane większe gospodarstwa, nikt nie może na serio myśleć. Dlatego też aktualna może się stać tylko sprawa państwowej wielkiej własności leśnej i rolnej. Państwo przy własności leśnej będzie się mogło łatwiej obronić i utrzymać, tym bardziej, że lasom we własności państwowej, powodziło się na ogół dobrze, zarówno u nas jak gdzie indziej. Trudniejsza może być sprawa z wielką własnością rolną, zarówno dawną, jak nową, która pozostanie w rękach państwa. Będzie niewątpliwie nacisk na jej rozparcelowanie i w pewnej mierze może to być nieuniknione i pożyteczne. Wielkie gospodarstwa rolne mają jednak swoją rolę do spełnienia z punktu widzenia produkcji rolniczej i postępu rolniczego, a w normalnych warunkach politycznych i gospodarczych mogą być lepiej prowadzone jak znane i osławione P.G.R.; domeny pruskie sprzed pierwszej wojny mogą być pod tym względem przykładem. Nieporównanie bardziej skomplikowana jest sprawa z przemysłem i innymi gałęziami gospodarstwa. Oczekiwać można, że nader potężne będą tendencje do reprywatyzacji, wychodzące pośrednio od odbiorców wszelkiego typu, którzy będą mieli dosyć zależności od monopolu państwowego. Sądzić można, że robotnik niekoniecznie stawać będzie w obronie przedsiębiorstwa państwowego gdyż jego, robotnika, pozycja może być słabsza wobec drugiej strony, która jest przedsiębiorcą i władzą państwową zarazem; przykład Anglii świadczy, że i w przedsiębiorstwach znacjonalizowanych nie brak zatargów i strajków, które nie zawsze kończą się powodzeniem strony pracowniczej. Nie odnosi się to do wielkiego i ciężkiego przemysłu oraz górnictwa, na które trudno byłoby porywać się siłom krajowym, a dopuszczenie czynników zagranicznych stanowiłoby już odmienny problem.

P. A. Uziembło, podobnie jak prof. Brzeski, wprowadza rozróżnienie pomiędzy odwracalnością zjawisk na terenie systemu własności a odwracalnością na terenie form gospodarczych. Jeśli chodzi o formy gospodarczej organizacji, to „dzieje ludzkości dają wiele przykładów powrotu do kształtów zarzuconych. Wszak Egipt starożytny niejednokrotnie przeżywał ustrój etatystyczny. Pergament stworzył prawzór państwa totalistycznego. Życie przeszło nad tym do porządku dziennego, wracając do kapitalizmu lub nawet do feudalizmu”. Ale co innego aspekt własnościowy.

Odwracalność na tym terenie nie istnieje, zdaniem *p. Uziembły*: „nie sposób sądzić, że wywłaszczeni fabrykanci i byli posiadacze obszarów rolnych powrócą i zajmą dawne miejsca; nie sposób nawet przypuszczać, że powstanie jakiś fundusz odszkodowania strat prywatnych wskutek wywłaszczenia; nie sposób przywrócić życia tym, co je stracili; nie można wyrównać i krzywd materialnych". W konkluzji autor zaleca empiryczne podejście do problemu reform: „Program, jaki sobie musimy stworzyć, powinien pomijać jałowe ogólne zagadnienie odwracalności. Wielkie przedsiębiorstwa powinny uzyskać jak najdalej idącą autonomię, zarządy ich powinny być wybierane przez czynnik wytwórczy i spożywczy", ale jeżeli nie zdadzą one egzaminu życiowego, to „będą mogły przejść w ręce gwarantujące ich rozwój, choćby — prywatne".

P. Heydenkorn wyraża pogląd, że większość przemian wprawdzie jest odwracalna, ale... Tu następuje pytanie, czy *należy* je odwrócić. Autor rozumuje w sposób następujący: „Jakkolwiek przemiany zostały dokonane siłą przez administrację, narzuconą z zewnątrz, niemniej jednak niektóre mają charakter „bieżący" czy konieczny, inne zostały przyjęte przez społeczeństwo. O życiu i szczęściu obywatela decyduje nie tyle treść ustaw, co sposób ich stosowania. Dlatego już samo usunięcie rządów komunistycznych spowoduje zasadnicze i głębokie zmiany. Okaże się być może, że kontr-reformy, które dziś uważamy za niezbędne na wielu odcinkach życia gospodarczego, będą mogły co najmniej poczekać. W wielu wypadkach wystarczy znowelizowanie ustawy, podczas gdy gdzie indziej nowy duch, nowa wykładnia dokona pożądanej przemiany", konkluduje *p. Heydenkorn*.

P. Dudziński pisze o „podstawowych i gwałtownych zmianach, które nastąpiły po ostatniej wojnie, a którym równych nie zna chyba historia Polski". Zmiany te, dotyczące Człowieka i Warunków, nie dadzą się już, zdaniem *p. Dudzińskiego*, odwrócić. „Załóżmy jednak, wywodzi on, że powrót do „wczoraj" *jest* rzeczą możliwą. Cóż z tego? W każdym razie byłby niewskazany bo przecież nawet przed wojną struktura gospodarcza i socjalna Polski wymagała zmiany i ta zmiana byłaby nastąpiła w drodze ewolucji. Więc chyba dziś nie jest wskazane, abyśmy zaczynali tańczyć od pieca".

II.

Szerzej rozwija swe ogólne wywody *p. M. Sokołowski*:

> Jeśliby odwracalność miała być rozumiana jako spowodowanie powrotu do struktury gospodarczej i społecznej, poprzedzającej przemiany, to odpowiedź na pytanie może brzmieć jedynie negatywnie:

nie, przemiany gospodarcze i społeczne w Polsce są w tym znaczeniu nieodwracalne. Dotyczy to nie tylko przemian, które nastąpiły w Polsce. Tak samo nieodwracalne są liczne i głębokie zmiany, które bądź już się skrystalizowały, bądź są jeszcze w toku w Anglii, Francji, Ameryce i na całym świecie. Niezależnie od tego, czy stan przedwojenny Polski nam się podoba czy nie — należy on całkowicie do przeszłości i wszelkie zmiany, wprowadzone do ustroju, narzuconego Polsce po wojnie, staną się początkiem nowego rozwoju a nie powrotu do dawnych czasów. Historia nie zna wypadków gdy próby odwrócenia głębszych przemian gospodarczo-społecznych dawały w wyniku rzeczywisty powrót do status quo ante. Anglia Karola II Stuarta i Francja Ludwika XVIII nie stały się, wbrew usiłowaniom, w niczym podobne do Anglii Karola I lub Francji Ludwika XVI. Samo postawienie sprawy „odwracalności przemian" w sensie powyższym zawiera w sobie poważne niebezpieczeństwo: na razie myślowe, w przyszłości — polityczne.

Zmiany, które nastąpiły w naszej ojczyźnie, różnią się jednak zasadniczo od przemian rewolucyjnych Anglii wieku XVII i Francji wieku XVIII jako też Rosji wieku XX lub ostatnio Chin. Nie były one wynikiem przewrotu, spowodowanego wewnętrznym rozwojem sytuacji, ani nie zostały dokonane przez czynniki wewnętrzne. Toteż, gdy Polska odzyska nareszcie wolność we własnym domu, pokusa „odwracania przemian" i naprawiania popełnionych niesprawiedliwości będzie bardzo mocna, silniejsza może niż była w wielu innych wypadkach. Nie daj Boże, byśmy wpadli skutkiem tego na tory rozwoju w stylu dialektyki marksistowskiej czy heglowskiej, dostarczając „antytezy" do narzuconej krajowi „tezy" komunistycznej. Jeśliby nawet w dalszym przebiegu dziejów doszło się do upragnionej „syntezy" to dopiero po ciężkim okresie walk, wstrząsów i nawrotów — tego co Bismarck w swych pamiętnikach nazywa „francuskim kołowaniem" (franzoezischer Kreislauf) i czego tak się obawiał dla Niemiec, że — wbrew osobistym krańcowo-konserwatywnym poglądom — oparł nowo utworzone imperium niemieckie na wolnym i powszechnym głosowaniu do Reichstagu.

Tak więc „odwracalność przemian" wolałbym rozumieć w znaczeniu dokonania zmian, uzasadnionych aktualnym stanem gospodarczym i społecznym, który zastaniemy w kraju po wyzwoleniu, więc reform potrzebnych dla szybkiego i harmonijnego rozwoju przyszłej Polski wolnej i niepodległej, a pozbawionych całkowicie tendencji czy to wywierania zemsty, czy odtworzenia rzeczy niechby nawet pięknych, ale należących bezpowrotnie do przeszłości. Tylko te przemiany, które stoją na przeszkodzie takiemu rozwojowi, są obiektywnie odwracalne i powinny być uchylone w drodze odpowiednich kontr-reform.

Ocena, jakie sprawy konkretne winny być zaliczone do kategorii obiektywnie odwracalnych musi — a zresztą i powinna — wywoływać wiele trudności i sporów o charakterze nieraz ideologicznym, zarówno na emigracji, jak i w kraju; ale kraj winien oczywiście zachować głos ostatecznie decydujący. Np. w tak podstawowym zagadnieniu, jakim jest indywidualny albo kolektywny charakter gospodarstw rolnych, można się spodziewać dużych różnic w ocenach, zależnie zarówno od argumentów technicznych i ekonomicznych, jak i od światopoglądów ogólnych. Te różnice już istnieją wśród fachowców rolniczych na emigracji; sprawa winna być nadal badana i pogłębiana.

Uzupełnieniem tych raczej teoretycznie ujętych wywodów *p. Sokołowskiego* mogą być dwa konkretne przykłady, które daje *p. Brodziński :*

Jeśli wyrąbiemy las, to dokonamy zmiany w istniejącym stanie rzeczy. Zmiany te są dwojakiego rodzaju. Po pierwsze — w sensie węższym, fizycznym, jest to zmiana topograficzna; po drugie — zmiana społeczna i psychologiczna, której zasięg przy obecnym stanie nauki o człowieku jest niemożliwy do określenia. Zmianę w sensie pierwszym można, teoretycznie, zawsze odrobić. W naszym przykładzie można po prostu zasiać nowy las. Ale mimo to dokonana zmiana pozostawi trwałe ślady na środowisku ludzkim, a tych — odrobić nie można. Zanim powstanie nowy las, wyrośnie pokolenie ludzi, wychowanych w otoczeniu bezleśnym. Ich wyobrażenia o świecie, ich doznania i uczucia, sny, marzenia i ideały, słowem cała ich osobowość indywidualna i społeczna będzie inna niż byłaby, gdyby ów las istniał bez przerwy. Jest to zgodne z podstawowym prawem biologicznym : człowiek wpływa na warunki zewnętrzne, warunki zewnętrzne kształtują człowieka.

Drugi przykład : Kiedyś, przed wiekami, odkryto pokłady rudy żelaznej koło miasta Sheffield w Anglii. W związku z tym powstał w tym okręgu duży przemysł stalowy. Pokłady rudy wyczerpały się już dawno, ale przemysł pozostał i dalej rósł na importowanej stali, bo pozostały warunki, które przedtem zostały stworzone : przede wszystkim znajomość danego fachu wśród okolicznej ludności. A więc — jeśli bolszewicy wytną las pod Tucholą i zaprowadzą na jego miejsce uprawę lnu, i powstanie z czasem lniany przemysł tkacki, to nawet w dziedzinie nagich faktów ekonomicznych nie można powiedzieć, że stworzymy status quo gdy tylko zasiejemy nasz las z powrotem !

P. Brodziński odróżnia dwa punkty widzenia w sprawie odwracalności przemian. Po pierwsze twierdzi, że ,,obiektywnie odwracalność przemian nie istnieje, przynajmniej tam, gdzie w grę wchodzi człowiek i gdy traktujemy daną przemianę w jej pełnym społecznym kontekście''. Po drugie jednak, ,,jeśli pominiemy zmiany wtórne, których ani charakteru, ani zasięgu czy głębi ocenić się nie da, a ograniczymy się tylko do zmian pierwotnych, do faktów elementarnych, to dojdziemy do wniosków diametralnie różnych.... W dziedzinie faktów konkretnych wszystkie przemiany są obiektywnie odwracalne, to znaczy możliwe do odwrócenia przy założeniu, że się ma środki i wolę''. W związku z tym ostatnim *p. Brodziński* cytuje przykłady działalności człowieka, którego zdolność ,,przerabiania'' i ,,odwracania'' owych faktów elementarnych wydaje się dziś niemal bezgraniczna. Z rozważań *p. Brodzińskiego* wynika, że podczas gdy odwrócenie faktów elementarnych, np. stworzonych w krajach komunistycznych państwowych gospodarstw rolnych, leży w sferze obiektywnej możliwości, to właściwy problem sprowadza się do tego, czy możliwe jest uchylenie wtórnych objawów, np. psychologicznych i politycznych, spowodowanych przez te zmiany konkretne. Odpowiedź na to pytanie wypadnie z pewnością w sposób różny dla różnych krajów, opanowanych przez komunizm.

III

Wydaje mi się, choć nie jestem pewien, czy czytelnik zgodzi się ze mną, że poglądy dotychczas przedstawione układają się w dwie główne kategorie: do jednej należą opinie „woluntarystów", do drugiej opinie tych, którzy wprawdzie nie są deterministami, ale w mniejszym czy większym stopniu uważają za wskazane liczyć się z tym, co marksiści nazywają „obiektywnym rozwojem gospodarczo-społecznym". Są to więc jakby dwa zasadnicze sposoby teoretycznego podejścia do odnośnych problemów. Wpływają one oczywiście na praktyczno-polityczne zalecenia autorów. Zilustruję to dwiema cytatami.

P. Heiman-Jarecki, najbardziej zdecydowany wśród uczestników ankiety woluntarysta, pisze:

> Po usunięciu okupacji bolszewickiej nie należy znosić bolszewickiego ustroju gospodarczego etapami i trwożliwie. Powinno się wydać ustawę, znoszącą wszystkie przepisy gospodarcze, wprowadzone przez okupanta, i przywrócić w tej dziedzinie stan prawny, który istniał przed wrześniem 1939. Wskutek wydania takiej ustawy zacznie się natychmiast intensywny proces likwidowania gospodarstwa, prowadzonego przez państwo. W trakcie tak ważnych przemian nie można dążyć do perfekcjonistycznych rozwiązań: pierwszy cel — to szybko wrócić do równowagi, i nie rozmazywać okresu przejściowego na długi czas. Nep rosyjski wskazuje na to jak bez mała błyskawicznie zniesienie reglementacji powoduje rozkwit gospodarczy. Obecny bajeczny rozwój gospodarki niemieckiej jest zjawiskiem tego samego rodzaju.

Z powyższego widzimy, że zdaniem *p. Jareckiego,* kompletna reprywatyzacja gospodarstwa polskiego jest rzeczą stosunkowo prostą: jeżeli nawet nie może być od razu przeprowadzona, to jednak może, i powinna być, zapoczątkowana jakby jednym generalnym uderzeniem na istniejący obecnie stan rzeczy. Innego zdania jest *p. Uziembło,* którego stosunek do obecnego reżymu w Polsce jest zasadniczo równie negatywny, co *p. Jareckiego. P. Uziembło* sądzi, że „powrót do gospodarki prywatnej nie jest rzeczą ani prostą, ani łatwą".

Rozdział II.

„MODEL GOSPODARCZY" PRZYSZŁEJ POLSKI

Zanim — w następnym numerze „Kultury" — przejdę do sprawy przemian w poszczególnych dziedzinach gospodarczych, przedstawię tu poglądy uczestników ankiety odnośnie zasadniczego typu gospodarstwa, który zalecają oni przyszłej Polsce. Rozważania te obracają się dookoła trzech pytań: 1) produkcja państwowa czy prywatna? 2) jeżeli gospodarka prywatna, to jaka: liberalna czy tzw. planowa czy mieszana?, 3) rolniczy czy przemysłowo-rolniczy typ gospodarstwa? Pierwsze dwa problemy zachodzą na siebie wzajemnie, stanowiąc całość życiową. Dla większej przejrzystości będziemy mówili o każdym z nich osobno.

I

Pogląd najdalej idący w kierunku reprywatyzacji gospodarstwa widzieliśmy już w koncepcji *p. Jareckiego,* który nie ma wątpliwości, że ,,gros gospodarstwa można odkolektywizować choć pozostaną może pewne odcinki jako *hard core".* Obok wspomnianego autora za kompletną reprywatyzacją wypowiada się *ks. Prusinowski,* który — po rozważaniach na temat ,,własność prywatna — prawem naturalnym" — uzasadnia tezę, że z chwilą wyzwolenia nastąpią w społeczeństwie spontaniczne procesy w kierunku reprywatyzacji i to ,,zanim nowa administracja zacznie urzędować".

Prof. Grodyński jest zdania, że to ,,odwracanie będzie następowało bardzo opornie tak z uwagi na trudności w uzyskaniu mogących zapłacić nabywców przedsiębiorstw uspołecznionych jak i ze względu na istniejące w naszym społeczeństwie już dawno przed wojną tendencje etatyzacji życia gospodarczego. Nie ulega wątpliwości, że odwracalność nie może dotyczyć przedsiębiorstw przemysłu ciężkiego i instytucji użyteczności publicznej, które trzeba będzie pozostawić w rękach publicznych".

P. Uziembło sądzi, że ,,posiadanie państwowe i społeczne — to najbardziej skomplikowana forma własności, nastręczająca specyficzne trudności. Gospodarka społeczna obciążona jest olbrzymimi kosztami kontroli, ciężkich zarządów, sztywnych budżetów i mało elastycznego stosowania planu. A ponadto jest ona w ogóle możliwa tylko przy wysokim poziomie uczciwości społeczeństwa. Tymczasem ustrój komunistyczny stworzył powszechne kłamstwa i złodziejstwa. Fałszowanie wyników produkcji leży w interesie zarówno robotnika, jak i dyrektora, zarówno w interesie ministra jak i całego aparatu propagandy, a więc i partii. Fałszowane statystyk stanowi podstawę do wypłaty premii wszelkiego rodzaju, a niedostateczność płacy roboczej stwarza impulsy do kradzieży materiałów, do produkowania różnych przedmiotów na lewo, do czarnego handlu. Chłop w kołchozie kradnie co się da, od zboża i paszy poczynając aż do części maszyn, po prostu by nie cierpieć głodu. Oszustwo jest zjawiskiem powszechnym: ,,nie będziesz kradł, nie będziesz jadł". W tych warunkach *p. Uziembło,* jeden z nestorów socjalizmu polskiego, zapytuje: ,,czy człowiek, tak wychowany, zdolny jest organizować gospodarkę uspołecznioną czy upaństwowioną?" *P. Uziembło* nie neguje znaczenia czynnika prywatno-gospodarczego w przyszłej Polsce, a nawet wprost mówi, że ,,woli mieć prywatnego przedsiębiorcę, płacącego robotnikowi dziesięć złotych za godzinę niż społecznego, płacącego tylko dziewięć".

Dr. A. Zauberman mówi o ujemnym bilansie polskiej gospodarki uspołecznionej, zaznaczając, że ,,co prawda niepowodzenia

te są po części wynikiem świadomego upośledzenia części działalności ekonomicznej poprzez krzywdzący sposób przydzielania jej dóbr produkcyjnych". Autor uważa, że sfera ta „w dużej mierze pokrywa się z granicami przemysłu lekkiego, rzemiosła i dużej części handlu". Przekazanie tych dziedzin w ręce prywatne wydaje się autorowi „stosunkowo łatwiejsze nie tylko gospodarczo, ale i społecznie" niż w wypadku innych dziedzin gospodarczych. Tyle na temat „gospodarka prywatna czy państwowa" w ogólności.

II

Z kolei temat komplementarny w stosunku do poprzedniego: liberalizm czy planowość? O sprawie planowości uczestnicy ankiety napisali tak dużo, że z konieczności muszę się ograniczyć do zacytowania paru tylko opinii, może najbardziej wyrazistych.

Prof. J. Marczewski wyraża opinię, że „wprowadzenie systemu planowego jest samo przez się, w warunkach polskich, czynnikiem dodatnim". Tezę swą uzasadnia w sposób następujący:

> Jako kraj względnie opóźniony w swoim rozwoju, obciążony zbyt liczną ludnością rolniczą, stosunkowo biedny pod względem surowców, a bardzo biedny pod względem kapitałów, przy tym mało atrakcyjny dla kapitałów zagranicznych — Polska przedwojenna nie miała, w ramach gospodarki liberalnej żadnych szans dopędzenia bardziej zaawansowanych narodów. Szanse te zwiększyły się poważnie po wojnie: bogactwa naturalne Polski obecnej są znacznie obfitsze, a potencjał gospodarczy na głowę ludności jest prawie dwukrotnie wyższy; otwarcie rynków rosyjskich i chińskiego daje przemysłowi polskiemu korzyści, płynące z produkcji masowej; jednolitość etniczna ludności i współpraca, choćby przymusowa, z innymi krajami Środkowej i Wschodniej Europy pozwalają na oszczędzenie środków, które dawniej zużywane były nieprodukcyjnie na wzajemne zwalczanie się różnych grup narodowościowych i różnych państw. Jednakowoż, nawet w tych łatwiejszych warunkach gospodarka całkowicie liberalna nie byłaby wskazana. Proces dopędzania krajów bardziej zaawansowanych wymaga, aby znaczny odsetek produktu społecznego szedł na inwestycje. W kraju jeszcze biednym, jakim jest obecna Polska, oszczędność dobrowolna nie może wystarczyć na finansowanie tak poważnych inwestycji. Poza tym, w ustroju całkowicie liberalnym, kierunek inwestycji nie jest zwykle zgodny z wymogami najszybszego rozwoju gospodarczego: poważna część inwestycji idzie na zaspokojenie potrzeb konsumpcji luksusowej uprzywilejowanych warstw ludności. To samo dzieje się z importem, co jest tym bardziej szkodliwe, że import ten jest niesłychanie kosztowny w jednostkach pracy, kapitału i środków naturalnych kraju względnie opóźnionego w rozwoju, jak Polska. Ustrój planowy pozwala, w zasadzie, na koncentrację wysiłków w kierunkach najbardziej niezbędnych dla rozwoju gospodarczego, na pełniejsze wykorzystanie posiadanych zasobów ludzkich i materiałowych oraz na bardziej racjonalny podział dochodu konsumowanego w przekroju rzeczowym i osobowym. Liberalizm jest przyjemny, a czasami może być nawet korzystny, dla krajów przodujących w roz-

woju gospodarczym. Ale dla krajów względnie opóźnionych w rozwoju liberalizm jest kosztownym luksusem, który prowadzi w wyniku ostatecznym do ograniczeń wolności, tym gorszych że mających swe źródło poza granicami kraju.

Jednakże stwierdzenie konieczności utrzymania systemu planowego bynajmniej nie oznacza, aby obecny system należało zachować bez zmian. Przede wszystkim główny ośrodek dyspozycji znajduje się obecnie poza granicami kraju i służy interesom obcym. To samo dzieje się z techniką planowania, która coraz bardziej upodabnia się do wzorów obcych, nie zawsze najlepszych i nie zawsze dostosowanych do warunków polskich. W szczególności dotyczy to systemu tzw. „kierowniczych ogniw", który uniemożliwia jakikolwiek rachunek gospodarczy na szczeblu ogólno-narodowym. Następnie, należałoby wyplenić nie mające żadnego sensu, a wysoce szkodliwe formuły w rodzaju „pierwszeństwo przemysłu ciężkiego", „pierwszeństwo produkcji nad konsumpcją", „pierwszeństwo przemysłu nad rolnictwem" itp. Gospodarkę narodową należy traktować jako zespół ściśle powiązanych ze sobą czynników, które są jednakowo niezbędne i których rozwój musi się odbywać harmonijnie. Wreszcie, należałoby w większym stopniu niż obecnie liczyć się z potrzebami i upodobaniami konsumenta oraz z niemożliwością centralnego planowania wszystkich czynności produkcyjnych. Pewna decentralizacja dyspozycji gospodarczej nie stoi w sprzeczności z zachowaniem ustroju planowego.

Dr. J. Paszkowski wyraża pogląd, że „powrót do przedwojennej struktury gospodarczej i socjalnej jest nie tylko możliwy, ale konieczny, jeżeli rozumiemy przez to ustrój demokracji i kapitalizmu". O ile dobrze rozumiem myśl autora to hołduje on koncepcji przejścia państwa od roli dzisiejszego wszechwładnego podmiotu gospodarującego do roli jutrzejszego podmiotu planującego z tym jednak, że zalecany przez autora system ma być wciąż „daleki od gospodarki liberalnej". O ile chodzi o przedwojenną naszą gospodarkę, to *dr. Paszkowski* charakteryzuje ją jako „planową bez planu, opartą na przesłankach raczej przypadkowych, czysto administracyjnych".

Mówiąc o gospodarce planowej, *p. A. Uziembło,* który jest jej zwolennikiem, zwraca uwagę na konieczność, przede wszystkim, odbiurokratyzowania życia, gdyż „najbardziej żarłoczny kapitalizm nie kosztuje tak drogo, nie zabiera tak ogromnej części dochodu społecznego, nie rujnuje w takim stopniu psychiki ludzkiej, co biurokracja". Z tego wynika, że *p. Uziembło* widzi możliwość skutecznej i zarazem niebiurokratycznej planowości gospodarczej.

Z pewną rezerwą i jakby z pewnym poczuciem relatywizmu pisze o sprawach ustrojowo-gospodarczych *dr. A. Zauberman,* skądinąd zdecydowany zwolennik „gospodarki rynkowej, opartej o bodziec zysku". Autor wywodzi:

„Model" gospodarki wysoce uspołecznionej oraz centralnie planowanej i kierowanej jest zapewne logiczniejszy; może ma też przewagę, gdy jest mierzony pewnymi kryteriami abstrakcyjnej, niepragmatycznej moralności, o tyle, że wyłącza pogoń za zyskiem jako główną

siłę popędową mechanizmu gospodarczego; zakłada umiejętności i cnoty społeczne znacznie doskonalsze od tych, które zna życie; zapewne dlatego w zderzeniu z życiem tak szybko się degeneruje. W każdym razie nie wydaje mi się, by w zagadnieniach ustrojowo-gospodarczych można było dać definitywną odpowiedź w płaszczyźnie ekonomicznej. Mechanizm gospodarki wysoko uspołecznionej i centralnie kierowanej pozwala na utrzymanie ostrego i ciągłego rytmu rozrastania się, bo uniezależnia je od sytuacji rynkowej i falowania koniunktur. Ale doświadczenia państw komunistycznych uczą nas, iż nieodłączne są widać od tego systemu zanik ducha pionierskiego i częstokroć zastraszające marnotrawstwo zasobów — ten oczywisty skutek biurokratyzacji. Wydaje się też pewne, że nie zdołano wykształcić instrumentów, zastępujących rynek w jego funkcji kontroli jakościowej; znacznie już lepiej rozwiązano aspekt ilościowy.

Kto wie zresztą, czy nie istotniejsze w ocenie są momenty pozagospodarcze. Nie znamy przecież, jak dotąd, przykładu „modelu" wysoce uspołecznionego i centralnie kierowanego, działającego w warunkach demokracji politycznej. Można poważnie wątpić, czy w takich warunkach model ten jest w ogóle możliwy.

O ile dobrze rozumiem *dr. Zaubermana,* to w jego opinii zarysowuje się dla Polski możliwość „modelu mieszanego": częściowo liberalnego, częściowo planowanego, choć z całości wywodów autora wynika raczej sceptyczny jego stosunek do wartości modelu mieszanego.

Prof. T. Brzeski konkretnie szkicuje trudności, które wyniknąć mogą w gospodarstwie, obejmującym zarówno przemysł prywatny jak i państwowy:

Z chwilą kiedy reprywatyzacja zacznie się szerzyć i rozrastać, może nastąpić okres konfliktów między przemysłem prywatnym a państwowym. Jeżeli w rękach państwa będzie produkcja najważniejszych surowców, półfabrykatów i materiałów wytwórczych, to przemysł prywatny może być zdany na łaskę i niełaskę państwowego i będzie też starał się z tą zależnością walczyć. Nadmierny zasięg przemysłu państwowego może też wytwarzać problemy dla budżetu państwowego ze wszystkimi konsekwencjami, jakie nie trudno sobie wyobrazić, nie przyczyni się to do umocnienia jego pozycji. Podobnie zreprywatyzowany handel detaliczny zwrócić się może przeciwko państwowemu handlowi hurtowemu, a gdyby i ten przeszedł w ręce prywatne, przyłączy się do innych antagonistów jako odbiorca przemysłu państwowego. W ogóle sądzić można, że zapowiada się okres walki o wzajemny stosunek przedsiębiorczości państwowej i prywatnej, i że ścierać się będą interesy różnego rodzaju, i to nie koniecznie tylko partykularne i egoistyczne, zanim ustali się między nimi równowaga w przyszłym ustroju. Do tej walki państwo nie wejdzie z dobrą reputacją po gospodarce komunistycznej, a doświadczenia z planowaniem nie zawsze będą zachęcające chociażby w świetle niedociągnięć, otwarcie przyznawanych w myśl zasady samokrytyki.

III

Wreszcie problem: „Polska rolnicza czy przemysłowo-rolnicza?" Tutaj przytoczę tylko opinię *p. M. Goreckiego*, gdyż dana teza została najpełniej i zarazem najjaskrawiej właśnie przeze ń sformułowana. *P. Gorecki* pisze:

Polska z kraju o gospodarce przeważnie rolniczej stała się dzisiaj krajem o strukturze przemysłowo-rolniczej. W rezultacie dochód społeczny wzrósł w cenach niezmiennych przeszło dwukrotnie w porównaniu z rokiem 1938. (Odnośny wskaźnik w roku 1954 wynosi 214 przy podstawie 1938 równa się 100). Nawet przy zastrzeżeniu, że obszary gospodarcze państwa polskiego w roku 1938 i 1954 nie są ściśle porównywalne, oraz, że dochód społeczny w roku 1938 nie był najwyższym dochodem społecznym w okresie niepodległości — jest to wzrost bardzo duży. Ten wzrost dochodu społecznego zawdzięcza Polska w pierwszym rzędzie szybkiemu rozwojowi potencjału przemysłowego i zmianie stosunku udziału produkcji przemysłowej i rolniczej w dochodzie społecznym. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że przemiana Polski w kraj przemysłowo-rolniczy jest zjawiskiem obiektywnie nieodwracalnym, a gospodarczo jest zmianą niewątpliwie korzystną. *Przemiana ta jest nieodwracalna*, bo, pomijając już nonsens niszczenia istniejącego dziś potencjału przemysłowego, wczorajszy chłop a dzisiejszy robotnik, nie będzie chciał powrócić do rolnictwa, gdzie jego stopa życiowa musi być z konieczności niższa niż w mieście. *Jest zmianą korzystną*, bo obecna struktura ekonomiczna zapewnia, przy gospodarczych zasobach kraju pełne zatrudnienie ludności, pozwala na dużo większe niż dotąd wykorzystanie polskich bogactw naturalnych i wreszcie zapewnia optymalny wzrost dochodu społecznego. Ten optymalny dochód społeczny przy ustaleniu właściwego stosunku funduszu akumulacji do funduszu spożycia, i przy sprawiedliwym podziale tej części dochodu społecznego, która przeznaczona jest na konsumpcję bezpośrednią, musi zapewnić stały wzrost stopy żywiowej obywateli.

Zupełnie innym zagadnieniem jest *właściwy* stosunek wzajemny rozmiaru produkcji przemysłowej i rolnej. Moim zdaniem przemiana Polski w państwo przemysłowo-rolnicze nie poszła jeszcze dostatecznie daleko. Procent ludności zatrudnionej w gospodarce rolnej jest nadal jeszcze zbyt wysoki. Wynosi on obecnie około 46 %, wliczając w to rodziny robotników, pracujących w przemyśle, ale posiadających jednocześnie działki rolne. Przy dalszej mechanizacji produkcji rolnej i przy upełnorolnieniu karłowatych i niepełnorolnych gospodarstw chłopskich procent ludności zatrudnionej w rolnictwie będzie można jeszcze bardzo poważnie obniżyć. Bez poważnego obniżenia tego procentu nie da się osiągnąć po wyzwoleniu równowagi pomiędzy produkcją przemysłu środków spożycia, a rozwijaną obecnie, niewspółmiernie wielką, produkcją przemysłu środków wytwórczości. Po prostu zabraknie robotników dla przedsiębiorstw przemysłu środków spożycia, którego intensywny rozwój po wyzwoleniu będzie gospodarczą koniecznością.

Teza co do utrzymania przemysłowo-rolniczego charakteru Polski znalazła dużo poparcia w wywodach innych uczestników ankiety i, rzecz charakterystyczna, nie spotkała się wśród nich z ani jednym sprzeciwem. Powrót do koncepcji Polski rolniczej nie znalazł zwolenników. Stwierdzając to, mam na myśli jedynie

zasadniczy stosunek do zagadnienia ,,Polska rolnicza czy przemysłowo-rolnicza''. O ile bowiem chodzi o wzajemne ustosunkowanie rozmiaru produkcji na terenie przemysłu i rolnictwa, to jak słusznie *p. Gorecki* zaznaczył, jest to problem zupełnie odrębny.

IV

Jaki będzie więc ,,model gospodarczy'' przyszłej Polski? Na to pytanie ankieta oczywiście nie daje odpowiedzi, gdyż przepowiadanie przyszłości nie jest jej celem. Jedną rzecz można jednak na pewno powiedzieć: struktura gospodarcza przyszłej Polski będzie wynikiem nie tyle prądów w myśleniu społeczno-gospodarczym, ile przede wszystkim rezultatem walki sił społeczno-politycznych. *Prof. Brzeski* słusznie przypomina aksjomat, że ,,zarówno o wprowadzeniu jakiejś reformy, jak i o jej odwołaniu, decydują interesy, z nią związane, czy też mówiąc ściślej: stosunek wzajemny ich siły''. I konkluduje: ,,Tak też wyobrażać sobie należy sytuację w kraju po jego oswobodzeniu, gdy nie będzie żadnej dyktatury i swobodnie będą mogły się ujawniać i wypowiadać realne siły i interesy''.

(d. c. n.)

Stanisław ZARZEWSKI

Tajemnice czasu

Przypisane Sheenie.

I

Uczeni mówią nam, że czas nie jest wieczny. Czas kiedyś się zaczął i zapewne kiedyś się też skończy. Wieczność zatem nie jest nieskończonym trwaniem w czasie, jest raczej bezczasowością, jakimś „trwaniem" innego rodzaju, poza czasem i chyba także poza przestrzenią. Przestrzeń i czas bowiem (powiadają uczeni) stanowią razem jedno cztero-wymiarowe *continuum*, w którym zamyka się cała nasza materialna rzeczywistość i całe nasze obecne istnienie. Czas, pojęty jako czwarty wymiar, nie może istnieć bez pozostałych trzech wymiarów przestrzeni.

Ale do zagadnienia wieczności, do tego, co stoi przed nami, lepiej będzie powrócić później, przy końcu naszych rozważań. Najpierw spójrzmy w przepaście czasu, które już leżą za nami.

Uczeni zatem mówią nam, że nie jest to przepaść bez dna. Cały nasz wszechświat : ziemia, słońce, nasz system Drogi Mlecznej i inne systemy galaktyczne, których miliony widzimy przez teleskopy w postaci mgławic, wszystko to istnieje najwyżej kilka miliardów lat (1). I rzecz znamienna, nasza skromna Ziemia nie

(1) W rozważaniach tych opieram się na teorii kosmogonicznej tzw. szkoły amerykańskiej (Millikan, Gamow). Tak zwana szkoła brytyjska (Bondi, Hoyle) odrzuca teorię jednorazowego powstania wszechświata i na jej miejsce stawia teorię ciągłego tworzenia się atomów (wodoru) z niczego. Obie teorie walczą jeszcze z dużymi trudnościami, ale większość uczonych zdaje się przyjmować raczej poglądy szkoły Gamowa.

jest o wiele młodsza od całego wszechświata. Wiek najstarszych skał w skorupie ziemskiej oblicza się na jakiś miliard 600 milionów lat, a cały wszechświata jest zaledwie jakieś dwa, może trzy razy starszy. W całym wszechświecie widzialnym, nawet w najdalszych mgławicach odległych o miliony lat światła, nie ma ani jednej cząsteczki materii, która liczyłaby sobie więcej niż jakieś 3 do 5 miliardów lat. Poza nami, w odległości bliżej nieokreślonej ilości lat, zapewne jednak nie przekraczającej 5 miliardów, leży ów moment, który astronomowie określają symbolem T_0, a który możemy po prostu nazwać Dniem Stworzenia. Przedtem nie było nic, wobec tego nie było nawet czasu. Czas bowiem może istnieć tylko tam, gdzie istnieje coś, gdyż czas jest jednym z wymiarów owego „coś"; w terminologii Whitehead'a czas jest tylko stosunkiem między „zdarzeniami" (events). Dlatego i czas musiał kiedyś mieć swój początek.

W pewnym sensie jesteśmy w stanie oglądać przeszłość — nie w postaci rekonstrukcji w książce lub na filmie, ale przeszłość zupełnie autentyczną. Największy teleskop świata na Mount Palomar sięga w przestrzeń na odległość około dwu miliardów lat światła. To znaczy, że teleskop ten jest zdolny uchwycić promień światła, który dwa miliardy lat temu wyszedł z którejś z najdalszych znanych nam mgławic i całego tego czasu potrzebował, by do nas dotrzeć. Wobec tego zdawało by się, że gdybyśmy potrafili zbudować teleskop o zasięgu 2 do 3 razy większym niż ten, który posiadamy obecnie, to moglibyśmy oglądać promień światła, który wyszedł z którejś z tych fantastycznie odległych mgławic w momencie T_0. Innymi słowy moglibyśmy własnymi oczami oglądać dzień stworzenia.

Niestety, tak jednak nie jest. Wiadomo bowiem, że odległe mgławice pozagalaktyczne oddalają się od nas z prędkością wprost proporcjonalną do ich odległości. Im dalsza mgławica, z tym większą prędkością od nas ucieka. (Być może, że jest to ruch pozorny, to jednak nie ma wpływu na tok naszego rozumowania.) Na tej podstawie można łatwo obliczyć, że mgławice w odległości 4 miliardów lat światła powinny uciekać od nas z szybkością równą szybkości światła. Nasze teleskopy sięgają tylko do połowy tej odległości, ale nawet gdybyśmy potrafili zasięg naszego największego teleskopu podwoić, niemniej nigdy byśmy owych mgławic nie ujrzeli. Jest bowiem rzeczą jasną, że jeśli źródło światła (mgławica) oddala się od nas z szybkością równą szybkości światła, to światło owo nigdy nie zdoła do nas dotrzeć. Absolutna granica widzialności leży zatem w odległości poniżej 4 miliardów lat światła.

Nie ujrzymy zatem Dnia Stworzenia. Ale sama świadomość istnienia owego dnia w odległości z grubsza określonej ilości lat jest już dostatecznie porywająca. Porywający jest również ogrom tej otchłani czasu leżącej poza nami. Pięć tysięcy milionów lat! Czy potraficie sobie wyobrazić, co ta cyfra oznacza? Kiedyś próbowałem sobie uprzytomnić ten bezmiar czasu w formie graficznego wykresu. Narysowałem więc sobie na stronicy zeszytu

linię, która miała wyobrażać 5.000.000.000 lat. Przy tej skali jednak grubość kreseczki zaznaczonej na podziałce dobrze zaostrzonym ołówkiem reprezentowała zawsze jeszcze jakieś 5.000.000 lat. Jest to okres równie niewyobrażalny jak 5 miliardów, a okresy krótsze niż 5 milionów lat miały w moim wykresie rozmiary mikroskopijne. Byłem więc zmuszony do ciągłego powiększania mej podziałki, przy tej operacji jednak czas istnienia wszechświata, który pragnąłem sobie wyobrazić, począł wybiegać coraz dalej poza ramy mego zeszytu. Ostatecznie doszedłem do przekonania, że dla wmontowania w jeden wykres o jednolitej skali czasu istnienia wszechświata i pojęć czasu o choćby historycznej wielkości, musimy sobie wyobrazić, że jeden milimetr reprezentuje 10 lat. Wówczas chrzest Polski będzie odległy od naszego punktu zerowego, przedstawiającego chwilę obecną, o 10 centymetrów; czasy Chrystusa o 20 cm.; pierwszy człowiek o kilkaset metrów; początki życia na ziemi o jakieś 80 km.; powstanie ziemi o 200 km., a wreszcie absolutne T_0 wypadłoby w odległości 500 km. czyli, licząc od Londynu, gdzieś w pobliżu Berwick-on-Tweed.

Gdybyśmy teraz nasz wykres przestrzenny chcieli na powrót przetłumaczyć na jednostki czasu, to musielibyśmy sobie wyobrazić ślimaczka (może lepiej jeszcze malutkiego mikroba), który potrafiłby się poruszać ze straszliwie małą, lecz jednostajną szybkością jednego milimetra na 10 lat. W sto lat nasz mikrob posunie się naprzód o 1 cm.; za 1.000 lat będzie miał za sobą jeden decymetr podróży; na przejście jednego kilometra będzie mu potrzeba dokładnie 10 milionów lat. Gdyby nasz mikrob zatem wyszedł, dajmy na to, z Berwick-on-Tweed w momencie T_0, to doszedłby do Londynu w czasie równym wiekowi wszechświata.

W ramach naszej cywilizacji można rozróżnić z grubsza trzy kategorie poglądów na czas trwania wszechświata. Pierwszy pogląd stanowi naiwne wierzenie, że Bóg stworzył świat zaledwie na 4.000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Drugim jest panujący powszechnie pogląd wprost przeciwny, że wszechświat istnieje już nieskończoną ilość lat i że wszelkie wyobrażenia o stworzeniu świata są pozbawionym wszelkich podstaw przesądem. Ten drugi pogląd utrzymuje się również jeszcze w dzisiejszej nauce. Ale większość uczonych odrzuca ten pogląd i przyjmuje pogląd trzeci, że świat powstał w ściśle określonej i z grubsza wymiernej przeszłości, i że nawet czas ma za sobą ściśle określone, choć tylko z grubsza wymierne trwanie.

II

Oto próbowaliśmy sobie uprzytomnić za pomocą graficznego wykresu niesamowitą przepaść czasu, który stanowi całą przeszłość; próbowaliśmy sobie uprzytomnić czas trwania wszechświata.

Była to trochę niezwykła umysłowa przygoda. Umysł ludzki tylko z największą trudnością chwyta te astronomiczne wy-

miary. Człowiek może mieć bezpośrednie doświadczenie zaledwie około 70, czy w najlepszym razie stu lat swego życia. Pośrednio, przez analogię do swego własnego życia i znajomość historii, może mieć jakie takie wyczucie kilkuset czy — przy pewnym wysiłku, wprawie i odpowiedniej wiedzy historycznej — nawet kilku tysięcy lat znanych dziejów ludzkości. Jest to jednak wyczucie blade, skrócone i zniekształcone i zasadniczo różne od bezpośredniego wyczucia osobiście przeżytego czasu. Wyczucie dłuższych okresów jest już właściwie niemożliwe, chyba że naszą próbę z wykresami uznamy za jakieś niezmiernie blade wyczucie tych właściwie niepojętych otchłani czasu.

Jednak nawet bezpośrednie doświadczenie własnego życia jako pewnej, na chwili obecnej prowizorycznie zakończonej całości, nie jest już prostym wyczuciem czasu, lecz doświadczeniem uschematyzowanym, którego konkretność zależy w pierwszym rzędzie od walorów własnej pamięci. Doświadczenie staje się bardziej konkretne, gdy od całości iluś tam lat naszego życia posuwamy się ku coraz to krótszym odcinkom czasu, roku, miesiąca, tygodnia, dnia, godziny, minuty, chwili. Wyczucie czasu jest ściśle zależne od treści świadomości, która ten czas wypełnia. Treść ta jest tym żywsza, im mniej jest uzależniona od współdziałania pamięci i dlatego *chwila,* przemijająca a jednak konkretna, da się wyczuć najżywiej i najłatwiej. Maksimum konkretności i żywości wyczucia mieści się, zależnie od okoliczności i naszej wrażliwości, gdzieś w ramach od kilku minut do sekundy. I tyle tylko czasu mamy, by przeżyć naszą nietrwałą teraźniejszość, której wciąż spieszno, by stać się przeszłością. I nie przedłuży jej faustowskie zaklęcie ,,Weile, verweile, du bist so schoen''.

Ale tu już przekraczamy granice naszego optimum wyczucia czasu. Jeśli zajmuję się, dajmy na to, fotografią, mogę mieć jako tako konkretne wyczucie ułamka sekundy, może nawet jednej setnej sekundy. Jeśli jestem fizykiem operującym specjalnie precyzyjnymi metodami mierzenia czasu, nawet mniejsze ułamki sekundy będą dla mnie mieć jakieś konkretne znaczenie. Ale konkretność mojego wyczucia tych drobnych odcinków czasu jest już mniej więcej tej samej kategorii co konkretność wyczucia kilkuset czy kilku tysięcy lat u historyka. Nasze optimum wyczucia jest mgliście, lecz bardzo stanowczo ograniczone do krótkiego odcinka, który najlepiej określić jako chwilę.

To poczucie czasu nie jest zresztą zawsze jednakowe i zmienia się w pewnych granicach zależnie od okoliczności. Gdy nie mam nic do roboty, mówię, że czas mi się ,,dłuży''; odwrotnie, gdy jestem bardzo zajęty, powiadam, że czas mi przeleciał jak z bicza trzasł. Ponadto poczucie czasu zmienia się bardzo z wiekiem : inne jest poczucie czasu u dziecka, a inne u dorosłego człowieka. Pamiętamy wszyscy, jak długie były dni naszego dzieciństwa. Ileż to przeżyć potrafiliśmy zmieścić w jednym dniu od rana do wieczora ! A rok był już prawie wielkością niewymierną. Jak nieskończenie długo to trwało, nim doszliśmy do wieku 10

lat. Następna dziesiątka poszła już trochę prędzej, następna jeszcze prędzej, i w miarę jak posuwamy się w latach, czas wydaje się nam coraz to krótszy. W wieku dojrzałym prowadzimy już prawdziwy wyścig z czasem i ciągle mamy go za mało. To wrażenie szybszego mijania czasu jest bodaj szczególnie silne u współczesnego człowieka, który w tym samym odcinku czasu astronomicznego pragnie zmieścić coraz to więcej dokonań i przyjemności. Samochody i telefony i inne szybkie środki komunikacji niewątpliwie przyspieszają rytm współczesnego życia.

Ale to przyspieszenie ma również głębokie przyczyny psychologiczne zupełnie niezależne od wytworów cywilizacji. Człowiek 40-letni ocenia czas według dotychczasowej sumy swych przeżyć. Przeżył niewątpliwie więcej od swego 10-letniego syna, ale tylko drobny ułamek tych przeżyć składa się na treść jego świadomości bieżącej. Zawodność pamięci przesiała wspomnienia do pewnego uchwytnego minimum i dlatego przeżyty okres lat 40 nie wydaje mu się zbyt długi. Jego 10-letni synek przeżył zapewne 4 razy mniej, ale też 4 razy mniej zapomniał. Jego pamięć jest równie pełna doznanych przeżyć co pamięć jego 40-letniego ojca i w konsekwencji 10 lat w jego subjektywnym wyczuciu czasu ma tę samą wartość co 40 lat ojcowskich.

Ograniczona zasobność pamięci i świadomości ludzkiej sprawia, że długość standartowych odcinków czasu, jak na przykład 1 roku, oceniamy automatyczne jako ułamek całości przeżytego przez nas czasu. Dla 40-letniego człowieka jeden rok to *tylko* 1/40 całości „jego" czasu; dla 10-letniego chłopca jest to *aż* 1/10. Jeśli w graficznym wykresie na osi X oznaczymy w równych odstępach lata życia, a na osi Y w takich samych odstępach wartości 1 roku wyrażone jako ułamek każdorazowej całości przeżytych lat, to otrzymamy znajomą krzywą zwaną hyperbolą. Ta hyperbola dla pierwszych lat życia przebiega bardzo stromo, prawie równolegle z osią Y — to znaczy, że dla dziecka jednorocznego 1 rok ma wartość nieskończoną, i że w późniejszych latach dzieciństwa poczucie czasu zmienia się bardzo gwałtownie. Dla lat dojrzałych krzywa przybiera kierunek bardziej poziomy — to znaczy, że poczucie czasu się zmieniło, ale że tempo tej zmiany zmalało. Dla podeszłego wieku hyperbola przebiega już prawie równolegle z osią X. Jest to pociecha na przyszłość, bo oznacza to, że w starości nasze poczucie czasu nie ulegnie już większym zmianom i ustali się na pewnym poziomie (2).

Oprócz wskazanych tu przyczyn natury psychologicznej na zmianę poczucia czasu z biegiem lat wpływają również przyczyny natury fizjologicznej. Chodzi tu o postępujące z biegiem lat zwolnienie naszych wewnętrznych procesów fizjologicznych. Organizm dorosłego człowieka pracuje wolniej niż organizm dziecka. Prawie cały proces fizycznego rozwoju człowieka zamyka się w ramach pierwszych kilkunastu lat życia; wszystkie lata następ-

(2) Por. Pierre Lecomte de Noüy — Biological Time, London, Methuen.

ne przynoszą już tylko stosunkowo nieznaczne modyfikacje. Dlatego powiedziano słusznie, choć brzmi to paradoksalnie, że starzenie się postępuje najszybciej w zaraniu życia. U dziecka w tym samym okresie czasu astronomicznego mieści się więcej kolejnych stanów fizjologicznych uchwytnie różnych niż u dorosłego człowieka. Ta względna mnogość stanów fizjologicznych organizmu dziecka w standartowym odcinku czasu powoduje właśnie u niego poczucie względnej długości tego czasu; u dorosłego człowieka tych stanów jest mniej i dlatego czas zdaje się płynąć prędzej. Uczony francuski Lecomte de Noüy podjął ciekawą próbę liczbowego ujęcia stosunku tego czasu fizjologicznego w różnych okresach życia do standartowego czasu zegarów. Za podstawę swoich pomiarów wziął tylko jeden proces fizjologiczny, który się szczególnie nadawał do ścisłego ujęcia w formie cyfr, a mianowicie proces odradzania się uszkodzonej tkanki czyli gojenia się ran. Lecomte de Noüy doszedł do wniosku, że na dokonanie określonej jednostki procesu fizjologicznego organizm człowieka 50-letniego potrzebuje mniej więcej 4 razy więcej czasu niż organizm 10-letniego dziecka. To zwolnienie procesu fizjologicznego sprawia — stwierdza de Noüy — że dla człowieka 50-letniego czas zdaje się płynąć 4 razy prędzej niż dla 10-letniego chłopca. Co więcej, de Noüy wykazał, że jeśli tempo procesu gojenia się ran w różnych okresach życia ująć w formę wykresu w systemie współrzędnych, to otrzymamy znowu hyperbolę zupełnie podobną do tej, którą poprzednio skonstruowaliśmy na podstawie przesłanek natury psychologicznej. Jest to podobieństwo tak uderzające, że nasuwa się myśl nie tylko o współdziałaniu przyczyn psychologicznych i fizjologicznych w kształtowaniu naszego poczucia czasu, ale że również pomiędzy tymi przyczynami istnieje ścisły związek konieczny. I wydaje mi się, że przyczyny natury psychologicznej są tutaj pierwsze i że one określają również tempo procesów fizjologicznych w naszym organiźmie.

III

Widzieliśmy, że subiektywne poczucie czasu u człowieka ulega zmianom. Tempo naszych procesów fizjologicznych i psychicznych jest różne w różnych okolicznościach i w różnych okresach życia. Dlatego stosunek naszego czasu wewnętrznego do zewnętrznego czasu astronomicznego również jest zmienny i nigdy nie ma między nimi sztywnej synchronizacji. W związku z tym obiektywna długość okresu czasu, który odczuwamy najżywiej i najkonkretniej jako chwilę, także podlega wahaniom i zawiera się z grubsza, jak powiedzieliśmy, w ramach od paru minut do sekundy.

Takie są możliwości naszej ludzkiej konstytucji psychofizycznej. Ale możemy sobie wyobrazić ustroje psycho-fizyczne różne od naszego, dla których optimum konkretności wyczucia da okresy znacznie dłuższe lub znacznie krótsze od naszej chwili. Ciekawych przykładów na to dostarcza nam świat zwierzęcy.

Nie wchodzimy zbyt głęboko w zagadnienie, w jakim stopniu zwierzęta w ogóle są zdolne do jakiegokolwiek wyczucia czasu. Nie ulega wątpliwości, że praktyczne wyczucie czasu u zwierząt istnieje, podobnie jak istnieje u nich praktyczne wyczucie przestrzeni. Lew, gotujący się do skoku, ocenia w pewien sposób odległość dzielącą go od upatrzonej ofiary i również przeprowadza jakąś sui generis kalkulację czasu, która decyduje o momencie skoku i szybkości działania. Naturalnie u zwierząt wyższych to wyczucie będzie miało charakter bardziej świadomy, u zwierząt niższych natomiast coraz bardziej nabiera cech ślepego instynktu. Niemniej zgodzić się można, że lew, czy słoń, posiadają poczucie czasu, które da się porównać ze zwykłym, nierefleksyjnym poczuciem czasu u człowieka.

Wydaje mi się, że w przyrodzie zachodzi bardzo istotny związek między poczuciem czasu danego gatunku a jego długowiecznością. Czasokres indywidualnego życia w świecie zwierzęcym wykazuje olbrzymią rozpiętość. Komar żyje zaledwie kilkanaście godzin; słoń, żółw czy krokodyl mogą żyć przeszło sto lat. Niezależnie od wszystkich innych czynników, które decydują o względnej długowieczności gatunku, wydaje się, że natura jest sprawiedliwa i każdemu gatunkowi daje możność wydobycia z właściwego mu czasokresu życia mniej więcej tej samej sumy przeżyć, oczywiście na właściwym danemu stworzeniu szczeblu inteligencji. Kompensatą krótkiego życia zdaje się być odpowiednio wysubtelnione poczucie czasu, które w danym odcinku czasu standartowego pozwala zmieścić większą sumę przeżyć.

Weźmy na przykład wróbla czy jaskółkę, których czasokres życia wynosi zaledwie kilka lat. Jest rzeczą oczywistą, że wróbel lecący z ogromną w stosunku do swych rozmiarów szybkością i skręcający przed przeszkodą w ułamku sekundy ma bardziej precyzyjne wyczucie czasu niż człowiek. Innymi słowy, dajmy na to, sekunda w jego wyczuciu jest dłuższa i posiada treść bardziej rozciągłą (by nie powiedzieć: pełniejszą) niż sekunda w wyczuciu przeciętnego człowieka. Wynika z tego z kolei, że krótki w stosunku do ludzkiego okres wróblego życia jest w jego wyczuciu znacznie dłuższy, niż to się nam wydaje z punktu widzenia ludzkiego poczucia czasu. Również tempo życia fizjologicznego jest u niego odpowiednio szybsze. Serce wróbla bije w tempie około 800 uderzeń na minutę, podczas gdy tętno serca ludzkiego wynosi przeciętnie około 70. Tętno kanarka dochodzi do 1.000.

Długowieczny słoń czy żółw dostarczą nam odwrotnego przykładu. Tętno słonia wynosi 25 uderzeń na minutę, żółwia zaledwie 20. Powolność tych stworzeń nie jest tylko wynikiem ich masywnej budowy, lecz ma swe źródło w wolniejszym tempie życia całego organizmu. Temu zwolnionemu tempu życia organizmu musi zatem odpowiadać również bardzo skrócone wyczucie naszych standartowych odcinków czasu. Sekunda w życiu słonia czy żółwia ma w jego wyczuciu wartość tak małą, że zapewne wymyka się zupełnie jego świadomości. I dlatego słoń ze swoich

stu lat wydobywa przeżyć nie więcej niż kanarek czy wróbel z swoich kilku wiosen.

Niezmiernie ciekawym przykładem bardzo wolnego tempa życia fizjologicznego i psychicznego (a wobec tego również niezwykle rozciągłego poczucia czasu) jest leniwiec (*Bradypus tridactylus*) żyjący w dżungli podzwrotnikowej nad Amazonką. Jego puls i reakcje mięśniowe są straszliwie powolne, nawet proces trawienia jest zwolniony do tego stopnia, że strawienie jednego posiłku trwa 4-6 tygodni.

Dla wyrównania szans — w myśl naszej teorii — przyroda powinna leniwcowi wynagrodzić jego niezwykle „grube" poczucie czasu niezwykle długim życiem.

Tak węc świat zwierzęcy daje nam liczne przykłady konstytucji psycho-fizycznych, dla których standardowe jednostki czasu astronomicznego mają wartości bardzo różne. Okres, który jednemu stworzeniu przedstawia się jako bardzo krótki, dla innego stworzenia jest znacznie dłuższy — i na odwrót. Jeśli odważymy się wyjść poza twardy grunt doświadczenia i obserwacji, to potrafimy sobie wyobrazić istoty o jeszcze większej rozpiętości poczucia czasu. Możemy sobie na przykład wyobrazić istotę, której poczucie czasu będzie tak „grube", że 1.000 lat będzie miało w jego wyczuciu wartość sekundy, — albo też istotę o poczuciu tak delikatnym, że jedna sekunda miałaby w jego wyczuciu wartość tysiąca lat. Oczywiście, gdyby nawet takie istoty istniały, to pozostałyby chyba na zawsze poza zasięgiem naszej obserwacji. Objawy życia istoty o skrajnie delikatnym poczuciu czasu byłyby tak drobne i szybkie, a może i cały czasokres jej życia byłby tak krótki, że nigdy nie bylibyśmy w stanie go zauważyć. Naodwrót, objawy życia istoty o skrajnie „grubym" poczuciu czasu byłyby tak powolne, że cały okres historycznych dziejów ludzkości nie wystarczyłby na wykrycie jednego jej ruchu. Będąc ludźmi, jesteśmy uwięzieni w ograniczonych ramach naszego ludzkiego poczucia czasu.

Ale ta bezpłodna na pozór spekulacja uprzytomniła nam z całą wyrazistością, że długość czy krótkość całych epok geologicznych, czy ułamków sekundy ma tylko względne znaczenie zależne od naszego ludzkiego poczucia czasu. Z punktu widzenia wyższej Inteligencji zarówno cały czas istnienia wszechświata jak i milionowy ułamek sekundy mogą mieć wartość zupełnie inną niż dla nas. Wyprzedzając trochę dalszy tok naszych rozważań możemy powiedzieć, że mogą nawet być jednakowe. „Dla Ciebie tysiąc lat jako jedna chwila" — mówi o Bogu Psalmista. Bo Bóg nie jest ograniczony żadnym poczuciem czasu.

IV

Przypomnijmy sobie teraz, co powiedzieliśmy na samym początku, że nie ma absolutnego czasu, tak jak nie ma absolutnej przestrzeni. I czas i przestrzeń mogą istnieć tylko tam, gdzie istnieje materia, ponieważ nie są one niczym więcej jak formami

stosunków między materialnymi rzeczami (przestrzeń) czy zdarzeniami w świecie materialnym (czas). Wynika z tego, że poczucie czasu człowieka (podobnie jak poczucie czasu zwierzęcia) musi być uwarunkowane w ostatecznej instancji przez materialną stronę natury ludzkiej czyli przez rozgrywające się w naszym ciele, a szczególnie w mózgu procesy fizyko-chemiczne. Wynika z tego również, że gdyby człowiek był istotą czysto duchową, zupełnie niezwiązaną z materią, to nie istniałoby dla niego żadne poczucie czasu, a nawet *pojęcie* czasu, tak samo jak pojęcie przestrzeni musiałoby mu być zupełnie obce.

Zapewne jesteśmy tu na granicy naukowego poznania sensu stricto i wchodzimy na grunt metafizyki. Ale to wcale nie znaczy, by rezultaty naszej myśli poznawczej musiały być mniej pewne. Posługujemy się nadal całkowicie słuszną metodą poznawczą dedukcji, jednak w przeciwieństwie do nauk ścisłych nie mamy już możliwości sprawdzenia naszych wniosków przez obserwację i doświadczenie. Naszą przesłanką jest nierozłączne powiązanie pojęć przestrzeni i czasu ze światem materii; wnioskiem musi być nieistnienie przestrzeni i czasu w świecie ducha.

Fred Hoyle w zakończeniu swej pięknej książki pt. ,,The Nature of the Universe'' rzucił uwagę, że gdyby nawet istniało życie duszy po śmierci, on sam nie chciałby żyć dłużej niż 300 lat, bo nie wiedziałby, co z tym nadmiarem czasu zrobić. Uwaga ta miała stanowić pewnego rodzaju osobisty argument przeciw nieśmiertelności duszy, ale wątpię, czy sam Hoyle traktował ją bardzo poważnie. Gdyby tak było, znaczyłoby to, że zdaniem Hoyle'a dusza ludzka po śmierci ma z grubsza takie samo poczucie czasu jak człowiek psychofizyczny. Jest to oczywiście zupełny nonsens, bo widzieliśmy przecie, że poczucie czasu zmienia się z wiekiem wcale znacznie, i trudno przypuścić, by przełom tej miary co śmierć fizyczna miała pozostawić nienaruszone ludzkie poczucie czasu. Równie dobrze można by przypisać duszy nieśmiertelnej poczucie czasu tak grube, że 300 lat, które Hoyle sobie wybrał, zdałyby mu się mgnieniem oka — albo też poczucie czasu tak delikatne, że nawet rok dłużyłby się w nieskończoność. Obie te alternatywy są straszne, jak w ogóle straszna jest wieczność pojęta jako nieskończone trwanie w czasie.

Ale żadnej w tych dwóch alternatyw nie potrzebujemy się obawiać. Z natury czasu wynika bowiem, że duch bezcielesny nie może mieć żadnego poczucia czasu. Na pierwszy rzut oka i ta alternatywa wydaje się straszna. Zdaje się ona być zaprzeczeniem nieśmiertelności duszy w ogóle, bo poza czasem i poza przestrzenią nie potrafimy sobie wyobrazić świadomego istnienia.

Ale tylu rzeczy nie potrafimy sobie wyobrazić, rzeczy, w których realność ani na chwilę nie możemy wątpić. Nauka nowoczesna od niedawna stanowczo wyszła poza granice, w których jej rezultaty w postaci skoordynowanych teorii dadzą się wyobrazić konkretnie w formie naocznego modelu. W nowoczesnych teoriach naukowych coraz większą i coraz bardziej wyłączną rolę

odgrywa niewyobrażalna abstrakcja. Szczególnie w kosmologii i w fizyce pod-atomowej, to jest na obu krańcach świata naszego codziennego doświadczenia, zamkniętego w koncepcji trójwymiarowej przestrzeni i ,,płynącego'' czasu, przestrzeń i czas tracą swój konkretny charakter czegoś, co można ,,zobaczyć'' lub ,,odczuć'' i przybierają charakter czysto abstrakcyjny matematycznej formuły. A jednak ta abstrakcja jest po ludzku poprawnym ujęciem zupełnie konkretnej rzeczywistości: wewnętrznej budowy atomu i pełnych rozmiarów wszechświata. Jeśli już peryferie naszej rzeczywistości fizycznej wymykają się naocznemu wyobrażeniu, to tym bardziej w świecie ducha jesteśmy skazani na wyłączne operowanie myślą nieobrazową — czyli abstrakcją.

Gdy w potocznym myśleniu wyobrażamy sobie życie pozagrobowe jako nieskończony ciąg istnienia, w którym stosunkowo krótki kres naszego ziemskiego życia zapada coraz dalej w przeszłość, zdajemy sobie sprawę, że jest to pogląd naiwny. Jest naiwny naiwnością podobną do tej, która cechowała chrześcijańską eschatologię Dantego albo ludowe wyobrażenia o niebie i czyśćcu, jakie znajdujemy na przykład w ,,Zachwyceniu'' Lenartowicza. Wiemy, że rzeczywistość pozagrobowa musi być całkiem inna, ale nie potrafimy tej inności przyoblec w żaden kształt. A w sprawie tak blisko nas obchodzącej tylko umysł bardzo wyrobiony potrafi zadowolić się niewyobrażalnym pojęciem — i uszanować tajemnicę.

Główna trudność polega na tym, że nie potrafimy sobie wyobrazić świadomego istnienia poza czasem; łatwiej już chyba wyobrazić sobie duchową egzystencję poza przestrzenią. Zwyczajne fakty duchowe, które nam życie nastręcza, jak myśl ludzka, przyjaźń, nienawiść, są oczywiście pozbawione wszelkich cech przestrzennych, ale nie są pozbawione lokalizacji w czasie i trwania w czasie. Dlatego byt czysto duchowy również wydaje się nam związany z pojęciem czasu. Nie możemy sobie wyobrazić świadomego istnienia bez pamięci, która implikuje przeszłość, i bez celu istnienia, który leży w przyszłości. Tymczasem w myśl tego, co powiedzieliśmy poprzednio, byt duchowy możemy sobie w najlepszym razie zobrazować jako jedno wielkie wszechobejmujące TERAZ, zamykające w sobie całą przeszłość i całą przyszłość.

Powiecie, że to nonsens. Tak, to jest nonsens o tyle, że staramy się tutaj nadać formę wyobrażalną czemuś, co z natury rzeczy jest niewyobrażalne. Ale z tym zastrzeżeniem jest to tylko nonsens pozorny. Pomyślcie: jeśli mam przed sobą linijkę długości 30 cm., mogę ją uchwycić całą w swej świadomości jednym jedynym aktem; ale odcinek drogi długości 30 km. nawet z lotu ptaka możemy uchwycić tylko kolejno mniejszymi partiami. Podobnie widzieliśmy, że nasze ludzkie poczucie teraźniejszości, bieżącej chwili, zamyka się z grubsza w ramach od paru minut do sekundy. Ale widzieliśmy również, że rozciągłość chwili bieżącej w wyczuciu człowieka zmienia się zależnie od wieku i okoliczności, a u innych stworzeń ulega nawet większym wahaniom. Idąc po tej linii, wydaje mi się, że jest do pomyślenia stan świadomo-

ści, który jednym aktem potrafi uchwycić jako TERAZ całą rozpiętość stworzonego czasu bez równoczesnej utraty szczegółów zamkniętych w jego najdrobniejszym ułamku. Wyobrażamy sobie, że taki stan świadomości istnieje w Bogu. Ale wolno przypuszczać, że taki stan świadomości może także być udziałem naszym, którzy jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo. Bo to jest właśnie wieczność.

Po tej linii idzie chrześcijańska koncepcja czasu i wieczności, której wyraz znajdujemy w cudownie lapidarnych określeniach św. Tomasza z Akwinu :

Czas jest miarą zmiany.
Wieczność jest miarą trwania.

Paradoksem naszego widzenia świata jest dziwna nietrwałość wszystkiego, co istnieje. Wszystko, co istnieje w teraźniejszości, z każdą chwilą zapada w przeszłość i pojawia się *zmienione* w następnej chwili, która jest nową teraźniejszością. Wszystko, co jest w jednej teraźniejszości, filozofowie nazywają zdarzeniem ; wszystko, co jest w następnej chwili, jest już innym zdarzeniem. Stosunek między tymi zdarzeniami to właśnie czas. Dlatego czas jest miarą zmiany.

Gdy szukamy w naszym doświadczeniu czegoś, co się nie zmienia, czegoś trwałego, co leży poza ową sekwencją zdarzeń, to znajdujemy je tylko w nas samych, w naszym najgłębszym, wewnętrznym JA. Zmienia się z każdą chwilą materia, która stanowi moje ciało ; zmieniają się z każdą chwilą moje stany psychiczne, ale moje wewnętrzne JA zachowuje swą niezmienną indywidualność. Ja zawsze jestem tym samym JA, zawsze tym samym podmiotem przeżywanej zmiennej rzeczywistości. Jakiekolwiek są koleje mojego życia, cokolwiek przeżywałem od najwcześniejszego dzieciństwa, jakkolwiek bogata lub uboga jest treść mojej świadomości, moje wewnętrzne JA przy tym wszystkim nie ulega najmniejszym zmianom.

Dlatego tomiści twierdzą, że w obrębie owego ścisłego JA nie ma podstaw do wyróżniania tego, co było przedtem, i tego, co było potem. O naszym czystym JA możemy się wyrażać jedynie w czasie teraźniejszym, utrzymując, że to JA ustawicznie jest (3).

Ale to jest inna teraźniejszość niż nasza zwykła teraźniejszość psychologiczna. Czyżby to była ta sama teraźniejszość, która nas uderza niegramatycznością i pogardą dla logicznych prawideł składni w powiedzeniu Chrystusa : „Zaprawdę, powiadam wam, zanim Abraham stał się, Jam jest"? — i ta sama, która nas uderza pozorną tautologią w wyznaniu Swej Istoty, które Bóg dał Mojżeszowi w krzaku ognistym : „Jam jest, który jest"? Istotą Boga, według filozofii tomistycznej, jest Byt, istnienie samo w sobie, niepodległe żadnym zmianom trwanie. I niezmienność naszego wewnętrznego JA oznacza, zdaniem tomistów,

(3) Por. ks. K. Kłósak — W sprawie czasowego początku wszechświata. Tygodnik Powszechny, Kraków, Boże Narodzenie, 1953.

trwanie tej samej kategorii; niezmienność naszego JA jest naszym udziałem w nieprzemijającej teraźniejszości Boga i trwanie naszego JA jest refleksem Bożego trwania. I między innymi także i w tym sensie możemy mówić, że jesteśmy stworzeni na Jego obraz i podobieństwo.

Ale trwanie, o którym tutaj mowa, nie jest trwaniem w czasie, który jest miarą zmiany. To jest trwanie w owej wszechobejmującej i nieprzemijającej teraźniejszości, którą jest wieczność. I właśnie to przedziwne TERAZ miał chyba na myśli św. Tomasz, gdy mówił, że wieczność jest miarą trwania.



Wieczność. Czaś kiedyś się zaczął w pierwszym dniu stworzenia i kiedyś się też skończy. Drugie prawo termodynamiki mówi, że entropia stale wzrasta. Znaczy to, że ilość energii wolnej we wszechświecie, tej która jest źródłem ruchu i przemiany materialnego kosmosu, jest coraz mniejsza i kiedyś po wielu milionach i miliardach lat wyczerpie się zupełnie. Nie wiemy jeszcze w jakiej formie nastąpi owa śmierć wszechświata, podobnie jak nie wiemy, w jakiej formie wszechświat wyłonił się kiedyś z niebytu. Ale jesteśmy po ludzku pewni, że ta śmierć musi kiedyś nastąpić. Kosmiczny zegar stanie i nic już nie będzie się działo. Tym samym skończy się również czas.

Pozostanie wieczność, owo tajemnicze, niewyobrażalne „teraz", które istniało przed początkiem wieków i które zamknie w sobie całą przeszłość, dzień dzisiejszy i przyszłość.

Antoni POSPIESZALSKI

Obraz Ameryki

Zygmuntostwu C. w Montrealu.

Przystępując do przedstawienia mych wrażeń, pragnę zaraz na wstępie zaznaczyć, że zdaję sobie sprawę, iż pisanie o Ameryce po krótkim tylko pobycie graniczy niemal z zuchwałością. Zdecydowałem się jednak na to z trzech względów. Najpierw, nie będę pierwszym, który tego rodzaju występek popełnia. A dalej, jestem przekonany, że czasami wrażenia przelotnego turysty, który patrzy świeżym, a nie ,,oswojonym'' okiem — zawierać mogą coś nowego, bardziej bezpośredniego niż analizy ekspertów po licznych latach zasiedziałego pobytu. W końcu, wydaje mi się, że ciągle jeszcze za mało wiemy, mówimy i czytamy o Ameryce. Do tego ostatniego wniosku doszedłem właśnie w czasie mego pobytu w Ameryce. Ameryka — kraj reklamy, nie umie się reklamować. Amerykanie są bardzo złymi propagatorami swego kraju na zewnątrz.

OGROM

Everything is larger here — powiedział Amerykanin siedzący naprzeciwko mnie w pociągu. Powrócił on z Europy do Ameryki tym samym co ja statkiem. Nie wiem, czy była to jego automatyczna niejako refleksja na widok Ameryki po powrocie z Europy, czy też uwaga wyjaśniająca, skierowana do mnie, świeżego przybysza, który z widocznym zainteresowaniem rozglądał się przez okna pociągu, w czasie pierwszej podróży przez ten kraj. Spostrzeżenie to było w każdym razie bardzo trafne. Tak, wszystko tutaj jest większe niż w Europie. I wagon, w którym siedzimy, i samochody, które mkną drogą wzdłuż toru, i dystanse, jakie trzeba przebywać z jednego miasta do drugiego, od wschodniej granicy kraju do zachodniej.

Z podręczników szkolnych wie się, że obszar Stanów Zjednoczonych jest niemal równy Europie, że ze wschodnich stanów

do zachodnich jest nieraz dalej niż do Europy. A jednak dopiero tutaj, gdy na własne oczy zobaczy się Amerykę i przemierzy się, choćby tylko część jej koleją lub samochodem, człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę z ogromu tego kraju, zaczyna rozumieć, że to właściwie nie jedno państwo, ale kontynent. I właśnie to wrażenie ogromu, rozległości — jest pierwszym spostrzeżeniem jakie się notuje od razu i które powtarza się ciągle, na każdym kroku. Potem będzie się ono odnosiło nie tylko do przestrzeni domów, samochodów, ale także różnych przejawów życia. Nawet natura współzawodniczy w tej dziedzinie: deszcz nie będzie padał tutaj łagodnie jak w Anglii, ale będzie lał. Wiatr stanie się huraganem, a ciepło — upałem. Wszystko jest na większą skalę niż w Europie.

Anglia w porównaniu z tym krajem wydaje się jak ogródek działkowy, w którym wszystko dokładnie i racjonalnie rozplanowano. Tutaj krajobraz to niekończące się pola, sady, pastwiska, lasy i nieużytki, biegnące nieprzerwanym szlakiem aż po horyzont. Tylko tu i tam widać domy. Tutaj ziemia nie liczy się. Problem stanowi, kto ją będzie uprawiać. Rozległość obszarów daje pewność, że wszystkiego jest dosyć.

RUCH

Amerykanie wydają się być w ciągłym ruchu. Podobnie jak na filmach z Dzikiego Zachodu, na owych sławetnych *Western* widzi się stale karawany wozów zaprzężonych w konie, ciągnące gdzieś z miejsca na miejsce, tak samo teraz, w XX wieku, w Ameryce widzi się nieustanny ruch samochodów. Ludzie ciągle jeżdżą, przenoszą się czy to za interesami, czy na week-endy lub wakacje. Ten właśnie ogromny, nieustający w dzień lub w nocy ruch samochodowy jest drugim wrażeniem jakie się zaraz rzuca w oczy. Samochody-olbrzymy (małych wozów zupełnie nie widać), lśniące, o jaskrawych kolorach wszelakich odcieni, roją się wszędzie. Stoją koło każdego domostwa. Pędzą po wszystkich drogach.

W Stanach Zjednoczonych szlaki drogowe są wspaniale rozbudowane. Wielkie miasta połączone są autostradami, po których samochody jadą w każdym kierunku trzema, czterema, a nawet sześcioma rzędami obok siebie. Drogi te omijają osiedla. Pewną monotonię przerywają specjanie posadzone grupy drzew i krzaków tak zwane *parkway* oraz setki stacji benzynowych, restauracji i moteli (*), rozplanowanych z iście amerykańskim rozmachem.

Amerykanie są w pewnym sensie nomadami w poszukiwaniu nowych możliwości pracy i źródeł zarobku. Zarówno Kana-

(*) *Motel*-hotel przydrożny dla automobilistów, składający się z osobnych domków z wszelkimi wygodami. Każdy gość zajmuje jeden taki domek, przed którym zostawia swój samochód.

da jak i Stany Zjednoczone w pewnych stronach kraju nadal stoją otworem dla wszelkiego rodzaju pionierskiej inicjatywy i przedsiębiorczości gospodarczej, na wielką lub mniejszą skalę. *Go west, young man, go west* — pisał blisko sto lat temu Horace Greeley. Zalecenie to najwidoczniej dalej obowiązuje, chociaż kierunek może czasami się zmieniać. Dzisiaj w Stanach jednym z takich ośrodków niemal pionierskich jest Texas. Kraj do niedawna prawie dziewiczy pod względem gospodarczym, obecnie przeżywa *boom*. Jest tam nafta, siarka, bawełna, ryż. Ileż innych skarbów może się tam jeszcze znajdować? To też, kto nie boi się trudów a ma żyłkę pionierską — jedzie do Texasu. W ciągu kilkudziesięciu lat powstało tam nowe milionowe miasto Houston, dwunaste z rzędu największe miasto w Stanach Zjednoczonych. Co roku przybywa tam z odległych stron kraju 35 tysięcy ludzi. Pod niebo szybko wzbiły się ,,drapacze chmur''. Powstaje przemysł, budują się stocznie, rozwija się handel.

ROZMACH

Przykład tego nowego milionowego miasta, które jeszcze za naszego życia było prowincjonalną dziurą, jest typowy dla życia amerykańskiego, które charakteryzuje tempo, rozmach oraz energia i praca. Na każdym kroku widzi się w Stanach Zjednoczonych w budowie fabryki, siłownie, domy, ,,niebotyki'', mosty, drogi. Nie tylko statystyki mówią o ogromnym potencjale gospodarczym kraju, ale także można się o tym przekonać na podstawie nawet pobieżnej obserwacji. Dowody wielkiego bogactwa kraju, jego wielkich zasobów materialnych widzi się wszędzie, wędrując ulicami miast, przejeżdżając przez wsie. Słyszy się o nich, rozmawiając z ludźmi.

Ale też każdy pracuje na serio. Dynamizm amerykański jest już przysłowiowy. W Stanach konstatuje się to ,,na gorąco''. Budowle rosną w oczach, z dnia na dzień, z godziny niemal na godzinę. Kult energii, ruch, postęp, żywotność granicząca niemal z histerią, oto cechy przejawiające się w całym życiu amerykańskim — gospodarczym, politycznym, ba, nawet kulturalnym, towarzyskim, a kto wie, czy i nie w pewnym stopniu w życiu religijnym. Stąd oczywiście krok do przesady, ekscentryczności, które również są cechami życia tego kraju.

The difficult we do at once. The impossible takes a little longer (*) — powiedzenie to, aczkolwiek brzmi paradoksalnie, po bliższym przyjrzeniu się Ameryce, nie wydaje się już takim paradoksem.

(*) Rzeczy trudne robimy natychmiast. Rzeczy niemożliwe wymagają więcej czasu.

DOLARY

Na statku w drodze do Ameryki pełno było młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej oraz nauczycieli, którzy wracali do szkół, po wakacjach spędzonych w Europie. Rozmowy nawiązywały się łatwo. Amerykanie są bezpośredni i towarzyscy, chociaż według naszych obyczajów — obcesowi. Jedna z nauczycielek w rozmowie ze mną już w drugim zdaniu poinformowała mnie, że wyjazd do Europy kosztował ją 1.600 dolarów i że pojechała zamiast kupić sobie nowy samochód. W dalszym ciągu rozmowy słowo ,,dolar'' powracało jeszcze parokrotnie.

I to jest dalsze wrażenie z Ameryki. ,,Dolar'' jest magicznym słowem, zawołaniem, a także wyłączną miarą i świadectwem sukcesu życiowego. Nim się mierzy wszystko. Wszystko też można spieniężyć. Nie tylko pracę i talent, ale szczęście, przypadek, traf, uśmiech itp.

Oczywiście takie nastawienie Amerykanina oraz jego ,,mistyka'' sukcesu, na którą składa się naiwny optymizm i utylitaryzm, sprawiają, że całe życie amerykańskie nosi cechy materialistyczne. *To be success* — oto dewiza Amerykanina. Nic poza tym nie wydaje się ważne. Dlatego dla każdego, kto ma jeszcze inne cele w życiu lub kto wychował się w odmiennej atmosferze, Ameryka może nie wydawać się ziemią obiecaną.

Jednakże do tego co napisałem należy wprowadzić pewną korektywę. Chociaż dla Amerykanina tak ważne jest zdobywanie pieniędzy, to jednak bardzo wielu nie jest zainteresowanych w ich utrzymaniu. Zdobywają je, by pokazać, że potrafią. Ale potem bez żalu są gotowi nieraz część ich rozdać. Stąd Amerykanina charakteryzuje również gościnność, hojność oraz ofiarność na różne cele społeczne lub charytatywne. Ma on niejednokrotnie — rozmach także w niesieniu pomocy innym.

WŁADZIU LIBERACE

— *Czy słyszałeś o naszym rodaku, Władziu Liberace?* — padło jedno z pierwszych pytań, gdy przyjechałem do Ameryki. Potem w kioskach z gazetami zobaczyłem parę ilustrowanych wydawnictw o nim, o jego życiu i sukcesach. Kim jest ten tak sławny człowiek? Zasadniczo pianistą, ale ,,à l'américaine''.

Władziu Valentino Liberace, jest synem ubogich rodziców, ojca Włocha i matki Polki. Karierę swą rozpoczął od występów w lokalach nocnych, gdzie grał na fortepianie. Potem — dwa lata temu — zaangażowano go do telewizji, gdzie występował w programie zakupionym przez banki, propagując otwieranie kont oszczędnościowych. I tu Liberace okazał wielki talent nie tyle może w muzyce, co w umiejętności sugestywnego przemawiania do ludzi i łatwego nawiązywania kontaktu z publiczno-

ścią. W jego uśmiechu, spojrzeniu, powiedzeniu była jakaś siła atrakcyjna. Ludzie namawiani przez Liberace zaczęli zakładać konta, a banki zaczęły jemu podwyższać honoraria. Liberace zrobił się sławny.

Dopiero jednak w ubiegłym roku nadszedł jego wielki dzień. Na koncert Władzia, który grał na fortepianie przy akompaniamencie orkiestry dyrygowanej przez brata, George'a w ,,Madison Square Garden'' w Nowym Jorku przybyło 16 tysięcy osób, w tym 13 tysięcy kobiet. Gdy Władziu zobaczył wypełnioną salę na głos powiedział do swego brata : — *Isn't that great, George? Did you count them, George ?* Sala przyjęła to owacjami. Reszcie koncertu towarzyszyły inne podobne tricki. Sukces był ogromny.

Całą tę historię opowiedziałem, ponieważ wydaje mi się typowa dla amerykańskiego życia kulturalnego. Albowiem Liberace nie jest jakimś artystą kabaretowym, ale występuje z koncertami jako pianista. W czasie swych występów gra Czajkowskiego, Brahmsa, Beethovena. Jednakże dla zdobycia popularności ,,skraca'' ich utwory, wybierając tylko bardzo melodyjne fragmenty, możliwie sentymentalne. Jak się wyraził w wywiadzie prasowym : *My trick is to keep tune well out in front. If I play Tchaikovsky I play his melodies and skip his spiritual struggles. I condense* (*).

Nie sądzę, ażeby na tego rodzaju ,,kondensowanie'' utworów zgodziła się publiczność angielska, wypełniająca tłumnie koncerty promenadowe w Albert Hallu, czy w ogóle jakakolwiek inna publiczność w Europie. Liberace i jego sukcesy — dają obraz przeciętnej atmosfery kulturalnej Ameryki. Oczywiście zdaję sobie sprawę, iż w takim powiedzeniu jest pewne uogólnienie. Wiemy, że Ameryka może poszczycić się dużymi osiągnięciami w architekturze lub literaturze. Wiemy, że w Ameryce istnieje wiele wspaniałych muzeów i instytucji naukowych. W Nowym Jorku występują z powodzeniem najsławniejsi soliści. Są doskonałe orkiestry symfoniczne. Ale w Ameryce brak powszechnej kultury, która by docierała do mas, jak to się dzieje np. w Anglii. W całej Amerycе nie ma stałych teatrów w żadnym z miast, z wyjątkiem Nowego Jorku; nie ma opery — poza Nowym Jorkiem. Tylko w Ameryce możliwe jest coś tak potwornego jak występy Liberace i ich powodzenie.

Ten brak kultury duchowej, przy ogromnie wysokim poziomie cywilizacji materialnej — jest dalszym wrażeniem z Ameryki. Wydaje się, że w Ameryce powiedzenie o kimś, że ma zainteresowania artystyczne jest równoznaczne z kalumnią. *There is a passion for ignorance* — powiedział do mnie jeden z Amerykanów.

Dlaczego tak się dzieje ? W odpowiedzi można by napisać

(*) Mój trick polega na podkreślaniu tonu. Jeżeli np. gram Czajkowskiego — opuszczam duchowe zmagania, idzie mi o melodyjność. Kondensuję.

całą książkę. Sądzę, że rację ma Cocteau, który kiedyś napisał, że główna przyczyna tego stanu rzeczy leży w nastawieniu Amerykanina. Robi on wszystko ,,scientific'' i do wszystkiego ma podejście ,,naukowe''.

Tego rodzaju podejście nie sprzyja twórczości artystycznej. Uczony bowiem szuka czegoś i znajduje. Tymczasem u artysty proces jest odwrotny. Dzięki wyobraźni lub intuicji najpierw coś znajduje, a potem szuka. Artysta, aby móc coś znaleźć w ten sposób musi nieraz popaść w zadumę, pomarzyć, zastanowić się. A to w Ameryce jest rzeczą najbardziej odradzaną, bo niezgodną z dynamizmem amerykańskim.

Amerykanin na refleksję nie ma czasu. Albo pracuje albo bawi się. Ale rozrywką nie będzie teatr lub muzyka a standardowy film, igrzyska sportowe, dancing zmechanizowany lub alkohol.

NOWY JORK

Centrum tego rodzaju rozrywki, niejako jej symbolem, jest w Ameryce Nowy Jork, a w Nowym Jorku — ,,Times Square'' i ,,Broadway'', z ich kinami, music-hallami, lokalami nocnymi, z ich światłami i neonami. Chesterton na widok reklam Broadwayu zauważył: *How beautiful it would be for someone who could not read* (*) a Cocteau stwierdził, że *la nuit, Broadway ressemble à une femme couvert de bijoux et agités de tics nerveux* (**). Widząc to słynne skrzyżowanie ulic, przyznać muszę, że powiedzenia te dość wiernie oddają obraz. Dodam tylko, że nocne życie Nowego Jorku, jego gust, poziom i rodzaj przypominają raczej Hamburg niż Paryż. Jednakże na tym wyczerpują się wrażenia z tej części Nowego Jorku. Mimo swej sławy w świecie, nie Broadway imponuje w Nowym Jorku, ale całe miasto. Tętno jego życia, rozmach, różnorodność.

Do Nowego Jorku przyjechałem po raz pierwszy nie od strony morza, ale lądu. Aczkolwiek wielu może twierdzić, że jest to kierunek niewłaściwy, ,,nieortodoksyjny'', bo pomijający słynny widok rozpościerający się od strony Statuy Wolności, to jednak sądzę, że mój wjazd daje równie niezapomniane wrażenia. Wrażenia — ogromu, potęgi, bogactwa, tak charakterystyczne dla Ameryki.

Do środka Nowego Jorku w ogóle można dotrzeć albo tunelami pod rzeką, albo drogą niejako napowietrzną poprzez pomosty nad rzekami, domami i fabrykami przedmieść, ciągnące się nieraz jak *Pulaski Skyway* parę kilometrów, albo w końcu do Nowego Jorku można wjechać normalnie ulicami.

Autostrada *Henry Hudson Parkway*, którą ja przyjechałem prowadzi na Manhattan od północy. Trzy rzędy samocho-

(*) Jak piękne to byłoby dla kogoś kto nie umie czytać.
(**) ...nocą Broadway przypomina kobietę obwieszoną klejnotami i wstrząsaną nerwowymi tickami.

dów sunęły zwartymi kolumnami w jedną stronę. Zbliżając się do miasta ruch zwiększał się coraz bardziej. Jest coś groźnego w tych posuwających się naprzód, niemal w ciszy zupełnej, falangach samochodów. Tylko raz po raz odzywają się klaksony. Tylko od czasu do czasu ruch zatrzymuje się. Wjazd ten robił wrażenie jakiegoś pochodu automatów. Autostrada prowadzi do samego centrum miasta, biegnąc wzdłuż zachodniego brzegu wyspy ponad ulicami. Z tej wyniosłości ma się wspaniały widok potęgi Nowego Jorku : — na prawo kipiący życiem port, z dziesiątkami wielkich statków oceanicznych w centrum miasta, — a na lewo ,,drapacze chmur'' jeżące się ponad morzem kamieni i cegieł zwykłych kamienic. Niektóre ,,niebotyki'' przykryte były częściowo chmurami. W obrazie ich było coś z majestatu gór, ale także groza, jaka rodzi się na widok zbyt wielkiej siły człowieka.

Zjechawszy w dół znaleźliśmy się w wirze ruchu ulicznego, jakiego nie ma w żadnym innym mieście na świecie.

Nowy Jork to niezwykłe miasto : przerażające i piękne, brutalne i eleganckie, bogate a także nędzne. Miasto żywe, ale dające też odczuć samotność; wesołe, ale również smutne miasto bez drzew.

Jedyny w swoim rodzaju, fascynujący — Nowy Jork !

THOMAS MERTON

Po Stanach Zjednoczonych jeździłem samochodem i w czasie tych podróży na przestrzeni setek kilometrów uderzyła mnie wielka ilość mijanych po drodze kościołów oraz klasztorów, szkół i zakładów religijnych, szpitali zakonnych. Były to przeważnie bardzo okazałe gmachy. Wiele z nich pięknych, zdobionych na zewnątrz wielkimi, nowoczesnymi rzeźbami Chrystusa i świętych. Głównie były to kościoły czy instytucje katolickie.

Gdy wspomniałem o tym pewnemu Amerykaninowi, odpowiedział mi : *Zobaczy Pan, że za pięćdziesiąt lat Ameryka będzie krajem katolickim.* Nie wiem, czy tak się stanie, ale przebywając w Ameryce stwierdzić mogłem dużą aktywność Kościoła Katolickiego, która przejawiała się nie tylko budowaniem nowych kościołów, ale także szeroką działalnością misjonarską. Akcja ta prowadzona jest nieraz w sposób, który nam, ludziom z Europy, wydawać się może dziwny, jak np. rozwieszanie plakatów ,,reklamujących'' kościół lub zamieszczanie w ,,N.Y.-Timesie'' płatnych ogłoszeń, podających adresy, skąd można otrzymać informacje na temat zasad wiary katolickiej, które będą przesłane ,,dyskretnie'', w kopertach bez podania nazwy nadawcy. Co kraj, to obyczaj. W Ameryce wszystko musi być zorganizowane — nawet sprawy ducha. Podobnie jak o sprawach ducha często mówi się ,,w dolarach''.

Będąc w Stanach Zjednoczonych wyczytałem w jednym z wydawnictw katolickich, że na 30 milionów katolików w tym

kraju jest 154 tysiące zakonnic i 9 tysięcy braci zakonnych. W seminariach zakonnych studiuje przeszło 18 tysięcy braci, przyszłych kapłanów. Dane te są zastanawiające, zwłaszcza gdy uprzytomnimy sobie, że w Polsce przedwojennej, w kraju o niemal tej samej ilości katolików, było tylko 7 tysięcy zakonników i 18 tysięcy zakonnic.

Czytając te dane, przyszła mi na myśl książka Thomasa Mertona *The Seventh Storey Mountain,* znana w Anglii pod tytułem *Elected Silence* (wydana w roku 1949). Czy drogami jakimi ten Amerykanin od niewiary i komunizmu, poprzez uciechy Broadwayu doszedł do zacisza klasztoru Trapistów w Kentucky — nie kroczą także tysiące innych, nieznanych nam jego rodaków? Mówiąc o materialiźmie życia amerykańskiego, trzeba także pamiętać i o tym, że Ameryka to nie tylko ‚dolary''. Thomas Merton, a dzisiaj Ojciec Ludwik, jest również w pewnym sensie symbolem Ameryki. O tym nie można zapominać, kreśląc obraz Ameryki.

KU ODRODZENIU RELIGIJNEMU?

W Ameryce w chwili obecnej dużo się pisze i mówi o odrodzeniu życia religijnego w ogóle. Trudno powiedzieć, czy jest to tendencja trwała, czy tylko chwilowy odruch, wywołany marazmem duchowym cywilizacji zachodniej, która nie potrafi dzisiaj dać odpowiedzi na ideologiczną ofensywę komunizmu, uważanego powszechnie za wroga *American way of life.* Religia więc może tylko służyć za natychmiastową odtrutkę, którą najłatwiej znaleźć pod ręką.

Faktem jednak jest, iż w Ameryce jest pewien nawrót do religii, który przejawia się w różny sposób. I tak prowadzona jest cała akcja przez różnych polityków i senatorów, by do konstytucji Stanów Zjednoczonych, będącej produktem czystego racjonalizmu XVIII wieku, wprowadzić oficjalnie słowo ,,Bóg'' — *to put God into the Constitution* (*), jak to się określa. Dalej uderzyło mnie na przykład, że w popularnych restauracjach ,,Howard Johnson's'', których setki znajdują się wzdłuż autostrad, na każdym stole widzi się kartki z tekstem modlitwy przed jedzeniem dla katolików (na pierwszym miejscu), dla protestantów i Żydów. Czasami to zainteresowanie tematami religijnymi przybiera niespodziewane formy. W wielu lokalach publicznych za *dime*'a wrzuconego do *juke-box* można usłyszeć płytę nie tylko z *Negro spirituals* lub popularnym hymnem protestanckim, ale także nowe melodie pod osobliwymi tytułami jak *Talk to the Man Upstairs* (tym ,,Man Upstairs'' jest Pan Bóg), lub *Are you friends with the King of Friends.*

(*) ... umieścić Boga w Konstytucji

O CZYM SIĘ MÓWI?

Rozmawiając z Amerykanami spotkałem się z czterema tematami, które najczęściej się powtarzały. Są nimi: problem murzyński, wewnętrzne niebezpieczeństwo komunizmu, a dalej obawa wojny oraz zakłopotanie z powodu niepopularności Ameryki wśród obcych.

Czym jest problem Murzynów w Ameryce, można zrozumieć, gdy uświadomimy sobie, że w samej stolicy kraju, w Waszyngtonie jest ich około 60% mieszkańców. Tu w grę zaczyna wchodzić — jak się podkreśla — zasadnicza kwestia utrzymania charakteru dotychczasowego kraju, opartego o rasę białą i o kulturę europejską. Ameryka stała się tym, czym jest dzisiaj dzięki białym kolonistom z Europy. Oni zbudowali potęgę Ameryki, podczas gdy inne rasy korzystały raczej z ich wkładu, same niewiele wnosząc pozytywnego, a często działając rozkładowo.

Z drugiej jednak strony Ameryka jest krajem wolności obywatelskich i równości szans życiowych dla każdego. Była nim w swych początkach i pozostała, mimo wszelkie trudności i mimo wszystkie błędy jakich dziś jesteśmy nieraz świadkami, co się otwarcie przyznaje. Do Ameryki jest trudno się dostać. Nawet jadąc z parotygodniową wizytą, władze amerykańskie badają każdego szczegółowo, pytają o dziesiątki rzeczy, żądają różnych dokumentów, biorą odciski dziesięciu palców aż dwukrotnie. Wszystko to może irytować, a czasem nawet śmieszyć. Jednakże skoro Amerykanie wpuszczą kogoś raz do swego kraju, ma on potem pełną swobodę. Wewnątrz kraju już nikogo nie pyta się o papiery, nie ma rejestrowania na policji, w hotelach nie wypełnia się formularzy policyjnych, nie prosi się urzędów o zezwolenie na pracę.

Jak więc pogodzić te zasady wolności i pełnej swobody, tak drogie każdemu w Ameryce, z obawą o przyszły charakter kraju. Oto sedno problemu murzyńskiego. Rozwiązanie jego, oczywiście, nie jest rzeczą łatwą. Wstrząsa on samymi podstawami, na których życie amerykańskie się opiera.

Drugą sprawą, która podobnie dotyka samych podstaw życia amerykańskiego jest problem niebezpieczeństwa komunizmu. I tu konieczność zachowania bezpieczeństwa wewnętrznego kraju wchodzi w kolizję z zasadami wolności obywatelskich. I tu rozwiązanie problemu nie jest łatwe. Dlatego często spotykamy się z przejawami nieodpowiedzialnego postępowania, a jeszcze częściej z wygłaszaniem nieodpowiedzialnych opinii. Ale trzeba pamiętać, że nie wszystko, co mówi się w Ameryce, należy brać dosłownie. W charakterze Amerykanów leży mówienie głośno wszystkiego, co im do głowy przyjdzie, bez zbytniego poczucia odpowiedzialności, często tylko w pogoni za sensacją, tak drogą każdemu w tym kraju. Amerykanin nie przejawia też takiej dyscypliny społecznej jak np. Brytyjczyk. Każdy jednak rozsądny Amerykanin przyznaje, że trzeba być czujnym, a nie histery-

kiem oraz że jest obowiązkiem władz kłopotać się o bezpieczeństwo kraju, ale nikt nie ma prawa niszczyć zasad wolności, na których życie Ameryki opiera się. Jednakże obawa komunizmu jest w Ameryce czymś konkretnym, a nie wyimaginowanym.

Trzecią sprawą, która często wypływa w rozmowach, jest obawa wojny, ataku powietrznego na Amerykę. Niepokój ten przejawia się także w takich faktach, jak ostrzeżenia na szosach, które często się widzi, mówiące, że dana droga będzie zamknięta dla ruchu cywilnego w wypadku mobilizacji lub w napisach we wszystkich teatrach, wzywających do pozostania na miejscu w wypadku alarmu lotniczego i do stosowania się do instrukcji dyrekcji. Tak znana w czasie wojny w Anglii litera *S*, wskazująca drogę do schronu przeciwlotniczego, w Nowym Jorku widoczna jest nadal bardzo często. Czy jest to przejaw pewnej psychozy — nie umiem powiedzieć. W każdym razie z przekonaniem o możliwości niespodziewanego wybuchu wojny spotkałem się w Ameryce niejednokrotnie. Nikt jednak nie mówił o tym, by Ameryka chciała wojnę wywołać. Ogólnie rozumie się, że powszechna wojna byłaby w rezultacie powszechną ruiną. Niemniej każdy stwierdzał, że Ameryka gotowa jest oprzeć się agresji komunistycznej.

W końcu czwartym tematem, z którym nieraz spotykałem się w Stanach, to sprawa niepopularności Ameryki zagranicą. Każde potężne państwo w świecie, a zwłaszcza kraj, który swą potęgę świeżo uzyskał, jest niejako automatycznie niepopularny czy to z powodu zazdrości, czy też strachu, jaki mimowoli budzi wśród innych. Z tego ludzie zdają sobie sprawę w Ameryce. Niemniej jednak rodzi to zakłopotanie i szczere pragnienie zaradzenia temu. Ameryka dzisiaj daleka jest od izolacjonizmu i zależy jej na tym jak ją w świecie oceniają. Tym bardziej, że wielu zaczyna sobie zdawać sprawę, że czołowej roli Ameryki w świecie w dziedzinie gospodarczej i politycznej nie można oddzielić od konieczności przywództwa moralnego.

POWRÓT DO EUROPY

Wracając z mej podróży zastanawiałem się jak można by krótko ująć różnice między Ameryką a Europą oraz na czym one polegają. Na myśl mi przyszło powiedzenie André Siegfried z jednego z wykładów w Ecole des Sciences Politiques : *En Amérique nous sommes toujours en Occident, mais nous ne sommes pas en Europe. Avec la Russie nous n'étions plus en Occident mais à la rigueur encore en Europe.* (*)

To prawda ! Ameryka to nowy, inny świat, chociaż podobny do świata zachodniego. Co jednak jest przyczyną różnicy? Wy-

(*) W Ameryce jesteśmy zawsze na Zachodzie, ale nie jesteśmy w Europie. Z Rosją — nie jesteśmy już na Zachodzie ale właśnie jeszcze

daje mi się, że polega ona głównie na odmiennym podejściu do życia. Cywilizacja europejska, mówiąc bardzo ogólnie, oparta jest na podstawowej zasadzie klasycznej : *Aurea mediocritas* — umiar, złoty środek we wszystkim. Tymczasem zasadą życia amerykańskiego jest hasło : *Bigger and better* czy *Bigger and more*. Tworzyć coraz więcej rzeczy dla użytku i przyjemności człowieka, ulepszać je. Wszystko musi być na największą skalę i ciągle trzeba tworzyć coś nowego. Amerykanin nie zna cnoty umiarkowania. Jest w ciągłej gorączce ruchu, bez chwili wolnej na refleksję filozoficzną. W Europie mówi się też o ,,jakości'' i ,,wartości'' — w Ameryce jest tylko ,,ilość'' i ,,cena''.

To może nie wyczerpuje tematu, ale daje pewną wskazówkę, gdzie należy szukać różnic między Europą a Ameryką, pomimo tylu podobieństw, wynikających z tego, że i my i oni należymy do jednego świata zachodniego.

◆

Na wstępie tych notatek z podróży powiedziałem, że zdaję sobie sprawę z pewnej zuchwałości z mej strony, biorąc się do pisania o Ameryce, po krótkiej tylko znajomości tego wielkiego kraju. Wielu czytelników może powie, iż w rzeczy samej tego rodzaju zuchwałość popełniłem. Na swą obronę pragnę więc zaznaczyć, że to, co napisałem nie ma pretensji do ferowania jakichś ostatecznych wyroków, do wydawania sądów lub ustalania definicji. Są to po prostu impresje — błędne czy słuszne — których wartość ma być podobna do zeznań naocznego świadka.

Witold LEITGEBER

Fragmenty z dziennika

Ryk syren, świstawki, race, strzelające korki od butelek i szum rozległy wielkiego miasta w wielkim poruszeniu. W tej minucie Nowy Rok 1955 wkracza. Idę ulicą Corrientes, sam i zrozpaczony.

Nie widzę przed sobą nic... żadnej nadziei. Wszystko mi się wykańcza, nic nie chce się zacząć. Bilans? Po tylu latach jednak wytężonych, jednak pracowitych, kim jestem? Urzędniczkiem zarżniętym siedmioma godzinami urzędolenia, zdławionym we wszystkich przedsięwzięciach pisarskich. Nie mogę nic pisać poza tym dziennikiem. Wszystko bierze w łeb dlatego że codziennie przez siedem godzin popełniam morderstwo na własnym czasie. Tyle wysiłku włożyłem w literaturę a ona dzisiaj niezdolna zapewnić mi minimum niezależności materialnej, minimum — nawet — godności osobistej. ,,Pisarz''? Skąd! Na papierze! W życiu — zero, istota podrzędna. Gdyby los pokarał mnie za moje grzechy, nie protestowałbym. Ale zdruzgotano mnie za moje cnoty.

Kogóż mam winić? Czasy? Ludzi? Ale iluż innych — gorzej zmiażdżonych. Mnie nie udało się o tyle, że w Polsce pomiatano mną — a dzisiaj, gdy na koniec ten i ów zaczął mnie szanować, nie ma dla mnie żadnego miejsca, jestem bezdomny tak bardzo jak gdybym nie mieszkał na ziemi ale tkwił w przestrzeniach międzyplanetarnych, jako osobny glob.

Środa.

List od pewnej kobiety (otrzymany w początkach grudnia z Kanady, to znaczy, że go napisała po przeczytaniu dziennika z numeru listopadowego).

,,Drogi Panie Witoldzie,

....nie piszę, bo jestem zła na pana, a także martwi mnie, że pan tak spokojnie i bez żenady wchodzi w ,,wiek klęski''. I nic.

Czy inni mają za pana zrobić wszystkie wysiłki? Ja sądze, a raczej obawiam się, że pana argentyńska pampa już za mocno chwyciła i że coraz mniej pan pamięta, że należałoby jeszcze trochę pożyć, zanim się umrze. Wygląda, że pan umiera w galopującym tempie — choć oczywiście to umieranie może rozminąć się o pół wieku z tym następnym, po którym już pan nie napisze nawet fragmentów z dziennika, nawet wspomnień o kolacji czy parze butów.

Pierwej to co pan pisał miało charakter polemiczny, kontrowersyjny, wzbudzało reakcję, choćby negatywną, ale mocną. Ostatnie „dzienniki" we mnie żadnej reakcji nie wzbudzają, poza zdziwieniem, że pan to pisze, a „Kultura" drukuje.

I bardzo się martwię. Bo jeżeli pan się tak uprze zmarnować, to któż może coś na to poradzić? Wydaje mi się, że pan jest uparty. Więc czy jest jakieś wyjście z tego impasu?

Czy pan zdaje sobie sprawę, że od dłuższego czasu ogranicza się pan w tych „fragmentach" do pouczeń: jaka ma być nowa sztuka, literatura, nowa forma — albo jaka ma nie być; i dlaczego panu się wydaje ten i ów całkiem kiepski albo niezupełnie.

Ale przecież pan nie jest krytykiem od sztuki, czy poezji, czy literatury. Nazywa się, że pan jest pisarz, że pan ma tworzyć literaturę: więc musi pan tworzyć, a nie komentować co inni napisali (przeważnie czego nie napisali).

I co panu z tego za korzyść, że pan będzie wiedział, jaka jest problematyka współczesności, albo duch współczesności, albo tonacja? Artysta czuje tonację, w jakiej może tworzyć — a czy to tonacja współczesna, czy o sto lat na wyrost, artystę nie obchodzi; ani czy inni pisarze są w tonacji, czy są atonalni, czy w ogóle są.

Jeżeli panu się podoba tworzyć na jakąś współczesną modłę, to nie ma znaczenia, czy pan będzie bliżej Dali, czy bliżej Sartre'a — aby pan tworzył; niestety te „échantillons", które znajdujemy we „fragmentach", są raczej robione, niż tworzone. Nie ma w nich natchnienia, przekonania, dawniejszego rozmachu. Jest głównie negacja.

Jestem przekonana że pan się marnuje i że tylko jakieś drastyczne katapultowanie może ten proces przerwać!".

Zmartwiona? I chce mnie katapultować? Rzeczywiście ten dziennik z numeru listopadowego wypadł lekkomyślnie — kilka luźnych notatek i wakacyjna opowieść o krokodylu. Dlaczegóż jednak miałbym zawsze strzelać z armaty? A jeśli mi się zachce wyjść z wiatrówką na wróble lub na krokodyla?

List znamienny pod wielu względami a przede wszystkim, że jest świadectwem presji ścieśniającej, jakiej zawsze podlega autor ze strony czytelników: — Nie pisz pan tego, pisz pan tylko tamto... Bądź pan tylko poważny. Tylko natchniony. Nie bądź pan krytykiem. Nie myśl pan, po co pan ma myśleć!... (Znam tę polską szkołę niemyślenia). Szereg zakazów i ograni-

czeń, przypominających... co?... Dzisiejsze ograniczenia obrotu dewizowego i towarowego.

Chciałaby żebym pisał tylko rzeczy ważne (dla niej) i wzbudzające kontrowersje. Ale ja zapisuję w tym dzienniku także własną moją historię. Czyli — nie to co dla niej, lub dla was, a co dla mnie ważne. Każdy z tych monologów jest mi potrzebny, każdy udziela mi lekkiego impulsu. Nudzi was moja historia? To by dowodziło, że nie umiecie odczytać z niej własnej historii. Ją, na przykład oburza że podałem do wiadomości publicznej moją kolację i moją parę butów. Powinnibyście okrzykami roześmianego triumfu, biciem w bębny i kotły powitać, że dzięki mnie fakt bez znaczenia dla ogółu, a pełen znaczenia dla mnie, mnie samego, został ogłoszony urbi et orbi. Gdyby wolno było pisać tylko o sprawach powszechnych, jakaż literatura zgłosiłaby istnienie prywatnej zupy i prywatnej pary butów? A przecież literatura powinna obejmować wszystko.

Czym jest dziennik jeśli nie tym zwłaszcza: pisaniem prywatnym, robionym na własny użytek? Ten odmienny punkt wyjścia dziennika odróżnia go od wszystkich innych rodzajów — i jakże doniosły! Literatura ma dwojaki sens i podwójny korzeń: rodzi się z czystej, artystycznej kontemplacji, z bezinteresownego dążenia do sztuki; ale jest też osobistą rozgrywką autora z ludźmi, narzędziem jego walki o byt duchowy. Jest sprawą dojrzewającą w samotności, tworzeniem dla samego tworzenia; ale jest też sprawą towarzyską, narzucaniem się ludziom, ba, publicznym stwarzaniem siebie za pomocą ludzi. Wynika z pragnienia Piękna, Dobra, Prawdy; ale jest też żądza sławy, znaczenia, popularności, triumfu. Dziennik pisarza, wyrażając ten drugi, osobisty aspekt literatury, jest uzupełnieniem dzieła czysto artystycznego. I pełny obraz twórczości uzyskamy dopiero gdy ujrzymy autora w tych dwóch wymiarach: jako bezinteresownego, obiektywnego artystę i jako człowieka walczącego o siebie wśród ludzi.

Lecz w takim razie nie wymagajcie od dziennika aby on był pisany dla waszego zadowolenia tylko, jak tania powieść, albo jak felieton — gdy on jest również i może w większym stopniu zmaganiem się z wami, „oswajaniem" was z autorem, nasycaniem was czyjąś egzystencją, która was potrzebuje — ale która wam może wydać się zbędna — i jeśli chcecie żeby takie pisanie prywatne w ogóle istniało musicie pozostawić mu nieco luzu. Jeśli o mnie chodzi, mądrzej zrobicie, nie wtrącając się zanadto do mojej roboty. Zwariowałbym gdybym brał pod uwagę każde widzimisię — z tych pochwalnych i z tych kwaskowatych. Pilnujcie aby mój dziennik zawierał nieodzowne minimum inteligencji i żywotności, ot, tyle ile wymaga przeciętny poziom słowa drukowanego — ale co do nadwyżki pozostawcie mi wolną rękę. W ten worek wkładam wiele rozmaitych rzeczy — pewien świat do którego przyzwyczaicie się o tyle tylko o ile zdobędzie nad wami przewagę; póki co wiele z tego wyda się wam niepotrzebne a nawet będzie was zdumiewać że to się kwalifikuje do druku.

Czwartek.

Powiedzieć, czy nie powiedzieć? Rok temu, mniej więcej, zdarzyło mi się co następuje. Zaszedłem na Callao do ustępu w kawiarni... Na ścianach były rozmaite rysunki i napisy. Ale nigdy nieprzytomna zachcianka nie wrzepiłaby się we mnie, jak żądło trujące, gdybym przypadkiem nie namacał ołówka w kieszeni. Ołówek był atramentowy.

Zamknięcie, izolacja, pewność że nikt nie zobaczy, jakaś zaciszność... a szmer wody szeptał: zrób to, zrób to, zrób to. Wyjąłem ołówek. Pośliniłem. Napisałem na ścianie, wysoko, aby trudniej było zatrzeć, napisałem po hiszpańsku coś, och, zupełnie niewybrednego, w rodzaju:

„Panowie i panie miejcie tę naturę..."

Schowałem ołówek. Otworzyłem drzwi. Przeszedłem przez całą kawiarnię i wmieszałem się w tłum na ulicy. A tam napis pozostał.

Odtąd egzystuję ze świadomością, że tam jest mój napis.

Wahałem się czy mam to ujawnić. Wahałem się nie ze względów prestiżowych, ale ponieważ słowo pisane nie powinno służyć rozpowszechnianiu pewnych... manii... A jednak nie będę ukrywał: nigdy, nigdy nie zamarzyło mi się nawet że to może być tak... elektryzujące... i ledwie mogę się powstrzymać od wyrzutów, że tyle lat zmarnowałem nie znając rozkoszy równie taniej i pozbawionej wszelkiego ryzyka. Jest w tym coś... coś dziwnego i upajającego... wynikającego prawdopodobnie ze strasznej *jawności* napisu, który tam jest na ścianie, w połączeniu z absolutnym *zatajeniem* sprawcy, który jest nie do odkrycia. A również, że to zupełnie nie na poziomie mojej twórczości...

Sobota.

Byłoby fatalne gdybym, wzorem wielu Polaków, delektował się niepodległością 1918-1939; gdybym nie śmiał zajrzeć jej w oczy z najzimniejszą bezceremonialnością. Upraszam aby nie poczytywano mego chłodu za tani efekt. Powietrze wolności zostało nam dane abyśmy przystąpili do rozprawy z wrogiem bardziej dręczącym niż dotychczasowi ciemiężcy — z sobą. Po zmaganiach z Rosją, z Niemcami czekał nas bój z Polską. Nic dziwnego zatem, że niepodległość okazała się cięższa i bardziej upakarzająca od niewoli. Póki byliśmy pochłonięci buntem przeciw obcej przemocy pytanie: kim jesteśmy? co mamy z siebie zrobić? jak gdyby zasnęły —ale niepodległość zbudziła śpiącą w nas zagadkę.

Z odzyskaniem wolności powstał przed nami problem istnienia. Na to, aby naprawdę zaistnieć, musielibyśmy siebie przerobić. Ale taka przebudowa była nad nasze siły, wolność nasza była pozorna, w samej strukturze narodu tkwił fałsz i gwałt, krępujący nasze poczynania. A nasza słabość ostrzegała nas abyśmy

siebie nie ruszali — bo a nuż wszystko gotowe się rozpaść. Polskę ówczesną nosiliśmy na piersiach jak pancerz don Kiszota, woląc na wszelki wypadek nie sprawdzać jego wytrzymałości.

Okres niepodległości nie był radosną twórczością, ale bolesnym szamotaniem się z niewidzialną nicią wewnętrznej niewoli Okresem egzystencji zaszyfrowanej, okresem wielkiej maskarady. Gdybym pisał historię literatury tego czasu nie pytałbym, dlaczego ci pisarze byli wybitni, ale dlaczego, będąc wybitni, nie mogli być w pełni wybitni. Historię tej literatury należy pisać na opak, to znaczy jako historię tego, co nie zostało dokonane. Lepiej abyśmy byli dumni i zdobyli się na stanowczość w odrzuceniu wszystkiego co naprawdę nie było na naszą miarę; tylko taka polityka uchroni nas od upokorzenia. Gdybym pisał historię literatury... Ale nie mogę jej pisać bo nie znam większości tych mdłych książek, o prozie i poezji polskiej wiem coś niecoś, raczej to przeglądałem niż czytałem, i moje wyobrażenie o polskim piśmiennictwie jest syntezą wielu wrażeń — tego co przeczytałem, tego, co się mówiło, tego, co było w powietrzu. Wszystko jedno. Wystarczy jedna łyżka zupy aby wiedzieć czy smakuje — i dlaczego mianowicie nie smakuje... i wypowiem się nie jako badacz i szperacz, ale jako jeden z tych, którzy do tej jadłodajni zachodzili.

Naprzód jedna myśl ogólna : jakakolwiek byłaby literatura w swoich środkach wyrazu, realistyczna, fantastyczna, romantyczna, ona zawsze musi być związana najściślej z rzeczywistością — gdyż nawet fantazja o tyle tylko jest ważna o ile wprowadza nas w istotę rzeczy głębiej niż to mogłaby zdziałać pospolitość trzeźwego rozumu. Więc decydującym momentem dla zbadania autentyczności literatury, czy życia duchowego narodu, będzie ten właśnie : o ile one są bliskie rzeczywistości.

Chciałbym rozpatrzyć pod tym kątem okres 1918-1939.

Zajmijmy się naprzód gronem pisarzy, którzy uformowali umysły, mające wstąpić w niepodległość.

Sienkiewicz. Już pisałem o Sienkiewiczu. Sienkiewicz to marzenie, na jakie pozwalamy sobie przed zaśnięciem... lub sen... A więc fikcja? Kłamstwo? Samooszukaństwo? Rozwiązłość duchowa?

A jednak on jest najbardziej chyba realnym faktem naszego życia literackiego. Żaden z naszych pisarzy nie był ani w połowie tak rzeczywisty jak Sienkiewicz — mam na myśli, że był on naprawdę czytany i czytany z rozkoszą. A więc : nierzeczywisty i nawet kłamliwy świat, który stwarzał, lecz arcyrealny wpływ który wywierał. Czy był iluzją, czy też, przeciwnie, istniał i bardziej od innych? Zważmy, że fikcja która coś zmienia w świecie też staje się rzeczywistością. Sienkiewicz ani przez pięć minut nie troszczył się o prawdę absolutną, nie należał do tych, których wzrok drapieżny rozdziera maski i nie miał w sobie ani za grosz samotności. Był esencjonalnie towarzyski, garnął się do ludzi i chciał się podobać, dla niego zespolenie z ludźmi było waż-

niejsze od zespolenia z prawdą, był z tych którzy szukają potwierdzenia własnej egzystencji w cudzym bycie.

A ponieważ natura jego nie szukała prawdy, ale czytelnika, uzyskał węch niesłychany gdy szło o odkrycie potrzeby, której mógł się stać zaspokojeniem. Stąd ta plastyczność duchowa, owo przystosowanie się całkowite i z pełną szczerością do tego co stanowiło zapotrzebowanie stadowe. A ponieważ formował się dla ludzi, więc był formowany przez ludzi — i to dało w wyniku tak wspaniałą jednolitość stylu, formę rozkosznie nasyconą ludzkością i blaskiem, zdolność mitologizowania, wyczucie jednego z największych a najtrudniejszych do odkrycia niebezpieczeństw w sztuce — niebezpieczeństwa nudy. Sienkiewicz jest autentyczny o tyle, o ile potrzeba, choćby to była potrzeba fałszu, stwarza wartość.

I tutaj — paradoks : ten pisarz konserwatywny jest w tym sensie prekursorem rewolucyjnej dzisiejszości, ten pisarz ,,wierzący'' jest podświadomie bliski filozofii, która obala wartości absolutne i żyje dialektyką wartości względnych, wynikających z potrzeb, gdzie człowiek staje się miarą wartości. Wiara Sienkiewicza ? Ależ skłonny jestem przypuszczać, że Bóg był dla niego sposobem współżycia z narodem. Czy Sienkiewicz bezbożny, bolszewicki, byłby niemożliwy? Ależ wręcz przeciwnie, tak dalece jest możliwy, iż jeśli kiedykolwiek czerwona nowoczesność polska wyda swego wielkiego powieściopisarza, będzie to ściśle Sienkiewicz à rebours.

Lecz on nie widział siebie od tej strony. Tego sobie nie uświadamiał. A gdyby sobie uświadomił — to by go wykończyło z miejsca, jako Sienkiewicza. Gdyż Sienkiewicz to istnienie nie w świecie, ale tylko w pewnym świecie — w wycinku świata, w światku pochodnym, który przyjmuje się za świat prawdziwy i którego korzeni, łączących go z rzeczywistością, nie pragnie się znać. Sienkiewicz nie zdawał sobie sprawy ze swego mechanizmu, tego mu brak do pełnej nowoczesności.



Co do Żeromskiego... Od Sienkiewicza chyba głębszy i wznioślejszy. Ale jest na nim skaza, czy też raczej ten flet, zrobiony z dwóch gatunków surowca, nie dźwięczy czysto.

Cóż takiego stopiło się w nim niewłaściwie, powodując rozstrój ? Żeromski jest cały z płci, miłości, instynktu, on został urobiony przez Erosa, to jego kraina, tu on jest u siebie, najczulszy, najdelikatniejszy, najbardziej wymowny. Ale kochanek stał się obywatelem, łowca drżeń miłosnych przeobraża się w nauczyciela, tropiciel namiętnego zapamiętania staje się społecznikiem-patriotą a rozfalowany, gorzki, migotliwy liryzm zaczyna krzątać się z synowską troską wokół Polski. Z tego powstały domy szklane, odstręczająca mieszanina tęczy i domu mieszkalnego, ni przypiął ni przyłatał do krajobrazu, metafora fatalna.

Pomieszanie płci z Ojczyzną... dlaczego nie dało rezultatu ?

Liryzm miłosny tylko z pozoru jest indywidualny, ten stan ducha powstaje z poddania się gatunkowi : na zakochanym gatunek dopuszcza się gwałtu i nie ma większej różnicy pomiędzy żołnierzem, umierającym za ojczyznę, a kochankiem, który ryzykuje życie aby posiąść ukochaną. Obaj wypełniają nakaz ważniejszy od wszystkiego co osobiste — i ten, który broni gromady, i ten, który przedłuży jej istnienie w dzieciach, zrodzonych z kobiety, do której skłonił go instynkt.

Ale u Żeromskiego odczucie miłości jest ostateczne i tragiczne. A odczucie ojczyzny wtórne i raczej dydaktyczne. Żeromski, destylujący eliksiry miłosne, jest nagi. Żeromski-patriota jest wprawdzie sumieniem i sercem, ale jest też panem z bródką, obywatelem i „pisarzem polskim". Żeromski, wnikający w miłość, jest bezinteresowny, bezwzględny, swobodny, a gdy mówi o Polsce opadają go tysiące względów — i tutaj nie można być tylko tragicznym — trzeba być konstruktywnym i pozytywnym. Dlatego nagość Żeromskiego nakłada na siebie Ojczyznę, jak się nakłada koszulę. Niesmaczny widok.

On, który nic nie miał z powieściopisarza a wszystko z poety zaczął pisać powieści społeczne — i one co najmniej dziwne. Gdyż uskrzydlone i płaskie zarazem, zrobione z percepcji przenikliwej, z natchnień przejmujących a jednocześnie w tym wszystkim co w nie wchodzi jako bardziej masywny element kompozycji aż naiwne, aż niezdarne — tu poszczególne zdania są natchnione, ale osoby, ale fabuła, pomysły powieściowe, psychologia, socjologia, dialog, widzenie środowiska są w niepojęty sposób unaiwnione i zbanalizowane — i to tak jakby Rodziewiczówna wmieszała mu się do inspiracji — a ta żeromszczyzna, faszerowana społecznikostwem, filantropią, ludowymi akademiami, szlachetnym cierpiętnictwem, socjalizmem, to papier... i to już nie pierwsza, ale druga klasa. On nie umiał wybrać sobie tematu. Oto artysta wysokiej kategorii, który nie znalazł w tematyce swego miejsca.

Mnie się te rzeczy tłumaczą gdy wyobrażam sobie rozwój artystyczny Żeromskiego, wczesne formowanie się jego stylu. Los umieścił go w rejonach płci i miłości, ale powoli, w miarę dojrzewania intelektualnego rósł napór spraw innych, tyczących Polski, ludu, niesprawiedliwości i krzywdy, a sumienie jęło go męczyć. O tym chciał pisać ! Ale jak ? Wiadomo że sztuka wymaga chłodu, artysta tym celniej i mocniej się wypowiada im mniej jest uczuciowo związany z tematem, on musi zobaczyć obiektywnie to co ma do zobaczenia, więc nie może być w tym zainteresowany. A, zaiste, ze wszystkich uczuć najbardziej krępuje szacunek — artysta musi panować nad tematem i, co więcej, trzeba aby się nim rozkoszował. Ale czymże był on, Żeromski, wobec tych zagadnień ? Byłoż możliwe przyswoić to sobie, czyli zaanektować, czyli poddać sobie, bezceremonialnie w tym się zagospodarować ? Czy raczej należało temu służyć, oddać siebie i dzieło w służbę tym sprawom nadrzędnym ? Sumienie nie pozwalało mu tego porzucać. Ale sumienie nie zezwalało także na twórcze

i władcze potraktowanie materii. Tak oto szacunek i miłość osłabiły mu rękę, nie poważył się być dostatecznie zmysłowy, stał się skromny, potulny, poważny i odpowiedzialny — nie, żadnego rozbawienia, żadnej rozkoszy z własną matką — i tak te czcigodne treści wjechały mu w sztukę i w osobowość in crudo, nieprzetrawione, niewydestylowane. Nie weszło mu w krew to do czego odnosił się z poważaniem i ten kochanek nie posiadł Polski — zanadto szanował.

*

Co do Wyspiańskiego... Antyteza Sienkiewicza bo, gdy tamten oddał się czytelnikowi, ten — sztuce i, nota bene, koturnowej. Sienkiewicz zmierzał wprost do podbicia dusz, lecz Wyspiański do tego aby być Artystą; Sienkiewicz szukał ludzi a Wyspiański — sztuki i wielkości. Więc to świat abstrakcji, w którym pojęcia zastępują ludzi, świat kultury.

Nuda tych dramatów... I któż rozumiał coś z ich liturgii, Wyspiański jest jednym z największych wstydów naszych, gdyż nigdy nasz podziw nie rodził się w podobnej próżni, oklaski, hołdy, wzruszenia nasze w tym teatrze nie miały nic wspólnego z nami. Jaki był sekret tego triumfu, Wyspiański również zaspakajał potrzeby, ale były to potrzeby jak najdalsze życiu indywidualnemu, potrzeby Narodu. Naród potrzebował posągu. Naród domagał się wielkiej sztuki. Dramatyczność narodu domagała się narodowego dramatu. Naród potrzebował kogoś, kto by w sposób wielki celebrował jego wielkość. Wyspiański przeto stanął przed narodem i powiedział : oto mnie macie! Żadnej małości, sama wielkość i w dodatku z greckimi kolumnami. Został przyjęty.

Dramaturg. Naturalnie forma dramatyczna zawsze bywa obliczona na wielkość — to sieć, której wszystko co drobne się wymyka. Ale też jest pewne, że twórczy jest drobiazg, konkretny jest szczegół, nie zaś monumentalizmy. Wyspiański, zbyt posągowy aby podjąć jakikolwiek szczegół, skazany był wyłącznie na obcowanie z żywiołami i potęgami elementarnymi : Fatum, Polska, Grecja, Nike lub Chochoł. Ta sztuka nie jest, jak Szekspir, lub Ibsen, podniesieniem życia zwykłego do wyżyn dramatu (nie mówcie mi o ,,Weselu''), tu wszystko od początku do końca przetacza się po niebie Historii i Losu. Gdy jednak wyolbrzymia się samo tworzywo, twórca staje się mały i bezsilny. Wyspiański uruchomił patetyczną maszynerię, która go przytłoczyła — dlatego tak olbrzymia jest tu inscenizacja a tak nikłe w proporcji to co on ma własnego do powiedzenia Polakom. Polakom i niepolakom. Ten dramat zrobił klapę zagranicą nie dlatego, że polski; dlatego, że z punktu widzenia ogólnoludzkiego niewzbogacający.

Grecja? Dramat grecki był czymś naturalnym dla Greków — i zgodny z ich młodym odczuwaniem bytu. Ale dla nas ten dramat jest już tylko autorytatywny, działa mocą swego histo-

rycznego dostojeństwa, podobnie jak sama Grecja. Greckość Wyspiańskiego to tylko majestatyczna dekoracja. To nie jest coś co by odświeżało i oczyszczało widzenie — to tylko uroczyste.

Z czego okazuje się, że ten rzekomy realista był o sto mil od rzeczywistości. Wyspiański nie widzi konkretnych zjawisk, wpatrzony w ich pojęciowe syntezy i sublimacje. Dramat pośród pojęć. Wielki inscenizator. Dał wspaniałe dekoracje. Uczynił wszystko aby zapewnić patos przedstawieniu. I wyszedł na scenę, ale, onieśmielony potęgą dekoracji, zamilkł.



Pomówmy o Przybyszewskim, ten także zaciążył na pokoleniu. Przybyszewski bodaj jedyny, który mógł wśród nas dokonać rewizji wartości, lub przynajmniej zasilić nasze życie szeregiem mitów pobudzających i, w krańcowości swojej, kategorycznych. Nie to ważne, że importował modernę i bohemę — ważniejsze, że obalał naszą zacną, czystościową i obywatelską, koncepcję sztuki, wprowadzając w polską idyllę pojęcie artystycznego tworzenia jako procesu demonicznego. On pierwszy był w Polsce sztuką bezwzględną i nie liczącą się z niczym, będącą niemiłosiernym wyładowaniem duchowym. On pierwszy wśród nas naprawdę zażądał głosu.

Ale cóż za karykatura ! Pajac i błazen ! Trudno bez zawstydzenia przyglądać się jego degrengoladzie w partactwo, transmutacji bohatera w melodramatycznego aktora. Znakomity talent, który najspokojniej i jakby nigdy nic brnie w kabotyństwo — nie zdając sobie sprawy, nie dostrzegając swej tandety, nie widząc zgoła co się z nim wyrabia. Czemu przypisać, że ta wyobraźnia stała się pretensjonalna, niesmaczna, skrzywiona, krzykliwa, że ona zachorowała na przybyszewszczyznę ? Ten kierunek myśli europejskiej, który jego zapłodnił, był o krok od śmieszności, a przecież nigdy nie stoczył się w śmieszność — jeśli Schopenhauer był bezbłędny w stylu, to Nietzsche i Wagner, to ludzie romantyzmu niemieckiego lub satanizm francuski i skandynawski niejednokrotnie ocierali się o emfatyczną tandetę. A jednak dopiero w Polaku z tego ziarna urosło drzewo oczywistej śmieszności i szmiry. Czyżbyśmy aż tak dalece nie nadawali się do demonizmu ?

Tu znów ujawnia się bezsilność Polaka wobec kultury. Dla Polaka kultura nie jest czymś czego i on jest współtwórcą, ona przychodzi mu z zewnątrz jako coś wyższego, nadludzkiego — i ona mu imponuje. Cóż jednak imponowało Przybyszewskiemu ? Naród ? Sztuka ? Literatura ? Bóg ? Przybyszewski ma w sobie wiele z prowincjała dopuszczonego do stołu najbardziej arystokratycznej Europy, ale jemu nie tyle Europa imponowała, ile Przybyszewski. Gdyż Polakowi imponuje on sam w historycznym wymiarze, nic bardziej nie onieśmiela go niż własna wielkość. Jak Piłsudski był przygnieciony a nawet przerażony Piłsudskim, jak Wyspiański nie mógł się ruszyć pod ciężarem Wyspiańskie-

go, jak Norwid jęczał, dźwigając na barkach Norwida, tak Przybyszewski z lękiem i świętą zgrozą spoglądał na Przybyszewskiego. We wszystkim co pisze słyszy się : — Ja jestem Przybyszewski ! Jestem demon ! Jestem objawiciel !

Nieumiejętność pogodzenia codzienności i zwykłości z wielkością, czy też ze wzniosłością... Gdyby on zachował ucho, smak, wzrok zwykłego człowieka, atak konwulsyjnego śmiechu ostrzegłby go przed piruetami demonizmu. Ale, będąc Polakiem, musiał klęczeć. I klęczał przed sobą.



Kasprowicz. Chleb razowy, gołębia dusza, szczerozłoty piewca... Ale także : chłop-zdrajca, kmieć fałszywy, nienaturalna natura, robiona prostota. Kasprowicz, odszedłszy od chłopa i przemieniwszy się w inteligenta, chciał jednak pozostać chłopem — jako inteligent.

Tu źródło jego niedostateczności artystycznej. On, będąc mieszańcem, kombinacją miasta i wsi, z istoty swojej był dysharmonią — ale ucharakteryzował się na harmonię. Ten śpiew, gdyby był szczery, byłby pękiem dysonansów, poezją meteka, hymnem dziwnego stworzenia porodzonego przez sprzeczne żywioły — on jednak wolał na swój tużurek nałożyć siermięgę.

Kasprowicz — najwyższe osiągnięcie polskiej poezji ,,ludowej'', będącej grubym nieporozumieniem — gdyż to co jest poezją o ludzie, mieni się poezją ludu. Lud staje się inspiracją poetyczną dopiero, gdy oglądamy go z miasta i przez binokle kultury —. chłop, jako chłop, nigdy nie był poezją dla chłopa. Cóż bardziej naciąganego, gdy Kasprowicz czyni się chłopem aby opiewać naturę — wszakże chłop właśnie nie czuje natury, on w niej jest więc jej nie dostrzega, on użera się z nią, żyje z niej, ale się do niej nie modli. Wycieczkowiczom zostawcie wschody i zachody słońca. W chłopskim świecie wszystko jest zwykłe, więc nic nie zwraca uwagi. I jeśli coś wielbi chłop, to nie wieś a miasto. Bóg objawi mu się w maszynie a nie w przydrożnej topoli. Tanią perfumę ze sklepu woli od zapachu bzów.

Czy zabroniłbym w ogóle Kasprowiczowi uruchomienia w sobie tego wiejskiego śpiewu? Ale skąd, owszem, niech wydobywa z siebie to, skoro w nim to tkwiło. Ale pytanie : jako kto ma śpiewać ? Jako chłop, czy jako Kasprowicz ?

I byłby prawdziwszy, gdyby nie usiłował mieć stylu. Gdyby swojej wewnętrznej rozterki nie starał się przysłonić prostotą — gdyby w sztuce, zamiast formy, dał nam swój konflikt z nią. To by wyzwoliło może ze sztucznej ludowości jego i jego literackich potomków. Ja Kasprowicza ubrałbym od pasa w dół w chłopskie buty i chłopskie portki, a od pasa w górę w marynarkę i sztywny kołnierzyk. Takim wypuściłbym go na widownię, mówiąc : radź sobie jak możesz !



Nie przeczę, że byli to jednak artyści i nauczyciele wysokiej miary. Ale ci nauczyciele nie byli nauczycielami rzeczywistości. Sienkiewicz nie wyrażał rzeczywistości, ponieważ oddał się na usługi fantazji zbiorowej. Wyspiański, gdyż oddał się estetycznym i historycznym abstrakcjom. Żeromski, ponieważ nie umiał pogodzić swej misji społecznej ze swoim instynktem. Przybyszewski, który upił się satanizmami. I Kasprowicz, który pozwolił aby nim Lud zawładnął. Na to, aby pisarz mógł „dojść" do rzeczywistości, musi być jednym i drugim jednocześnie: wyrazicielem ducha zbiorowego, ale i własnego indywidualnego istnienia; musi być indywidualnością, kontrolowaną przez zbiorowość, ale i zbiorowością kontrolowaną przez indywidualność. Oni jednak utonęli bez reszty w masie, lub też w owych abstrakcjach — jak naród, historia, sztuka — będących wytworem zbiorowej kultury. I zawsze byli sługami czegoś. Zawsze przed czymś na kolanach (Pozytywizm? Ależ to także coś dla narodu tylko, nieomal polityczna doktryna — to nie był pozytywizm pojedyńczego człowieka. Spostrzegam, że zapomniałem wspomnieć o Prusie. Jaka szkoda!)

W tej to niewygodnej, klęczącej, pozycji powitaliśmy niepodległość. Cóż miałby od zrobienia człowiek oswobodzony? Powstać, przeciągnąć się, przetrzeć oczy, rozejrzeć się dokoła i zastanowić się jakby od nowa: kim jestem, gdzie jestem, jakie jest moje zadanie?

Ale niepodległość bynajmniej nie przywróciła nam wolności: ani swobody uczucia, ani swobody widzenia. Naród stał się politycznie wolny, natomiast każdy z nas ujrzał się naraz bardziej spętany i wewnętrznie osłabiony, niż kiedykolwiek przedtem. Czym było owo zmartwychwstałe państwo, jeśli nie wezwaniem do nowej służby i nowego kornego poddania? Ale to państwo było rekonwalescentem, ledwie trzymało się na nogach. Wobec czego wszystkie inne, choćby najbardziej palące i niecierpiące zwłoki musiało ustąpić jednemu nakazowi: wzmacniać państwo.

Powiedziano:

— Nie będziesz miał żadnej myśli, która by mogła osłabić naród albo państwo.

— Będziesz dostrzegał, myślał, czuł to tylko co wzmaga siłę narodu i państwa.

To jednak spowodowało w nas rozterkę, która, moim zdaniem, jest kluczowa dla całego okresu wolności. Gdyż — zważcie — wzywano nas abyśmy zrezygnowali z pełności i autentyczności indywidualnego istnienia nie na rzecz innej jakiejś autetyczności i siły, ale na rzecz istnienia niepełnego, które niczego nie mogło osiągnąć gdyż było napiętnowane niedostatecznością. Polska, którą mieliśmy sycić własną najżywotniejszą krwią indywidualną była ekonomicznie i militarnie wątła, politycznie wsadzona między dwie koncentracje złowrogiej potęgi, kulturalnie chora na anachronizm — to państwo nie mogło prowadzić żadnej dorzecznej polityki, nie mogło w ogóle dokonać niczego, musiało trwać do-

rywczą łataniną i chowaniem głowy w piasek. A co najgorsze nie było państwem ani wielkim, ani małym: dość wielkie aby być powołane do aktywności historycznej; zanadto małe aby temu powołaniu sprostać.

To zrodziło atmosferę nierzeczywistości, partactwa, groteski, która zaczadziła dwudziestolecie. Nierzeczywistości — gdyż my nie mieliśmy po prostu *poprzez co* wejść w styczność z życiem. I tak rujnowaliśmy się aby utrzymać wielką armię, ale armia okazała się chimerą. Ograniczaliśmy się duchowo i intelektualnie, ale nasza myśl państwowa, narodowa nie stała się od tego silniejsza. A co do partactwa — przecież najświetniejsze zdolności, w kleszczach owej podwójnej anemii, jednostkowej i zbiorowej, musiały się zmarnować, podobnie jak marnowały się przedsięwzięcia techniczne, finansowe, społeczne. A także było to groteskowe — albowiem groteska to signum nieudolności, marka fabryczna tandety.

Nie rozważam całości życia polskiego — idzie mi tylko o literaturę. Być może na terenie politycznym i ekonomicznym my nie mieliśmy nic innego do zrobienia, robiło się więc co się dało i jak się dało. Ale swoboda sztuki jest stokroć większa i twierdzę, że nawet w tej sytuacji była możliwa w Polsce sztuka rzeczywista.

Twierdzę co więcej: w tych warunkach najważniejszym i naczelnym zadaniem sztuki było nie dopuścić do utraty styczności z życiem rzeczywistym — przebić się poprzez życie zredukowane do prawdziwej, pełnej egzystencji — stać się kotwicą, która by nas łączyła z bytem zasadniczym. Dlaczego tak fatalnie zawiodła nas sztuka w tym względzie?

Ach, z powodu pewnego drobnego niedopatrzenia... Powrócę do tego w najbliższej przyszłości, opowiem, jaka to drobna pomyłka w wyborze drogi uniemożliwiła nam wydostanie się na przestrzeń z naszego ślepego zaułka.

Niedziela.

Poświęcam dziś trochę czasu powracaniu do tamtych lat — niepodległości. Aby je zniszczyć. Moja obecna katastrofalna sytuacja tego wymaga. Jeśli zgodzę się wewnętrznie na to, że oni byli jak trzeba, kwitnące, zdrowe rośliny na żyznym gruncie — podczas gdy ja jestem czymś konającym na pustyni, wyrzuconym na obcy brzeg kaleką, bez ojczyzny et tutti quanti, uchodźca, zbłąkany, zgubiony... cóż mi pozostanie, prócz rezygnacji z całego znaczenia mojego? Przeto: zmobilizować wszystkie atuty mojej sytuacji, wykazując, że ja lepiej i prawdziwiej mogę żyć. Napiszę teraz coś niecoś o poezji (wierszowanej) okresu niepodległości... i zobaczę, co z tego zdoła się utrzymać, jako prawdziwe... Ta ciekawość — o ile to co mi się rodzi pod piórem może być prawdą...

Owe wiersze były lepsze od prozy ówczesnej. Co się tłumaczy z łatwością. Im bardziej formalistyczna jest sztuka, tym bardziej uniezależniona od zewnętrznych naporów środowiska, epo-

ki. Najtrudniej w Polsce niepodległej było po prostu rozmawiać, potem — pisać zwyczajną prozą, potem — pisać prozą stylizowaną, a rzeczą względnie najłatwiejszą było pisanie do rymu. Aby wypowiedzieć się nienagannie w zwykłej rozmowie, w codziennej prozie, trzeba być człowiekiem, który może mówić — takim, któremu warunki zewnętrzne nie paczą mówienia. Ale wiersze, z tych ,,znakomitych'', ,,świetnych'' może napisać ktoś skuty wszelkimi możliwymi kajdanami, jeżeli nauczył się formy.

Skamander i awangarda... tak, pamiętam... Skamander wypłynął pod znakiem odświeżenia, modernizacji, europeizacji i oni zapragnęli dać poezję już niepodległą — swobodną i bezinteresownie poetycką, dumną, która by nie służyła niczemu, tylko sobie. Zdrowa idea ! Na czasie było to zachłyśnięcie się czystym powietrzem. Czemuż góra mysz porodziła ? Dlaczego to obróciło się w nic ?...

Nic. Gdybyśmy usunęli wszystkich poetów Skamandra z naszego życia duchowego (ale uwaga ! Używam tutaj pojęcia ,,życie duchowe'' na serio), nic by się nie stało... nie spowodowałoby to absolutnie żadnej zmiany. Oni byli, ale mogliby nie być... Ujrzelibyśmy się ubożsi o pewną ilość metafor i rymów, tudzież o pewną ilość piękności, także o pewien zasób nowinek poetyckich, importowanych lub swojskiego chowu, ale na tym koniec. Żaden z tych rasowych poetów nie dostarczył nic elektryzującego — nic prawdziwie osobistego — żadnego rozwiązania, żadnego przetworzenia rzeczywistości na jakikolwiek kształt określony, wyrazisty jak może być wyrazista twarz ludzka. Brakło im oblicza. Nie mieli stosunku do rzeczywistości. Jeśli któryś z nich miał tzw. przekonania, to nie różniły się one niczym od pospolitego katechizmu politycznego lub społecznego epoki : socjalizm i pacyfizm Słonimskiego, estetyzm Iwaszkiewicza, lechickość Lechonia. Zastali swoje wiary już gotowe — zgłaszali przynależność do tego lub innego credo, żaden z nich nie miał naprawdę własnego obrządku. Czyż, poza rymem, nie byli dziećmi ? Obedrzyjcie Valéry'ego, Claudela, Rilkego ze wszystkich strof, pozostanie jednak osobowość, zjawisko duchowe, dusza, ktoś jedyny i niepowtarzalny. Spalcie rymy Skamandra, a ujrzycie grono sympatycznych chłopców, jako tako dających sobie radę w życiu.

Mając na uwadze, że jednak były to talenty, zapytajmy : czemu przypisać tę nicość ? Na mocy jakiej złośliwości sztuka, zamiast wzbogacić, w danym wypadku okazała się zubożająca ? Nie będzie trudno udzielić odpowiedzi, gdy zważymy że im bynajmniej nie zależało na wzbogaceniu formy, jaką dysponowali, a tylko na jej oczyszczeniu. Zastali wiersz zbrukany rozmaitymi ingrediencjami niepoetyckimi i zamierzyli pozostawić go ściśle poetycznym. Byli pobożnymi wyznawcami i kultywatorami formy, której majestat dźwigali na sobie jak płaszcz purpurowy — pełni poszanowania, skromni i nieśmiali. Lecz artysta, który boi się naruszyć formę i nie umie być wobec niej brutalny, gdy zajdzie potrzeba — cóż może zrobić ? Jak wprowadzić w śpiew uświę-

cony poezję dopiero dojrzewającą, jeszcze nieusankcjonowaną i na pół szlachetną? Jak zmieścić w ciasnym naczyniu ogromną, budzącą się treść? Tak druzgoczące zadania przekraczały o wiele lękliwy wysiłek Skamandrytów, zmierzający do udoskonalenia i oczyszczenia wyrazu. Byli przede wszystkim poetami „przez eliminację", poetami tylko o obliczu rzeczy już poetycznych, nie zaś tymi co niepoezję przemieniają w poezję.

Jednakowoż w to im graj! Ta muzyka im odpowiadała. Gdyż inaczej — jakżeby mogli utrzymać się w literaturze? Intelektualnie zupełnie nie na poziomie swojego czasu, nie zdający sobie sprawę z tego co kiełkowało wokół nich. Pozbawieni formatu osobistego, duchowego... wszak to w istocie była zbiorowa irrupcja w polską sztukę i ci ludzie, pomimo iż każdy z nich był odrębny pod względem wiersza, temperamentu, myślenia, byli jednak tak niezróżnicowani w głębszym znaczeniu, że do dziś ta poezja jest poezją grupy. Ale czy mogłaby powstać w Polsce poezja prawdziwa, to jest oparta na realnej styczności z życiem, bez przebicia wzrokiem ścian domu, któryśmy sobie zbudowali, i ujrzenia tego co czaiło się tam... dalej... Oni zdawali sobie sprawę ze swojego miejsca tylko do pewnego stopnia, znali swoje miejsce w sztuce, ale nie miejsce sztuki w życiu. Znali swoje miejsce w Polsce, ale nie miejsce Polski w świecie. Żaden z nich nie wzbił się tak wysoko, aby dojrzeć położenie własnego domu.

Natomiast byli dość inteligentni by wyznać się w tym, że rzeczywistość polska była w sporym procencie dęta. Wyczuwając to nieomylną intuicją poetycką, a jednocześnie nie mając pojęcia jak sobie poradzić z tym faktem i jakie wyciągnąć z tego wnioski, postanowili iż nie będą zanadto troszczyć się o rzeczywistość. Tak się też stało. Wydawali swoje tomiki, zadowoleni iż sława ich wzrasta, ale nie zaglądając jej w zęby. Cieszyli się że mają czytelników, nie kontrolując zbyt blisko owego „czytania". Zdobywali coraz wyższe miejsce w hierarchii poetów, nie wnikając zbytnio w ową hierarchię. Słowem, zachowywali się jak wszyscy (z małymi wyjątkami) poeci świata i moglibyśmy mieć do nich pretensję tylko gdybyśmy uznali, że poeta nie powinien być zanadto podobny do poety.



Tym skamandrytom przeciwstawiała się awangarda — we wspomnieniach moich podobna do zmory sennej, złowroga... Pod tym pomylonym niebem ileż pokraczności! Przypominam sobie dziwnie koślawe ulotki, pisemka, śmieszne manifesty, wiersze niby to rewolucyjne, niby poronione, potężne ale i potężnie komiczne teorie i stosy nieuniknionych tomików. Tadeusz Peiper (metafora rozkwitająca) i Stefan Kordian Gacki i Braun i Ważyk i setki innych adeptów, dedykujących sobie poematy... wszystko to było dla mnie awangardą. Ta produkcja wygląda mniej więcej tak samo we wszystkich miastach cywilizowanych i teraz, tutaj, w Argentynie, też spotykam się po kawiarniach

ze starymi lub niestarymi młodzikami przyssanymi do piersi tej matki wieczystej. Jednakowoż w Polsce było to bardziej brudne— awangarda polska była nieuczesana, rozchełstana, bosa, była pokraką z głową rabina, z bosymi nogami wiejskiego chłopca. Była to zapadła głucha prowincja, która, zrozpaczona własną prowincjonalnością zamarzyła zrównać się z Paryżem, Londynem. To gremium, złożone z rabinów pokurczonych, ezoterycznych i sofistycznych, oraz z naiwnych płowych łepetyn spod Kielc, Lublina, czy Lwowa, odznaczało się świętą naiwnością, żarliwym fanatyzmem, konsekwentnym uporem. Poeci. Poeci, zdecydowani być poetami, wytwarzający w sobie żar poetycki i poetyckie upojenie, wsadzeni w tę swoją awangardę i zakorkowani w tym, jak w butelce.

Nigdy z żadnym z nich nie zdarzyło mi się rozmawiać poważnie. Teoretycznie biorąc, istniała między nami pewna zbieżność gdyż i ja byłem ,,awangardowy'', choć w zgoła inny deseń; ale już sama ich ,,poetyckość'' kazała mi uzbroić się w sarkastyczny grymas i odpychający żart. Jednakże mocno mnie niepokoili. Wnosili na pewno jakąś rzeczywistość, to nie było już tylko wymyślone, za tym coś się czaiło, coś prawdziwego... ale co? Co? Wnosili nędzę. Te luksusy podszyte były straszliwym ubóstwem. Nie byli rzeczywistością w swoich płodach, na swoich pretensjonalnym papierze, ale byli nią jako symptom — jak wysypka na ciele chorego. Większość z nich pozbawiona była tego minimum sprawności umysłowej, bez którego pisanie staje się niemożliwe : indolenci, dekadenci, marzyciele, niedouczeni, niedonoszeni — ponure twory ghett polskich, obywatele polskiej zapadłej dziury. Uciekali od własnej biedy w dumne prekursorstwo, to było szukanie wybawienia...

Które przyszło. Oni sami nie ośmielili się wyznać, że są urodzeni z nędzy. Ta prawda przyszła z zewnątrz i pewnego dnia Polska Rzeczypospolita Ludowa zabrała się do nich i wyznaczyła im rolę — odtąd weszli w skład literatury urzędowej i przemienili się w biurokrację sztuki. Ponieważ zawsze byli poza sobą, nie znosząc prawdy o sobie i własnym istnieniu, sztukując rzeczywistość snem, abstrakcją, teorią, estetyką, więc nie mieli wiele do stracenia i nawet bodaj nie zauważyli że coś nieprzewidzianego z nimi się stało. Nie byłem przy tym, ale obawiam się, że sporą część inteligencji polskiej zastał bolszewizm w stanie pijanym — głowa narodu była zamroczona. I wielu, bardzo wielu, nie wiedziało właściwie co się z nimi dzieje.



Proza powieściowa.

Pamiętamy ten urodzaj: powieść obrodziła. I wszystkie, jak się okazywało z owych recenzji, znakomite. Ale kiedyś miałem taką rozmowę z Nałkowską à propos ,,Nagrody pocieszenia'' Brezy. Ona : — Tam jest mnóstwo doskonałych podpatrzeń, rozmaitych smaków, smaczków, jakaś taka, wie pan, swoista ser-

deczność, coś specjalnego... ale w to trzeba wniknąć, przyjrzeć się z bliska, poszukać tego... Ja: — Jeżeli pani zacznie przyglądać się temu pudełku zapałek, wydobędzie pani z niego całe światy. Jeśli pani będzie się doszukiwać smaków w książce, na pewno pani je znajdzie, gdyż powiedziano: szukajcie a znajdziecie. Ale krytyk nie powinien szperać, szukać, niech siedzi z założonymi rękami, czekając, aż książka go znajdzie. Talentów nie należy szukać przez mikroskop, talent sam powinien dać znać o sobie biciem we wszystkie dzwony.

Ale, ponieważ w okresach gdy poczucie rzeczywistości ulega osłabieniu, wszystko się automatyzuje, krytyka polska mechanicznie rzuciła się w pościg za wartościami — i, rzecz pewna, przy dobrej woli nie trudno i w Gojawiczyńskiej dopatrzeć się eposu; bo ostatecznie nawet przeciętność coś jednak wyraża. Aby zerwać z tym wyolbrzymieniem i odzyskać właściwą miarę zjawisk nic zdrowszego, jak oderwać wzrok od utworów i przyjrzeć się autorom. Jestże wielki, twórca tej wielkiej powieści? A jeśli on sam nie jest wielki, to w jaki sposób książka może być wielka? Rozpatrzywszy się tak w ludziach ówczesnej prozy, cóż ujrzymy? Że wszystkie te powieści nie urodziły ani jednej osobowości — i nikt z nich nie był nawet na miarę Żeromskiego albo Sienkiewicza. Skąd się wzięło w Niepodległej to skarłowacenie ludzi?

Dwóch było zakrojonych na nieprzeciętność: Kaden i Witkacy. Kaden, który miał nerw stylisty, brutalną agresywność i zalążek kształtującego widzenia — mógł wydobyć ze swojego czasu jakąś kadenowską prawdę. Witkiewicz, rozwydrzony i przenikliwy, którego natchnieniem był cynizm, dostatecznie degenerat i wariat aby wydostać się z polskiej ,,normalności'' na bezgranicza, a jednocześnie dość rozumny i świadomy aby szał przywrócić do normy i związać z rzeczywistością. Obaj mogli być twórcami, gdyż los wytrącił ich z ,,normalnej'' polskości. Jednakże oni właśnie ulegli manierze i przegrali z kretesem swoją walkę o wyraz, a ich klęska była powtórzeniem klęsk poprzedniego pokolenia. Kaden zmarnował się jak Żeromski, wyrzekając się dobrowolnie artystycznej suwerenności, zanurzając się po uszy w życiu polskim — on, piłsudczyk, sanator, ,,pisarz polski'', bojownik, ojciec ojczyzny lub jej syn, sumienie narodu, dyrektor teatrów, redaktor, już mistrz, już nauczyciel i przewodnik. Proza Kadena przywdziała togę i zaczęła stroić miny, stała się celebracją literatury zanim jeszcze stała się literaturą. Witkiewicz zmarnował się jak Przybyszewski, urzeczony własnym demonizmem, nie umiejąc złączyć anormalnego z normalnym i wskutek tego wydany na pastwę swej ekscentryczności. Wszelka maniera wynika z niezdolności przeciwstawienia się formie, pewien sposób bycia udziela się nam, staje się nałogiem jest, jak to się mówi, mocniejszy od nas — i trudno się dziwić, że ci pisarze słabo osadzeni w rzeczywistości, osadzeni raczej w polskiej nierzeczywistości, czy też ,,niedorzeczywistości'', nie umieli się bronić przed przerostem formy. U Kadena maniera była wysi-

lona i pracowita, jak on. Dla Witkiewicza, jak dla Przybyszewskiego, stała się ona ułatwieniem i rozgrzeszeniem z wysiłku, dlatego forma ich obu jest tyleż pośpieszna co niechlujna. Lecz klęska Witkacego była bardziej inteligentna : demonizm stał mu się zabawką i tragiczny ten pajac umierał w ciągu swego życia, jak Jarry, z wykałaczką w zębach, ze swymi teoriami, czystą formą, dramatami, portretami, z ,,bebechami'' i ,,wybrzuszeniem'', z pornograficznie makabrycznymi kolekcjami. (Pierwsza moja wizyta u Witkacego : dzwonię, otwierają się drzwi, w ciemnym przedpokoju potworny karzeł rośnie — to Witkacy otworzył drzwi w kucki i zwolna się podnosił...)

Znów zaznacza się w tych charakterystykach bezsilność wobec rzeczywistości. A także godny jest podkreślenia brud ich wyobraźni : bebechy witkiewiczowskie i ciamkania kadenowskie to nie tylko rezultat wtargnięcia sztuki europejskiej na te obszary obrzydliwości, to przede wszystkim wyraz naszej impotencji wobec brudu, który nas zżerał w chłopskiej chałupie, na żydowskim barłogu, w bezklozetowych dworach wiejskich. Polacy tego pokolenia już wyraźnie dostrzegali brud zarówno jak dziwaczność i okropność, ale nie wiedzieli co z tym zrobić, to był wrzód który nosili na sobie, którego jady ich zatruwały.

Tak więc proza bardziej drapieżna zdegrengolowała w dziwactwo lub w barok — ta zaś, która pulsowała w powieściach czytelnych i artystycznie poprawnych, była wyzuta z dynamizmu i jak powój owijał się wiernie wokół polskiego życia. Przede wszystkim kobiety. Oto testimonium paupertatis : że powieść owego czasu opierała się głównie na kobietach i była jak one. Okrągła w liniach, miękawa, rozlazła. Sumienna, drobiazgowa, dobrotliwa, czuła. Ona to ,,z mądrością serca nachylała się nad szarym losem ludzkim'' lub ,,pracowicie przędła kanwę wielu istnień we wzór serdecznej troski i uświęcającej litości'' — tak to te autorki zawsze skromne lub nawet pokorne, z godnym pochwały zaparciem się siebie, zawsze gotowe rozpłynąć się altruistycznie w innych, lub też zgoła w bycie, głosicielki ,,prawd niewątpliwych'' w rodzaju Miłości lub Litości, które Renata lub Anastazja odkrywały pod koniec sagi w drżeniu liści lub w śpiewie drzew... Nikt nie neguje talentu tym Dąbrowskim, Nałkowskim, do Gojawiczyńskiej włącznie, ale czyż ta rozpływająca się w kosmosie babskość mogła w jakikolwiek sposób ukształtować świadomość narodu ?

Cóż dziwnego jednak, że kobiety pisały po kobiecemu ? Dziwniejsze, groźniejsze, że żaden z talentów objawiających się co czas pewien w prozie nie zdołał się utrzymać przy życiu — wszystkie umierały. Ta lub owa książka nieraz wystrzelała z hukiem armatnim. ,,Sól Ziemi'' Wittlina, święcąca zagranicą triumfy. Fajerwerk Choromańskiego, ,,Zazdrość i Medycyna'', powitana biciem w dzwony : nareszcie zjawił się ,,wielki powieściopisarz''! ,,Sklepy Cynamonowe'' Brunona Schulza, rzecz w innym gatunku, wysokiej rangi. ,,Cudzoziemka'' Kuncewiczowej, także przecież zapowiedź, przeczucie, zapach czegoś niespodziewanego...

Kłopot, w jaki wprowadzały te utwory krytyka, na czymże polegał? Na tym, że niepodobna było ustalić ich prawdziwej jakości. Ta rzecz w tym czy innym aspekcie swoim po prostu mistrzowska, tamten utwór w jakimś fragmencie nieomal genialny, ta i tamta stronica zgoła zagraniczne, uniwersalne, światowe, pod tym lub tamtym względem ten autor równy najznakomitszym — było to pisarstwo wciąż ocierające się o niekłamaną wybitność, ale z tych poszczególnych genialności, z fragmentarycznych osiągnięć nie powstawało ani wielkie dzieło, ani wielki pisarz. Wyraźnie więc ujawniało się, że krótkie spięcia talentu nie były wynikiem konsekwentnego rozwoju duchowego, a tylko czymś na marginesie — to wszystko miało znamiona kurczowości i przypadkowości, oni sami nie wiedzieli dlaczego raz wyskoczyło im coś lepszego — zdarzyło się ślepej kurze ziarno. To była literatura ślepych kur.



Boy Żeleński, Antoni Słonimski. Ci się udali, na koniec dwóch z prawdziwego zdarzenia — urzeczywistnionych. Wiersze Słonimskiego nie brały mnie, jego poezja wybuchała mi w prozie, z kronik w ,,Wiadomościach'' — tam ciskał sobą na wszystko i wszystkich i bawił się, mistrz w organizowaniu hecy, której sam był bohaterem (a więc poeta). Śmieszne porównywać jego wpływ z wpływem Sienkiewicza, Żeromskiego? A ja twierdzę, że na nim wychowało się pokolenie, tak to nie koniecznie trzeba być bogiem aby mieć wyznawców.

Ale co uważam za ważne i ciekawe: że Boy i Słonimski, ta bodaj jedyna proza w Niepodległej sprawnie funkcjonująca, była ściąganiem z wyżyn w dół, na grunt zdrowego rozsądku i przeciętnego trzeźwego myślenia. Siła ich polegała na nakłuwaniu balonów — ale do tego nie potrzeba większej siły.

Boy — nie wiele własnego, ten tłumacz nawet w swoich oryginalnych pracach tłumaczył Francję na polski.



Krytyka. Czy w ogóle to można nazwać krytyką? Każdy dziennik miał swojego belfra od stawiania stopni, było jednak świętą tajemnicą dlaczego ci właśnie, a nie inni, są belframi. *Wyglądało* jak gdyby istniał zakon wtajemniczonych znawców, którzy ferują wyrok. Ale *naprawdę* było tak, że nikomu a przede wszystkim samym znawcom nie było wiadomo, dlaczego powołano ich do sądzenia (nie spostrzegli się, że to zależało po prostu od decyzji redaktora gazety). I przerażeni mechanizmem, który ich — byle kogo — wywyższał do roli sędziów dzieł, które ich przewyższały, nie umieli dać sobie rady ze swoją sytuacją zaiste bezczelną i karkołomną: jako sędziowie przemawiali z góry, choć naprawdę znajdowali się w dole.

Cała ta krytyka była groteskowo durnym, a czasem inteligentnym gaworzeniem o sztuce, ale z dystynkcją, z zakrętasami, z pianką, z wygibasem... coś, co dotąd wśród nas nie umarło. Strzegli się nade wszystko aby nie wychylić nosa poza literaturę, o tym aby skonfrontować poezje, prozę, krytykę z rzeczywistością nawet nie marzyli — wiedzieli, że to wywołałoby trąbę powietrzną, która by ich zmiotła.



W rzeczywistości (cóż za niebezpieczne słowo !) literatura nasza tego okresu przeradzała się w publicystykę literacką. *Wyglądało*, że pisma literackie (,,Wiadomości'' i ,,Prosto z Mostu'') mają służyć pisarzom i ich twórczości; ale *naprawdę* pisarze byli po to aby miał czym pożywić się tygodnik, jedyna prawdziwa literatura owego czasu. Nieunikniony proces, zachodzący na całym świecie ? Czy też następstwo osłabienia ,,ja'' polskiego, tego ,,ja'', które jest podstawą tworzenia ? Gdy pisarze są niepewni siebie, gdy żaden nie jest dość rzeczywisty, gdy nikt nie trafia w sedno, a cały kierunek rozwoju chybia i omija rzeczy najistotniejsze... cóż dziwnego, że zjawia się na scenie Redaktor aby dyrygować i organizować ? Te tygodniki były wyrazem przewagi w życiu polskim zbiorowego nad indywidualnem, było to jeszcze jedno w naszych dziejach podporządkowanie sztuki społeczeństwu.

Tygodniki zrobiły ze sztuki jarmark i widowisko. Któż jest ,,największy''? Kogo reklamować ? Kim kogo pogrążyć ? Kogo uwieńczyć ? Poeci, pisarze, galopowali jako konie wyścigowe, a szerokie rzesze ryczały sportowo : — bierz go, bierz go ! Lub narodowo : — ten jest wieszczem polskim ! Lub ,,ideologicznie'': — dać mu po łbie, szkodnik ! Naturalnie pisma literackie, zarówno ,,Wiadomości'' prowadzone przez wytrawnego, czasami aż zbyt wytrawnego, Grydzewskiego, jak ,,Prosto z Mostu'', któremu przewodził tępy Stanisław Piasecki (zginął jednak dzielnie, na posterunku) działały zgodnie ze swoją naturą. Ale artyści czuli się nie w swoim sosie, a nawet trochę jak ryba na patelni. Widzieli, że coś się dzieje z nimi nie tak, jak trzeba, i że zażywa się ich w sposób nieprzewidziany — jednakże, to jest znaczące, żaden nie próbował zwrócić się frontem do tego co się działo, owszem, z całą dyskrecją starali się nadal niczego nie dostrzegać.

Środa.

Tak, to mniej więcej wyraża próżnię, jaką ziała dla mnie tamta radosna twórczość — choć ona jak stugębna wrzawa w porównaniu z ciszą dzisiejszych ust zakneblowanych. Ale już powiedziałem : nie będę mierzył wysokości naszego wzlotu głębią naszego upadku. Czułem się za owych lat w Polsce jak w czymś co chce być, a nie może, chce się wypowiedzieć, a nie potrafi...

Męcząca zmora ! Dookoła mnie ileż niewyżycia ! A przecież materiał ludzki był dobry i wcale nie gorszy od jakiegokolwiek innego, europejskiego — i oni wyglądali jak istoty zdolne, wsadzone w partactwo — skrępowani czymś nieosobistym, nadrzędnym, międzyludzkim, zbiorowym — wywodzącym się ze środowiska. Całe klasy społeczne jak z sarkastycznego snu : ziemiaństwo, chłopstwo, proletariat miejski, oficerowie, ghetta... i polska myśl, polska mitologia, polska psychika... polskość niewydarzona i nieskuteczna, która jak subtelny opar przenikała, to dziedzictwo które nas określało... Wracałem od moich braci ze wsi rozstrojony diabelskim dysonansem; ale w mieście oczekiwały mnie kawiarnie szamocące się bezradnie z przeznaczeniem i ludzie, jak las drzew karłowatych na piasku.

Mogła przyświecać nadzieja powolnego doskonalenia, stopniowego wyrabiania się i dorabiania... Ale czekać ? Nie mogłem zgodzić się na to aby życie moje miało być li tylko wstępem do życia. Czyż w literaturze miałem służyć jedynie do tymczasowego łatania dziur, aby umożliwić za sto, dwieście lat wzejście słowa polskiego, już suwerennego ? W takim razie nie warto było zabierać się do pisania. Sztuka, która nie zdoła zapewnić swemu twórcy autentycznego istnienia w sferze duchowej, jest tylko nieustającym wstydem, upakarzającym świadectwem partactwa. Co chwila widziałem jak któryś z ,,kolegów'' przyswajał sobie jakąś wiarę, postawę ideologiczną, czy estetyczną, w nadziei, że w końcu stanie się rzeczywistym pisarzem — i to naturalnie kończyło się serią grymasów, piramidą zgrywy, orgią nierzeczywistości.

Gdyż albo się jest kimś, albo się nie jest — ale nie można fabrykować siebie sztucznie. W Niepodległej to sztuczne fabrykowanie sobie istnienia zastępowało coraz częściej istnienie prawdziwe : ci intelektualiści i artyści starali się być kimś z tą arrière pensée aby po prostu być. Wierzyć w Boga nie dlatego, że to konieczność duszy, ale dlatego że wiara wzmacnia. Być narodowcem nie z natury i z przekonania, ale dlatego, że to potrzebne do życia. Mieć ideały nie dlatego, że się je nosi we krwi, ale dlatego że to ,,organizuje''. Wszyscy oni gorączkowo poszukiwali jakiejś formy, aby się nie rozpłynąć... i ja może nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby mieli odwagę przyznać się do tego co robią i gdyby samych siebie nie oszukiwali.

To jednak było naiwne samooszukaństwo. Ja więc zerwałem w końcu wszystkie stosunki z ludźmi w Polsce i z tym co oni wytwarzali. Zamknąłem się w sobie, zdecydowany żyć tylko własnym życiem, jakie by ono nie było, widzieć własnymi oczami — i sądziłem, że gdy kategorycznie zdołam być sobą, odkryję twardy grunt pod stopami. Ale wkrótce stało się oczywiste, że ten krańcowy indywidualizm nie mógł, sam przez się uczynić mnie ni bardziej rzeczywistym ani bardziej twórczym. Nie rozwiązywał niczego, a przede wszystkim nie rozwiązywał języka. Czymże bowiem było to ,,ja'', na którym chciałem się oprzeć ? Czyż nie było urobione przez przeszłość i przez współczesność — czyż taki, jak byłem, nie byłem konsekwencją rozwoju polskiego ? Nic

z tego co robiłem, mówiłem, myślałem, pisałem nie zadawalało mnie i chyba znane wam to uczucie — gdy spostrzegacie, że wciąż mówicie nie to, cobyście chcieli, gdy tekst napisany przez was brzmi wam pretensjonalnie, głupio, fałszywie, gdy wszystkie spaczenia waszego wychowania, wpływy, jakie was ukształtowały, nałogi, jakie wam zaszczepiono, gdy cała wasza niedojrzałość w obliczu naczelnych zagadnień bytu i kultury uniemożliwia wam formę. Nie mogłem znaleźć formy na wypowiedzenie mej rzeczywistości. Nie mogłem w ogóle określić tej rzeczywistości, znaleźć, swego miejsca. W tych warunkach mogłem tylko — i tak napisałem w ,,Ferdydurke'' — udawać pisarza (wzorem innych kolegów).

Trudność w tej rzeczy jest tylko jedna, ale nie do przeskoczenia — że z próżnego i Salomon nie naleje. Być sobą ? Tak, ale jeśli się jest niedojrzałością ?...

Jednakże przyświecała mi myśl, o której nigdy nie zwątpiłem : że, jeśli jestem, to jednak mam wymowę faktu, czegoś co jest... przez to samo, że byłem, miałem prawo głosu i z głosem tym należało się liczyć.

Wówczas spojrzałem na całą tę niedostateczność polskiego wypowiadania się w literaturze z innej perspektywy. Oto co mi się ukazało.

Literatura ta zapewne nie odtwarzała rzeczywistości — a jednak była rzeczywistością, chociażby właśnie w tej swojej niemocy. Wyobraźcie sobie autora, który, na przykład, zabiera się do pisania dramatu. Jeśli nie jest w stanie zdobyć się na należytą szczerość, nieustępliwość duchową, utwór jego będzie tylko kupą poronionych słów. A jednak dramat ten, nieważny i niedramatyczny jako dzieło, będzie przecież rzeczywistym dramatem jako świadectwo klęski. I ten autor, godny lekceważenia jako autor, będzie przecież godny współczucia i może nawet wielki i dramatyczny jako człowiek, który nie znalazł dla siebie wyrazu.

Więc prawdziwa rzeczywistość polska nie wypowiadała się w książkach, które nie były z niej — były obok niej — a właśnie w tym fakcie, że książki nas nie wyrażały. Istnienie nasze na tym polegało, że nie mieliśmy istnienia dość skrystalizowanego. Forma nasza na tym, że ona nie przylegała do nas należycie. To co nas określało, to była właśnie ta niedostateczność nasza. Na czym zaś polegał błąd polskich pisarzy ? Na tym, że oni usiłowali być tym czym być nie mogli, ludźmi uformowanymi, podczas gdy byli ludźmi w trakcie formowania się... I pragnęli, w poezji i w prozie, podciągnąć się do poziomu europejskich, bardziej skrystalizowanych narodów, nie bacząc, że to ich skazuje na wieczystą drugorzędność — gdyż nie mogli rywalizować z tamtą, bardziej wyrobioną formą.

Stąd objawiło mi się paradoksalnie, że jedyny sposób w jaki ja, Polak, mogłem stać się zjawiskiem pełnowartościowym w kulturze, był ten : nie ukrywać mojej niedojrzałości, ale przyznać się do niej ; i tym przyznaniem oderwać się od niej ; i z tygrysa dotychczas mnie pożerającego uczynić rumaka, którego dosiadłszy

mógłbym może nawet dalej zajechać niż tamci, zachodni ludzie, ,,określeni"... Na pierwszy rzut oka nie wygląda to groźnie jako program i hasło bojowe — ot, jeden więcej kaprys intelektu, szukającego dróg wyjścia... ale gdy wniknąłem (podczas pisania ,,Ferdydurke") w jego konsekwencje, wyraźniej dostrzegłem druzgocącą ich przewrotność. Cóż to znaczyło? Należało, po prostu, postawić wszystko do góry nogami, począwszy od samych Polaków. Z Polaka dumnego z siebie, pyszniącego się sobą, zakochanego w sobie, uczynić istotę jak najostrzej świadomą swej niedostateczności i tymczasowości — i tę ostrość widzenia, bezwzględność w nieukrywaniu słabości, uczynić siłą. Musiałoby ulec przenicowaniu nie tylko nasze podejście do historii i sztuki narodowej, ale i cały patriotyzm nasz zostałby przeistoczony, na nowych oparty podstawach. Więcej, o wiele więcej, cały nasz stosunek do świata musiałby się zmienić a zadaniem naszym nie byłoby już wówczas wypracowanie jakiejś określonej polskiej formy, lecz uzyskanie nowego podejścia do formy jako do czegoś, co wciąż jest przez ludzi stwarzane a nigdy ich nie zadawala. Więcej jeszcze: trzeba by wykazać, że wszyscy są tacy jak my, to jest ujawnić całą niedostateczność człowieka cywilizowanego wobec kultury, która go przerasta.

Chodziło tu ni mniej ni więcej tylko o przewekslowanie z człowieka mającego formę na człowieka (dotyczy to także narodu) wytwarzającego formę — recepta sucha, ale zmieniająca nagle i niespodziewanie cały polski sposób bycia w świecie. Co do mnie, nie przejmowałem się szaleńczym ogromem tej rewolucji. Nie pytałem nawet, czy jest dorzeczne proponowanie czegoś takiego kulturze polskiej która, przetrzebiona i wzięta za pysk, ciągnięta była we wręcz przeciwnym kierunku (gdyż myśl dialektyczna przetwarza się w praktyce totalitarnej na myśl dogmatyczną). Programy nie przerażały mnie, ponieważ nie poruszał mną program ale wewnętrzna konieczność. Artysta nie jest od rozumowania — nie jest od szeregowania sylogizmów, ale od tworzenia obrazu świata, on nie odwołuje się do cudzego rozumu, tylko do cudzej intuicji. Opisuje świat tak, jak go odczuwa, i oczekuje, że odbiorca, odczuwszy go w ten sam sposób, powie: tak, tak jest, to jest rzeczywistość i bardziej rzeczywista od tego, co dotąd rzeczywistością nazywałem — choć może nawet obaj, artysta i odbiorca, nie umieliby logicznie udowodnić, dlaczego to jest właśnie bardziej rzeczywiste. Mnie więc wystarczało, że od tej strony zalatywał mnie podmuch autentycznego życia. Parłem w tym kierunku na oślep dlatego po prostu, że każdy krok ku temu czynił moje słowo silniejszym i moją sztukę prawdziwszą. Resztą zupełnie się nie przejmowałem. Reszta — prędzej czy później — zrobi się sama.

Witold GOMBROWICZ

Awangarda

(RYS HISTORYCZNY)

Już w artykule pt. ,,Życie w czasie'', zamieszczonym w Nrze 2 krakowskiej ,Linii'' (1) zwróciłem uwagę na stałą ewolucję idej poetyckich i na zmiany, jakim one ulegają zależnie od warunków wytworzonych przez epokę. ,,Myśl, która ma funkcję społeczną, jest ideą. Idee żyją w czasie'' — pisałem wtedy podkreślając wzajemną zależność jaka łączy idee poetyckie z terenem, który jest wytworem epoki. Aby ze zjawiska czysto literackiego stać się faktem społecznym — idee powinny być ściśle przystosowane do chwili bieżącej. Nie mogą być ani spóźnione, ani nawet — nie wolno im zanadto wyprzedzać w czasie całokształtu zjawisk społeczno-kulturalnych. W pierwszym wypadku — są pozbawione siły oddziaływania, gdyż powtarzają rzeczy stare, w drugim — artyści odgrywają rolę prekursorów i zdobywają sobie uznanie dopiero po śmierci. ,,Gdyby Mickiewicz zaczął pisać w ten sam sposób 20 lat wcześniej, nie wpłynęłoby to w żadnej mierze na przyśpieszenie narodzin romantyzmu polskiego''. Tezę tę potwierdzają liczne przykłady zaczerpnięte ze wszystkich literatur świata. Lautréamont, Nerval, William Blake, Rimbaud — byli prekursorami i dlatego ich wpływ na współczesnych był znikomy. Doczekali się oni uznania dopiero wtedy, gdy wytworzyły się nowe warunki społeczno-kulturalne, w których twórczość ich znalazła swój odpowiednik w ogólnym nastawieniu epoki.

Sprawa prekursorów ilustruje szczególnie mocno wzajemny stosunek istniejący między literaturą a epoką, której jest ona produktem. Jeśli sztuka wyprzedza czas, gdy spotyka się w niej kilka mocnych indywidualności, których twórczość wybiega zbyt daleko naprzód — mamy wtedy do czynienia z prekursorami. Jeśli natomiast jest zgodna z całokształtem zjawisk cechujących życie społeczne w pewnym wycinku czasu — nowe formy wyrazu osią-

(1) Październik, 1931.

gają pełnię sugestywności i przemawiają do szerszych mas czytelników. Idee zapuszczają korzenie tylko wtedy, gdy natrafiają na podatny grunt. Nowa idea jest jajkiem Kolumba, które znajduje się w zasięgu naszych możliwości od dawna, ale o którym nikt przedtem nie pomyślał. Zdawał sobie z tego sprawę już stary Boileau, gdy twierdził, że ,,może ona przyjść na myśl wszystkim, a jej nowością jest to, że ktoś zdecydował się to pierwszy wyrazić'' (2).

Ce qui étonne dans les excès des novateurs de la veille, c'est toujours leur timidité (3). Te słowa Pawła Valéry kryją w sobie głęboką prawdę. Gdy teraz, po upływie przeszło ćwierćwiecza, powracam myślą do pierwszego ,,okresu burzy i naporu'' awangardy, dziwi mnie że nie poszliśmy jeszcze dalej, że staraliśmy się utrzymać w ryzach naszą wyobraźnię i narzucić pewien rygor kontrolny naszym poszukiwaniom. Dziś, te rzeczy o które walczyliśmy wtedy z takim trudem, wydają się nam proste i nie możemy pojąć, iż mogły one być uważane za niezrozumiałe.

Od tej epoki dzieli nas już duży dystans. Wiele idej i myśli przeorało te lata, forma wyrazu w literaturze i w sztuce uległa również ogromnym przemianom i to, co wydawało się wtedy dziwaczne i niezrozumiałe — stało się teraz codzienne i naturalne. Wspominałem niedawno, iż wkrótce po ukazaniu się pierwszego tomu Przybosia spotkałem u Kasprowicza, na Harendzie, Zygmunta Wasilewskiego, który wyraził zdziwienie iż młody i zdolny poeta może pisać o mieście, gdyż ,,jedynie wieś jest poetyczna''. A oto co mówi o wierszach awangardy, jeden z najbardziej kulturalnych krytyków, z okresu dwudziestolecia, Karol Irzykowski:

,,Gdy się ich utwory do ręki weźmie i zacznie czytać — no to się zacznie, ale się nie skończy. *Są trudne, nie można ich tak od razu zrozumieć.* Są jak szklanne góry, bardzo kolorowe i błyszczące — ale wdrapać się na te góry nie można, bo — jak się to mówi — nie ma o co zaczepić paznokci. Awangardziści wydają się spiskowcami, jakby mieli jakieś swoje tajemnice, jakieś *umówione szyfry,* którymi się z sobą porozumiewają, ale niewtajemniczonemu trudno się tak od razu dostać do wnętrza tych tajemnic. Trzeba mieć klucz, *trzeba się nauczyć te utwory czytać. I wtedy można z nich mieć przyjemność* (4).

Trudno się oprzeć myśli: Jakież to proste, ubogie, niezdarne i samo przez się zrozumiałe — gdy się weźmie pod uwagę, że słowa te wyszły spod pióra jednego z najlepszych krytyków polskich tego okresu! Irzykowski przyczynił się niewątpliwie do

---

(2) ,,Qu'est-ce qu'une pensée neuve, brillante, extraordinaire? Ce n'est point comme se le persuadent les ignorants, *une pensée que personne n'a jamais eue, ni dû avoir: c'est au contraire une pensée qui a dû venir à tout le monde et que quelqu'un s'avise le premier à exprimer*''. — Boileau ,,L'Art Poétique''.

(3) Paul Valéry — ,,Tel Quel''.

(4) *Lżejszy kaliber* — Warszawa — ,,Rój'', 1938.

wytworzenia legendy o ,,niezrozumialstwie'' awangardy, ale — — choć często polemizował z nami — nie był on wrogiem wszystkiego, co nowe. Nie należał on do tego rodzaju krytyków, którzy — jak np. Zawodziński — mając bardzo wąską skalę wyczuwalności artystycznej zwalczali awangardę na każdym kroku. Fakty te dają jednak wyobrażenie o ustosunkowaniu się krytyki do nowych prądów w tym okresie. Jeśli mimo to awangarda zdołała sobie wywalczyć w ostatnich latach przed wojną prawo do życia — to stało się to jedynie dzięki masowej akcji wszystkich młodych poetów i pisarzy, którzy około roku 1935 zwarcie poparli ruch awangardowy.

Aby zdać sobie sprawę z roli, jaką odegrała awangarda w polskim życiu literackim należy ją umiejscowić w czasie. Z jednej strony — w stosunku do prądów nurtujących w literaturach zachodnio-europejskich, z drugiej — w odniesieniu do sytuacji, jaka istniała w Polsce w pierwszych latach po zakończeniu wojny 1914-1918.

FUTURYZM

Pierwsze przejawy ruchów nowatorskich na Zachodzie miały miejsce w początku XX wieku. Daty bywają zazwyczaj trudne do ustalenia, ale — jeśli chodzi o literaturę — punkt wyjścia został wyraźnie określony: ,,Le Manifeste du futurisme'' Marinettiego ukazał się w ,,Le Figaro'' 20 lutego 1909. Następne manifesty futuryzmu zostały ogłoszone we Włoszech w latach 1909-1914. Marinetti pragnął opiewać ,,miłość niebezpieczeństwa, energię, zuchwałość. Istotnym pierwiastkiem naszej poezji będą odwaga i bunt. Zważywszy, że dotąd literatura wielbiła zadumany bezruch, ekstazę i sen, my chcemy wielbić ruch agresywny, gorączkową senność, krok gimnastyczny, skok niebezpieczny, bicie w twarz i uderzenie pięścią''.

Moment agresywności i walki jest niezwykle znamienny dla futuryzmu. Marinetti kilkakrotnie głosi, że ,,nie ma piękna jak tylko w walce. Nie ma arcydzieła bez charakteru zaczepnego. Chcemy sławić wojnę, jedyną higienę świata, militaryzm, patriotyzm, gest burzycielski anarchistów''. Doprowadziło to Marinettiego do faszyzmu, podczas gdy w Rosji, wręcz przeciwnie, futuryści związali się z nadchodzącą rewolucją.

Marinetti głosi równocześnie kult szybkości, aeroplanu i człowieka nowoczesnego: ,,Świat wzbogacił się o nowe piękno, o piękno przyszłości'' i wypowiada nieubłaganą walkę muzeom i passeizmowi: ,,Przeszłość i tradycja — dwie spluwaczki. Szybko izolujcie ruiny, bardziej zaraźliwe, niż cholera'' — pisze w liście do ,,Zwrotnicy'' (Nr 6).

Niewątpliwie, Marinetti rozszerzył zakres tematyczny poezji i przystosował ją do wymogów chwili. Ale jego główną zasługą było jednak zburzenie dawnej składni: *Il faut détruire la syntaxe en disposant les substantifs au hasard de leur naissance*. W ten sposób doszedł on do koncepcji *les mots en liberté*, to

znaczy słów niezwiązanych z sobą w myśl zasad składni, lecz ustawionych tylko obok siebie, jedno obok drugiego. Marinetti posługuje się przeważnie rzeczownikami, oraz czasownikami w bezokoliczniku. Często używa również onomatopei. Niewątpliwie „słowa na wolności" miały więcej ekspresji, niż normalnie zbudowane zdanie, ale ich nadużywanie wprowadziło pewną monotonię robiąc wrażenie nieudolności i prymitywizmu, języka który Francuzi określają słowem *le petit nègre*. Znaczenie ich polega głównie na dokonaniu rewolucji w dotychczas przyjętym języku poetyckim opierającym się na zwyczajnych prawach syntaktycznych. Marinetti wykazał, że można się obejść bez składni i to odkrycie stało się punktem wyjścia dla dalszych poszukiwań przedsięwziętych przez innych poetów w kilkanaście lat później. Z biegiem czasu zresztą futuryści porzucili „słowa na wolności". Rzecz charakterystyczna, pomimo iż manifest futuryzmu ukazał się nad Sekwaną — Marinetti nie znalazł naśladowców we Francji. Poezja francuska poszła zupełnie innymi drogami: Apollinaire, Cendrars, Cocteau, Max Jacob — prawie nic nie zapożyczyli od futuryzmu. Zrobił on jednak pierwszy wyłom w dawnej, sięgającej jeszcze XIX wieku mentalności i przygotował grunt pod nowe koncepcje w literaturze.

Do futuryzmu nawiązało za to wielu poetów we Włoszech i w innych krajach, a przede wszystkim w Rosji, gdzie przybrał on specyficzną formę.

Dotarł on również do Polski. Pierwsze jego echa znaleźć można w ogłoszonych jeszcze przed wojną wierszach Jerzego Jankowskiego i w wydanym później jego tomie pt. „Tram wpopszek ulicy".Poeta ten zmarł jednak przedwcześnie i dlatego nie mógł wziąć udziału w późniejszych wystąpieniach grupowych. W duchu futurystycznym utrzymane były również wieczory tzw. „katarynki" krakowskiej, w roku 1917, w których wzięli udział m. in. Tytus Czyżewski, Bruno Jasieński i Stanisław Młodożeniec. Był to pierwszy zalążek przyszłej grupy, która jednak powstała w kilka lat później.

Pierwsze wystąpienia futurystów miały miejsce w Krakowie; następnie organizują oni, w lutym 1921, szereg wieczorów w Warszawie. Największy rozgłos uzyskał wieczór w Filharmonii warszawskiej dnia 9 marca 1921, z udziałem Ireny Solskiej, jako recytatorki, który zgromadził około 2.000 osób. Tutaj przyłączyli się do ruchu poeci warszawscy: Anatol Stern i Aleksander Wat. Po Warszawie futuryści urządzili kilka wieczorów autorskich na prowincji, głównie w Łodzi, budząc wszędzie głośne protesty wśród publiczności. Na skutek tego dochodziło często do incydentów, co z kolei wywołało represje administracyjne i policyjne, oraz konfiskaty książek i czasopism pod zarzutem pornografii.

„W momencie skrzyżowania się ostrza powojennej myśli polskiej z ostrzem myśli europejskiej — narodził się futuryzm", pisze Bruno Jasieński. Za oficjalną datę narodzin tego kierunku w Polsce uchodzi rok 1921, gdy w kilka miesięcy po wieczorach

warszawskich pojawiła się, w czerwcu tegoż roku, ,,pierwsza jednodniówka futurystów — manifesty futuryzmu polskiego''. Jeden z futurystów, zdaje się Czyżewski, rzucił w niej hasło: Kochajcie elektryczne maszyny, żeńcie się z nimi i płodźcie Dynamo-dzieci; magnetyzujcie je i kształćcie na mechanicznych obywateli''. Trawestując Marinettiego i dadaistów futuryści głosili m. in., że wartość dzieła sztuki nie powinna przekraczać 24 godzin.

Druga jednodniówka futurystyczna ,,Nuż w bżuhu'', którą Bruno Jasieński określa jako łabędzi śpiew futuryzmu, nazywając ją ,,najpiękniejszą publikacją brukową futuryzmu europejskiego'', wywołał jeszcze większy skandal. Breton miał ambicję, by ,,La Révolution surréaliste'' była zawsze najbardziej skandalizującym czasopismem. ,,Nuż w bżuhu'' pobił wszelkie rekordy skandalu w Polsce, a niewiele ustępował pod tym względem organowi nadrealistów. Fonetyczna pisownia, którą przyjęli futuryści, raziła niemniej niż sama treść, często ,,niecenzuralna''. ,,Precz z psychologiczną fantastyką! — pisali tu futuryści. Precz z metafizycznym niepokojem! Precz z ujeżdżaną od 20-tu wieków przez romantyków, symbolistów i ekspresjonistów, nieistniejącą szkapą metafizyki!'' Program negatywny był bardziej rozbudowany, niż hasła pozytywne, które okazały się dość nikłe lub ograniczały się do nowej tematyki. ,,Moja sztuka nie jest programowa'' — twierdził Czyżewski.

Gdy Bruno Jasieński pisał w jednodniówce :

Przechodząc przypadkowo przez cienisty pasaż
mimo palm kiwających się jak senny palec
zobaczyłem kobietę którą krajał masaż
i kładł na ladzie kawał po kawale.

hołdował on oczywiście, zwłaszcza w następnych zwrotkach tego wiersza, chęci skandalizowania umysłowości mieszczańskiej, ale już tutaj dostrzegamy pewne elementy istotnie poetyckie, które wyraźniej dochodzą do głosu w późniejszych utworach, drukowanych w ,,Zwrotnicy'' i w zbiorach poezyj. Świadczą one, że Jasieński był jednak poetą. Oto np. początek wiersza ,,Zwiastowanie'' drukowanego w numerze 3 krakowskiej ,,Zwrotnicy'':

,,Pytały się raz ciszy
rogówki z twarzą modrą
dlaczego nocy czarnej dyszel
włazi nam wciąż między biodra?

dlaczego chocżeśmy ładne
i miłość dajemy tanio
nie przyjdzie nigdy do żadnej
prawdziwy biały anioł?''

Niewątpliwie Jasieński był poetą, tak jak był poetą Aleksander Wat, gdy pisał :

„Dzidami nas zadziobią
miedziane hufce kur
Złe ptaki nas wytropią
strzałami zatrutych chmur".

lub Anatol Stern w wierszu „Wschód":

„młode murzynki podawały ostre sutki
bronzowym majtkom którzy je kąsali do krwi
kołysały się na biodrach zapachów ogródki
otwierały się śpiewały zamykały się drzwi".

Ale te wiersze prawie zawsze znajdują się o włos od kiepskiej literatury, jest w nich wiele łatwizn, płytkiego efekciarstwa, reminiscencyj z poezji rosyjskiej i taniego eksploatowania egzotyku w rodzaju:

„Kury zakwitły w koniczynie
konie wyrosły w gołębniku
po niebie mkną obłoki-świnie
liczę lica: bez liku". (Al. Wat)

Z poezji rosyjskiej przejęli futuryści wartko toczącą się rytmikę, która była ich wielkim atutem, zwłaszcza na wieczorach autorskich, gdzie istniał bezpośredni kontakt z odbiorcą. Bruno Jasieński i Tytus Czyżewski posługiwali się czasem kaligramami, które zapożyczyli z poezji francuskiej.

Wystąpienia futurystów miały charakter prawdziwej rewolucji poetyckiej i to było ich wielką zasługą. Ich dynamiczny witalizm, mocna rytmika, rozszerzenie tematyki (miasto, egzotyk) — wniosły niewątpliwie świeży powiew w koturnową atmosferę polskiej poezji.

Grupa futurystów była od początku podzielona: Bruno Jasieński i Tytus Czyżewski byli związani z Krakowem, podczas gdy Anatol Stern i Aleksander Wat działali na terenie Warszawy. W tych warunkach wystąpienia grupowe, a zwłaszcza wydawanie własnego organu, natrafiało na duże trudności. Futuryści otrzymali wprawdzie posiłki złożone z malarzy „formistów" (Andrzej i Zbigniew Pronaszkowie, Konrad Winkler, Henryk Gotlieb, rzeźbiarz August Zamoyski, malarz i teoretyk sztuki, twórca strefizmu Leon Chwistek i inni), ale mimo to nie zdołali wytworzyć zwartego ośrodka. Ich działalność, po wydaniu jednodniówek, ograniczała się do wieczorów autorskich i do ogłaszania książek. Bruno Jasieński, z nieodłącznym monoklem w oku i wielkim czerwonym krawatem, rezyduje przez jakiś czas w jednym z salonów „Esplanady", przekształconym przez formistów w „gałkę muszkatułową", ale wtedy jego akcja rzadko wybiega poza ramy kawiarni. W okresie pierwszej serii „Zwrotnicy" (1922-1923) futuryści korzystają często z gościny tego czasopisma. Następnie drogi ich rozchodzą się: Bruno Ja-

sieński wydaje ,,Słowo o Jakubie Szeli'' i staje się aktywnym członkiem partii komunistycznej (w tym okresie drukuje w paryskiej ,,l'Humanité'' powieść ,,Palę Paryż'', w latach późniejszych wyjeżdża do Rosji Sowieckiej, gdzie obejmuje redakcję pisma literackiego ,,Kultura Mas''), Stanisław Młodożeniec zwraca się do popularnej poezji ludowej, Tytus Czyżewski — przestaje pisać, Anatol Stern zajmuje się filmem drukując od czasu do czasu na łamach ,,Wiadomości Literackich''; grupa rozprószyła się po świecie. Futuryści nie wywarli głębszego wpływu na poezję polską, nie pociągnęli za sobą nikogo z młodych. *Nie mieli oni czasu przejść od fazy eksperymentowania do okresu realizacji.* Praktycznie biorąc — ich działalność zakończyła się w roku 1923 (5).

DADAIZM

Na futurystach zaciążyły również wpływy dadaizmu. Kierunek ten powstał w Zürichu w czasie wojny (8. II. 1916) z inicjatywy przebywającego tam poety Tristana Tzary, z pochodzenia Rumuna, ale piszącego po francusku. Ogłosił on kilka ,,Manifestów'' w czasopiśmie ,,Dada'' i zorganizował wraz z H. Arpem i Huelsenbeckiem szereg publicznych wystąpień. Istotą dadaizmu była destrukcyjna negacja współczesnej kultury i chęć przeciwstawienia się jej wszelkimi środkami. Im bardziej one były gwałtowne, im bardziej raziły zakorzenione formy mieszczańskie i ustalone normy — tym bliższe były postawionego celu. Po zakończeniu wojny Tzara przybył do Paryża i tu utworzył nową grupę dadaistyczną, do której przystąpiło wielu wybitnych poetów i malarzy: Francis Picabia, G. Ribemont-Dessaignes, Paul Dermée, Marcel Duchamp oraz późniejsi nadrealiści: André Breton, Louis Aragon, Paul Eluard, Philippe Soupault, Benjamin Peret, Max Ernst i inni. Efemeryczne czasopisma i zbiorowe wystąpienia publiczne dadaistów cechowała przede wszystkim

---

(5) Najważniejsze pozycje książkowe futurystów w zakresie poezji: Tytus Czyżewski: *Zielone oko — Elektryczne wizje*, Kraków, 1920; *Noc — Dzień czyli Mechaniczny instynkt elektryczny*, Kraków, 1922; *Pastorałki*, 1925; *Robespierre — rapsod od romantyzmu do cynizmu*, Paryż-Warszawa, 1936.

Stanisław Młodożeniec: *Kreski-futureski*, Warszawa, 1921; *Kwadraty*, Zamość, 1925; *Niedziela*, 1930; *Futurogamy i futuropejzaże*, Warszawa, 1934.

Bruno Jasieński: *But w butonierce*, 1920; *Pieśń o głodzie*, Kraków, 1922; *Słowo o Jakubie Szeli*, 1926.

Anatol Stern: *Mój czyn miłosny w Paragwaju*, 1919; *Nagi człowiek w śródmieściu*, 1919; *Futuryzje*, 1919; *Ziemia na lewo*, 1924; *Anielski Cham*, 1929; *Bieg do bieguna*, 1929; *Europa*, 1929; *Rozmowa z Apollinem*, 1938.

Aleksander Wat: *Namopaniki*, 1921 (?): *Ja z jednej i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka.*

chęć oburzenia opinii i wywołania skandalu. Sprowokowana publiczność protestowała nieraz ostro, ale zachęcało to ich tylko do nowych ekscentryczności. Ta forma działania została następnie przejęta i zaakcentowana jeszcze bardziej przez nadrealistów, którzy celowo rzucali wyzwanie publiczności atakując i lżąc uznane wielkości literackie, nie oszczędzając nawet osobistości zasłużonych, cieszących się ogólnym uznaniem wszystkich Francuzów. Te wystąpienia kończyły się często bójkami którym kładła kres interwencja policji (6).

Wpływy dadaistyczne widoczne były w Polsce w jednodniówkach futurystycznych (zwłaszcza w ,,Nożu w bżuhu'') oraz w niektórych wierszach futurystów, głównie Sterna, którego sztuka, jak twierdzi Bruno Jasieński, jest ,,oparta na nonsensie'', zastrzegając się, iż stanowiska tego nie podziela bo ,,Nonsens jest dynamitem. Mógłby się stać materiałem dla zanarchizowania mas'' (,,Zwrotnica'' Nr 6). Zbiorowy tom ,,Gaga'', nawet tytułem przypomina ,,Dada''. W trzecim numerze ,,Zwrotnicy'' zamieścił Peiper (Listopad, 1922) w formie listu z Paryża, przekład prelekcji Tristana Tzary, wygłoszonej w ,,Théâtre des Champs Elysées''. Tzara głosi wtedy dadaizm w późnej i bardzo zmienionej formie, kładąc nacisk na omal ,,buddyjska obojętność'': ,,Dada jest unieruchomieniem i wyklucza namiętności. Powiecie, że jest to paradoks, skoro Dada ujawnia się przez czyny gwałtowne. Tak, w jednostkach zarażonych destrukcją, reakcje bywają gwałtowne, ale kiedy reakcje te wyczerpią się pozostaje już tylko obojętność. Zresztą mógłbym z tym samym tonem przekonania dowodzić czegoś wręcz przeciwnego''. Dadaizm był wtedy prawie sześcioletnim dzieckiem i przeszedł dużą ewolucję. Czasem jednak odezwą się jeszcze dawne akcenty, gdy Tzara pisze: ,,Każdy wie, iż Dada jest niczym. Odseparowałem się od Dada i ode mnie samego, skoro tylko zrozumiałem doniosłość niczego''.

,W numerze 4-ym tegoż pisma znajdujemy notatkę o ,,trybunale poezji'', który zebrał się w Warszawie w styczniu 1923 roku. W istocie nie było to posiedzenie trybunału, lecz tylko wspólna prelekcja Br. Jasieńskiego i An. Sterna broniąca futuryzmu polskiego przed zarzutem ulegania wpływom poezji rosyjskiej. Tytuł tego wystąpienia przypomina jednak zebranie ,,trybunału literackiego'' zwołane przez dadaistów na dzień 13 maja 1921 w Paryżu, na którym został ,,postawiony w stan oskarżenia'' znany pisarz nacjonalistyczny Maurice Barrès. ,,Trybunał'' ten obradował pod przewodnictwem André Bretona, rolę prokuratora spełniał poeta Ribemont-Dessaignes, a obrońcami

(6) Byłem obecny na tego rodzaju manifestacji w roku 1928 na zebraniu ,,La Tribune Libre du Cinéma''. Nadrealiści wdarli się na estradę i poturbowali przewodniczącego. Demonstracja ta była wymierzona przeciwko kierownikowi ,,Tribune'' p. Charles Léger i jednym z jej głównych organizatorów był Antonin Artaud. Dopiero policja przywróciła porządek i pozwoliła na podjęcie na nowo przerwanej dyskusji.

byli: Louis Aragon i Philippe Soupault. Wśród licznych ,,świadków'' figurował Tristan Tzara.

W duchu dadaistycznym utrzymany był również (w roku 1922 lub 1923) ,,Powszechny meeting w sprawie sztuki'', grupy ,,negatywistów'', który odbył się w sali Kopernika Uniwersytetu Jagiellońskiego, w prawdziwie dadaistycznej atmosferze (perfumowana sala, programowe transparenty itp.). W wystąpieniu tym wzięli udział: J. E. Dutkiewicz, Jan Brzękowski, Julian Przyboś i J. A. Szczepański. ,,Negatywiści'' potępiali całą współczesną literaturę bez jakiegokolwiek wyjątku i głosili powstrzymanie się od pisania, ,,ogólny post twórczy'' przez dwa lata. ,,Meeting'' miał przebieg bardzo burzliwy. Była to — jak się zdaje — jedyna manifestacja, o wyraźnym charakterze dadaistycznym, na terenie polskim.

NARODZINY NADREALIZMU

Już w latach 1922-1923 zaczęły się akcentować różnice dzielące późniejszych nadrealistów od reszty dadaistów. André Breton, Philippe Soupault, Louis Aragon, Paul Eluard oraz, mniej znani od nich: Robert Desnos, Jacques Baron, Max Morice, Roger Vitrac, Pierre de Massot — rozpoczynają wtedy pierwsze próby eksploatowania podświadomości, co doprowadzi potem do *écriture automatique*. Pierwszy ,,Manifest nadrealizmu'' Bretona ukazał się jednak dopiero w roku 1924.

Słowo ,,surréalisme'' pochodzi od Apollinaire'a, który w liście do poety Paul Dermée pisał, w marcu 1917: *Tout bien examiné, je crois, en effet, qu'il vaut mieux adopter surréalisme, que surnaturalisme, que j'avais d'abord employé. Surréalisme n'existe pas dans le dictionnaire et il sera plus commode à manier que le surnaturalisme déjà employé par MM. les Philosophes*. Słowo to posłużyło najpierw za tytuł czasopisma wydawanego przez Ivana Golla, w którym zamieszczono również ,,Manifest nadrealizmu'', pojmowanego jednak zupełnie inaczej, niż nadrealizm Bretona. Ten pierwszy ,,surréalisme'' był *une transposition de la réalité sur un plan supérieur* i nie miał nic wspólnego z ,,pisaniem automatycznym'', ani z freudystyczną eksploatacją stanów podświadomych i marzenia sennego, które cechowały właściwy nadrealizm. Z czasopismem tym związany był m. inn. Apollinaire. ,,Manifest nadrealizmu'' Bretona był późniejszy od tych wystąpień.

Organem nadrealistów była najpierw ,,La Révolution Surréaliste'' (7), której redaktorami byli Naville i Benjamin Péret,

---

(7) 12 numerów, w tym jeden podwójny, w czasie od 1. XII. 1924 do 15. XII. 1929. Pod koniec redakcja została przejęta przez Bretona. ,,Le surréalisme au service de la Révolution'' ukazało się 6 numerów, w tym dwa podwójne, w ciągu od lipca 1930 do maja 1933. Ostatni numer wyszedł po dwuletniej przerwie.

a następnie „Le surréalisme au service de la révolution", który ukazywał się pod redakcją Bretona. Ta zmiana tytułu pisma odpowiada przemianie jaka dokonała się w nadrealistach, a która wyraziła się w nagłym zaakcentowaniu tendencyj społeczno-politycznych. Było to wynikiem zbliżenia się nadrealistów, do grupy skrajnie lewicowych publicystów skupionych wokół czasopisma „Clarté".

Nadrealizm ulegał w ciągu lat stałej ewolucji. W fazie początkowej cechowały go: *écriture automatique* (poeta pisze bez jakiejkolwiek kontroli rozumu przenosząc na papier bezpośrednio stany duchowe tkwiące w podświadomości i spełniając niejako rolę aparatu automatycznie rejestrującego myśli), kult natchnienia, eksploatowanie podświadomości i marzenia sennego w myśl teorii Freuda, nastawienie rewolucyjne wyrażające się najczęściej w brutalnym atakowaniu uznanych wielkości (np. jednodniówka „Le Cadavre", wymierzona przeciw Anatolowi France) (8) i skandalizowaniu opinii publicznej. Z biegiem czasu wzmagały się tendencje komunizujące grupy, które doprowadziły do kilkakrotnych rozłamów. W ciągu piętnastu lat nadrealizm stale ewoluował między komunizmem, trockizmem a utrzymaną w skrajnie lewicowym duchu obroną niezależności literatury od wszelkich dyrektyw. Rola Bretona polegała w znacznej mierze na zachowywaniu równowagi między tymi wzajemnie wykluczającymi się tendencjami.

W pierwszej, początkowej fazie nadrealizmu główny akcent położono raczej na przeżywanie stanów onirycznych (które nieraz sztucznie, zbiorowo wywoływano), a nie — na ich literacką eksploatację. Zebrania nadrealistów w tym okresie przypominały nieco nastroje panujące na seansach spirytystycznych, do czego dodano nieco „esprit dada". Dotyczy to zwłaszcza wspólnych ankiet na różne tematy literackie i życiowe. W okresie późniejszym dużą rolę odgrywali malarze, którzy w obrazach swych tworzyli nieistniejące w rzeczywistości kombinacje przedmiotów, pejzaży, figur ludzkich i zwierząt. W ten sposób „świat" nadrealistyczny przeszedł ze sfery podświadomej wyobraźni do rzeczywistości. Nadrealiści tworzyli również „przedmioty nadrealistyczne" i w późniejszym okresie stosują wynalezioną przez malarza Salvadora Dali metodę „analizy paranoiczno-krytycznej" która była „spontaniczną metodą irracjonalnego poznania, opartą na krytycznej i systematycznej obiektywizacji skojarzeń zbliżonych do delirium".

Sprawa formy literackiej mało obchodziła nadrealistów. Wprawdzie ich wiersze cechował śmiały asocjacjonizm, którego wynikiem była często niezrozumiałość, ale nie widać u nich ani zainteresowania dla problemów formy literackiej, ani chęci

(8) Prawie pod tym samym tytułem („Un cadavre") ukazała się w roku 1930 inna jednodniówka, wydana przez secesjonistów z grupy nadrealistycznej (Desnos, Prevert, Ribemont-Dessaignes i inni) będąca brutalnym załatwieniem porachunków z Bretonem.

jej odnowienia lub świadomego wypracowania własnego wyrazu poetyckiego. Grupa nadrealistyczna miała raczej tendencję do zajmowania się problemami społeczno-politycznymi lub życiowymi, które starała się, często zbiorowo, rozwiązać. Była pewnego rodzaju kolektywem artystycznym, który cechowała niezwykła ekskluzywność, agresywność i brak tolerancji zarówno w stosunku do osób i twórców stojących na zewnątrz, jak i wobec członków grupy. Dlatego piętnaście lat istnienia grupy nadrealistycznej wypełnione były scysjami, wykluczeniami i wzajemnymi — zazwyczaj obelżywymi — atakami.

POWSTANIE AWANGARDY

Aby zdać sobie sprawę z roli, jaką odegrała awangarda krakowska w polskim życiu literackim — należy przypomnieć w kilku słowach stan, w jakim znajdowała się poezja polska w pierwszych latach po wojnie. Dziedzictwo romantyczne i Młoda Polska nie zostały jeszcze przezwyciężone. Pozytywizm, rzecz charakterystyczna, nie zaznaczył się poważniej w dziedzinie poezji, a nawiązania do przedwojennych kierunków francuskich dokonały się przeważnie poprzez młodopolski lub neoromantyczny kanał. Poezję polską w tym okresie cechowały więc bezpośredniość, przesadne obnażanie uczuć i nadużywanie wielkich słów. Nawet pierwsze powojenne reakcje ,,futuryzujące'' (Tuwim) i ekspresjonistyczne (,,Zdrój'') nosiły jeszcze romantyczne piętno. Odzyskanie niezależnego bytu państwowego w roku 1918 — pozwoliło poetom na oderwanie się od ,,służby narodowej'', na porzucenie togi wieszcza i zwrócenie się do innych problemów. Stuletnie panowanie romantyzmu i jego przedłużeń — miało się ku końcowi...

W latach, gdy we Francji rodził się nadrealizm — sytuacja w Polsce była więc biegunowo odmienna. W roku 1922-1923, w chwili gdy nadrealiści czynią próby eksploatacji stanów onirycznych, Peiper wydaje pierwszą serię ,,Zwrotnicy'' (6 numerów). Zespół poetycki ,,Zwrotnicy'' składa się w tym czasie jeszcze z futurystów albo z osób nieznanych. Dopiero w przedostatnim numerze pierwszej serii ukazuje się wiersz Przybosia. Stanowisko teoretyczne pisma zostaje określone w artykułach Peipera: ,,Miasto, masa, maszyna'' w Nrze 2, ,,Metafora teraźniejszości'' w Nrze 3 i ,,Futuryzm'' Nr 6. Pierwszy artykuł wypływa jeszcze częściowo z ducha futurystycznego, ale ,,Metafora teraźniejszości'' zapowiada już drugą serię ,,Zwrotnicy'' i ,,Nowe Usta''. Numer 6-ty był pewnego rodzaju próbą bilansu wartości wniesionych przez futuryzm, która pozwoliła Peiperowi na sprecyzowanie różnic dzielących go od tego kierunku. Już wtedy wypowiada się również przeciw poezji skojarzeń, która stanowić miała później jedną z głównych podstaw nadrealizmu: ,,Nie chodzi o bezpośrednie wypluwanie uczuć lub protokółowanie naturalnego biegu obrazów ,lecz o organiczną budowę poetycką. Nie wolno usuwać w kąt woli twórczej, która formuje materiał prze-

żyć wewnętrznych według zasad artystycznych, która eliminuje i komponuje". („Zwrotnica" Nr 6). Podczas gdy Marinetti (a za nim nadrealiści i dadaiści) twierdzili, że „wszelki porządek jest wytworem intellektu, należy więc układać obrazy według maximum nieporządku". Peiper przeciwstawia się temu twierdzeniu podkreślając, że „bez logiki" nie ma jedności dzieła zbudowanego"... „Bez składni możemy co najwyżej sporządzić inwentarz świata, ale nigdy nie zdołamy oddać życia świata". „Tylko zdanie może być terenem zdobyczy literackich" („Zwrotnica", Nr 6). W rok później sformułuje to jeszcze dobitniej w „Nowych Ustach".

Cytaty te pozwolą nam zrozumieć dlaczego Peiper nigdy nie nawiązał do nadrealistów, podobnie zresztą jak inni członkowie „Zwrotnicy". Jest to tym bardziej znamienne, że w roku 1924, w momencie gdy Breton ogłosił swój „Manifest nadrealizmu", ukazały się dwa tomy poezji Peipera: „A" i „Żywe linie", a w rok później, pojawiła się rozprawka teoretyczna Peipera o poezji „Nowe Usta" oraz wydane pod firmą „Zwrotnicy" pierwsze tomy Przybosia („Śruby") i Brzękowskiego („Tętno"). Pomimo swej zbieżności w czasie „Nowe Usta" nie mają nic wspólnego z nadrealizmem. Podczas gdy Breton propaguje „pisanie automatyczne" i kult natchnienia — Peiper głosi idee rygoru, pośredniości, dyscypliny i konstrukcji. Jest to nie tylko dowodem oryginalności koncepcyj Peipera, ale także wynikiem różnicy terenu i potrzeb literackich. Romantyzm i jego przedłużenia ciążyły nad życiem literackim Polski jeszcze w trzecim dziesiątku bieżącego stulecia. „Skamandryci" wnieśli wprawdzie trochę świeżego tchnienia, Tuwim i Wierzyński porzucili koturny, ale teatralna poza częsta była u innych członków grupy. Dzienniki zalane były produktami naśladowców Młodej Polski, istnieli jeszcze poeci wzorujący się na „Beniowskim" lub „Na ojcu zadżumionych", duchy Kasprowicza, Wyspiańskiego, „krzepę ludową", czasem nawet „nagą duszę" spotkać było można na łamach wielu pism.

W tych warunkach najlepszym sposobem odcięcia się od epoki minionej było propagowanie poezji pośredniej, „wstydu uczuć", dyscypliny, konstrukcji i rygoru. Futuryzm był również próbą, której podstawa miała charakter raczej romantyczny, i dlatego Peiper uważa za konieczne przeciwstawienie się także i temu kierunkowi, mimo jego niewątpliwie nowatorskich tendencyj. Zamiast „słów na wolności" Marinettiego głosi więc zdanie: „Poezja jest to tworzenie pięknych zdań". Ale już wtedy Peiper zdaje sobie sprawę z fundamentalnej różnicy dzielącej język poezji od prozy: „Proza nazywa, poezja — pseudonimuje". Te koncepcje oraz rozszerzenie tematyki poetyckiej na człowieka nowoczesnego (Miasto, masa, maszyna) i przede wszystkim wprowadzenie nowej metafory — miały w tym czasie charakter rewelacji. Musiały one oczywiście wywołać ostre reakcje, gdyż zbyt raziły zakorzenione sądy. Zwłaszcza artykuły Przybosia w drugiej serii „Zwrotnicy" („Człowiek nad przy-

rodą''), atak na Kasprowicza i na Zegadłowicza pt. ,,Chamuły poezji'' w Nrze 7 spotkały się z gwałtowną ripostą.

W ,,Nowych Ustach'' wysunął jeszcze Peiper próbę oparcia budowy poetyckiej na tzw. ,,układzie rozkwitania'' (9), który polegał na dorzucaniu do pierwszego członu nowych słów i kolejnym ich rozwijaniu przy równoczesnym powtarzaniu słów poprzedzających. Próba ta jednak się nie powiodła. ,,Układ rozkwitania'' nadawał się doskonale do zbudowania jednego lub kilku wierszy, ale był zbyt ubogi, by móc na nim oprzeć długofalową działalność poetycką. Dlatego pozostał on wyłącznym odkryciem Peipera i żaden inny poeta nie pokusił się o napisanie wierszy ,,rozkwitających''.

Lata 1924-1925 należy uznać za właściwy okres narodzin ruchu awangardowego. Oprócz ,,Nowych Ust'' i zbiorów poezyj Peipera, Przybosia i Brzękowskiego, ukazały się w tym okresie Ważyka ,,Oczy i Usta'' (również pod firmą ,,Zwrotnicy'') i ,,Semafory'', oraz ,,Upały'' Kurka. Tom Kurka, podobnie jak i ,,Semafory'' Ważyka, został wydany jako publikacja ,,Almanachu Nowej Sztuki'', awangardowego czasopisma literackiego redagowanego w Warszawie przez Stefana Kordiana Gackiego, które niestety zakończyło swój żywot po dwóch numerach.

W roku 1926 następuje konsolidacja grupy i wznowienie ,,Zwrotnicy'' w zupełnie innym składzie. W sześciu zeszytach drugiej serii (Nr 7 ukazał się w maju 1926) współpracują, oprócz Peipera, Jan Brzękowski, Jalu Kurek i Julian Przyboś oraz Zenon Drohocki i Jerzy Kreczmar. Z malarzy : Władysław Strzemiński, Kazimierz Podsadecki, Syriusz Korngold, Doskowski, Feliks Krassowski (którego koncepcja ,,sceny narastającej'' przypomina ,,układ rozkwitania''). ,,Zwrotnica'' drukuje przekłady Kurka, Ważyka, Brzękowskiego, utrzymuje kontakt ze St. Ign. Witkiewiczem (jego sztuki ,,Nowe Wyzwolenie'' i Mątwa, albo Wyrtaniczny Światopogląd'' ukazały się w pierwszej serii), zamieszcza reprodukcje malarzy obcych. Istniała poza tym wymiana czasopism i wydawnictw z zagranicą, które zwracały się do redakcji z prośbą o informacje i artykuły. W tym czasie ukazał się drugi tom Przybosia pt. ,,Oburącz'' (Kraków, 1926). Dwunasty numer ,,Zwrotnicy'' zakończył drugą serię.

AWANGARDA POLSKA NA TERENIE PARYSKIM

Po zawieszeniu ,,Zwrotnicy'' nastąpiła przerwa. Rok 1927 nie zaznaczył się żadną nową pozycją poetycką. Pismo przestało

---

(9) Oto przekład ,,układu rozkwitania'' (początek wiersza Peipera pt. ,,Upadek''):

,,Głód, głód błon, błon rozwartych jak usta,
głód błon rozwartych jak usta kielicha,
jak usta kielicha w krzyku i jak nuta
z której serca czarna gwiazda znikła,''

wychodzić z powodów natury finansowej i od początku walczyło z trudnościami materialnymi nie dysponując żadnym kapitałem zakładowym. Trudności te były tym większe, że gwałtowność niektórych wystąpień powodowała ostre reakcje i pewne księgarnie nie cofały się nawet przed odmawianiem rozsprzedaży „Zwrotnicy". Równocześnie nastąpiło rozprószenie „zwrotniczan" po świecie. Przyboś, po rocznym pobycie w Sokalu przeniósł się do Cieszyna, Brzękowski wyjechał do Paryża i tam nawiązał bezpośredni kontakt z awangardą francuską. W wyniku tego ukazał się w roku 1928, pod firmą redagowanej przez Paul Dermée „Collection des Documents Internationaux de l'Esprit Nouveau", jego zbiór wierszy „Na Katodzie", z kolorową okładką Fernanda Légera. Byto to kontynuowaniem tradycji współpracy poetów z malarzami, zapoczątkowanej przez Peipera, którego tomy zawierały ilustracje Juana Grisa, jednego z pierwszych kubistów, i Kislinga. Nawet w tym tomie nie ma jednak wpływów nadrealistycznych. Awangarda polska nie mogła się pogodzić z „pisaniem automatycznym" i z ogólną postawą nadrealizmu.

W latach 1929-1930 Brzękowski jest współredaktorem ukazującego się w dwóch językach czasopisma „L'Art Contemporain — Sztuka Współczesna". Wydawane bardzo luksusowo zajmowało się ono głównie malarstwem, ale dział poetyki był w nim silnie reprezentowany. Z poetów francuskich zamieszczono tu wiersze Maxa Jacoba, Paul Dermée, Céline Arnauld, M. Seuphora oraz poetów mniej lub więcej związanych z nadrealizmem: Tristana Tzary, Roberta Desnosa, G. Ribemont-Dessaignes i H. Arpa. Georges Hugnet, czołowy przedstawiciel młodszej generacji nadrealistycznej ogłosił tu artykuł, napisany na kilka miesięcy przed przystąpieniem do tej grupy i atakujący jeszcze nadrealizm. (Na szczęście artykuł ten ukazał się tylko w języku polskim — nie spowodował więc gwałtowniejszej reakcji nadrealistów (10). Drukował tu również litewski poeta Juozas Tysliava. Z poetów polskich pismo zamieściło utwory: Brzękowskiego, Brucza, Czechowicza, Jalu Kurka, Peipera, Przybosia. Wielu z nich ukazało się równocześnie we francuskim przekładzie. Z malarzy figurowały tu reprodukcje: Braque'a, Picassa, Legera, Ozenfanta, Marcoussisa, Maxa Ernsta, H. Arpa, J. Miro, G. de Chirico, Malewicza, Mondriana, Theo van Doesburga, Prampoliniego i innych. Z Polaków: przedstawiciele sztuki abstrakcyjnej: Strzemiński, Stażewski, oraz młodzi malarze

(10) Gdy zacząłem wydawanie czasopisma zwróciłem się, po pierwszym numerze do Bretona z prośbą o współpracę, podkreślając jednak, że pismo nie będzie miało charakteru pisma kierunkowego, drukującego wyłącznie nadrealistów, lecz skupiać będzie ogół poetów awangardowych. Breton zwrócił mi list, podkreślając te słowa niebieskim ołówkiem i opatrując je dopiskiem: „Non, Monsieur". Była to typowa manifestacja „esprit dada", przejęta przez nadrealistów, na którą zareagowałem niemniej dadaistycznie i młodzieńczo odsyłając Bretonowi wycinek listu z jego słowami i dopisując: „Désolé, Monsieur". W kilka lat później spotkałem Bretona u Maxa Ernsta — był wtedy czarująco uprzejmy.

stojący wtedy na pograniczu nadrealizmu i sztuki abstrakcyjnej (Grabowska, Wanda Wolska, Riemer, Wysocki). W dziale artykułowym znaleźć można było nazwiska A. Ozenfanta, Jean Cassou, Waldemara George'a, H. Arpa i w każdym n-rze „Kilometraże" Brzękowskiego, określające główne etapy malarstwa i poezji współczesnej. Na uwagę zasługuje wreszcie, że pierwsze wystąpienie przeciw Picassowi, wychodzące z obozu nowej sztuki, miało miejsce w tym czasopiśmie (artykuły Waldemara George'a i Brzękowskiego „P.P.C."), które wywołały wtedy w Paryżu żywe poruszenie.

„LINIA" I POEZJA INTEGRALNA

Po zawieszeniu „Sztuki Współczesnej" awangarda znalazła się bez trybuny. Należało ją więc stworzyć nadając jej jednak inny charakter. Czasopismo paryskie, wydawane w dwóch językach, poświęcone było raczej malarstwu, niż literaturze. Wszyscy poeci awangardowi byli zgodni, iż nowe pismo powinno mieć charakter interwencyjny, to znaczy być wydawane w kraju, zajmować się przede wszystkim poezją i zawierać silnie rozwinięty dział notatek określających stanowisko nowatorów wobec najważniejszych zjawisk literackich. W ten sposób powstała „Linia". Peiper zajął wobec koncepcji tego pisma pozycję wyczekującą i powstrzymał się od współpracy. Oprócz niego na terenie Krakowa znajdował się jedynie Jalu Kurek. Tylko on mógł się więc podjąć tego zadania. „Linia" ukazywała się pod redakcją Kurka w latach 1931-1933 (5 numerów zebranych następnie w formie broszury).

Przerwę między „Sztuką Współczesną" a „Linią" zapełniły wydawnictwa książkowe: Kurka „Śpiewy o Rzeczpospolitej" (1930), zbiór artykułów Peipera „Tędy" (1930), tom Przybosia „Sponad" (1930), skonfiskowany przez cenzurę poemat Peipera „Na przykład" (1931), oraz pierwsze tomy Mariana Czuchnowskiego: „Poranek goryczy" (1930) i „Kobiety i konie" (1931).

„Linia" odegrała rolę kondensatora, który skupił nie tylko poetów dawnej „Zwrotnicy" (Brzękowski, Kurek, Przyboś), ale także młodsze elementy z Krakowa (Czuchnowski, Piętak) oraz z Wilna (Miłosz, Zagórski, Maśliński). W ten sposób awangarda wyszła poza Kraków i od tego czasu zaczęło się jej promieniowanie na inne ośrodki literackie w Polsce.

Oprócz poezji „Linia" przynosiła także artykuły teoretyczne Przybosia, Kurka i Brzękowskiego, które określały poglądy poetów awangardy na nowe sposoby budowy poematu. Pozwalały one na zdanie sobie sprawy z ewolucji, jakiej ulegli poeci awangardowi od czasu drugiej serii „Zwrotnicy" i „Nowych Ust" Peipera. Konstrukcja, dyscyplina, rygor, „wstyd uczuć", były już o wiele mniej potrzebne. Nie miały one charakteru pragmatycznej konieczności, jak w latach poprzednich. Wprawdzie nowa poezja opierała się nadal na nowej metaforze, ale starano się ją

zazwyczaj rozszerzyć do rozmiarów ,,zdania metaforycznego'' lub ,,wizji poetyckiej''.

Te ideę rozwinął przede wszystkim Brzękowski, najpierw na łamach ,,Linii'', a następnie w rozprawce teoretycznej o ,,Poezji integralnej'' (1933). Poezja integralna opierała się na strukturze ,,zmetaforyzowanej'' i na nowej budowie ,,eliptycznej'' polegającej na elidowaniu elementów małowartościowych poetycko, na kondensacji napięć poetyckich i ich równomiernym rozmieszczaniu na przestrzeni całego wiersza. Poezja nie była już więc ,,tworzeniem pięknych zdań'', szukano jej głębiej, między słowami, w ich funkcjonalnej zależności. Osobny rozdział poświęcony był ustosunkowaniu się awangardy do poezji społecznej.

GRUPA ,,a. r.''

,,Poezja integralna'' ukazała się pod firmą ,,grupy a. r.'' w Łodzi, która z kolei stała się przez lat kilka ośrodkiem działania awangardy. W mieście tym przebywał malarz i teoretyk sztuki, twórca ,,unizmu'' Władysław Strzemiński. Zorganizował on przy ,,Miejskim Muzeum im. Bartoszewiczów'' kolekcję sztuki nowoczesnej zasilaną głównie z Paryża przez dary otrzymane od różnych artystów za pośrednictwem Brzękowskiego i Stażewskiego. Przed wojną Łódź była jedynym miastem w Polsce, gdzie można było zobaczyć obrazy Picassa, Légera, Marcoussisa, Maxa Ernsta, Prampoliniego, Ozenfanta, Mondriana, Theo van Doesburga, rzeźby Caldera, Arpa, Vantongerloo i in. Będąc profesorem w szkole drukarskiej Strzemiński miał możność wydawania drobnych publikacyj i dzięki temu ukazały się 3 numery *biuletynu a. r.* ,,Grupa a. r.'' właściwie nigdy nie istniała, ale biuletyn pozwolił skonkretyzować współpracę Strzemińskiego z Brzękowskim i Przybosiem, najpierw w ramach wspomnianego biuletynu, a następnie — w formie wydawnictw książkowych. Jako wydawnictwa ,,a. r.'' ukazały się: Przybosia ,,Sponad'' (1930) i ,,Wgłąb las'' (1930), Brzękowskiego ,,Poezja integralna'' (1933) i tom poezyj ,,W drugiej osobie'' (1933), z rysunkami H. Arpa, oraz Władysława Strzemińskiego i Katarzyny Kobro: ,,Kompozycja przestrzeni''.

WYOBRAŹNIA WYZWOLONA I POEZJA METAREALNA

Wydanie ,,Poezji Integralnej'' było ostatnią pozycją książkową awangardy z zakresu teorii poetyckiej. Od tego czasu poeci awangardy coraz rzadziej i raczej mimochodem powracają do dociekań teoretycznych. Wyjątek stanowi Brzękowski, który ogłasza w latach 1937-1939 na łamach ,,Pionu'' trzy artykuły zasadnicze: ,,Integralizm w czasie'', ,,Wyobraźnia wyzwolona'' i ,,Czas poetycki''. Domagając się zaczepienia rzeczywistości lirycznej w czasie i głosząc koncepcje ,,wyobraźni wyzwolonej''

(w przeciwieństwie do polegającej na niekontrolowanym asocjacjonizmie wyobraźni nadrealistycznej) — zorganizowanej poetycko, Brzękowski dochodzi do „poezji metarealnej" i „nowego humanizmu" przesuwając nacisk z zagadnień formalnych na poza-formalne (wysunięcie postulatu etycznego uzasadnienia poezji, nowego obiektywizmu itd.). Artykuły te wywołały żywą dyskusję, ale nie doprowadziły do wykrystalizowania się jakiegokolwiek nowego ugrupowania, chociaż w pewnym momencie istniał zamiar wydawania w Warszawie pisma pt. „Meta".

Na tym zakończyła się ewolucja teoretyczna awangardy. Jej najwybitniejsi przedstawiciele zamieszczali wprawdzie nadal artykuły w różnych czasopismach, ale miały one charakter fragmentaryczny lub nie pozostający w związku z ogólną linią awangardy.

OSTATNIE LATA PRZEDWOJENNE

„Linia" i „Poezja Integralna" były ostatnim etapem poetyckim, który awangarda przekroczyła zbiorowo. Od tego momentu słowem awangarda zaczęto obejmować już nie awangardę krakowską, ale licznych poetów, którzy nie wchodzili w skład właściwego ruchu awangardowego. Łączyło ich z awangardą, z jednej strony — wspólne przeciwstawienie poezji minionej i skamandrytom, z drugiej — posługiwanie się nowoczesną metaforą, a raczej tym, co można by określić mianem „metaforyzowania" lub „stylu metaforycznego".

Prawie w tym samym czasie, co „Linia" w Krakowie, w Wilnie — wychodzą „Piony" i „Żagary", w których współpracują: Miłosz, Zagórski, Rymkiewicz, Putrament, Maśliński, Bujnicki i inni. W Lublinie powstaje również ośrodek poetycki ale najwybitniejsze jednostki (Czechowicz, Łobodowski) szybko opuszczają jednak to miasto. Z biegiem czasu wielu poetów przenosi się z miast prowincjonalnych do Warszawy (Miłosz, Czechowicz, Piętak, i inni), a równocześnie na terenie stolicy pojawia się także szereg młodych talentów. Wytwarza się nowy front poetycki o nastawieniu awangardowym, nawiązujący najczęściej do Czechowicza, rzadziej — do poetów awangardy krakowskiej. Wśród młodych wybija się kilka nazwisk (Iwaniuk, Domiński, Bronisław Michalski, Stachowski, Śpiewak, Bieńkowski). Także w Krakowie pojawia się nowa generacja poetycka ożywiona duchem awangardowym (Lech Piwowar, Ignacy Fik, grupa „Naszego Wyrazu"). Poetom awangardowym chętnie udzielają gościny różne czasopisma stołeczne i prowincjonalne („Pion", „Wymiary", „Kamena" i inne). Awangarda obejmuje wtedy prawie całe młode pokolenie poetyckie (11) z wy-

(11) Podaję poniżej chronologiczny wykaz najważniejszych pozycyj poetyckich awangardy (w szerokim znaczeniu tego słowa) w latach 1934-1938:

1934 — Czechowicz: „Stare kamienie" (wraz z F. Arnsztajnową); „Z błyskawicy". — Czuchnowski: „Trudny życiorys". — Kurek: „Mohigan-

jątkiem autentystów i poetów zaangażowanych politycznie, skrajnie prawicowo lub skrajnie lewicowo. Omówienie tego ogólnego ruchu o charakterze awangardowym wykraczałoby poza ramy mego artykułu, celem jego jest bowiem danie rysu historycznego powstania i rozwoju awangardy, oraz uchwycenie jej ewolucji teoretycznej, nie wchodząc w ocenę twórczości najwybitniejszych jej przedstawicieli.

AWANGARDA A SPRAWY SPOŁECZNE

Do poezji awangardowej przyczepiono kilka etykietek, które trudno było następnie zmienić. Rewolucja poetycka jakiej dokonała awangarda była tak silna, że nowa poezja, wymagająca od czytelnika aktywnego, a nie jak dotychczas — tylko biernie kontemplacyjnego nastawienia raziła zakorzenione sądy i przyzwyczajenia. Śmiałe metafory wydały się niektórym krytykom dziwacznymi ozdobami bez głębszego uzasadnienia i wtedy powstał zarzut „niezrozumialstwa". Do rozpowszechnienia się tej opinii przyczynił się w dużej mierze Irzykowski, którego „Walka o treść" była utożsamiona przez wielu czytelników z walką o zrozumiałość ekspresji przeciw hipertrofii formy w wierszach awangardowych. W ten sposób wytworzyło się mniemanie, że awangarda zajmuje się jedynie formą i uprawia „sztukę dla sztuki", opartą na jałowym estetyzmie, na oderwaniu się od życia i negatywnym ustosunkowaniu do zjawisk społecznych.

Już w „Zwrotnicy" Peiper podkreślał jednak, że pismo to „pragnie być macicą nowej duszy", że pragnie „wszyć w nowoczesnego człowieka nerw teraźniejszości", że „dzieło sztuki będzie uorganizowane społecznie", że „sztuka służy społeczeństwu także formą swych dzieł". „Nowe elementy budowy poetyckiej

---

gas". — Piętak: „Alfabet oczu". — Piwowar: „Śmierć młodzieńca w śródmieściu". — Ważyk: „Wiersze zebrane". — Zagórski: „Przyjście wroga".

1935 — Łobodowski: „Rozmowa z ojczyzną". — Peiper: „Poematy". — Piętak: „Legendy dnia i nocy". — Putrament: „Wczoraj powrót".

1936 — Brzękowski: „Zaciśnięte dookoła ust". — Czechowicz: „Nic więcej". — Czuchnowski: „Powódź i śmierć". — Kott: „Podwójny świat". Łobodowski: „Demonom nocy". — Michalski Br. L.: „Spotkanie z brzozą". Miłosz: „Trzy zimy". — Piętak: „Ziemia odpływa na zachód". — Piwowar: „Co wieczór". — Rymkiewicz: „Tropiciel".

1937 — Bujnicki: „W połowie drogi". — Putrament: „Droga powrotna". — Zagórski: „Wyprawy". (Brzękowski: „Spectacle métallique").

1938 — Piętak: „Obłoki wiosenne". — Przyboś: „Równanie serca".. — Rymkiewicz: „Potoki" — Śpiewak: „Wiersze stepowe". — (Brzękowski: „Nuits végétales".) — „Arkusze poetyckie": Brzękowskiego, Czechowicza, Czuchnowskiego, Domińskiego, Iwaniuka, Kurka, Przybosia.

Korzystam ze sposobności, by uzupełnić podany w numerze 84 „Kultury" rys chronologiczny lat poprzednich: Brak w nim 2 tomów Peipera („Raz", 1929 i „Na przykład", 1931) i Piwowara („Raj w nudnym zajeździe", 1932). Tytuł pierwszego tomu Zagórskiego brzmi: „Ostrze noża", ale data wydania (1933) jest ścisła. W roku 1933 ukazały się ponadto: Bujnickiego: „Poomacku" i Kurka: „Usta na pomoc".

są odpowiednikami nowej budowy społecznej" — pisał następnie Brzękowski. Niewątpliwie awangarda nie była ruchem o charakterze społeczno-politycznym, ale czyż istotnie była ona tak oderwana od życia i od rzeczywistości społecznej? W pierwszej serii „Zwrotnicy" Peiper zamieścił artykuł zasadniczy „Miasto, masa, maszyna" rozszerzający tematykę i odczuwalność poetycką. Jego celem był nie kult maszyny, ale poszukiwanie nowego człowieka, który jest wytworem miasta, masy i maszyny. W jego tomie „A" znajdujemy wiersze takie jak: „Powojenne wezwanie", „Z Górnego Śląska", „Chorał robotników", jego poemat „Na przykład", nawiązujący do sprawy brzeskiej, został skonfiskowany przez cenzurę. A oto kilka tytułów wierszy wyjętych z pierwszego tomu Brzękowskiego „Tętno": „O Józefie Berecie, mechaniku", „Maszynista Rola Piotr", „Meeting", w tomie „Zaciśnięte dookoła ust" znajdujemy dłuższy poemat „Leforest" osnuty na tle incyndentów wywołanych strajkiem górników polskich we Francji. Przyboś pisze wiersze takie jak „Droga powrotna", „Parada śmierci", „Pieśń o elektryfikacji", „Na budowę mostu na Wiśle", „Na L.O.P.P.". Kurek po „Pieśni o Halinie, córce Jana Żywiołka, robotnika z Żyrardowa", poświęca cały tom „Śpiewom o Rzeczpospolitej" (nie mówiąc już o ponurym realizmie lirycznym jego powieści „Grypa szaleje w Naprawie"). Dodajmy do tego twórczość Czuchnowskiego, niezwykle wyraźnie „zaangażowaną" a przekonamy się, że to oderwanie od rzeczywistości społecznej nie było może tak całkowite, jak się to nieco zbyt skwapliwie twierdzi.

ZAMIAST KONKLUZJI

Dystans, jaki dzieli nas od tego okresu, nie jest wystarczający, by pokusić się o próbę bilansu. Obecne warunki nie pozwalają na to, poza tym większość poetów awangardy nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa, twórczość ich jest nadal żywa i wymagałaby obszerniejszego omówienia, które wykracza poza ramy tego artykułu. Potwierdza to m. in. ogromny, nieoczekiwany wpływ, jaki wywarł Przyboś na młodych poetów w pierwszych latach powojennych. Już teraz można jednak zdać sobie sprawę z tego, co wniosła awangarda do życia literackiego w czasie dwudziestolecia i jak głęboko zmieniła formę wyrazu.

Poezja awangardowa osiągnęła swą maksymalną siłę atrakcyjną w latach 1937-1939. Gdyby wojna wybuchła o kilka lat później — czołowi twórcy awangardy ulegliby może pewnemu skostnieniu, a rzesze naśladowców, które powiększały się z każdym rokiem, zdołałyby prawdopodobnie zdyskredytować jej formę i technikę poetycką. Na skutek wojny powstała jednak pewna luka, zatrzymał się czas i w nowych warunkach nie można było oczywiście zabrać się do spokojnego kontynuowania dawnych zajęć i dawnej twórczości, jak gdyby nigdy nic nie zaszło. Wytworzyła się próżnia i w ciągu dziesięciu lat powojennych

tego ,,vacuum'' nie udało się zapełnić. W pewnym momencie wydawało się, że pojawiają się na horyzoncie zapowiedzi nowej literatury i nowej poezji, ale nadzieje te nie zostały urzeczywistnione.

Poezja obecna niewiele się różni od przedwojennej a rozszerzenie tematyczne ograniczało się przeważnie do strony anegdotycznej i nie potrafiło sięgnąć w głąb. Dlatego wpływy formalne awangardy są nadal widoczne w produkcji poetyckiej ostatnich dziesięciu lat i utrzymują się one tym łatwiej, że obecne warunki działają hamująco uniemożliwiając ekscesy formalne.

Artykuł ten jest krótkim rysem historycznym. Nie ma on na celu wydawania sądu o osiągnięciach tych poetów, umieszczania poszczególnych twórców w nowej skali hierarchii, mierzenia wniesionych wartości i odważania ich ciężaru gatunkowego, ani tak częstego u nas — rozdawania orderów lub pasowania na wieszczów narodowych. Jeśli chodzi o awangardę nie ma w nim słowa oceny i — oczywiście w przenośni — ani jednego przymiotnika, lecz tylko fakty. Przedstawiłem w nim narodziny awangardy i ewolucję wniesionych przez nią idei poetyckich, które ilustruje wybór tekstów.

Napisałem go nie dlatego, że jestem — by użyć słów Majakowskiego — ,,amatorem jubileuszów'', w trzydziestolecie narodzin, ale by utrwalić na płycie pewne procesy, które będą coraz to trudniejsze do uchwycenia, by uwolnić się od prześladującej mnie od szeregu miesięcy obsesji. Czyż najlepszym sposobem pozbycia się kompleksu — nie jest ujawnienie, uświadomienie go sobie, a więc w tym wypadku — ukazanie awangardy w jej historycznym stawaniu się, w jej związku z czasem i epoką? Jest to bukiet fiołków rzucony na grób zmarłej, który jest aktem hołdu, ale także — pozwoli o niej zapomnieć...

Awangarda spełniła swe zadanie i należy do przeszłości. Ale w pewnym sensie żyjemy nadal zapasami z lat przedwojennych, które ona nagromadziła. Nie zastąpił jej żaden wielki poeta, na jej miejsce nie pojawił się żaden nowy kierunek i nie bez pewnego zdziwienia stwierdzamy, że zmiany które zaszły w ciągu ostatnich piętnastu lat — nie wywołały rewolucji poetyckiej, analogicznej do tej jaka głęboko wstrząsnęła poezją w pierwszych latach trzeciego dziesięciolecia. Wyczekujemy nadal na nadejście nowej, oczywiście zupełnie odmiennej, awangardy.

Jan BRZĘKOWSKI

«Pędź latawcze białonogi...»

Było cicho i prawie że laurowo. Oczywiście na Emigracji. ,,Zamek'' trwał, a kilku brodatych i siwych podchorążych regularnie po każdym pierwszym groziło powstaniem. Pewien tygodnik ogłosił ankietę pt. ,,Jakiej pasty do zębów używają nasi pisarze?'', a poeta-myśliciel Lichoń zaczynał czternasty tom dzienników. Produkcja liryczna rosła z każdym obchodem : ogólnonarodowym, dzielnicowym, kończąc na akademiach odbudowanych na Emigracji powiatów. Pocztę doręczano raz do roku, około trzeciego maja.

Nic też dziwnego iż reakcja na mój artykuł sprzed trzech lat nastąpiła dopiero dziś, wiosną roku Pańskiego 1955.

Myślałem, że włożę kij w mrowisko. Gdzie tam. Nie zdołałem nawet przerwać snu dworów polskich rozsiadłych nad strugami Albionu. Lenartowiczowa nie odłożyła nawet robótki ręcznej, zaledwie wydęła pogardliwie wargi. Za to Łobodowskiemu przebrała się miarka cierpliwości. Tyle piszą o poezji, a wszystko nie po jego myśli. Ruszył więc do ataku, pragnąc uderzyć na dopiero co formujące się szyki przeciwnika.

Artykuł jego ma dwa plany. Na przedpolu wprawna ręka polemisty tnie szablą zapraszanych po kolei harcowników. Pod ogniami rac poetyckich popisuje się błyskotliwymi sztychami i raz po raz ostentacyjnie ociera o połę cywilnej marynarki zakrwawioną broń. W ten sposób przenosi uwagę czytelnika z problemu poetyki, jako postawy człowieka wobec świata, na wiersze pana X-a, czy miłego pana Y-greka.

Właściwym jednak celem ,,Polemik'' jest atak na wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zakwestionowali epigońską poetykę biurkowych spadkobierców romantyzmu. Wszystko ma zostać tak, jak było dotychczas. Istnieje hierarchia, obejmująca regularnie przyjętych poetów i urzędnicy zza biurka poezji po prostu nie przyjmą żadnych reklamacji ze strony poetów obarczonych jakimiś tam problemami. Pisać wiersze, panie tego, a nie mędrkować ! A jeżeli pomimo to któryś z nowinkarzy ośmieli się podnieść pióro na wielkich z emigracyjnego Parnasu usadzi-

my go na miejscu, bądź otwartym protestem w prasie, bądź też napiszemy w gazecie, że jest już za stary, żeby mieć rację, albo że za młody, albo że ,,rozwiewa płaszcz wygnańca''. Na polu już nie walki, ale chwały, pozostanie jedynie lojalny obrońca ,,legalizmu'' w literaturze, Józef Łobodowski.

Zanim podejmę kilka punktów, w których sądy nasze są sprzeczne, spróbuję naszkicować sylwetkę mego przeciwnika. Przeciwnika, gdyż walczącego o krańcowo przeciwne rozumienie i tworzenie poezji.

W tym miejscu żałuję iż nie mam na podorędziu pierwszych tomów Łobodowskiego, z czasu kiedy nie pisał wierszy, lecz dudnił nimi o drzwi, za którymi kostniała wyśniona przez wieszczów, ale rządzona przez ludzi Ojczyzna. Byłoby mi łatwo dojść do porozumienia z poetą buntu, z poetą, pragnącym jakiejś zmiany, z poetą, którego wiersze, lepiej niż czyje inne, wyrażały gorycz pokolenia.

Nie odwracajmy oczu od kalendarza. Licząc lata, które upłynęły od Września, zrozumiemy wszystko. Buntownik, wyrwany ze swego społeczeństwa, zwolniony od nacisku spraw Polski Codziennej, wyrzucony na mieliznę Emigracji, musiał, jak my wszyscy, uchwycić nową równowagę. Walkę zastąpiło marzenie o walce, a bicie pięścią zastąpiła biblijna klątwa... Nowe warunki określiły poecie nową postawę. A na domiar złego kilku zaczadzonych historią rodaków zaczęło na gwałt odczyszczać pluszowe fotele po romantykach. Na jednym z nich posadzono pachnącego zgrzanym koniem i wiatrem Kozaka.

Nie wiem jak się tam czuł. Chyba dobrze, skoro nie kopnął podstawionego mu fotela. Na pewno dobrze, skoro ruszył do ataku w obronie ,,legalizmu''.



Cieszę się, że Łobodowski poruszył sprawę samego terminu *Awangarda*. Są dwa określenia tej nazwy, węższe i szersze. Według pierwszego inicjatorami i czołowymi poetami tego kierunku byli : Brzękowski, Peiper i Przyboś. Określenie drugie, mniej ,,geograficzne'', obejmuje także poetów z innych środowisk, np. lubelskiego, warszawskiego, czy wileńskiego, a raczej tych z pośród nich, którzy wzbogacili naszą lirykę o nowe odkrycia. Dlatego też zestawiłem w proponowanej przeze mnie czołówce nazwiska Przybosia i Miłosza. Z przyjemnością uzupełniam je Czechowiczem, jak tego słusznie domaga się Łobodowski. Niestety, nie mogę wprowadzić do mego ,,raju'' Marii Pawlikowskiej. Pomimo iż Łobodowski stawia mi wprost ultimatum... Przykro mi, ale nie widzę jej obok autentycznych twórców. Subtelność, zwiewność, czy nawet biżuteryjna kosztowność jej cacek ma swoje miejsce pośród bogactw naszej liryki — ale nie posuwajmy aż tak daleko męskiej galanterii, aby zapraszać Pawlikowską do pierwszego rzędu...

Jeżeli pisałem, czy piszę o poezji i cytuję pewnych poetów

i pewne wiersze, to tylko dlatego, iż subiektywnie uważam je za piękne. Twórców cenię za wiersze, a nie za deklarowanie się przy tej czy innej „szkole”. Metafora jest dla mnie zaledwie jednym z wielu środków zwięzłego wyrażania wizji poetyckiej. Przyjaźnią mą darzę zarówno niektóre wiersze Tuwima i Wierzyńskiego, jak i Przybosia — pomimo głębokich różnic ich warsztatów. Podobnie podchodzę do wszystkich poetów. Cenię ich szczere i samodzielne szukanie — i pisząc o ich książkach, przytaczam ich poezje, niezależnie od wyznawanej przez nich poetyki.

Jestem wrogiem jakiejkolwiek postawy dogmatycznej i godzę się z Łobodowskim, gdy pisze iż „nigdy jeden kierunek artystyczny nie może uzurpować sobie praw do prawdy jedynej i wyłącznej”.

Są poeci utalentowani i inni, którym Natura poskąpiła tego daru. Tak samo jest w sztukach plastycznych. Stopień figuratywności, czy abstrakcji nie przesądza o wartości płótna. Talent sankcjonuje zarówno dzieła figuratywne, jak i wizje rozbitych na atomy rzeczy, spisane kolorem.

Tylko że nikt by dziś nie zniósł na wystawie obrazu à la Matejko, czy Styka (mówię oczywiście o krajach wolnych). Niech się więc Łobodowski nie dziwi, że nie cenię również poetyckich anachronizmów.

Łobodowski wybrał sobie rolę niewątpliwie łatwą. Wszyscy przed nim „krzywdzili” poetów, psioczyli i krytykowali — on pociesza. To co ja oceniłem surowo, on „ocenia wysoko”, popierając swą opinię sentymentalnym obrazkiem posiwiałego w walkach wiarusa Przyłuskiego. Z równą czułością pisze o „coraz bardziej samowystarczalnej metaforyce miniatur Czuchnowskiego”. Boże, co to znaczy? To już niemal ekonomiczne podejście do liryki... Inaczej mówiąc, „dał słowo honoru” kilku sponiewieranym przeze mnie mistrzom, że są mistrzami. Szkoda tylko, że ani razu nie spróbował podważyć moich konkretnych i szczegółowo wyliczonych zarzutów. Widocznie uważa iż wystarczy, aby on, Łobodowski, stwierdził, że myśli inaczej — a prawda automatycznie przechodzi na jego stronę.

Przepraszam, raz usiłuje — jak pisze — „porozumieć się” ze mną. Natrafił bowiem na „niepokojący passus” w mej recenzji *Mowa bez ziemi* i pisze iż wyrażenie poetyckie Śmieji (*„tuż obok/przycumowany niewinnością/ stał wózek/ a w nim niemowlę/ ukołysane zgiełkiem ulicy, z buzią w krainie czarów.”*) uważa za wręcz fatalne poetycko”. A ja napisałem o tym samym zdaniu, że „uderza przez swoją trafność”.

Czytelnik zdziwi się, gdy spokojnie wyjaśnię, że Łobodowski oparł swój „dowód”... na pomyłce. Gdyby nie pogarda, jaką żywi dla filologii, zauważyłby łatwo, że Śmieja *przycumował* wózek dziecka *niewinnością*, a nie *z niewinnością*, jak mylnie przytacza Łobodowski. Po czym dalejże żartować, że „lilia na bruku”, że „dziewica opancerzona niewinnością”...

Po co szukać tak daleko? Jest wykład tego wyrażenia bardziej prosty, bez „dziewic”, bez „bruku” i „lilii niewinności”.

Oto fakt, który wyraził poeta : Na ulicy wielkiego miasta, gdzie wszystko jest gwarem, miganiem kolorów, opętanym jazgotem klaksonów i hamulców — gdzie wszystko jest ruchem, ucieczką czy gonitwą — jedna, jedyna rzecz uniknęła jakimś cudem (może niewinnością?) wspólnego losu maszyn i ludzi-robotów : wózek z niemowlęciem. Wbrew powszechnemu pędowi jest oazą najgłębszej ciszy, snu. Jest *przycumowany*, więc *jest barką*. Unosi się na powierzchni wzburzonego żywiołu, i choć kruchy, nie tonie.

Dlaczego mnie ten obraz wzruszył poetycko, a Łobodowskiemu wydał się ,,fatalnym''? Dlaczego mnie przywołał na myśl morze, a Łobodowskiemu kilka ,,kawalerskich'' skojarzeń?...

A propos *Strof o malarstwie* Przyłuskiego Łobodowski podejmuje się obrony tego co nazywa ,,rodzajem mieszanym'' to jest poematu opisowego. Pisze : ,,Wolno Pankowskiemu uznać ten rodzaj za podrzędny w hierarchii wartości poetyckich, ale niechże mu nie odmawia prawa bytu''.

Pragnę Łobodowskiego uspokoić. Broń Boże, ,,nie odmawiam prawa bytu'' ,,rodzajom mieszanym'' — uważam je tylko za anachronizm. Wbrew temu, co twierdzi autor ,,Polemik'', uważam, że Przyłuski mógł był napisać swą książkę prozą, choćby z tego powodu, że prozą napisał Malraux swe ,,Les voix du silence'', utwór, o którym na pewno wiedział Przyłuski, zabierając się do pracy.

Łobodowski usiłuje wywołać wrażenie iż moja recenzja ze ,,Strof o malarstwie'' była krzywdząca. A tymczasem w utworze tym odróżniłem dwa elementy : ,,dobrą poezję'' i ,,informacje historyczno-techniczne''; i żałowałem, że poeta przedzielił piękne strofy prozą komunikatywną, nie dotkniętą barwą natchnienia. Twierdzę nadal iż książka ta jest nieporozumieniem, gdyż pisząc historię rozwoju malarstwa, Przyłuski musiał dać wstawki informacyjne. A te, z natury rzeczy są antypoetyckie. Niech *temu* zaprzeczy Łobodowski, zamiast poklepywać autora *Strof* i zapewniać go o swej sympatii.

Poemat opisowy spełniał niegdyś rolę bardzo ważną : był jednym z naczyń, w których podawano poezję. I nie tylko poezję, również wiedzę, którą dziś nazywamy ścisłą, a która w dawnych wiekach współżyła z mitem. Traktaty medyczne, historie świata, rozprawy o myślistwie, o dobywaniu metali, czy uprawie roli — tysiące takich ksiąg zawierają nasze europejskie biblioteki. Nie mówiąc już o gramatykach, bądź katechizmach, podających w szacie rymów deklinacje, czy grzechy główne.

Dlaczegoż by więc dziś nie kontynuować tego rodzaju? Myślę że można i dziś opracowywać wierszem tematy moralne, polityczne czy historyczne — trzeba jednak, aby poeta zgodził się iż ocena tego rodzaju prac odbywa się przede wszystkim w płaszczyźnie tych zagadnień, którym autor poświęcił swój utwór. *Złotą Hramotą* zajmą się w przyszłości przede wszystkim historycy stosunków polsko-ukraińskich. Tych zaś spośród nich, których opinie pokrywać się będą z opiniami Łobodowskiego, ucieszą

liczne i brawurowe ozdobniki poetyckie, wzmacniające na sposób liryczny wymowę idei.

Gdyby jeszcze dzisiejsi autorzy poematów opisowych potrafili od czasu do czasu mrugnąć okiem w stronę czytelnika, stworzyć *nową umowę*, być może owe zagadnienia wierszem nie zalatywałyby myszką pierwszej połowy 19-go wieku. I może potrafiłyby przemówić do nowoczesnej wyobraźni czytelnika i do nowych wymogów intelektu. Ma po stokroć rację Winczakiewicz, pisząc o „zapatrzeniu w przeszłość".

Łobodowski sypie w oczy czytelnikowi złotym piaskiem, wyliczając tytuły wielkich poematów z przeszłości. Lekką ręką dorzuca do rzędu *Beniowskiego* i *Pana Tadeusza* utwór Przyłuskiego. Ileż tu nieporozumienia...

Pomijam proporcje, chodzi mi jedynie o *ton* zestawionych pochopnie utworów. Tekst Przyłuskiego, zawsze „na serio", jednowarstwowy, kontynuuje tradycje dawnych poematów. Po staremu, kolejno wylicza odrębne, chronologicznie ułożone fakty. Podobny automatyzm, naśladujący poetycki gest poprzedników, możemy zauważyć w twórczości lat ostatnich Jastruna i Ważyka, który uprościwszy formę i ułatwiwszy (dla ludu, dla ludu!) obrazowanie, uwierzyli naiwnie, że „nawiązali do tradycji poezji narodowej". Zapominają o tym, że prostota i „czytelność" Mickiewicza datują się... sprzed stu lat, i że kto *dziś* pisze jak Mickiewicz, niestety nie jest drugim Mickiewiczem (1).

Miłosz dał w swoim *Traktacie moralnym* pokazową lekcję twórczego czerpania z tradycji. W oprawie lekkiego wiersza, potoczystego i pełnego swady, gdzie żart zasępia się nagle, odsłaniając widok na prawdę czasu — który *„Ruinom trochę dał powojów, Nadziejom gorycz, sercom skrytość..."* — dał poemat nie mający, mimo twierdzenia Łobodowskiego, nic wspólnego z opisowością. I nie w linii *Pana Tadeusza* trzeba ustawić Miłoszowy *Traktat*, lecz tuż obok *Ustępu III-ej części Dziadów*, („Przegląd wojska"). Miłosz nie pokazuje, oderwanych elementów jednego tematu, w obiektywnym wyliczeniu. Idee są wrośnięte w cierpiącą psychikę człowieka. To nie podręcznik eschatologii spisany wierszem, lecz poezja zadumy nad rzeczą ludzką.

Łobodowski bierze z tradycji jej przedawnione oblicze, i nie wie że trzeba je ponowić o sto lat ogromnych przemian. Broni poetyki będącej na usługach rzeczywistości pojętej *statycznie*. Poeta powtarza otaczające go obrazy, bądź też „upiększa" je, podając stary świat w odświętnej formie wiersza.

To był i jest mój główny zarzut: stwierdzenie bezruchu, patrzenia na świat oczami śniętej ryby. Cóż z tego że tematyka jest różna, że raz o lisie, a raz o tym że ckni mi się — poeta sadzi kwiatuszki na zboczu góry, zamiast zbudować górę nową,

---

(1) Podobnie we Francji (opowiadał mi o tym jeden z komunistycznych krytyków literackich) udało się Aragonowi przekonać partyjnego poetę Guillevica, że trzeba dziś pisać sonety, bo to forma... narodowa. I napisał, niestety.

nie wyświechtaną wiatrami („iść tamtędy, kędy wczoraj ścięto brzozy na bierwiona,/ by usłyszeć pierwszą ciszę po ich szumie").

Do drugiej połowy XIX wieku panowała niepodzielnie estetyka zalecająca twórcom naśladowanie natury. Tak rzeczywistość, jak i twory fantazji wyrażane były, jeżeli chodzi o poezję, składnią tradycyjną, okraszoną pewną dozą odświętności. Język zaś był czymś wtórnym; starzał się i tracił blask fosforyczny. Od czasu Rimbauda i Mallarmégo zaczyna się kształtować inna poetyka. Według niej piękno tkwi przede wszystkim w *twórczych możliwościach samego języka*. Natchnienie, dobywane z rytmu krwi, czy z przepaści ludzkiego mózgu, nie jest przycinane do granic *istniejącej* mowy poetyckiej. Każdy wybuch liryzmu osadza się nową wyspą na powierzchni potocznej mowy poetyckiej. W miejsce obrazów typu: *nów-sierp*, lub *pierś-jabłko*, poeta tworzy nowe, nie dające się sprowadzić do wyobrażeń plastycznych, np. „*J'ai heurté, savez-vous, d'incroyables Florides...*" albo „*Miejsca po ich obalonych koronach* (brzóz)/ *wznosiły się w górę,/ trochę jeszcze widoczniejsze od powietrza.*"

Laboratorium, powie Łobodowski. A może czuwanie u drzwi tajemnicy. Rzecz jasna, że miernemu poecie nie pomogą najlepsze przepisy, ale talent winien mieć przed sobą wyłamany brzeg horyzontu, by móc pójść jak najdalej, tam, gdzie przed progiem mowy czekają nań niezjawione istnienia, prosząc o imiona. Bo poezja to mowa, przede wszystkim mowa. Świadomie kierowana furia słów, biorąca początek z serca. Dlatego poeta musi być filologiem. Cała mowa narodu, w jej szumiącym bogactwie, winna krążyć nieustannie nad twórczym zamysłem poety.

Nie wszystko da się rozwiązać przy pomocy reguły trzech, i Łobodowski ujawnia uproszczone podejście do poetyki, gdy pisze: „pejzaż również jest czymś od poezji różny, a jednak podlega poetyckiemu opisowi".

Tu się różnimy zasadniczo! Pejzaż nie „podlega poetyckiemu opisowi". Nic nie podlega opisowi, gdyż nowoczesna poezja nie opisuje. Wiersz tworzy, burzy, „jest (jak mówi chilijski poeta Vicente Huidobro) faktem nowym, niezależnym od świata zewnętrznego, uwolnionym od wszelkiej rzeczywistości, innej niż jego własna, gdyż ma swe miejsce w świecie jako zjawisko niezależne, odrębne i różne od innych. Tak pojęty wiersz jest czymś co może powstać tylko w głowie poety. Wiersz jest wierszem, jak pomarańcza jest pomarańczą, a nie jabłkiem". I dalej: „Twórzcie poezję, ale nie pacykujcie nią rzeczy. Odkrywajcie ją!"

Proponuję Łobodowskiemu rozwinięcie *tego* problemu, wymianę myśli na *ten* temat, na pewno ważniejszy, niż to czy czyjeś wiersze pasują do moich artykułów o poezji...

◆

Na marginesie chciałbym dorzucić jeszcze kilka wyjaśnień. Myli się grubo Łobodowski, pisząc iż „zdarza się też Pankowskiemu wywalanie otwartych drzwi... gdy kpi z tzw. „stylu sera-

fickiego''. Niestety, drzwi są stale zamknięte. Wprost wierzyć się nie chce, jak twarde życie mają te sacharynowe słodkości. Sięgam po ostatni numer emigracyjnego tygodnika i czytam: ,,I zasieję tęczowe wspomnień polskich ziarna,/ Z których wyrosną malwy wszystkich dni szczęśliwych.'' Aż mdli! A gdyby Łobodowski poczytał funty papieru lirycznego sfruwające na stół redakcyjny, zgodziłby się ze mną, że chodzi tu nie tylko o ,,banalne zestawienia'' ,,słów mających pełnię praw obywatelskich'' — lecz o zbyt długo trwające korzystanie z pewnej, określonej części słownika poetyckiego. Słowa są jak ludzie, potrzebują wakacji.

Przesadza Łobodowski, obawiając się, że obóz wyimaginowanych przez niego zwolenników metafory zechce ,,przeprowadzić jakieś generalne porządki w domu literatury''. I w udanej obawie cytuje nazwiska przyszłych ofiar czystki, między innymi Kochanowskiego i Mickiewicza.

Chciałbym i tym razem uspokoić przerażonego poetę. Tak źle nie jest. Wprost przeciwnie. Przyboś od lat poświęca wiele uwagi poezji i poetyce Mickiewicza (p. świetny essej pt. ,,Widzę i opisuję'' w *Twórczości* z lutego 1948, jak również Wstęp do narodowego wydania Dzieł Mickiewicza, jak również ogłoszona ostatnio w ,,Nowej Kulturze'' (Nry: 22 i 23, 1955) poważna rozprawa pt.: ,,Najwyższy z czujących''). Wspominam o tym, ponieważ Łobodowski prosił o ,,twierdzenia opierające się solidnie na konkretnych realiach: nazwiskach, tekstach''.

Na koniec mała prośba. Niech mnie więcej Łobodowski nie straszy. Niech mi nie grozi nagłą i niespodziewaną śmiercią za ,,zbyt jurne potrząsanie «nowości kwiatem»''. Czyżby chciał powiedzieć, że Józef Stachowski dlatego nie przeżył drugiej wojny, że ,,zbyt jurnie potrząsał «nowości kwiatem»? Drogi Poeto, komu i po co ten bajer? Czyżby pobyt za Pirenejami aż tak ucnotliwiał, że Łobodowskiego razi wszystko co ,,jurne'' i ,,rozhukane'', i dlatego co chwilę doradza mi pokorę, ostrożność i tym podobne zakrystyjne staropanieństwa?

Mówmy do człowieka, ale wciąż na nowo! Potrząsajmy ,,nowości kwiatem''. Rozbudzajmy wrażliwość ludzi, smagając ich wyobraźnię biczem skręconym z bławatów o zapachu pioruna.

,,Pędź, latawcze białonogi...''

Marian PANKOWSKI

Wiersze



Wczoraj nie czas było do kaplic chodzić
pod figurami się modlić, łzy lać
bo życia tyle było wkoło, jak upału
co się wzdłuż ścieżki polnej kołysze
przez głogi zaglądając.

Bo wczoraj mówiło się : piosenka,
i tak i siak, i jakoś to będzie,
jak bąkowi gdy mu życie miłe
od kwiatu do kwiatu; i ręce
mi podaj ponad kłosami
przepasz się skowrończym głosem
ciur-ciur-ciurlit u południa,
Warta leniwa i Wisła w piaskach
złotych;
więc nie czas było po kościołach
siedzieć i wota wieszać i w czarne
lica spoglądać, krwi zbierając
krople w różaniec: bo tak
zakonnice traciły ten czas na primy
na jutrznie na pokuty niezawinione,
tak zakonnice w ciemnych celach
(choć kwiaty się chwiały w klasztornym ogrodzie)
czas ten traciły letni, czas wtorkowy,
czas poniedziałkowy, przedziwny

Bo wczoraj szło się na spacer razem
gdzie się polne róże złotą gałką wdzięczą,
poza kartofliska białe i zielone,
poza czyjeś tam ogrody tajemnicze,
poza te dziecięce żywopłoty;

i śpiewało się haj, i ha-ha
i całowało się popołudnie,
choć wróg na głowie cienia stał
i ku śmierci niedalekiej poglądał

Wczoraj

Dzisiaj jest już za późno.

Toronto, 25.10.54.

Janusz A. IHNATOWICZ

GDZIE MIESZKAM

Lilianie.

Mieszkam głęboko w ziemi
bym tym lepiej wiedział
jak daleko do nieba
...czym jest ból

niewesołe jest moje mieszkanie
nie ma w nim uśmiechniętych portretów
wytarty dywan
jest jedynym pejzażem
a książki lasem
w którym szukam z miłością
drzew cienistych
przyjaciół mądrości

lecz niewesoła jest mądrość
kwintesencja
humanistycznych spraw
w blasku jej widzę
zmarszczki serc
i oczu bezwstyd
i myślę
daleko nam
daleko do nieba

i wtedy
żal mi półmroku
w którym twarz kobiety
wschodzi tajemnicą
i pięknem.

Zygmunt ŁAWRYNOWICZ

SYN MARNOTRAWNY

ciało ku górze wystrzela
ręce wołaniem ogromne
i usta rybie skrzela
głosu nie pomną

ręce ku górze wydarte
krzyk nagle skamieniały
i ręce wzniesione tylko
jakby o coś wołały

a teraz milczą i rzeźba
milczy to cisza woła
cisza co z ust się wyrywa
i bije w dzwony w kościołach
krzyk ciała na klęczkach wołanie
słyszę je nie zapomnę
serce człowieka zbite
złamane ale niezłomne

Tate Gallery, 7.6.1954.

Z. ŁAWRYNOWICZ

ART POETIQUE

na nutę Eluarda.

na korze dni sosnowych
wycinam poetycki tatuaż
na białych piaskach składam
żywicę serca

na marginesie milczenia
piszę namiętne wyznanie
na złotych plażach rozsiewam
wołanie muszli

na tabliczkach ruchomych czasu
piszę diamentem słowa
na oknie uchylonym w noc
srebrzysty ślad

na murach kolczastej niewoli
na progu upiornej nędzy
na oknie otwartym w życie
śpiewam mój gniew

w pogańskich świątyniach stolic
w mrocznych kościołach ulic
wołam o dzień gotycki
witraż łask

na ścianach w jaskini prymitywu
na lustrze złej cywilizacji
na szczytach niedosięgłych okiem
piszę Człowiek

i na strunach Dawida
na katedralnych dzwonach
na żaglach ewangelii
odpowiadam Bóg

Londyn, 7-10 marzec, 1955.

Z. ŁAWRYNOWICZ

W REDAKCJI

Wtoczyli okrągły, ogromny stół
I kamień na nim położyli.
Mówili. Dźwigali milczenie,
Czerwone wino pili.

Dłonie nurzali w nagłych rzekach,
Topiących stary świat.
Na braci z prądem płynących wołali...
A pies uszyty z kruczej nocy
Przy winie czerwonym głowę kładł.

Głos tam się garnie — gdzie stoi chór,
Tam toczą kamień — gdzie budowa.

Że pośród mórz zaledwie stół?

Gdy wiatr przychyli się
Z kamienia — dom,
Z dębiny znów dąbrowa.

Lipiec, 1954.

Marian PANKOWSKI

NADEJŚCIE NOCY

niebo
ociemniałe
parasol nad rtęcią morza

pocięte skrzydłami mew
opada na widnokręgu

suknia z ramion
mijającego dnia

tępe morze
szeleści
— o dniu
któryś mnie wydał —
(papiery
porzucone
łopocą o pomoc
mewy
unoszą w dziobach
zebrane uśmiechy)

schylam głowę

więc to dzień minął

16. 2. 55.

Jerzy S. SITO

SKRZYDŁO

Nie jak ptak bez skrzydła zostałam,
lecz jak skrzydło — gdy ptak zaginął —
W bezgranicznej pustce, poszarpane,
samo jedno, bezsilne skrzydło...

Nie jak człowiek co stracił pół siebie,
lecz jak upiór: bez duszy i ciała.
Tak zostałam. Tak żyję bez Ciebie.
Bez nas dwojga. Podwójnie umarła.

To nie rozpacz tylko, nie żałoba,
Niż śmierć więcej. Niż męka i miłość,
Byłeś mną, a ja byłam Tobą.
Samą siebie, gdyś zaginął, utraciłam —

III. 1951.

Elżbieta SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA

WŁOSKI PASTICHE

Adamowi Czerniawskiemu

Cyprys przez romantyków opłakany tylu
Duma nad białą wstęgą ocienionej drogi,
Co się wije przykładnie wśród wzgórków łagodnych,
A laur oskubany do szczętu na wieńce
przez poetów, statecznie mu ukłon oddaje.
Sielski zefirek pulchne policzki wydyma
I błogo szemrzą senne oliwkowe gaje.
Pod błękitem z piosenki pyzata twarz słońca
Przegląda się i mizdrzy w lazurze zatoki.
I wielka cisza stoi nad płócienną sceną,
Co mistrzowi za wcześnie uciekła spod pendzla.

ale białą drogą
ludzie idą
łachmany i węzełki
i bose nogi
łamią konwenans
pastoralnej sceny
Filon na flecie
nad strumykiem
nie grywa
tylko chłop brudny
w jałową glebę
sochę wgryza
pot w ziemię spływa
i rosną na nim
osty i ciernie
gdzie się podziały
laury, błękity
lazury, cyprysy,
umowny świat?

26 2. 55.

Bolesław TABORSKI

Przekłady

MODLITWA MOJEJ MATKI PRZED ZMROKIEM

Niech twoje światło, Panie, tylko dniowi świeci
A tylko ciemność zachowaj dla nocy.
Niech moja suknia ubogiej kobiety
Spokojnie leży na krzesełku w nocy.

Niechaj w klasztorze umilkną już dzwony,
Mój sąsiad Iwan niech ich nie kołysze,
Niech nocny wiatr odejdzie w inne strony
Żeby dzieciom w kołyskach było jak najciszej.

Niech kury śpią na grzędach, w stajniach konie
Pośrodku ciemnej nocy.
Kamień sprzed nogi złodziejowi odejm
Żeby nie upadł idąc w ciemnej nocy.

Napełnij niebo w ciemnej nocy ciszą,
Błyskawice powściągnij, przytłum gromy,
Niechaj rodzące matki ich nie słyszą.
Niech nikt nie będzie i w myśli skrzywdzony.

Uchroń od grozy ptaki w czas noclegu
Na wysokim drzewie w dzikim lesie.
I wód ryczących nie wypuszczaj z brzegów.
Niech rzeka w nocy kładek nie uniesie.

Mnie samą chroń od wody, błyskawicy,
Przeciw ogniowi bądź mi ku pomocy.
Niech moja suknia ubogiej kobiety
Spokojnie leży na krzesełku w nocy.

Nuchim BOMZE

Przekład z yidish Czesława Miłosza

MI ABUELA INDIA (*)

Nie mogę cię zapomnieć, abuela india
bo we krwi mojej wszystkiej jesteś wciąż obecna
i rośnie las twych wspomnień — cała przeszłość mija
wśród strzał, w śmigłych oszczepach, w tęsknych okarynach.

Nie mogę cię zapomnieć, abuela india,
Gdy nocny galop tętni i jeźdźca przyzywa,
roznieca się ma przeszłość pieśnią tajemnicy
i mówi mi, że we mnie twoja krew przepływa.

Ja cię zapomnieć nie mogę, abuela india,
bo wszystkie twarze tubylców, co znają ból i smutek,
noszą piętno twej twarzy, zarys twojej głowy,
któryś dała nam jako owoc twego życia.

Ja cię zapomnieć nie mogę, abuela india.
Ty ściemniłaś mi skórę szarą grudką gliny,
ty mi zasmuciłaś włosy i oczy mi zasmuciłaś —
i wewnątrz mnie, w mym sercu pozostał twój śpiew,
któremu dal i czas dały smak historii,
któremu dal i czas dały wieków miłość.

Julio H. URTUBEY

Tłumaczyła Józefa Radzymińska

POEZJA ARABSKO-ANDALUZYJSKA

Jest to poezja Arabów zamieszkałych w południowej Hiszpanii w wiekach VIII-XV. Latorośl ta wzrosła w szczególnej atmosferze krzyżujących się wpływów Wschodu i Zachodu. Wynikła ona z pomieszania nowych elementów z klasyczną poezją arabską, z reminiscencjami i mitologią beduińską.

Poezję tę uprawiali prawie wszyscy kulturalni Maurowie a poeci nadworni cieszyli się poważaniem i opieką. Poezja rozbrzmiewała na turniejach poetyckich, na wieczornicach, z listów, paszkwilów, peanów, erotyków i filozoficznych lub religijnych refleksji. Koncept i metafora są jej osią. Stąd jej urok, również niebezpieczeństwo przeładowania. Często poezje te stają się ozdobnymi arabeskami. Nieraz zachowały się one tylko we fragmentach, czasem z całego utworu pozostała pojedyncza metafora.

Poniższe utwory wyjęte zostały z epokowej antologii *Poemas arábigo-andaluces*. Jej autor, Emilio García Gómez, wybitny orientalista hiszpański wydał ją po raz pierwszy w 1930 a powiększył w 1940. Niniejszy wybór

(*) Moja indiańska babka.

w przekładzie polskim ma na celu zaznajomienie polskiego czytelnika z tą ciekawą twórczością Arabów. Starając się o wierne oddanie tekstu, tłumacz tylko w niektórych miejscach użył omówienia dla większej jasności.

FLORIAN ŚMIEJA

CZYSTOŚĆ

Choć była mi powolna, wstrzymałem się od niej
i nie usłuchałem pokusy, którą mi dawał szatan.

Przyszła w nocy bez zasłony i ciemności
oświetlone jej twarzą też wówczas zasłon uniosły.

W każdym jej spojrzeniu drzemała podnieta,
co niepokoiła serca.

Ale dałem przemoc boskiemu przykazaniu,
co potępia zmysłowość,
nad kapryśnymi porywami rumaków mych namiętności;
aby mój instynkt nie buntował się przeciw czystości.

I tak noc z nią spędziłem
jak spragniony młody wielbłąd,
któremu uzda ssać nie pozwala.

Zagajnik to, gdzie taki jak ja
może najwyżej patrzeć i wąchać.

Bo nie jestem jak rozwiązłe zwierzęta,
co ogrody biorą za pastwisko.

Ben Farach (zm. 976.)

PO HULANCE

Kiedy, pełna znużenia, zasnęła
i zamknęły się oczy biesiadników

zbliżyłem się bojaźliwie ku niej,
jak kochanek, co szuka ukradkiem dotknięcia.

Podczołgałem się do niej niepostrzeżenie jak sen
i jak oddech słodko się ku niej uniosłem.

Pocałowałem jasną białość szyi,
spiłem żywą czerwień jej ust.

I spędziłem z nią noc wspaniale,
aż kiedy ciemności się zaśmiały
ukazując białe zęby jutrzenki.

Ben Suhayd (992-1034.)

ODWIEDZINY UKOCHANEJ

Przyszłaś do mnie, nim chrześcijanie uderzyli w dzwony,
kiedy półksiężyc wstępował na niebo

niby brew starca zaprószona siwizną
lub wątłe wygięcie stopy.

I choć jeszcze noc była, to z twoim przyjściem
łuk Pana błyszczał na widnokręgu
ubrany w barwy pawie.

Ben Hazm (994-1063)

SATYRA

Masz dom, w którym odbywają się wieczornice
co nas tak bardzo bawią.
Ale powiedzmy prościej :

śpiewaczki to muchy,
ci co wokół grają na flecie — komary,
a tancerki — pchły.

Ben Saraf (zm. 1068)

ŻAŁOBA W AL-ANDALUS

Jeżeli biel jest kolorem żałobnych szat
w al-Andalus, rzecz to słuszna.

Nie widzisz, że przywdziałem na siebie białe włosy,
bom w żałobie po młodości.

Abu-L-Hasan Al-Husri (zm. 1095)

ŁUK

Zdumiewa mnie niewdzięczność łuku,
bo nie jest wierny gołębiom gęstwiny.

Jako gałąź był im przyjacielem
a teraz, skoro jest łukiem, ściga je.
Ot, zmienne koleje czasów.

Ahmad Ben Waddah (zm. 1135)

RÓŻE

Rozsypały się róże na rzekę
a przechodzące wiatry rozdmuchały je w szereg :

rzeka była niby rozpruty włócznią pancerz junaka,
po którym sączy się krew z ran.

Ben Al-Zaqqaq (zm. 1135)

RZEKA

O Boże, jak piękna rzeka biegła swym łożyskiem :
ponętniejsze jej zdroje niźli usta pięknej.

Jak bransoleta krągła,
niby mleczną drogą, okolona kwiatami.

Miejscami była tak wąska, że pomyślałeś :
srebrny ścieg na zielonej szacie.

Otaczały ją gałęzie
jakoby rzęsy błękitną źrenicę.

Wiatr z nimi igrał
i pieniło się złoto zmierzchu na srebrze wody.

Natenczas ja prosiłem na jej złociste zdroje,
których odbicie winem barwiło ręce gości.

Ben Hafacza (1058-1138)

BEZSENNOŚĆ

Kiedy ptak snu zamierzał zrobić gniazdo w mojej źrenicy,
zobaczył rzęsy i spłoszył się z obawy przed sidłami.

Abu Amir Ben Al-Hammara (wiek XII)

PRZYPŁYW NA GUADALQUIWIRZE

Wiatr rozdarł szatę rzeki, kiedy nad nią leciał
i rzeka wyszła z brzegów, aby go ścigać i wziąć odwet.

Ale śmiały się z niej gołębie, chichocząc w zaroślach schowane,
i rzeka, zawstydzona, zawróciła do swego koryta
i skryła się za welonem.

Ben Safar Al-Marini (wiek XII)

WŁÓCZNIA

Brązowa była ale kurz bitewny pokrył jej głowę siwizną;
bo po młodości zawsze idzie starość.

Kiedy z nią wyciągnę ramię ku nieprzyjaciołom,
to tak jak bym powrozem dobywał krwi ze źródła serca junaka.

Abn Zakariyya (zm. 1249)

DO TRZCINY PORUSZANEJ OD WIATRU

Spójrz na trzcinę, którą kołysze wiatr
pochylając ją ku naszym kielichom.

Nie dość jej rosy, którą piła,
zatacza jeszcze grzywą w poszukiwaniu wina.

Tak kibić swoją gnie przed biesiadników gronem,
że oczy bawi i myśl.

Daj jej się napić z naszych czar,
bo kiedy będzie podchmielona
łacniej darować jej,
że nas całuje po głowie.

Ben Utba (wiek XIII)

Rozdział z powieści

Żółta woda opłukuje cypelek południowo-amerykański Nariz Madura, czyli Dojrzały Nos. Miło tam jest, dość zielono, natomiast wieczorami podnoszą się fetory trudne do ścierpienia, z byczej krwi i baraniej wełny. Tfu! Albowiem w pobliżu są Frigorifika i Lavedera, ścieki z tych instytucji płyną otwartymi kanałami wprost do rzekomorza, tam akurat, gdzie jest Nariz Madura. W zieloności i smrodach tego cypelka uwiła sobie gniazdo donia Maruja, Zucker, Haha Jajewski, Biskup, Turek, Futbolista i ów cały galimatias, o którym będzie mowa.

Ale przed tym coś nie coś o komisarzu Carballo, którego nie cierpi pół stolicy.

Słusznie powiedziano pół stolicy, bo go pół stolicy zna. Ujawnił się on przed kilku laty jako sub-komisarz w porcie, gdzie fanfaronował z panienkami. Fanfaronował w ten sposób, że je nakrywał w trakcie zarabiania na chleb powszedni, co jest wbrew regułom odwiecznej chryi między policją a panieństwem. Tym sposobem ów Carballo kilka razy na noc ściągał od panien datek na kasyno, a następnie tę i ową, według widzimisię, białym rankiem transportował do Albergue. Zdaniem żeńskiej połowy portu Carballo był puci syn, czemu nikt z mężczyzn nie przeczył, jakoże w dziedzinie kontrabandy postępował podobnie, brał wykupne, zysk dzielił na pół, w rezultacie rzetelnych socjuszów zakorkowywał na Miguelete. Mówiono o nim, że w domu jego na Agraciada samych chińskich figurek z kości słoniowej jest sztuk 300. Wpadł przez figiel, skuł z impetu nie tego kogo można i, ten zbity, po odzyskaniu czucia w członkach, przewrócił niebo i ziemię, żeby się odgryźć za sponiewieranie Republiki. Skutkiem tej mala-fortuny sub-komisarz Carballo przesiedział miesiąc w Straży Ogniowej, gdzie jest cicha ciupa dla policjantów. Ale malafortuna po miesiącu się odmieniła, jakoże siostra jego, starsza

o jakieś 10 lat, Melba Carballo de Metz, w wolnej elekcji została wybrana senatorką. Ma się rozumieć zaraz po elekcji aresztant wprost od Strażaków został przeniesiony do centrum jako pełny komisarz. W centrum dokuczył mieszkańcom tak, że szkoda o tym gadać. Brunecik był on dość przystojny, w pasie giętki, wąsiki miał korekt. Z komunistami chodził raz tak, raz siak. Lubił pociągnąć i fundatorzy angielskich trunków mieli u niego drobne fory. Ogólnie biorąc pół stolicy miało prawo go nie cierpieć, bo pół stolicy bez sensu gnębił. Właśni jego podwładni, miliki różnego stopnia, też go nazywali puci syn, proletariat zaś łowił sowy i szyjkami ścierwa mazał na ścianach znaki, co nieuchronnie miało doprowadzić Carballa do zguby. Tak biednym ludziom doradzały wiedźmy, czyli bruhy. Co biedni ludzie mogli innego zrobić?

Mian na imię Ramón. Nad cypelkiem Nariz Madura ciążył podobnie, jak w centrum. Ale zełgałby ten, kto by twierdził, że Carballo zapuszcza się w kanały, między zastygłe solanki i między pasożyty w prześladowaniu donii Maruhy i jej Familii. Puci syn nigdy się na Nos nie zapuszczał i wiadomo było, że się nie zapuści. Albowiem Dojrzałego Nosa broniły prawa mocniejsze od Konstytucji i od Kardynalnych Praw Człowieka, puci syn też miał lata dostateczne po temu, żeby się na niepisanych kodeksach znać. Nie zapuszczał się. Ale ciążył nad cypelkiem i każdy wiedział dlaczego ciąży. Między innymi ciążył z powodu koguta.

Mniejsza o to. Edmund Jajewski mógł mieć z komisarzem Carballo kogucie rozrachunki, ale nie tylko on, bodajże każdy z Familii posiadał zaległości, które automatycznie wchodziły w rachubę, jeśli któremu od czasu do czasu zachciało się szerzej odetchnąć i swobodniej żyć.

Bo: w gnieździe na Dojrzałym Nosie można się było czaić, ale trudno tam było permanentnie wytrzymać. Ten i ów od czasu do czasu musiał rozwinąć skrzydła, a każde rozwinięcie skrzydeł wymagało jazdy autobusem do centrum, z centrum do Minas, z Minas na rubieże Republiki — no i w czasie tych peregrynacji nie działały już czary kanałów i zielonych pasożytów, między które wstęp był niepisanym kodeksem wzbroniony. Po rozwinięciu skrzydeł groziło ryzyko spotkania się z Carbażem oko w oko, ewentualnie z tuzinem innych karbażów, co na jedno wychodziło, jakoże Inwestygacja wszystkich z cypelkowej Familii po płci, po wzroście, po cechach szczególnych, po odciskach palców poznawała w lot i, nie było co się łudzić, jak którego dosiadła, bodła go, można powiedzieć, na wskroś. Wprawdzie donia Maruja nie skąpiła pomocnej ręki, nie ogarniała jednak całego centrum, Minas i krańców wolnego państwa, w wielu wypadkach musiała pasować, wówczas ostatni cios miewał z urzędu

puci syn Ramón Carballo. O rozwijaniu skrzydeł mógłby szczegółowiej opowiedzieć Kaczo, ale on niestety siedział na Miguelete i skomunikować się z nim trudno.

Co się tyczy donii Maruhy, na nasz gust była ona obrzydliwej urody. Jednym się podoba to, drugim tamto, na ogół jednak Maruja prezentowała się grubo, miała żółć w białkach i cerę czekoladową, a to z powodu ćwiartki krwi murzyńskiej. Nazwisko jej brzmiało czysto: Noguez. Nie brakło jej wielbicieli, wprost przeciwnie, jakoże klimat w delcie Srebrnej Rzeki sprzyja tłuszczom piersiowym i miedzianym kłębom. Mimo męskich aplauzów, grzeszyła ona już tylko sporadycznie i tylko z kimś bardzo wygłodzonym z własnej Familii, na serio nie lubiła się fatygować, trud zostawiając donii Maximie, swojej siostrze. Jeśli grzeszyła, to tylko sercem. Nie licząc przechodniów familiantów, osła, źrebięcia, barana i ptactwa, miała u siebie na Nosie psów darmozjadów chyba z dziesięć. A gryzły się u niej te psy, a żarły między sobą, o licho wie co, a gości po nogach obsikiwały! Zwierzęce i ludzkie wybryki donia Maruja traktowała zarówno pogodnie, jak anioł. Z tej wyrozumiałości grzech się rodził za grzechem, od psów do ludzi i vice versa, choć trzeźwo rozumiejąc, co ma dobre serce do psich siuśków?

Ale. Potężna negra Maruja w zapowietrzonym odłogu stolicy, podobnie jak Frigorifika i Lavadera, była instytucją. Żyła i pozwalała żyć! co daje wysoką rangę w świecie ricoplateńskich stosunków ludzkich. Sam zaś cypelek Nariz Madura był osłonięty od wiatrów górą dość wysoką, Cerro Gordo, uzbrojoną w kolonialną fortalicję, z której pozostały tylko szczątki zębów i rudy miał. Z innych stron było morze, albo rzeka, jak kto woli, Rio de la Plata, z wodą żółtą, mętną, raz słoną, raz słodką, wieczorami na przemian fioletową lub siną. Od nasady kontynentu zaczynały się pasożyty, o których była mowa, kikuty paralityczne, kaktusy upodobnione o zmroku do straży granicznej, jako też ciuciu-babki z jagodami waniliowymi i — krzewy-złodzieje, drzewa-rozbójniki, korzenie-rozpruwacze, a tak samo mizeroty w postaci kwiecia, które się nazywa bez. Ten krzew egzotyczny, nie wiadomo jakim cudem i przez kogo w tej części świata zaflancowany, rozkwitał w październiku, przekwitał w mgnieniu oka, a w czasie kwitnięcia bywał przedmiotem najprzeróżniejszych malwersacji i siucht (*). W sumie, przejście na Dojrzały Nos od strony kontynentu przez śmierdzące kanały, przez słone bagienka, ślepe uliczki i krnąbrną populację nie było tentujące i kto absolutnie nie musiał ten się nie pchał, tym bardziej, że dopchawszy się, mógł jedynie zaobserwować osła,

(*) O bzowych malwersacjach w Rozdziale IV.

barana, ptaka i psy, które się szwendały, a ludzie tamtejsi tak czy owak w biały dzień byli jak umarli. Plaża na cypelku też nie służyła, bo była wąska, czarna i kolczasta. Od zachodu słońca poczynając, czyniło się jeszcze marniej, zapowietrzał się cały sektor, dymiła bycza krew i barania wełna, a już kiedy pokazał się księżyc w kwadrze lub na całego i kiedy rozlał się po pasożytniczych czeluściach — chyba tylko ryzykant mógłby wziąć na ambit i tam wleźć. W nocy na Nosie bladziutkie cienie brodziły, ślimaczki się przylepiały, ziółka podszczypywały, kto miałby się pchać?! Z nosowego zaplecza donia Maruja od mnogich lat bezpiecznie wypinała miód swego ciała w kierunku centrum z całkowitą pewnością, że w takich okolicznościach komisarzowi Carballo nawet się nie zaśni, żeby na Nos wleźć i wąchać. Po jakiego diabła Carballo miałby biedy szukać i się pchać?

A! Po jakiego diabła? A po jakiego diabła na przykład Biskup, członek sekty, z którego już nigdy nic nie będzie, jakoże od dwudziestu lat kęska mięsa nie miał w ustach — po jakiego diabła Biskup najintratniejszą diecezję upatrzył sobie na Nosie i tam szpinak siekał i jadł? Dlaczego tak samo Turek wylegiwał się w budzie cynkowej na Nosie, i tam, a nie gdzie indziej, matę ssał? A co też sobie upatrzył u negry Maruhy Zdravko Perkovic, rodem z Sarajewa, o przezwisku El Flaco, niekwestionowany majster od fabrykacji octów i win, co sobie upatrzył, jeśli się przykleił i tam tkwił? Ci, a tak samo inni: Romualdo Varela, fotograf kompatriotów, inwalida Obdulio Ruiz, dentysta Zucker z suczką Borowiczką i malutka mulatka petisa Rosalina z buźką jak oliwka — po jakiego diabła tam tkwili? Żeby też nie pominąć Edmunda Jajewskiego, w pronuncjacji Hahewskiego, w skrócie El Mundo albo El Haha, powstańca warszawskiego, po jakiego diabła on też tkwił? Po jakiego diabła, po jakiego diabła!?...

Diabeł nie diabeł, w każdym razie sprytna bestia była ta, która tyle różnego tałałajstwa potrafiła zebrać do kupy. Ten się wziął stąd, ów stamtąd, temu brakło tego, tamtemu owego, jeden był stuknięty w punkt, drugi w poprzek, jeden po brazylijsku, drugi po krijożowsku, ten po turecku, tamten po polsku, siaki był siak, taki był tak. *Mamma mia!* Po jakiego diabła, po jakiego diabła?!

— *Mamma mia!* — Jednej soboty w imieniu gremium polską hiszpańszczyzną przemówił, ciężko w życiu krzywdzony, Mundo Jajewski i rzekł, iż jest za 5 minut druga i trzeba mieć falę nastawioną na Fortunę.

Nie tylko była za pięć minut druga, ale i wyjątkowa sobota.

wycechowana na miesięcznej tabeli, jako 500.000. W taką ekstra sobotę nosowi abitanci jednogłośnie chcieli mieć radio nastawione na Fortunę. W braku emocji, jakich nierzadko dostarczał np. doktór Zucker, albo nieobecny w tej chwili Kaczo, panowała na Nosie „donia monotonia" czyli nuda i każda sobota automatycznie podnosiła na duchu, jakoże w soboty premie były wyższe, niż we wtorki. Po dwie, po trzy, a nawet po pięć partycypacji w loteryjnym numerku miewał na Nosie każdy i grubszym lub cieńszym kuszem emocjonował się każdy i każdy liczył, że się raptem odbije i rozwiąże problemy, których nikomu nie brakło. W tej pobożnej nadziei, przed ważniejszym ciągnieniem po bilet loteryjny wypuszczała się do centrum donia Maruja, raz, bo jej najłatwiej, dwa, bo była szczęściara, jakoże w młodości wygrała dwie grandy, 20 i 50 tysięcy; jak ona ten słodki chleb przehuśtała, nie nasz interes, bądź co bądź siostrę Máximę pchnęła w Rivera na gładkie tory, sama też sobie nie żałowała, no i *caramba!* miała przecież Dojrzały Nos! Na tę okazyjną sobotę Maruja bilet loteryjny w partycypacjach przywiozła z centrum z interesującym numerkiem 11.023. Każdy się zgodził, że to jest los! Z wyjątkiem Biskupa, który kolejność cyfr lekceważył i psioczył na jaki niebądź los.

Aparat radiowy był w budzie cynkowej. Tam legiwało całe towarzystwo z psami razem. Ideę Hahy Jajewskiego co do Fortuny urzeczywistniła petisa Rosalina namydlonymi łapkami. Prała ona gacięta w rynnie pod cynkiem, ale gdy usłyszała o ciągnieniu, podskoczyła do ranczita i nastawiła odbiornik na Fortunę. Wnet zrobiło się raźniej w zapowietrzonej części świata, zareklamowała się oliwa Cervantes i pomada do włosów Glostora. Rosalina miała tylko jedną partycypację, Jajewski miał trzy. Biskup, mimo braku wiary, miał też trzy partycypacje; rekord bił Zucker, posiadał bowiem aż pięć partycypacji, po cztery pezy sztuka, razem za 20 pezów, jak obszył. Ta świnia była najbardziej zdenerwowana, ale też miała prawo, bo gdyby świnia wygrała, zachwyciłaby równo sto tysięcy pezów. *Ojalá!* Don Ignazio naplul na suchy korzeń i cisnął go między powoje i natychmiast się ujawniło, że ulubiona suczka tylko czekała na to: skoczyła za korzeniem, a za nią dziesięć głupich psów. Pieski się kulkały, radio reklamowało, petisa Rosalina prała, a Zdravko El Flaco kręcił motor starego jak Kolumb Forda. Pozostali ryzykanci, znaczy Mundo El Haha, Fotograf, Turek, Futbolista i sama donia Maruja poczynali sobie w tym czasie, jak kto musiał i chciał. Cynk na daszku ranczita rozsrebrzył się od promieniowania i kto był pod nim, tego mdliło. Rzekomorze bulgotało trzy po trzy.

Stop! Urwało się babki gadanie, bo radio Fortuna puściło

akord Szopena. Masz ci los, cicho sza, masz ci los, cicho sza — Fortuna obwieszcza pierwszy numerek dzisiejszej loterii!

Z wyjątkiem psich, nastroiły się wszystkie uszy i podały ku głośnikowi. Nam, którzy w żadnym numerku nie mamy partycypacji, nie wypada się śmiać, bo gdybyśmy partycypowali, każdy z nas też by się stroił, jakoże wchodziła w grę nie tylko fortuna, ale i spokój życiowy, asekuracja jutra, czołobitność przyjaciół, zazdrość maluczkich i tak samo absolutna pewność, że w wypadku wygranej komisarz Carballo skurczyłby się i zrobił miękki, jak wesz. Nie tylko by się on skurczył, ale w uśmiechu fortuny komisarz Carballo wszystkie antecedenty wydarłby z albumów Inwestygacji i z każdego, który wygrał, zrobiłby perłę, wygrany byłby u niego czysty, jakby się nigdy nie zbrukał. *Ojalà, ojalà!*

Ale nie ma po co głowy tracić, jakoże po Szopenie Fortuna ogłosiła nie żadną grandę, tylko czwartą premię o nikłej sumie 15 tysięcy, numer był też nijaki, coś z szóstkami i zerem na końcu, chwała Bogu nikt nie wygrał.

Wobec tego Ignazio Zucker wziął i ponownie napluł na suchy korzeń, który w międzyczasie suczka Borowiczka odnalazła i zaaportowała swemu panu — zwariowany na jej punkcie don Ignazio napluty tryk cisnął dalej niż przedtem, hen za poprzednie chwasty, suczka się znowu puściła, a za nią dziesięć głupich psów. Haha Jajewski zerknął na Turka i go się spytał: — Co *realmente* jest?

Realmente — przyjaciel Jajewski miał rozgryziony język krijożowski, jednak cyfry słabiej chwytał, 60 mu się plątało z 70, 2 z 12, co nie dziwota, bo któryż z obieżyświatów potrafi rozróżnić między *sesenta* a *setenta* i między *dos* a *doce*, wypowiedziane w tempie krijożowskiego radia? W loteryjnych przypadkach amigo Hahewski wolał widzieć czarno na białym, dlatego zerkał na Turka, który miał lat 50 i nazywał się Ahma, Bahma, albo Mahma, prócz tego posiadał zdolności językowe i co słyszał, to pisał. Czyhał ten Turek na fortunę ze sztywną blaszką, na blaszce miał rozpięty papierek, papierek był pokratkowany w 20 przedziałek, każda przedziałka oznaczała jedną z 20-tu kolejnych premii. Też gdy przyjaciel Jajewski, powstaniec warszawski, spytał się tego Turka co jest? jednocześnie własnowzrocznie mógł sprawdzić, że w czwartej kratce jak byk stoi, że nikt tej czwartej biedulki nie wygrał. Allah Akbar, Bóg jest wielki!

Ale Jajewski-Hahewski niepotrzebnie do Pana Boga się mizdrzył, bo galopem wyskoczyła nowa premia. Szósta. Też pudło.

Suczka Borowiczka się znarowiła i obszczekała dziesięć głupich psów. Padła siódma i ósma premia .Przed każdym obwiesz-

czeniem Szopen podnosił serca, po obwieszczeniu opadały one na stare miejsca.

El Haha Jajewski z rozpędu rzekł, iż lepiej zakonserwować nerwy i poczekać na całość.

Turek z blaszką na kolanach rzekł, iż gwiazdeczki, pah! spadają z nieba w nocy, nie w dzień.

Futbolista Obdulio Ruiz rzekł, iż tylko głupi czeka na fortunę, mądry daje *golpe* raz a dobrze i już!

Flakovaty Pérkovic, nie mogąc zapalić Forda, rzekł, iż całkowicie z Futbolistą się zgadza. Raz a dobrze!

Donia Maruja rzekła basem, że znała ona lepszych golpiarzy, którzy obecnie żałują na Miguelete, nie wyłączając Kacza. Rzekła basem, że Kaczo miał twarde ciemię i nigdy jej nie chciał słuchać. Spytała się też basem, czy oni nie zamierzają kroczyć śladem Kacza? Dodała basem, że komu jak komu, ale jej nie brak w piersiach serdeczności, ale dodała też basem, że w karcelu nikt się tą serdecznością nie nażre. Spytała basem, czy powyższe uwagi należycie im utkwiły w konscjencji?

Na to nikt słówka nie rzekł, bo co tu gadać, jedna petisa Rosalina boleśnie mlasnęła nad rynną, gdyż wspomniany przez Maruhę Kaczo stanowił dla niej skarb w postaci narzeczonego. Jednocześnie wąskim oczkiem musnęła Hahewskiego, którego tym muśnięciem ścięła z nóg. Jajewski rzekł, iż z powodu ciągnienia nerwy się w nim wiercą, jak robaki na wędce; nie wiedząc jak po tutejszemu robak, ani jak wędka, robaka zastąpił bestią. wędkę kijem, ale sens zrozumiano.

Dentysta Zucker rzekł, że kicha i kichnął. Psy ziajały. Wyskoczyła trzecia premia. Polak sprawdził u Turka, że nikt nie wygrał. Z kucek podniósł się Biskup.

Ów Biskup, jak już poprzednio zaznaczono, był dziwak, bo mięsa nie jadł, a jeśli chodzi o personalia, w ceduli miał wypisane Felipe, Brazylijczyk. Sam siebie nazywał Kain. W Matto Grosso zabił on podobno teścia, czy też szwagra, Bóg wie jak w puszczy było, nikogo to tutaj nie interesowało, fakt faktem, że ten Felipe miał maniery świętego, tylko pił. Pił i pił. Gdy pił, świat mu się rozkładał w pryzmat, na dwoje albo na troje, i gdy pił, potrafił mieć użyteczne pomysły. Będąc raz w trzecim wymiarze dał dobrą radę donii Marusze, żeby ta nie zadawała się z poganami. Donia Maruja wzięła to pod uwagę i doskonale wyszła na tym. Odtąd Biskup miał u niej fory i żył na Nosie lepiej, niż ludzie i psy razem wzięte. Kopał tu grządki, na których kultywował jarzyny, a w gąszczu miał kapliczkę, gdzie się kajał. Może on był baptystą, albo metodystą, albo świadkiem Jehowy, a może też był kreatorem odrębnej religii? Wypuszczał się od czasu do czasu do centrum, ale na krótko, po każdym wy-

skoku miał środków życiowych do woli. Zucker nie żywił do niego zaufania i umyślnie ciskał tryk w chwasty pod samą kapliczkę, żeby Brazylucha do szału doprowadzić Borowiczką; Zucker komplikował na Nosie koegzystencję.

Otóż, gdy padła druga premia, zakończona na 18, brazylijski Biskup podniósł się z kucek, rozlał matę, a, z powodu żaru, miał tylko gałgan na genitaliach. Rzekł:

— Wy *gente* jesteście czy nie *gente*? Wkrótce przyfruną atomowie i nikt nie wygra. Jeśli nie wygracie, zakobiećcie się. Zakobiećcie się *gente*, wam radzę, na śmierć!

Romualdo Varela, fotograf kompatriotów, rzekł:

— Cze, *Obispo! Gente* czy nie *gente*, tobie w międzyczasie nogi śmierdzą, a dusza w tobie jeszcze gorzej śmierdzi, niż nogi. Zakobieć się sam. *Estamos?*

Jesteśmy? Nie, nie jesteśmy, ponieważ Biskup podskoczył do grządki i spod liści wyciągnął nóż o ostrzu 20-tu centymetrów. Rzekł: *eee!*

Fotograf się uśmiał, bo noża się nie bał, ale Zucker schował pod siebie tryk, który już-już miał cisnąć pod kapliczkę. Maruja zażegnała incydent basem: —Stul *pico, Obispo!*

Mimo interwencji, krew by się pokazała, bo na widok noża Rosalina zaczęła zachęcająco prychać, a ten i ów z instynktu samozachowawczego spojrzał spode łba. Szczęśliwym trafem Fortuna puściła z płyt nieśmiertelną etiudę i grała ją dłużej niż zwykle, znak, że wyszła granda.

Radio Fortuna! Granda! Pół miliona! *Mamma mia!* I?... I?...

Biskup dźgnął nożem w liście i kucnął. Serb, jako ortodoks, szybko się za Fordem trzy razy przeżegnał. Dentysta machinalnie wydobył tryk, ale się opamiętał. Turek udawał, że drzemie, ale gdzie? mu tam było do spania! Ruiz kopnął blaszankę po oliwie i wgolił ją do urojonej bramki. Varela uszczypnął w udko Rosalinę, ta zawrzasła i chlusnęła mydlinami w Jajewskiego. Polak zesztywniał, podczas gdy donia Maruja wystawiła na słońce miód swego ciała — gwoli psom, plus Biskup, plus Ruiz i plus Hahewski.

Numerek? Owszem. Żeby nie było wątpliwości, Fortuna skandowała cyfra po cyfrze. Jeden, jeden, zero, siedem, trzy. 11.073.

No i co? Ano klapa. Po tym numerku nieśmiertelna etiuda wydała się olbrzymiej większości społeczeństwa kpiną z ciudadanów, którzy spudłowali. Futbolista wyraził się po macoszemu, Fotograf się zgryzł, Rosalina wyżęła nogawki, Maruja poiskała psie karki, zaś Turek cierpliwie pisał na tabelce: 1, 1, 0, 7, 3.

Po klapie, nastąpiłaby zwykła losów kolejka, znaczy rezy-

gnacja, gdyby nie Polak, który uszom nie wierzył a na fizjonomiach się nie znał, więc jeszcze na Turka z nadzieją zerkał, dopóki na własne oczy się nie przekonał; rozczarowawszy się rzekł:

— Cze, Jezu Chryste, wszystko nam wyszło, tylko przedostatnia cyfra nas zdradziła. Gdyby zamiast *siete* było *dos, nosotros*, jak ta lala, mybyśmy mieli grandę!

Jajewski kierował się do Zuckera, bo Zucker pochodził z Pińska, i do Flaka, bo El Flaco, jako Serb, orientował się w słowiańszczyźnie.

Negra Maruja, nie słowianka, też pojęła Hahewskiego i zabasowała czysto po tutejszemu:

— Gdyby jedno oczko nie puściło, nie byłoby dziurawych pończoch, ani zepsutych dziewic, i gdyby wszystkie cyfry się zgadzały, byliby sami milionerzy. Nie?

Fakt. Słowiański temperament obywatela polskiego jeszcze dobitniej podkreślił obywatel jugosłowiański, który wrzasnął: uu! i dziesięcioma palcami wskazał na rejestracyjny numer.

Na rejestracji Forda ślepy by przeczytał: 11.073.

Nie! Nie i nie! Czym prędzej byle jakie ludzkie stworzenie utwierdziło się na Nosie w mniemaniu, że jest głupsze niż fu i fa! oto przez kupę miesięcy szczęście siedziało tuż pod nosem, wystarczyło popytać w kolekturach i kupić numerek Forda! Ale nie! Wysyłało się Patronę do centrum, żeby w numerkach przebierała! Nie! *Mala fortuna, kismetsiz*, fatalny los, *lośa sudbina*, ślepota i głupota, każdy myśli językiem matki, ale każdy wie, że los szydzi i pfuj!

Biskup niespodzianie rzekł, iż, owszem, dusza w nim śmierdzi, ale nogi nie.

Varela Biskupowi odparł, niech ponosi skarpetki, to się przekona.

Zucker rzekł, iż jego mało interesuje co komu śmierdzi, ale on musi wiedzieć co się dalej pocznie?

Jajewski zabrał głos i rzekł dość biegle po tutejszemu, że on osobiście czuje się przyparty do muru i, albo zacznie robić w barze, albo musi się starać o hiszpańskiego koguta. Albo-albo!

Zucker na to odparł, że Hahewski jest głupi goj, czego nikt nie zrozumiał, a swojak się nie pogniewał, tylko Zuckerowi polecił, żeby mu wskoczył do d.

Docinki były bez większego znaczenia, prawdziwa treść polegała na tym, że Familia na cypelku Nariz Madura istotnie znajdowała się w krytycznej sytuacji.

W pierwszym rzędzie Zucker, przedwojenny dentysta, był w kropce; stracił on po raz trzeci towar w Aduanie, gdzie ostatnio wsypał go wspólnik, niejaki Jacobo, i biedny doktór od kilku miesięcy tkwił na Nosie, dokąd skierował go drugi wspólnik, były

minister Robót Publicznych, deputado Dominguez Mora. Owszem, Ignazio Zucker mógł się ratować w inny sposób, mógł pozbyć się Borowiczki, bo przez asocjację z psem znany był we wszystkich policjach południowo-amerykańskich, ale gdzie tam! Zucker wolał się na Nosie ukryć, niż spławić sukę i pod nową banderą interes wszcząć. Przez zwierzęcy sentyment miał się źle i zaledwie stać go było na hazard i na wątrobę dla psinki, sam zaś za legowisko od dawna już u Maruhy zalegał. Po loteryjnej klęsce Zucker pierwszy chciał wiedzieć, co się dalej pocznie.

Dalszych planów ciekawy był również drugi fuszer, Obdulio Ruiz, któremu nie o zwierzaka chodziło, tylko o dzieciaczki. Posiadał ich sporą gromadkę na głębokiej prowincji i poczuwał się do obowiązków, jakoże złamana noga uniemożliwiła mu futbol, w którym to zawodzie o mały włos nie został mistrzem świata. Ruiz trafił na Nos po wykreśleniu go z pierwszej drużyny Rampli, gdy noga się nie dopasowała i gdy wsiąkł przy pierwszym skoku z bronią w ręku na skład jubilerski. Szczęśliwym trafem komisarz Carballo, który go złapał, był ramplowcem, więc go puścił i dał bilet wizytowy do Maruhy, żeby ta go przyjęła na Nos. Na cypelku kuternoga kopał blaszanki i się martwił, że z tego kopania maleństwa jego w Rivera, ani żona Yuyu, nie wyżyją. Podobnie, jak Zucker, chciał akcji. Nie tyle chciał, ile musiał.

Co do innych — o Biskupie nie warto wspominać, bo on błyskawicznie zaszył się w gąszczu i prawdopodobnie wziął się do czarów w swojej kapliczce. Turek był faryzeusz i rył jak kret, nawet donia Maruja nie znała go na wylot. Po klęsce siedział on po dawnemu z tabelką, ale jakby nie swój. Ten Ahma, Bahma, albo Mahma, miał chody w międzynarodowej polityce i kiedy się wypuszczał do centrum, ubierał się w liberię agencji podróżniczej Exprinter. Wiadomo o nim było, że skubał turystów i że na centa patrzał jak małpa na banan, aczkolwiek nie obarczały go poważniejsze denuncje. Robił wrażenie, jakby chciał czegoś nowego, piękniejszego, bogatszego. Zdradzały to jego kawowe oczy. Trzydzieści lat temu wstecz dał nura ze Smyrny.

Z pozostałych, Romualdo Varela uparł się przy bajecznej kombinacji, a mianowicie, że trzeba ostro wziąć się za wrak w Atalancie.

Z wrakiem było tak: Pół roku temu onże Varela, wędrując z Leicą po plażach, odkrył rysy na piasku w pobliżu nadmorskiej miejscowości Atalanta i pogrzebawszy palcem, trafił na żerdź. Żerdź mu się wydała masztem, więc grzebał głębiej i trafił na skuwki. Wówczas Romualdo Varela poszedł po rozum do głowy i ubrdał sobie, że w piachu leży zagrzebana galera królowej Izabeli z peruańskim złotem wewnątrz kadłuba. Z tą ideą wpadł

na Nos i wszczął piekło, skutkiem czego donia Maruja poradziła się adwokata Puiga i razem z Puigiem złożyła podanie w Ministerstwie o pozwolenie grzebania w piasku. Do dnia dzisiejszego podanie tkwiło w ekspedycji, bo ani Maruja ani Puig z sercem się do niego nie wzięli, sam zaś Varela tyle tylko dokonał, że w Hydrografii sprawdził, jakoby ocean Atlantycki postąpił o 500 metrów w ciągu ostatnich trzystu lat. Ten maszt i skuwki jeździł oglądać Jajewski i Zdravko El Flaco, ale ani Zucker, ani Ruiz, ani Turek nie dali się wciągnąć, mówiąc, że bajki uraczają tylko młodsze dzieci. Dziś jednak, gdy przyszłość się zachmurzyła, Familia gotowa była optymistycznie traktować skarby, czekające na nich na dnie plaży. Maruja rzekła basem, że weźmie za łeb Puiga. Dodała basem, że zanim to nastąpi Hahewski mógłby podmuchać w ogień i wyjąć z lodu żebra na wieczorne asado.

Jajewski wszedł w jamkę i podjął z lodowiska krowi połeć, żeby odtajał, zanim się go położy na żar; ten męski Polak językiem nie władał, ale co do asada, w gazetę mógł zapakować najtęższych krijożów. Znał on wszystkie sposoby ich pysznej pieczeni, umiał ją polewać słoną wodą i szpikować czosnkiem i morronami, umiał ją piec ze skórą, tak, że soczyste mięsiwo miało krowią szerść na wierzchu nie przydymioną ni też posmaloną niczym; a też wiedział jakie drzewo brać na żar, pod krowę ciemne, pod barana jasne i że nigdy nie należy podkładać paragwajskich polan, które przy spalaniu przesycają jadło zapachem guana. Umiejętnemu majstrowaniu mięsa Polak zawdzięczał stabilizację na Nosie, co go po nocach gryzło, ponieważ swego czasu własną krew przelał w Powstaniu Warszawskim. Ruszt z żarem był w chwastach w rejonie biskupiej kapliczki.

Fortuna nadała pozostałe numerki, które już mniej interesowały, bo podrzędne szczęście nie mogło wpłynąć na poprawę sytuacji; jednakowoż Turek, dla statystyki, uzupełnił brakujące kratki.

A też już słońce opadło na stronę Fortalicji i osioł, uwiązany do kołka, kwiknął sobie na cypelku. Nadeszła bowiem pora zwierząt, gdy te chcą wziąć prymat nad ludźmi i wykazać, że są w posiadaniu mądrzejszych definicji, gdy czas ma się ku schyłkowi. W kierunku osła porwało się dziesięć głupich psów, ale psy się zdezorientowały, bo w trakcie beknął uwiązany do ombú baran. Więc sześć piesków do osła, cztery do barana. Psom w paradę wszedł ptak, który się wabi teru-teru i choć dziki, w ludzkich obejściach łazi po domowemu. Gdy ptak wrzasnął (a wrzask to indiański!), nogom pańskim dotychczas wierna Borowiczka szurnęła wprost na ptaka, a wszystkie psy za nią, niechając osła i barana. Było rykowisko zwierząt, poszczekiwanie sfory i był bojowy okrzyk teru-teru, który kpił sobie z pościgu.

Zrobił się na Nosie zwierzęcy mętlik, który lubiła Maruja. Maruja basem:

— Wszyscy mnie gonią, każdy mnie chceee — a ja się bronię i bronię — nie, nie i nieee!

— Bardzo dobrze — rzekł Turek. Rosalina pod basującą Patronę wywaliła język i mokre łapki wbiła sobie do tyłeczka. Tym po cichu rozweseliła Familię, w czym Patrona nie mogła się połapać, będąc w przodzie.

Aż stał się cud, zaskoczył motor Forda, nic jednak z tego, bo zgasł. Kręcący korbą Jugosłowianin skinął na Polaka, żeby mu pomógł. Ten, owszem, po zdeponowaniu połcia, jak najchętniej umieścił się w kabinie za kierownicą. Jeden kręcił, drugi podrywał gaz. Dzięki wspólnym wysiłkom rozległo się równe wybuchiwanie. Wówczas Serb na stojąco, Polak na siedząco, zaczęli ze sobą gadać i gadali.

Donia Maruja posiadała sokole oko i wnet zaobserwowała, że coś się w wozie święci, co nie powinno się święcić. Maruja basem:

— Cze, loko Haha, cze loko Flako, czy aby wyście nie powzięli idei iść śladem Kacza?

Tamci natychmiast przestali. Ale kto Słowian zna, łatwo zgadł, że się uparli. Europejskim naturom czekoladowe czupiradło nie może stanąć w poprzek. Inna rzecz, iż obydwóm przeszły ciarki po plecach, bo Maruja była bruja i co rzekła, to się sprawdziło. Kaczowi przepowiedziała. Jednakowoż życie jest życiem, ryzyko ryzykiem i Ameryka Ameryką. Rosalina stała w rozkroku. Mała rzecz, a jednak ciągnie. Tym bardziej, gdy w alternatywie jest bieda wraz z kogutem.

Pierwszy wypsnął się Zucker, nie czekając na asado. Dla świętego spokoju symulował, że idzie za własną potrzebą. Wpierw jednak oczyścił buty, włożył krawat i przymknął Borowiczkę, powdzięczywszy się do niej, by nie skomlała. Varela rzucił za Zuckerem groźbę, iż jeśli nie przyniesie w zębach 20 pezów, dostanie jutro 20 kopniaków. Zapewne Zucker miał zamiar porozumieć się w centrum z nowym wspólnikiem, albo też chciał poszukać szczęścia na konikach, bądź co bądź on pierwszy konsekwentnie przystąpił do akcji. Wziął i się wypsnął.

Inni błąkali się. Inwalida Ruiz dął w żar i jednocześnie studiował obrazkowe historyjki o Świętym Pawle i o Mandraku. Ogień pod rusztem rozkwitł i Polak umieścił na nim połeć. Powietrze zbłękitniało i zasmrodziło się.

Z kolei poszedł do diabła Varela. Ten nie symulował, ostentacyjnie przerzucił przez ramię rzemień Leiki z flaszem i wstąpił na ścieżkę. Maruja krzyknęła basem, iż jeśli nie przyniesie w zę-

bach stu pezów, dostanie jutro sto kopniaków. Bas basem, ale zdawano sobie sprawę, że chytrus prawdopodobnie chce pogrzebać w piasku, lub też ma na widoku pornograficzne fotki w dzielnicy Capurro. Wlazł w krzaki, Bóg z nim.

W międzyczasie przeleciał samolot. Samolot miał u podbrzusza tubę, skąd gramofonowa płyta głosiła kompatriotom, że w następną sobotę granda wyniesie równo milion. Pytanie z nieba brzmiało: Czy chcesz być milionerem? Jeśli chcesz, to się spiesz, bo numerki się wyczerpują!

Karaho! Po dzisiejszym frakasie rozgoryczyli się wszyscy, a już najbardziej zwierzaki. Myślałby kto, że czworonogi w loterii są szczególnie poszkodowane, taką do reklamy poczuły awersję. Osioł fiknął od zadu; psy obszczekały samolot, ogony wcisnąwszy między kulki; baran bił łbem w pień i obok; z dwunogów teru-teru darł się w niebogłosy, zaś ludzie słuchali rad z nieba i w pięciu językach klęli.

W następnej godzinie mięso rozłaziło się w zębach i Maruja była zadowolona, a też i słońce na dobre utonęło w Fortalicji.

O zmierzchu, śladem kompatriotów, wypsnął się Ruiz, i — patrona słówkiem nie zaoponowała, bo podobnie jak do Biskupa, czuła do niego słabość. Kuternoga miał zapewne na widoku świństwo, albo rajfurstwo, ale że posiadał liczną rodzinę, nikt nie miał ochoty mu dociąć. Turek podeliberował i został. Wiatr przewiał na przestrzał i bardzo się przydał, bo jak wiemy, smrody z kanałów dokuczają o zmroku strasznie.

Po nasyceniu się, Jajewski przydybał petisę Rosalinę sam na sam, gdy ta za ranczitem rozwieszała na sznurkach bieliznę. Wziął ją w pas, jedną rękę umieścił wyżej, drugą niżej i zażądał, aby ona pod słowem honoru przysięgła, co jest? Ona, zamiast przysięgać, wierciła się w uścisku, jak żmijka. Polak uporczywie domagał się prawdy, kogo ona naprawdę chce: jego czy Kacza? Pod osłoną prześcieradeł wpadł w złość i wypomniał jej plotki na temat Ruiza, a nawet Turka, chociaż, powiedział jej, w tego ostatniego nie wierzy, bo Turek jest siwy i skończył 50 lat. Jajewski swoje postulaty wyrażał biegle po krijożowsku, jakoże konieczność wyikrzyła mu język, a prężność podpowiedziała brakujące słówka. Petisa muskała się w palcach i wcale nie była zła. Przy dobrych chęciach dałoby się ją zakobiecić na miejscu, ale wietrzyk poddzierał rozwieszoną bieliznę i można się było najeść wstydu. Rzekł jej na odczepne, iż ona pojęcia nie ma, co człowiek przeszedł w Powstaniu Warszawskim. Kiedy się odczepili, ani on, ani ona, nie byli zadowoleni. Na odchodnym Rosalina otworzyła dzióbek i pisnęła, że biedaczek Kaczo schnie z tęsknoty w ciupie na Miguelete, a jeśli Haha też schnie, niech

przywiezie z centrum tort-czahę i niech się postara o hiszpańskiego koguta. O Powstaniu Warszawskim nie napomknęła ni, ni.

Na forum, przed ranczem, po ochłodnięciu, Polak poczuł się zgorzkniały i zdziwił się, jakim cudem Petisa wie o kogucie? Czyżby? Czyżby rogi komisarza Carballo sięgały aż tak głęboko, przez Rosalinę na Nos? Czyżby? Rachunek sumienia skończył się, gdy gwiaździsta noc zapadła i gdy z kapliczki wyszedł Biskup.

Felipe Brazylijczyk musiał być głodny, gdyż powędrował prosto do rusztu i na mdlejących płomyczkach ustawił bańkę z maźką, która fasolą zalatywała, czy też ryżem. Świńtuch nie naciągnął koszuli, ani gaci, łaził nagusieńki i pijaniusieńki, niech go święci kochają jak on się w międzyczasie w kapliczce urżnął. Chwiał się na nóżkach i łbem kędzierzawym trząsł, aż gwiazdy fruwały. Gwiazdy tak czy owak w niektórych miesiącach fruwają a fruwają....

Ale dopiero odezwanie się Biskupa zmroziło krew. Zwrócił się on do Maruhy i oficjalnie zakomunikował jej, że, o ile mu wiadomo, takowa ma raka. Ujawnił, że tajemnicę choroby wydarł z jądra ziemi. Pocieszył ją, że o ile mu wiadomo, czuwa nad nią Bóg.

Pociecha nie pomogła, gdyż Maruja natychmiast dostała kolek. Zaczęła puchnąć i puchła w oczach, jakby na drożdżach. Rzucili się ratować Petisa i Turek; Polakowi i Serbowi opadły ręce.

Nie wiedząc, co począć, ci ostatni skorzystali z ludzkiego nieszczęścia i wsiedli. Rozgrzany Ford zaskoczył z punktu, zapalili reflektory i popruli w ścieżkę między gąszcze. Cierpiąca Maruja nie miała siły pogrozić, ani ostrzec. Niestety.

Czesław STRASZEWICZ

Pociąg nie miał spóźnienia

Gdy przechodzili tunelem słyszeli pociąg wtaczający się na stację i donośny głos megafonów: „Pociąg dla urlopowanych, z Paryża do Przemyśla przez..."

Wszedłszy po schodach na peron zatrzymali się przed wagonem, z którego wysiadali urlopowani żołnierze o zadowolonych twarzach, obładowani ogromnymi tobołami. Peron pustoszał szybko. Było jak zawsze. Tu i ówdzie przed oknami wagonów stały dziewczyny i kobiety, albo jakiś milczący ojciec o zaciętym wyrazie twarzy... Donośny głos megafonów ponaglał. Pociąg nadszedł o czasie.

— Dlaczego nie wsiadasz? — lękliwie zagadnął żołnierza wikary.

— Co?! — pytał wzdrygając się żołnierz. — A jeśli zechcę rzucić się pod koła... albo zostać dezerterem... hę? Czegóż chcesz... mogę przecież. Mogę zwariować... to mi wolno, mam prawo być wariatem. Nie chcę umierać. To okropne, że nie chcę umierać. — Mówił tak zimno, że słowa wydawały się lodem spływającym z jego warg. — Ale już nic nie mów! Już siadam.. Zawsze się znajdzie jakieś miejsce... tak... tak... nie gniewaj się tylko, a módl się za mnie! — Zebrał swoje pakunki i wszedł w otwarte drzwi. Opuścił okno, wychylił się, a nad nim, jak lepka chmura, wibrował donośny głos: „Pociąg odchodzi"...

„Nie chcę umierać", wołał, „nie chcę umierać... to straszne... wiem że wkrótce umrę... W k r ó t c e !" Coraz bardziej oddalała się czarna postać wikarego na zimnym, szarym peronie... coraz bardziej, aż znikła wraz z dworcem pośród nocy.

Czasem jakieś słowo, najobojętniej wypowiedziane, nabiera cech tragicznych. Staje się ważkie i niezwykle lotne, wyprze-

dza mówiącego, leci gdzieś w nieznaną przyszłość i wyrwawszy z niej jakiś sens — wraca z powrotem z przeraźliwą celnością bumerangu. Ze swawolnego plusku nieprzemyślanych wypowiedzi, najczęściej przy pożegnaniu, w pociągach wiodących ku śmierci, pada owo strasznie ciężkie i głuche słowo i wraca, niby ołowiana fala, do mówiącego, który nagle poznaje przerażającą, a zarazem oszałamiającą potęgę przeznaczenia. Ta siła nawiedza czasem, znienacka, zakochanych i żołnierzy, ludzi już naznaczonych przez śmierć i takich, których wypełnia kosmiczna potęga życia, obdarzając i jednocześnie obciążając ich nagłym jasnowidzeniem... a słowo przenika, tonie w nich samych.

W czasie gdy Andreas przepychał się powoli w głąb wagonu, trafiło weń takie słowo jak postrzał, bezboleśnie i prawie niedostrzegalnie przenikając ciało, wnętrzności, nerwy, aż zahaczywszy o coś, pękło, rwąc okropną krwawiącą ranę... życie... ból...

„Wkrótce", pomyślał i czuł jak blednie. Jednocześnie bezwiednie wyciągnął papierosa i zapalił zapałkę, mgliście oświetlając gromadę leżących, przykucniętych i śpiących żołnierzy, skłębionych wzdłuż i wpoprzek swoich bagaży. Zimny dym tytoniu mieszał się z odorem potu i tego zaduchu jaki zawsze towarzyszy skupiskom żołnierzy. Płomyk dogasającej zapałki raz jeszcze pełgnął mocniej i w tym błysku Andreas dostrzegł w zwężającym się przejściu skrawek wolnego miejsca. Z tobołkiem pod pachą, z czapką w ręku, lawirował aby się doń przecisnąć.

„Wkrótce", pomyślał i lęk zapadł w nim głęboko, głęboko. Lęk i zupełna pewność. „Już nigdy", majaczył, „już nigdy nie zobaczę tego dworca, nigdy nie zobaczę przyjaciela, któremu w ostatniej chwili nawymyślałem... już nigdy... Wkrótce!" Dobrnął do upatrzonego miejsca. Ostrożnie, aby śpiących nie budzić, położył swe pakunki na podłodze, usiadł na nich tak, aby plecami oprzeć się o drzwi przedziału; wtedy spróbował możliwie wygodnie ułożyć nogi; lewą wyciągnął obok twarzy jakiegoś śpiącego, prawą wsparł na pace odgradzającej innego żołnierza. W przedziale, za jego plecami, błysnęła zapałka i później ktoś milcząco ćmił papierosa. Przechylając się nieco mógł widzieć czerwieniejącą plamkę, a gdy palący pociągał, plamka rozjaśniała się mgliście oświetlając szarą i zmęczoną twarz o gęstych zmarszczkach, przeraźliwie trzeźwą.

„Wkrótce", pomyślał. Stukot pociągu, wszystko jak zwykle. Odór. Pragnienie: zapalić, koniecznie zapalić. Tylko nie usnąć! Za oknami przesuwały się sylwetki ciemnego miasta. Gdzieś w oddali smugi reflektorów błądziły po niebie, jak gdyby długie trupie palce rozdzierały granatowy płaszcz nocy... gdzieś strzelała przeciwlotnicza... i te ślepe, milczące, ciemne domy. Kiedyż

stanie się to Wkrótce? Krew spływała mu z serca, wracała z powrotem, krążyła, krążyła, krążyło życie, a uderzenia pulsu szeptały tylko: Wkrót-ce, Wkrót-ce... Nie mógł nic innego wymówić, ani pomyśleć, jedynie tylko to: „Ja nie chcę umierać". Gdy próbował ułożyć jakieś zdanie, wypadało mu wciąż: jednak umrę... Wkrótce...

W przedziale, w słabym świetle żarzącego się papierosa, zamajaczyła inna szara twarz i Andreas usłyszał łagodny, bardzo zmęczony szept. Dwaj nieznajomi rozmawiali.

— Drezno — rzekł jeden głos.

— Dortmund — mówił drugi.

Szept trwał dalej i ożywiał się. Potem padło przekleństwo, szept przycichł, ustał i znów tlił się tylko jeden papieros, aż wreszcie zgasł. Znów tylko szara ciemność dookoła i czarna noc za oknami z niezliczonymi, milczącymi, zaciemnionymi domami. Znów tylko trupie palce reflektorów dalekie i tajemnicze błądziły po niebie. Zdawało mu się, że twarz, do której należały te palce, szydziła, niesamowicie szydziła, uśmiechając się cynicznie grymasem oszustów i lichwiarzy. „Dosięgamy ciebie", mówiły wąskie, długie usta. „Chwycimy cię. Macamy całą noc!" Może te palce szukają pluskwy, jednej maleńkiej pluskwy na wielkim ciemnym płaszczu nocy... i one ją znajdą...

Wkrótce. Wkrótce. Wkrótce. Wkrótce. Czym jest to Wkrótce? Cóż za okropne słowo: Wkrótce. Wkrótce może oznaczać sekundę, a może być i rokiem. Wkrótce jest strasznym słowem. To Wkrótce miażdży przyszłość, robi ją małą, i nic więcej nie jest pewne, wszystko staje się absolutną niepewnością. Wkrótce jest niczym i Wkrótce znaczy bardzo wiele. Wkrótce jest wszystkim. Wkrótce znaczy: śmierć...

Wkrótce już nie będę żył. Umrę wkrótce. Sam to sobie powiedział i ktoś w nim i ktoś spoza niego też powiedział, że to Wkrótce zostanie spełnione. W każdym razie to Wkrótce spełni się jeszcze podczas wojny. To jest przynajmniej jasne i pewne. Jak długo może się jeszcze wlec wojna?

Może potrwa jeszcze rok, zanim na wschodzie wszystko się ostatecznie zawali. A jeżeli na zachodzie Amerykanie i Anglicy nie zaatakują, to potrwa ze dwa lata, zanim Rosja dotrze do Atlantyku. Ale rok, co najmniej rok, musi jeszcze potrwać, więc nie skończy się przed upływem 1944 roku. Zbyt posłusznie, zbyt tchórzliwie, zbyt chytrze rozbudowany jest cały ten aparat. A więc termin od sekundy do roku. Ileż sekund ma rok? Wkrótce umrę, podczas wojny jeszcze. Nie doczekam już pokoju. Nie zaznam już ani pokoju, ani innych rozkoszy... ani muzyki... ani poezji... ani kwiatów... żadnej ludzkiej radości.. wkrótce umrę..

To Wkrótce jest jak grom. To małe słowo jest jak iskra

rozpalająca burzę. Pod uderzeniem tego słowa, nagle, na tysiączny ułamek sekundy, staje się widzialny cały świat.

Odór ciał jest jak zawsze. Odór brudu, kurzu i szuwaksu. Szczególne — gdzie są żołnierze, jest brud... Trupie palce znalazły pluskwę...

Znów zapalił. Muszę sobie uprzytomnić przyszłość, myślał. To chyba jakieś przywidzenie, owo Wkrótce. Może jestem przemęczony, nazbyt podniecony i poddaję się strachom. Usiłował wyobrazić sobie co będzie robił jak się wojna skończy... będzie... będzie... ale tu wyrasta olbrzymia czarna ściana, przez którą nie można przejść. Nie mógł wyobrazić sobie samego siebie po wojnie. Oczywiście, mógł zmusić się do skończenia zdania myślowego: będę studiował... będę gdzieś miał jakiś pokój... książki... papierosy... będę studiował muzykę... poezję... kwiaty. Ale gdy zmuszał się myśleć do końca czuł, że tego wszystkiego nie będzie, że to wszystko nie ziści się, że to nawet nie marzenia, a po prostu puste słowa nie mające żadnego znaczenia, pozbawione krwi i jakiejkolwiek ludzkiej substancji. Przyszłość zatraciła swą twarz, została gdzieś odcięta i im więcej o niej myślał tym bardziej wydawało mu się bliskie owo Wkrótce. Wkrótce muszę umrzeć, to jest pewność znajdująca się między rokiem a najbliższą sekundą. Ponadto żadnych marzeń...

Wkrótce. Może dwa miesiące. Próbował je wyobrazić sobie czasowo i chciał ustalić, czy ściana wyrasta przed dwoma miesiącami, ściana której nigdy nie zdoła przekroczyć. Dwa miesiące to znaczy koniec listopada. Ale nie udawało mu się tego terminu czasowo uchwycić. Dwa miesiące — było pojęciem nie posiadającym żadnego wyrazu. Mógł równie dobrze powiedzieć: trzy miesiące, albo cztery, albo sześć, wyobraźnia nie wzbudzała żadnego echa. Pomyślał: styczeń. Także nie dostrzegł ściany. Ocknęła się w nim jakaś niezwykła, niespokojna nadzieja! Maj! — przeskoczył nagle. Nic. Pustka, żadnej ściany nie widać. Bzdura! To Wkrótce... to Wkrótce jest tylko straszliwym urojeniem... Znów pomyślał: Listopad, i nic! Dzika, przejmująca radość! Styczeń! już ten następny styczeń, półtora roku! Półtora roku życia! Żadnej ściany. Nic! odetchnął uszczęśliwiony i myślał dalej, a myśli gnały poprzez czas jak przez nikłe, łatwe przeszkody. Styczeń, maj, grudzień! Nic! Nagle poczuł że błądzi w pustce. Nie może istnieć pojęcie czasu tam gdzie Ściana wyrasta. Tam czas jest bez znaczenia. Tam czas nie istnieje. Lecz jest jeszcze nadzieja. Tak ładnie przeskoczył już miesiące. Lata... Umrę wkrótce! i doznał uczucia z jakim pływak już-już sięgający brzegu, uderzeniem powrotnej fali, zostaje odrzucony w odmęt rwącego nurtu. Wkrótce! Znów przed nim stoi Ściana, której nigdy nie przeniknie, nigdy nie będzie już na ziemi.

„Kraków”, pomyślał i nagle serce zamarło w nim na chwilę. Jest na właściwym torze! Kraków! Nic! Posunął się dalej: Przemyśl! Nic! Lwów! Nic! Dalej naprzód: Czerniowce, Jassy, Kiszyniów, Nikopol! Ale przy ostatnim słowie dostrzegł coś jakby tylko bryzgi piany. Zastanowił się. Nie, nie dojadę już do Nikopola! Z powrotem: Jassy: nie, nie zobaczę już Jass! Czerniowiec także nie mógł dojrzeć. Lwów! Tak, Lwów widzi wyraźnie, we Lwowie będzie jeszcze żył! Jestem pomylony, myślał, zwariowałem, miałbym zginąć między Lwowem a Czerniowcami! Cóż za głupota... zmuszał się myśleć o czymś innym, znów zapalił papierosa i wpatrywał się uporczywie w otchłań nocy. Jestem zwariowanym histerykiem; zbyt wiele paliłem, dnie i noce przegadałem, nie spałem, nie jadłem, tylko paliłem i paliłem, tego żaden człowiek nie zdoła bezkarnie przetrzymać...

Muszę coś zjeść i wypić. To wzmacnia i wiąże ducha z ciałem. To cholerne palenie! Rozsznurował plecak, usiłował dostrzec w ciemnościach sprzączkę zamykającą kieszeń, w której obok bielizny miał butelkę wódki, tytoń, papierosy, trochę żywności. Gdy ręka zaczęła już gmerać w tym wszystkim i wyławiać kanapki, ogarnęła go ciężka, ołowiana, nieodparta senność... usnął... z otwartym plecakiem w ręku, z lewą nogą przy czyjejś, nigdy nie widzianej twarzy, z prawą na jakiejś pace, z dłonią zanurzoną w zawartość plecaka... spał ze zwieszoną na piersi głową.

Oprzytomniał, gdy mu ktoś nadepnął na palce.. Nagły ból. Otworzył oczy. Ktoś obok, śpiesznie przechodząc szturchnął go w plecy i nadepnął na rękę. Spostrzegł, że już jest widno, znów usłyszał donośny dźwięk głośników ciepło oznajmiających nazwę stacji, zrozumiał że są w Dortmundzie. Żołnierz, który w nocy za jego plecami wciąż palił i szeptał, wysiadał teraz, klnąc i przepychając się brutalnie wzdłuż wagonu. Ta szara, nieznana postać była u siebie w domu. Dortmund. Ten, spod prawej nogi, który spał za paką, budził się właśnie, trąc oczy, przykucnięty w zimnym przejściu. Ten, przy którego twarzy trzymał lewą nogę, spał jeszcze. Dortmund. Dziewczyny z parującymi blaszankami kręciły się po peronie. Było jak zawsze. Tu i tam, popłakując stały jakieś kobiety, jakieś dziewczyny dające się całować, ojcowie... wszystko jak zawsze: to szaleństwo.

Ale właściwie, zaledwie otworzył oczy i oprzytomniał, znów odczuwał tylko istnienie owego Wkrótce. To Wkrótce chwyciło go jak haczyk wędki na której będzie się trzepotał, trzepotał, aż do pewnej chwili między Lwowem i Czerniowcami...

Bezpośrednio po przebudzeniu błysnęła mu nadzieja, że Wkrótce rozwiało się jak zjawa wywołana niekończącą się gadaniną i paleniem, że znikło razem z nocą, lecz błysk trwał tylko

cząsteczkę sekundy. Wkrótce — było przy nim, istniało nieubłaganie...

Podniósł się, otworzył na wpół rozpięty plecak, wepchnął wysuwającą się koszulę. Ten z prawej strony opuścił okno i wysunął na zewnątrz swój kubek, do którego jakaś chuda, zmęczona dziewczyna nalewała kawę. Odór tej kawy był okropny, a nędzne jej ciepło mogło przyprawić o mdłości; był to odór koszar i kuchen wojskowych, rozpościerający się po całej Europie... i mający ogarnąć cały świat. A jednak (tak mocno zakorzeniają się nawyki) i Andreas podstawił swój kubek by go napełnić tą szarą kawą koloru munduru. Czuł teraz mdły zapach dziewczyny i rozpoznał, że sypia nie rozbierając się i całymi nocami, przy każdym pociągu, roznosi tę kawę, roznosi...

Czuć ją było przenikliwie tą obrzydłą kawą. Może sypia obok kotła z kawą, obok jakiegoś pieca stale podgrzewającego ten kocioł, sypia dopóki nie nadejdzie następny pociąg. Jej skóra jest szorstka i szara jak brudne mleko. Skąpe, wypłowiałe, czarne włosy wypełzają cienkimi kosmykami spod furażerki, ale oczy są łagodne i smutne. Gdy nachyla się napełniając kubek widać wdzięczną linię karku. Jaka ona ładna, myśli, wszyscy ją z pewnością nazywają brzydulą jednak jest ładna, ładna... i takie małe delikatne ma palce... chciałbym tak godzinami patrzeć jak nalewa mi kawę; gdyby ten kubek był dziurawy, musiałaby nalewać, nalewać, patrzyłbym na jej łagodne oczy i śliczny karczek... a donośny głos musiałby milczeć. Nieszczęście ma źródło w donośnych głosach; one rozpoczęły wojnę, one regulują najokropniejszą wojnę, wojnę na dworcach kolejowych.

Diabli by wzięli te wszystkie donośne głosy!

Mężczyzna w czerwonej czapce czeka posłusznie na decyzję donośnego głosu, wtedy pociąg ruszy, wzbogacony o kilku bohaterów, lżejszy o kilku innych. Jest jasno, ale jeszcze wcześnie: siódma. Nigdy już, nigdy nie będę mijał Dortmundu. To jest niezwykłe, takie miasto jak Dortmund; tyle razy tędy przejeżdżałem a nigdy nie byłem w mieście. I nigdy w życiu nie będę już wiedział jak Dortmund wygląda i nigdy w życiu nie zobaczę tej dziewczyny z kawą. Nigdy w życiu — wkrótce umrę między Lwowem a Czerniowcami. Moje życie liczy się już w kilometrach i jest odcinkiem kolejowej trasy. Ale to niezwykłe, przecież między Lwowem a Czerniowcami nie ma frontu, a i partyzantów niewielu; czyżby front w ciągu nocy tak wspaniale się cofnął? A może wojna nagle się skończyła. A może pokój nastąpi jeszcze przed tym Wkrótce? Jakaś katastrofa? Może ten straszny potwór już nie żyje, nareszcie zamordowany, albo może Rosja podjęła generalną ofensywę i wszystko załamało się aż do Lwowa, Czerniowiec i to jest kapitulacja...

Nie ma ucieczki, śpiący budzą się, zaczynają jeść, pić, gadać... Andreas opiera się o otwarte okno, wystawiając twarz na smaganie zimnego porannego wiatru. Będę pił, myśli, wychlam całą butlę i wtedy będzie mi wszystko jedno, będę miał spokój co najmniej do Wrocławia. Pochyla się, śpiesznie odmykając tornister, ale jakaś niewidzialna ręka powstrzymuje go od chwycenia butelki. Wyciąga kanapkę i zaczyna spokojnie, powoli żuć. To straszne, żeby na krótko przed śmiercią musieć jeszcze jeść. Kanapki z kiełbasą. Żelazne porcje, grubo smarowane masłem, których przyjaciel wikary zapakował cały stos. To okropne że te kanapki tak smakują. Wychyla się za okno, żuje i je spokojnie popijając małymi łykami wystygłą kawę i sięgając od czasu do czasu do otwartego tornistra po następną kanapkę.

W nędznych domach, które wciąż mijają, niewolnicy szykują się do swego marszu do fabryk. Dom przy domu, dom przy domu, a wszędzie mieszkają ludzie, którzy cierpią i śmieją się, ludzie którzy jedzą, piją i rodzą nowych ludzi, ludzie którzy jutro może żyć już nie będą; roi się od ludzi. Stare kobiety i dzieci, mężczyźni, a także i żołnierze. Żołnierzy też widać przez okna, o — tu jeden, o — tam jeden! a wszyscy wiedzą kiedy znajdą się w pociągu wiozącym ich z powrotem do piekła. To okropne.

— Koleżko — zaczepia go ochrypły głos tuż za nim — koleżko, nie zagrałbyś z nami? — Andreas drgnąwszy odwraca się i bezwiednie mówi: „Tak!" W tym samym momencie spostrzega talię kart w ręku nieogolonego żołnierza, uśmiechającego się nieokreślenie. Powiedziałem tak, myśli machinalnie wlokąc się za nieogolonym. Przejście było teraz zupełnie wolne, tylko dwóch żołnierzy rozłożyło się ze swoimi bagażami przy wejściu do wagonu. Jeden z nich, wysoki blondyn z dobroduszną twarzą, siedzi uśmiechając się.

— Znalazłeś chętnego?

— Tak — woła nieogolony ochrypłym głosem.

Wkrótce umrę, myśli Andreas sadowiąc się na tornistrze przywleczonym ze sobą. Ilekroć kładzie tornister na podłodze, klekoce przyczepiony stalowy hełm; teraz ten szczęk uprzytamnia mu, że zapomniał karabinu. Mój karabin, myśli, stoi sobie u Paula, w przedpokoju, za płaszczem deszczowym. Uśmiecha się. „Doskonale, Kolego — mówi blondyn — zapomnij o swych zmartwieniach i pograj trochę z nami". Dwaj karciarze urządzili się wcale miło. Siedzą pod drzwiami, ale drzwi zatarasowali bagażami, a klamkę okręcili drutem. Nieogolony, ubrany w niebieską roboczą bluzę, wyciąga z kieszeni obcęgi, spod tobołów zwój drutu i jeszcze mocniej unieruchamia klamkę.

— Tak będzie dobrze, Koleżko — woła blondyn — mogą

nam do samego Przemyśla tyłki lizać. Jedziesz także do Przemyśla? To zresztą widać — gada nie czekając odpowiedzi. Andreas przytakuje i jednocześnie spostrzega, że obaj są pijani; nieogolony ma w kartonie całą baterię butelek; jedną z nich puszcza też zaraz w obieg. Najpierw grają w oko. Robi się coraz jaśniej, pociąg turkocze, zatrzymuje się na stacjach dużych z megafonami i na pomniejszych. Robi się tłoczno, później pustoszeje, znów się zapełnia i znów jest luźniej, a tylko ci trzej wciąż siedzą w swym kącie i grają, wyrzucając od czasu do czasu pustą butelkę za okno.

Czasem na jakiejś stacji dobija się ktoś z zewnątrz do zadrutowanych drzwi i klnie wściekle, a oni tylko śmieją się i grają dalej. Andreas wcale nie myśli o grze. Ten hazard jest tak cudownie prosty, że nie trzeba się skupiać, można myśleć o czym innym...

Teraz Paul na pewno już wstał, jeśli w ogóle się kładł. możliwe, że wcale nie spał z powodu alarmów. A jeśli w ogóle spał, to najwyżej parę godzin. O czwartej był w domu. Teraz dochodzi dziesiąta. No, do ósmej spał, później wstał, umył się i odprawił mszę, modlił się za mnie! Modlił się abym odnalazł radość życia, bo przecież wie że całkiem zwątpiłem w istnienie jakiejś ludzkiej uciechy.

— Pas — mówi. To wspaniałe: mówi się po prostu — pas, i ma się czas myśleć dalej...

Później wrócił do domu, wypalił w fajce kilka niedopałków, trochę podjadł — pewno takie same kanapki — i wyszedł. Dokąd? Może do tej chorej co oczekiwała nieślubnego żołnierskiego dziecka, może do tamtej, już matki, może na czarny rynek zdobyć kilka papierosów?

— Full — woła. Znów wygrał. Banknoty w kieszeni jego bluzy tworzą już tęgą paczkę.

— Masz cholerną passę, bracie — mówi nieogolony. — Pij, przyjacielu! Znów butelka idzie w obieg. Jego spocona twarz pod maską chropowatej jowialności zdradza wielki smutek i zamyślenie. Tasuje karty... dobrze, że nie muszę tasować... Co najmniej przez minutę mogę dalej myśleć tylko o Paulu, zmęczonym i bladym, włóczącym się między ruinami i zatopionym wiecznie w modlitwie. Ja tak go skrzyczałem! Żadnego człowieka nie wolno znieważać, nawet podoficera...

— Trójka, ale z parką — powiedział. Znów wygrał. Tamci śmieją się. Nie chodzi im o pieniądze, chcą tylko zabijać czas. Cóż za uciążliwe i beznadziejne zajęcie: zabijać czas, usiłować zasłonić wciąż naprzód idące wskazówki zegara, wiedząc, że choć zakryte i tak się obracają, nieubłaganie obracają się, obracają...

„Nordhausen! Tu Nordhausen" woła donośny głos podczas gdy Andreas tasuje karty. „Pociąg dla urlopowanych żołnierzy. Do Przemyśla przez... Proszę wsiadać, zamykać drzwi!" Tak niezmienne jest to wszystko.

Zwolna rozdaje karty. Dochodzi jedenasta. Znów wódka; wódka nie jest zła. Nieogolonemu mówi kilka słów chwalących wódkę. Pociąg znów się zapełnia, robi się obco i chcąc nie chcąc musi się słyszeć gadaninę.

Pasuje. Blondyn z nieogolonym przebijają się dobrodusznie o pulę. Obaj się śmieją, obaj wiedzą, że bluffują, chodzi tylko o to który lepiej to robi.

— Właściwie — mówi za nimi jakiś północno-niemiecki głos — właściwie wojnę już wygraliśmy!

— Hm... — mruczy inny.

— Tak jakby Führer w ogóle mógł wojnę przegrać — dodaje trzeci głos.

— To przede wszystkim jest bardzo głupio mówić: wygrana wojna. Kto mówi o wygranej, musi myśleć także o możliwości przegranej. Jeżeliśmy wojnę zaczęli, to ona już jest wygrana!

— Krym jest już odcięty — zauważa czwarty — właśnie Rosjanie zagwoździli Perekop.

— A ja — odzywa się jakiś słaby, zalękniony głos — ja właśnie muszę na Krym...

— Tylko Junkersem — wyrokuje buńczuczny zwycięzca — to bardzo przyjemnie Junkersem...

— Tommies nie poważą się na to...

Są i tacy, którzy nic nie mówią. Ich milczenie jest złowrogie; ci rozumieją, wiedzą i pamiętają, że są beznadziejnie zgubieni...

Blondyn tasował, nieogolony postawił pięćdziesiąt marek. Andreas dostaje królewskiego fulla. „Stawiam setkę", mówi uśmiechając się. „Dałem" mówi nieogolony.

— I jeszcze dwadzieścia!

— Dałem, — znów mówi nieogolony i znów przegrywa.

— Dwieście czterdzieści marek! — szepcze jakiś głos za nimi i kiwa się jakaś głowa. Trwało jakąś chwilę nim rozegrali pulę.

— Pij! — woła nieogolony.

— Ależ to jest granda z tymi drzwiami!

— Z jakimi drzwiami?

— Oni drzwi zablokowali, świnie jedne, zdrajcy nie koledzy!

— Stul pysk!

Dworzec bez donośnego głosu. Błogosław, o Boże, dworce bez megafonów. W wagonie mrukliwa gadanina trwa dalej. O drzwiach zapomniano, o dwustu czterdziestu markach też.

Andreas czuje niezbyt jasno że jest trochę pijany. — Nie zrobilibyśmy małej przerwy? Chciałbym coś zjeść — proponuje.

— Nie! — krzyczy nieogolony. — W żadnym wypadku! Gramy do samego Przemyśla! — Jego głos brzmi jakimś niezwykłym lękiem. Blondyn ziewa i coś mamroce. — Nie! — krzyczy nieogolony...

Grają dalej.

— Samym tylko maszynowym MG-42 wojnę wygramy! Temu nikt nie zaprzeczy...

— Już ich tam Führer wyprze!

Ale milczenie tych, którzy nic nie mówią jest dławiące. Jest to milczenie ludzi, którzy wiedzą, że są beznadziejnie zgubieni...

Czasami pociąg tak się przepełniał, że z trudem operowali kartami. Są teraz wszyscy trzej pijani, ale wszystko jest dla nich jasne. Dworce, donośne i niedonośne głosy. Pociąg znów pustoszeje. Jest już popołudnie. Grają dalej, jedząc i pijąc. Trunek jest doskonały.

— To prawdziwy francuski — mówi nieogolony. Wygląda teraz jeszcze bardziej zarośnięty, o twarzy jeszcze bardziej wypłowiałej na tle czarnego ścierniska i przekrwionych oczu. Prawie wcale nie wygrywa. Wydaje się, że ma bardzo dużo pieniędzy. Teraz przeważnie wygrywa blondyn. Grają: moja ciotka — twoja ciotka. W pociągu znów jest bardzo pusto. Później grają w kupki, później nieogolonemu nagle wypadają karty z ręki, osuwa się i zaczyna chrapać przeraźliwie. Blondyn układa go troskliwie, jak można najwygodniej i trochę okrywa. Andreas wpycha mu do kieszeni wszystkie wygrane pieniądze.

Jak ten blondyn delikatnie i serdecznie obchodzi się z nieogolonym! A ja sądziłem że nie można zaufać temu ślamazarnemu bałwanowi. Co Paul teraz porabia?

Obaj przeciągając się i prostując strzepują okruchy, popiół i śmieci z ubrań. Ostatnią pustą butelkę wyrzucają za okno.

Mijają szeroki, otwarty krajobraz, z obu stron pociągu uciekają wstecz śliczne ogrody i łagodne pagórki, na niebie suną jakby uśmiechnięte obłoczki. Jesienne popołudnie... Wkrótce, wkrótce umrę. Między Lwowem i Czerniowcami. Przy kartach próbował modlić się, jednak prześladująca go myśl była silniejsza, powracała stale, a gdy układał zdania o przyszłości, czuł że brak im siły, brak życia. Cała przyszłość nie dawała się umiejscowić, uchwycić, pojąć, wydawała się pianą, nieuchwytną zwiewną mgłą. Lecz przy słowie „Przemyśl" odczuwał jej istnienie. Lwów! — serce jakby drętwiało. Czerniowce! — nic.. mgła... więc tam pomiędzy... tam musi się to stać... Nie pamiętał jak na mapie położony jest Lwów i Czerniowce. — Nie masz ty mapy? — zapytał blondyna wpatrującego się w krajobraz za oknem.

— Nie mam — odpowiedział przyjaźnie i wskazując nieogolonego dodał: — Ale on ma! Widziałem, ma jakąś mapę. Jakżeż on niespokojnie śpi! Musi mieć coś na sercu. To jest człowiek, który coś strasznego nosi w sercu. Mówię ci...

Obaj milcząc patrzą przez okno. „Radebeul", woła saskim narzeczem donośny głos. Taki miły, dobry, niemiecki głos, który równie dobrze mógłby mówić: Następne dziesięć tysięcy do rzeźni, proszę...

Na zewnątrz jest ślicznie, jak latem, słoneczna, wrześniowa pogoda. Wkrótce umrę. Tego tam drzewa i tamtego czerwono-brązowego przed zielonym domkiem już nigdy nie zobaczę. I tej opartej o rower ciemnowłosej dziewczyny w żółtej sukience nie zobaczę więcej, i wszystkiego co pociąg mija już nie zobaczę...

Teraz blondyn przysiada obok nieogolonego i też zasypia. Chrapią obaj. Jeden chropawo i głośno, drugi miękko z przygwizdem. Korytarz jest pusty. Czasem ktoś przechodzi do klozetu. Raz ktoś powiedział: „Przecież jest dość miejsca, koledzy!" Ale tu jest dużo przyjemniej, na korytarzu jest się bardziej samemu, a gdy ci dwaj śpią, Andreas jest sam. Cudowny był pomysł z tym zadrutowaniem wejścia. Wszystko co pociąg mija i ja mijam bezpowrotnie, myśli. Nigdy, nigdy już nie zobaczę tego kawałka nieba z puszystymi siwo-niebieskawymi chmurami, ani tej muszki przyczepionej do otwartego okna... o! wyfrunęła. Pewno do Radebeul poleci i pozostanie pod tymi chmurami... nie pojedzie ze mną tam, dokądś, za Lwów. Tak, muszka poleci do Radebeul, może do jakiejś kuchni, gdzie duszny opar kartofli, gotowanych z łupinami, miesza się z ostrą wonią kiepskiego octu, gdzie teraz przygotowują kartoflaną sałatkę dla jakiegoś żołnierza, który zażywa udręki trzytygodniowej, pozornej przyjemności urlopu... Pociąg zatacza wielką pętlę i wjeżdża na dworzec Drezna.

W Dreznie wielu wysiada i perony są mocno zatłoczone. Okno przy którym stał, zatrzymało się przed gromadką żołnierzy z młodym, grubym, o czerwonej twarzy, podporucznikiem na czele. Wszyscy żołnierze są w nowych mundurach, a porucznik sam jest nowy w swoim konfekcyjnym stroju dla kandydatów na cmentarz polowy. Ordery na jego piersi są tak nowe jak świeżo odlane żołnierzyki ołowiane i wyglądają jak nie prawdziwe. Podporucznik chwyta zadrutowaną klamkę i tarmosząc ją wrzeszczy:

— Otwórzcie-żeż tam!

— Drzwi są zamknięte, nie idzie — odkrzykuje Andreas.

— Nie krzyczcie do mnie! Otwierajcie! Otwierać natychmiast!

Andreas milczy i patrzy ponuro na podporucznika. Umrę wkrótce, myśli, a ten tak na mnie wrzeszczy. Patrzy poprzez oficera gdzieś dalej; żołnierze uśmiechają się za plecami pod-

porucznika. Ich twarze nie są nowe: szare i wiele wiedzące twarze; tylko mundury są nowe, a ordery wyglądają prawdziwie i pasują tym żołnierzom. Ale podporucznik jest nowiutki od pięt do czubka głowy, nawet twarz jak zdjęta z igły. Jego policzki jeszcze bardziej czerwienieją, oczy zachodzą krwią. Teraz syczy zupełnie cicho, tak cicho a groźnie, że Andreas musi się uśmiechnąć.

— Otwórzcie te drzwi?! — Gniew tryska nawet z jego błyszczących guzików. — Patrzcie przynajmniej na mnie!

Andreas nie patrzy jednak. Wkrótce umrę, myśli, i wszystkich tu stojących na peronie ludzi więcej nie zobaczę, żadnego z nich. Nie będę wąchał ani tego kurzu zmieszanego z dymem kolejowym, wciskającego się tu przez okno, ani tego nowiutkiego munduru podporucznika śmierdzącego bawełną.

— Każę was aresztować! — ryczy podporucznik. — Zamelduję żandarmom!

Na szczęście blondyn się obudził. Stoi teraz, z zaspanymi oczami, w oknie i przybierając najprzepisowszą postawę recytuje: „Panie poruczniku, melduję że bardzo mi przykro, ale drzwi są służbowo przez kolejarzy zablokowane w celu uniknięcia wypadków, gdyż są popsute". Wypowiada to regulaminowo, prędko, głośno i pokornie, cudownie skandując, jak zegar bijący dwunastą.

Podporucznik sapie wściekle i wrzeszczy do Andreasa: — Dlaczego nie mówiliście o tym?!

— Panie poruczniku, bardzo mi przykro że znów muszę meldować: mój kolega jest głuchy, całkowicie głuchy; postrzał głowy! — skanduje powtórnie blondyn. Żołnierze za zmaltretowanym oficerem chichoczą, podporucznik purpurowy z wściekłości odwraca się nagle i maszeruje szukając innego wejścia. Jego stadko drepcze za nim.

— Durna maciora! — mruczy blondyn.

Mógłbym teraz wysiąść, myśli Andreas, patrząc na barwny ruch wielkiego dworca, i pójść dokądkolwiek, obojętnie dokąd byle przed siebie, aż by mnie gdzieś przychwycono i postawiono pod ścianę i nie zginąłbym między Lwowem i Czerniowcami tylko byłbym w jakiejś saskiej dziurze rozstrzelany, a może zamknięty w jakimś kacecie? Tymczasem stoję przy tym oknie, jak odlany z ołowiu, nie mogę się poruszyć, jestem zupełnie zdrętwiały, stanowię część składową tego wagonu, a pociąg wiezie mnie w kierunku przeznaczenia. Najdziwniejsze, że nie mam najmniejszej ochoty tutaj wysiąść i powędrować w dal brzegami Elby, pod tymi ślicznymi drzewami, natomiast tęsknię za Polską, za jej rozlewnym widnokręgiem, tęsknię tak dziko i serdecznie jak tylko potrafi tęsknić kochanek za kochanką. Niechże więc ten

pociąg rusza, niech mnie wiezie, niech już jedzie! Po cóż my tu stoimy? Dlaczego w tej przeklętej Saksonii tak długo się stoi, dlaczego donośny głos tak długo milczy, jestem tak zniecierpliwiony. To dziwne, nie boję się, nie odczuwam żadnego strachu, tylko jakąś nieznaną mi ciekawość i niepokój. A jednak nie chcę umierać! Chcę żyć. Teoretycznie życie jest piękne, nawet wspaniałe, a jednak nie chcę wysiąść z tego pociągu. To dziwne bo przecież mógłbym zostawić tu te moje śmieszne bagaże, przejść korytarz, wysiąść, dać nurka w tłum i powędrować wśród tych pięknych, jesiennych drzew. A tymczasem stoję jak ołowiany, chcę pozostać tu w pociągu i tęskno mi bardzo za posępną Polską i za nieznaną drogą między Lwowem i Czerniowcami, gdzie muszę zginąć.

Niedaleko za Dreznem zbudził się nieogolony. Jego zarośnięta twarz jest bardzo blada, a z oczu wyziera jeszcze większe niż poprzednio nieszczęście. Otwiera milcząco puszkę konserw i wydłubując widelcem kawałki mięsa, je powoli, pogryzając chlebem. Jego ręce są bardzo brudne. Co chwila małe kawałeczki mięsa spadają na podłogę, na której w nocy znów będzie spał, na której leżało już sporo niedopałków i nazbierało się dużo śmiecia, mającego jakby właściwość latania i opadania wokół żołnierzy. Blondyn też je. Andreas stoi w oknie i nic nie widzi, choć jest jasno, choć słońce jest łagodne. Jego myśli błąkają się teraz wokół ładnego i miękkiego kraju ogrodów pod Dreznem. Czeka niecierpliwie, żeby nieogolony skończył jeść, chce go poprosić o mapę. Nie ma pojęcia jak biegnie linia ze Lwowa do Czerniowiec. Nikopol wyobraża sobie, jak również Lwów i Przemyśl... Odessę i Nikołajów... Kercz, ale Czerniowce są tylko nazwą. Myśli o Żydach i cebuli, o ponurych ulicach z domami o niemal płaskich dachach, o szerokich placach ze śladami staroaustriackich budowli z odrapanymi cesarsko-królewskimi fasadami w zapuszczonych ogrodach, gdzie pewnie teraz gnieżdżą się lazarety wojskowe, lub punkty rozdzielcze rannych; o melancholijnych wschodnich alejach z drzewami o grubych a niskich pniach, aby ich wierzchołki nie przygniatały płaskich dachów. Żadne wierzchołki...

Tak z pewnością wyglądają Czerniowce, ale co może być między Lwowem a Czerniowcami — nie ma pojęcia. Lwów to przecież stolica Galicji. Też gdzieś tam musi być i Wołyń; wszystko ciemne i ponure nazwy, pachnące pogromami i straszliwie smutnymi, olbrzymimi majątkami, gdzie smętne damy marzą o cudzołóstwach gdyż obrzydli im już mężowie o zapasionych karkach...

Galicja, niezrozumiałe i straszne słowo, a jednak ładne. Jest w nim coś z bardzo ostrego noża... Galicja...

Ciekawy jest ten Lwów. Ładne, choć melancholijne są te miasta, pozbawione lekkości, lecz z krwawą przeszłością i z uroczymi zaułkami, zacisznymi a dzikimi.

Nieogolony rzuca opróżnioną puszkę za okno, niedojedzony chleb chowa do kieszeni i zapala papierosa. Jego twarz jest smutna, bardzo smutna, pełna jakby żalu i skruchy, jakby wstydził się kartograjstwa i pijaństwa; oparty o okno obok Andreasa najwidoczniej chce rozpocząć rozmowę.

— Patrz, fabryka — mówi, — jakaś stolarnia.

— Tak — potwierdza Andreas, choć nic nie widzi i poza mapą nic go nie interesuje. — Czy możesz — wzdrygnął się przy tym mimowolnie — czy możesz pokazać mi mapę?

— Jaką mapę? — Andreas blednie i czuje jak ogarnia go głęboki lęk. Jeżeli nieogolony w ogóle nie ma żadnej mapy.

— Taką... — jąka się — taką terenową.

— Aha!... Nieogolony, nachyliwszy się nieco, gmera chwilę w kieszeni i podaje złożoną mapę.

Po chwili obaj pochylają się nad mapą. To jest obrzydliwe: Andreas czuje cudzy oddech zaprawiony odorem konserwowego mięsa i skwaśniałej nieprzetrawionej wódki; czuje pot i brud, a w podrażnieniu widzi tylko gruby, czerwony, brudny, a z tym wszyskim łagodny palec, wskazujący jakiś punkt na mapie. — Tu muszę jechać — mówi nieogolony. Andreas czyta nazwę miejscowości: Kołomyja. Dziwne, teraz gdy lepiej wpatrzył się w mapę, widzi że Lwów leży dość blisko Kołomyi... wpatruje się pilnie... Stanisławów, Lwów... Lwów... Stanisławów, Kołomyja, Czerniowce. Dziwne, myśli, Stanisławów, Kołomyja... te nazwy nie wywołują żadnego wyraźnego echa. Ten jego głos wewnętrzny, czuły i wahliwy, jak strzałka kompasu, drży tylko niespokojnie. Kołomyja? dojadą tam jeszcze? Nic pewnego... dziwne wahania wiecznie ruchliwej igły... Stanisławów? Podobne niezdecydowane uczucie. „Nikopol!" pomyślał nagle — cisza!

— Tak, tu stacjonuje mój oddział. Warsztaty reparacyjne. Dobrze mi tam — mówi nieogolony takim tonem jakby chciał wyrazić: czuję się tam straszliwie źle.

Dziwne, myśli Andreas. Zdawało mi się że tam musi być nizina, a więc zielona plama i kilka czarnych punktów, tymczasem mapa w tym miejscu jest jasno żółta. „Odgałęzienie Karpat", myśli nagle i przypomina mu się szkoła, staje przed oczami w całości: korytarze, biust Cicerona, małe szkolne podwórko wtłoczone między czynszowe domy-okropieństwa, w których latem na oknach wygrzewały się mieszkanki w biustonoszach, sklepik z kakao u dozorcy na parterze, duszny strych, gdzie podczas pauzy paliło się w pośpiechu papierosa. „Odgałęzienie Karpat"...

Palec nieogolony wskazuje teraz dalej na południo-wschód — Chersoń — mówi — tu staliśmy ostatnio, a teraz cofamy się znów; pewno na Lwów, a może za Karpaty na Węgry. Pod Nikopolem front załamał się, słyszałeś komunikat? Odwrót brnie w błotach. Odwrót zmotoryzowany przez błota! Bezsens, wariactwo. Maszyny utykają, gdy trzy auta ugrzęzną obok siebie, wszystko co pozostało za nimi jest stracone, ani naprzód, ani w tył, no i wszystko w powietrze... wszystko wysadza się i wszyscy maszerują piechotą... pewno i generałowie też... może. Ale oni wywieją na pewno... powinniby maszerować piechotą, tak piechotą! jak ukochana piechota Führera. W piechocie służysz?

— Tak. — Andreas nie wiele rozumiał. Cała jego uwaga skupia się ostrożnie na jasno-żółtej plamie mapy i na czterech czarnych kółkach: jedno duże, grube — to Lwów, drugie mniejsze, cieńsze — to Czerniowce, i dwa zupełnie małe — to Kołomyja i Stanisławów.

— Podaruj mi tę mapę — mówi przyjaźnie, nie patrząc na nieogolonego. — Daj mi ją! — Nie może oderwać wzroku od mapy, drży z obawy, że nieogolony może odmówić. Dla wielu jakiś przedmiot nabiera ogromnej wartości, gdy spostrzegą, że ktoś inny chciałby go posiadać. Rzecz, którą nieraz chętnie by wyrzucili, staje się wówczas drogocenna i nie do sprzedania, bo ktoś inny jej zapragnął, bo ktoś inny może ją zużytkuje.

Wielu jest takich, ale nieogolony jest inny.

— Bierz ją! — powiada trochę zdziwiony — toż to drobnostka, dwadzieścia fenigów, a w dodatku stara. Dokądże musisz jechać?

— Nikopol — mówi Andreas i znów czuje okropną pustkę przy tym słowie i wydaje mu się, że okłamuje nieogolonego. Nie śmie na niego spojrzeć.

— No, zanim tam dobrniesz, śladu nie będzie po nas w Nikopolu, może do Kiszyniowa... nie dalej.

— Myślisz? — Kiszyniów też nic mu nie mówi.

— Oczywiście, Kołomyja, no tak! — Nieogolony śmieje się — Jak długo musisz tam jechać? Policzymy: jutro rano będziemy we Wrocławiu. Jutro wieczorem — Przemyśl. Czwartek, piątek wieczór, może trochę wcześniej — Lwów. Sobota — ja w sobotę będę już w swojej Kołomyi, ale ty potrzebujesz dobrych kilku dni żeby dostać się tam na południe, dobry tydzień jeśli będziesz mądry, a za tydzień... Nikopol nie będzie już dla nas istniał!

Sobota, myśli Andreas. Sobota, pełne i pewne uczucie. W sobotę będę jeszcze żył. W tak bliskiej przyszłości nie ważył się dotychczas próbować. Teraz zrozumiał dlaczego jego serce milczało, gdy wyprzedzał czas na całe miesiące, lub lata: to były

skoki daleko, daleko poza kres, to były strzały w próżni, a więc bez echa, wybiegi w świat, który już dlań nie istniał. Jego kres jest bliski, przeraźliwie bliski. Wstrząsnął nim dziki, bolesny, zarazem wspaniały dreszcz. W sobotę będę jeszcze żył, jeszcze całą sobotę, jeszcze trzy dni! Ale w sobotę wieczorem nieogolony chce już być w Kołomyi, ja powinienem więc nie wiele później być już w Czerniowcach, a w Czerniowcach już nie ma nic! między Lwowem i Czerniowcami... Niedziela! szepcze nagle. Nic... nic więcej... łagodne, bardzo, bardzo smutne i nieokreślone uczucie. W niedzielę rankiem, między Lwowem a Czerniowcami mój kres...

Dopiero teraz patrzy uważnie na nieogolonego i przeraża się tej twarzy bladej jak kreda z poutykanym czarnym igliwiem brody i z wylękniętym wzrokiem. Jedzie do jakichś warsztatów reparacyjnych, nie na front, więc skąd ten lęk w jego oczach, skąd ten smutek? To nie jest zwykły skutek przepicia. Patrzy nieogolonemu wprost w oczy i jeszcze bardziej przeraża go ziejąca z nich głębia rozpaczy. To nie tylko strach i pustka, to jest coś przeraźliwie dręczącego, teraz rozumie dlaczego nieogolony pił, dlaczego musi pić,aby jakoś wypełnić tę okropną przepaść rozpaczy...

— Śmieszne — zaczyna nieogolony nagle stłumionym głosem — bardzo śmieszne! Mam urlop do następnej środy, cały tydzień urlopu jeszcze, a już wracam do swego oddziału. Moja żona... moja żona — dławił w sobie wstrząsający szloch, czy pasję — właśnie moja żona zdradziła mnie. Tak — śmieje się głośno — zdradziła mnie, przyjacielu. Zabawne: włóczyło się po całej Europie, spało się u jakiejś Francuzki, łajdaczyło się z jakąś Rumunką, uganiało się w Kijowie za jakimiś Rosjankami; a gdy w drodze na urlop miało się postój gdzieś w Warszawie, czy w Krakowie nie mogło się oprzeć pięknym Polkom. To było niemożliwe... i... znów dławi w sobie to wstrząsające coś między szlochem a pasją — i kiedy wracasz nareszcie do domu, niespodzianie — rzecz prosta — po piętnastu miesiącach, widzisz draba leżącego w twym łóżku, jakiegoś draba, jakiegoś Moskala, tak! jakiś Moskal leży w twym łóżku, gramofon gra tango, a twoja żona siedzi na stole w czerwonej piżamie i coś miesza... Tak, tak było, dokładnie tak było! Wódek i likierów wysyłałem nie mało... z Francji, z Węgier, z Rosji. Drabowi ze strachu papieros wpadł do gardła, a żona ryczała jak jakiś zwierz... mówię ci, jak jakiś zwierz! — Dreszcz wstrząsa jego ramionami. — Jak jakiś zwierz, mówię ci, i nie pamiętam co dalej. — Andreas lękliwie rzuca wzrokiem na bok, ale blondyn nie mógł nic słyszeć. Siedzi zupełnie spokojnie, prawie wygodnie i smaruje biały chleb jaskrawo czerwoną marmeladą z czyściutkiej, zakręcanej szklanki.

Smaruje bardzo starannie i uważnie i gryzie jak jakiś biurokrata, niemal jak jakiś nadinspektor. Może i jest jakimś inspektorem? Nieogolony milczy drżąc widocznie. Jego słów nikt nie mógł słyszeć. Pociąg je wyrwał... uleciały niedosłyszane z wiatrem... może poleciały z powrotem do Drezna, do Radebeul... gdzie siedziała mała muszka, i gdzie stała dziewczyna w żółtej sukience oparta o rower... wciąż jeszcze... wciąż jeszcze...

— Tak — mówi nieogolony prędko, rzeczowo, jakby chciał szybko rozwinąć trzymany motek. — Zwiałem, najzwyczajniej zwiałem. Na drogę do domu włożyłem robocze spodnie, bo swoje nowe, czarne, mundurowe, z zaprasowanymi kantami, chciałem zachować na urlop. Tak się cieszyłem na spotkanie z żoną... nieprzytomnie cieszyłem się... nie tylko na... nie tylko na to. Nie, nie! — woła — to jest zupełnie coś innego na co się cieszysz. To jest: że jesteś w domu, że twoja żona, człowieku! To wszystko nic, coś z innymi kobietami robił, to zapomina się po kilku godzinach... no i, no i siedzi tam jakiś Moskal, olbrzymi drab, zdążyłem zapamiętać, a jaki rozleniwiony, leży tam i pali... tak leniwie nie mogliśmy nigdy tam leżeć i palić... nigdy i nigdzie na świecie nie możemy tak beztrosko leniuchować i palić. A zaraz po nosie poznałem, że to Moskal... to widać od razu po nosie...

Muszę więcej się modlić, myśli Andreas, od wyjazdu z domu prawie nie modliłem się. Nieogolony znów milczy i patrzy w łagodny krajobraz połyskujący złotem jesiennego słońca. Blondyn wciąż siedzi, jedząc teraz biały chleb z masłem; masło ma w czystym nowiutkim czerwonym pudełku; je z rozmysłem, uważnie, powoli. Muszę więcej się modlić, powtarza sobie Andreas i właśnie chciał rozpocząć gdy nieogolony znów opowiada: — Tak, zwiałem, pierwszym pociągiem, bracie i wszystko z powrotem zabrałem ze sobą. Wódkę, mięso, pieniądze, bracie, a ile ja pieniędzy miałem! I to wszystko dla niej. Żebym tak miał wódkę, teraz wódki... ale skąd tu wziąć teraz wódki, już się rozglądałem, ale tu wszyscy są zastraszeni, nie mają nawet czarnego rynku...

— Mam wódkę, chcesz?

— Wódkę... Bracie!... Wódkę!?

Andreas śmieje się. — Dam ci wódkę za mapę, dobrze?

Nieogolony chwyta go w ramiona. Ma prawie szczęśliwy wyraz twarzy. Andreas nachyla się do swego plecaka i wyciąga butelkę. Błysnęło mu: trzeba być trochę pedagogiem. Drugą dam mu dopiero jak będzie jej potrzebował, jak już po pierwszej otrzeźwieje. Ale nachyla się i wydobywa obie butelki.

— Masz. Pij sam, ja już nie mogę!

Wkrótce umrę, myśli... wkrótce, wkrótce, i to wkrótce już go nie opuszcza, już przywykł do tego wkrótce, spenetrował je

i rozeznał, i wie już z całą pewnością, że w nocy z soboty na niedzielę umrze między Lwowem a Czerniowcami... w Galicji. Tam dalej jest Wschodnia Galicja, jeszcze dalej Wołyń i Bukowina. Te nazwy są podobne do niezwykłych trunków. Bukowina brzmi jak nazwa krzepkiej śliwowicy, a Wołyń — jak ciężkie, gęste wino, jakie kiedyś pił w Budapeszcie...

Ogląda się i widzi jak nieogolony trzyma butelkę za szyjkę, jak blondyn odmawia, gdy go nieogolony częstuje. Później patrzy znów przez okno, ale nic nie widzi... aż het w oddali za bezmierną płaszczyzną dostrzega ów polski horyzont, daleki widnokrąg, który będzie oglądał, gdy nadejdzie godzina...

Dobrze że nie jestem sam, myśli. Żaden człowiek sam nie wytrzymałby tego. I cieszy się teraz, że przyjął zaproszenie do gry, że poznał się z tymi dwoma. Nieogolonego nawet polubił, a blondyn ostatecznie pewno nie jest takim dekadentem, na jakiego wygląda. Jeśli nawet nim jest, to też jednak jest człowiekiem. Niedobrze jest samotnemu. Byłoby nieznośnie ciężko pozostawać teraz samemu tylko z tymi nowymi, którzy znów zapełnili korytarz, z tymi nieznośnymi gadułami, nie potrafiącymi o czym innym bzdurzyć, jak tylko o urlopach i bohaterstwie, o awansach i orderach, o żarciu i tytoniu, no i o kobietach, o kobietach, o kobietach, jak to im wszystkie słały się u stóp... Żadna dziewczyna po mnie płakać nie będzie, myśli. To niebywałe, ale i smutne. Gdyby tak jakaś o mnie myślała! Nawet gdyby była nieszczęśliwa. Bóg jest z nieszczęśliwymi. Nieszczęście — to życie, ból — to też życie. Pięknie by było, gdyby jakaś o mnie myślała, gdyby jakaś po mnie płakała... Żadnej dziewczyny! Niebywałe. Żadna z tych które całowałem. Możliwe, choć nieprawdopodobne, że jest jedna, która mnie jeszcze pamięta, ale nie może już o mnie myśleć. Na dziesiątą część sekundy, lub może jeszcze krócej spotkały się kiedyś nasze oczy, a nie mogę ich zapomnieć. Trzy i pół roku coś mnie zmuszało by o niej myśleć i nie mogę o niej zapomnieć. Tylko dziesiątą część sekundy, może jeszcze krócej... i nawet nie wiem jak się nazywa, nic nie wiem, znam tylko jej oczy, bardzo łagodne, matowe, smutne oczy koloru ciemnego, zmoczonego piasku. Nieszczęśliwe oczy; było w nich coś zwierzęcego, ale i jakże ludzkiego zarazem. Pamiętam, wspominam je co dzień od trzech i pół lat. Nie wiem jak się nazywa i nie wiem gdzie mieszka. Trzy i pół roku! I nie wiem czy była duża, czy mała. Jej rąk nigdy nie widziałem. Gdybym choć widział jej ręce! Tylko twarz i to niedokładnie; ciemne włosy, może czarne, może ciemno-miedziane, wąska, długa twarz, nie piękna, nie gładka, ale oczy! prawie skośne, jak ciemny piasek, pełne bólu, i te oczy należą do mnie, do mnie samego, i te oczy uśmiechały się do mnie dziesiątą część sekundy... Był

tam płot, a za nim dom; na płocie wspierały się dwa ramiona, a między nimi ta twarz, te oczy... w jakimś francuskim ustroniu za Amiens, wypalonym do szarości przez żar letniego słońca. Biegła tam przede mną wiejska droga, a wzdłuż niej mur. Za mną Amiens parowało jak kocioł. Dym pokrywał miasto, a posępny obłęd bitwy pędził jak burza; z lewej strony mijali mnie motocykliści z histerycznymi oficerami i toczyły się czołgi obsypując nas pyłem; gdzieś przede mną burczały armaty. Wiejska droga wiodła pod górę. Nagle zrobiło mi się słabo, zawirowało mi przed oczami, mur ciągnący się z prawej strony drogi pod górę pochylił się, rzuciło mną, upadłem. Widziałem tylko nurkujący samolot i wydawało mi się, że atakuje nie z góry w dół, lecz z ziemi ku niebu, że firmament stał się ziemią, że leżę na szaro-niebieskim okrutnie gorącym skrawku nieba. Ktoś chlusnął mi wódką w twarz, ktoś mnie nacierał, ktoś wlał mi koniaku do gardła — i znów ujrzałem nad sobą ten mur z cegły, a na nim wsparte dwa ramiona i między nimi te oczy patrzące na mnie... nie dłużej niż ułamek sekundy widziałem. Jakiś porucznik wrzeszczał: „Dalej! Dalej. Wstawaj!" Ktoś ciągnął mnie za kołnierz i rzucił na drogę, a droga poniosła mnie naprzód, wtłoczony w sunącą kolumnę nie mogłem się nawet obejrzeć, choćby raz jeden rzucić na ten mur okiem...

To hańba. Żebym choć wiedział spod jakiego czoła patrzały te oczy, jakie usta, jakie piersi i ręce zdobiły! Czyż by to było zbyt wiele, gdybym wiedział jakie serce ożywia te oczy; dziewczyńskie może serce; gdybym mógł te usta całować, nim mnie do tej następnej mieściny zawleczono, nim mnie tam rąbnięto w nogę?

Było już lato. Dojrzałe zboża złociły pola pokreskowane gdzieniegdzie zżartymi przez słońce, sczerniałymi słomkami. Nic nie mogło być mi bardziej nienawistne jak myśl o bohaterskiej śmierci na polu chwały, myśl przypominająca jakiś poemat i jednocześnie plakat gloryfikujący tę zafajdaną wojnę... patriotyczny poemat, że leżę poraniony, krwawiący i klnący na polu chwały, że muszę konać o pięć minut drogi od tych oczu.

Lecz to tylko jedna kość była pogruchotana. Tym niemniej stałem się bohaterem, rannym u wrót Francji, pod Amiens, niedaleko tego zwariowanego muru ciągnącego się pod górę i tylko pięć minut od tej twarzy, z której tylko oczy zdołałem zapamiętać...

Tylko przez ułamek sekundy mogłem widzieć tę niezwykłą ukochaną, która może była tylko widmem, zjawą, a teraz muszę umrzeć gdzieś między Lwowem a Czerniowcami, na szerokim polskim widnokręgu.

Czyż nie obiecywałem tym oczom modlić się za nie każdego

dnia, dzień po dniu, a teraz dzień dobiega już końca. Już zmierzch zapada; wczoraj tylko między jedną grą a drugą przelotnie o niej myślałem, o niej, której imienia nie znam, której ust nigdy nie całowałem...

Nagle Andreas ze zgorszeniem czuje ostry głód. Jest czwartek wieczór. W niedzielę ma umrzeć, a tymczasem odczuwa zwykły głód, powodujący zmęczenie i ból głowy. Okropieństwo! Siada obok nieogolonego, wszyscy trzej milczą. Blondyn wodzi ustami po niemej stronie małej harmonijki i widocznie tylko w myśli nuci jakąś melodię. Nieogolony pociąga z butelki miarowo, cicho, niespiesznie i tylko oczy jego szklą cię coraz mocniej. Andreas zjada ostatnią porcję posiadanych kanapek. Są już nieco suche, lecz głód dodaje im smaku. Zjada sześć złożonych podwójnie kawałków i prosi blondyna o kawę. Kanapki są doskonałe, smakują cudownie, czuje się po nich błogo i w dobrym humorze. Obaj towarzysze milczą, a równomierne turkotanie pociągu działa usypiająco. Najpierw odmówię wszystkie znane mi na pamięć pacierze, a potem jeszcze będę się modlił. Odmawia Credo, Ojcze Nasz i Ave Maria, de Profundis... ut pupillam oculi... Przyjdź Duchu Święty, później znów Credo tak cudownie pełne treści, jeszcze modlitwy wielko-piątkowe tak wspaniale uniwersalne, obejmujące nawet niewierzących Żydów. Przy tym myśli o Czerniowcach i modli się znów za Żydów z Czerniowiec, później za Żydów ze Lwowa, w Stanisławowie też z pewnością są Żydzi, i w Kołomyi... odmawia jeszcze raz Ojczy Nasz i wreszcie swoją własną modlitwę. Milczenie towarzyszy sprzyja jego modłom. Blondyn wciąż wodzi ustami po harmonijce, niegolony ssie niewzruszenie wódkę...

Za oknami zrobiło się zupełnie ciemno, a on modli się jeszcze za Jej oczy, nieprzytomnie długo, o wiele dłużej niż poprzednio za wszystkich innych. Modli się także za nieogolonego i za blondyna, później za tego, który wczoraj „właściwie już wojnę wygrał", za niego zwłaszcza.

— Wrocław! — woła nagle nieogolony, a głos jego ma dziwnie ciężki metaliczny dźwięk, jakby z lekka znów pijany. — Wrocław, za chwilę będziemy we Wrocławiu...

Andreas powtarza teraz cicho słowa poematu: „Był niegdyś ludwisarz, co we Wrocławiu dzwony odlewał..." wzrusza się pięknem tej strofy i żałuje, że nie pamięta dalszych słów. Jednocześnie myśli że jednak nie tak zaraz umrze. Dopiero w niedzielę rano, a może dopiero wieczorem, tam między Lwowem a Czerniowcami, pod tym bezmiernym, dalekim polskim nieboskłonem. Później recytuje cicho „Archibald Douglas", marzy o nieszczęsnych oczach i usypia uśmiechnięty...

Przebudzenie jest zawsze straszne. Poprzedniego rana zbu-

dził go ktoś nadeptując na palce, a tej nocy śniło mu się coś okropnego: siedzi na jakiejś wilgotnej, bardzo zimnej równinie, jest zupełnie bez nóg, siedzi na kikutach swych ud; niebo nad nim jest czarne i powoli opada, wchłaniając i gniotąc wszystko; nie może uciekać, nie może wołać, wie że krzyk jest daremny, obezwładnia go bezcelowość, jednak czuje, że nie może dać się zmiażdżyć, a ciężkie niebo jest wciąż niżej i niżej; nie rozróżnia czy siedzi na mokrej łące, na gołej ziemi, czy w błocie... nie może się ruszać, nie myśli czołgać się na rękach jak raniony ptak; ze wszystkich stron otacza go nieskończenie odległy horyzont, a ciężkie niebo zapada wciąż niżej; nagle coś bardzo zimnego pada mu na głowę; przez jedno mgnienie myśli że czarne niebo to tylko deszcz, chce krzyczeć... budzi się udręczony; nad sobą widzi nieogolonego z butelką przy ustach, uprzytomnia sobie że jedna kropla z tej butelki upadła mu na czoło...

Rzeczywistość znów wraca. Niedziela rano... teraz jest piątek. Jeszcze dwa dni. Nic się nie zmieniło. Blondyn śpi... nieogolony pije nieco dzikszymi łykami, w wagonie zimno, ciągnie ze szpary pod drzwiami, tylko modlitwy rozpłynęły się, tylko myśli o Oczach budzą zamiast bolesnego szczęścia smutek i samotność. Nic się nie zmieniło, choć teraz wszystko wygląda inaczej, mniej błyskotliwie, bardziej bezcelowo. Jakżeż byłoby cudownie, gdyby to „Wkrótce" rozpłynęło się wśród nocy. Ale „Wkrótce" jest tuż jakby całą noc warowało przy nim nieodstępnie; od kiedy przeczuł i zrozumiał znaczenie tego słowa, ciąży ono na nim jak druga twarz. Już od dwóch dni wlecze się za nim nieodłącznie, jak serce, jak dusza. Dniem jest równie mocne i pewne jak nocą. W niedzielę rano...

Nieogolony spostrzegł że Andreas już nie śpi. W półmroku, wciąż z bulgocącą butelką w ręku lub przy ustach, zgarbiony jak do skoku, z załzawionymi oczami — wygląda strasznie.

Jest zimno i jeszcze prawie ciemno. — Gdzie jesteśmy? — pyta cicho zalękniony Andreas.

— Niedaleko Przemyśla. Chcesz się napić?

— Chętnie. — Wódka dobrze robi. Wlewa ostry płomień do wnętrza, pobudza krew jak ogień w kotle zmuszający wodę do wrzenia. Wódka dobrze działa i rozgrzewa. Oddał butelkę nieogolonemu.

— Pij jeszcze. Dostałem w Krakowie nowy zapas.

— Już, dziękuję.

Nieogolony siada obok. Przyjemnie jest mieć koło siebie kogoś czuwającego, gdy ma się serce wypełnione smutkiem. Naokoło wszyscy śpią. Blondyn chrapie pogwizdując. Uporczywe gaduły i zawzięte milczki — wszyscy śpią. W korytarzu powietrze jest obrzydliwe, przesiąknięte zaduchem potu i brudu.

Nagle Andreas uprzytamnia sobie, że są już w Polsce. Serce zamiera w nim na chwilę, jakby mu ktoś arterię przewiązał. Już nigdy nie ujrzę Niemiec! Pociąg minął granicę podczas mego snu. Gdzieś jakaś niewidoczna linia, biegnąca przez pola, lub może w poprzek jakiejś wsi — to była granica. Pociąg minął ją bezdusznie i już nie jestem w Niemczech. I nikt mnie nie obudził, abym mógł spojrzeć choćby w ciemność nocy rozpostartej nad Niemcami. Wprawdzie nikt w tym pociągu nie wie, że wkrótce umrę, że nie zobaczę już Niemiec, nie zobaczę już Renu. Ren. Ren! Już nigdy go nie zobaczę. Pociąg wiezie mnie po prostu pod Przemyśl, do Polski, tej niepocieszonej Polski i nigdy już nie poczuję rozkosznego, cierpkiego zapachu wód i wodorostów Renu, wrośniętych w każdy nadbrzeżny kamień, nie zobaczę ogrodów, willi, alej i barwnych, czystych, wesołych statków, ani wspaniałych mostów surowo a zgrabnie przeskakujących wody, jak jakieś wysmukłe gigantyczne zwierzęta.

— Daj jeszcze butelkę — mówi szorstko. Nieogolony podaje bez słowa.

Andreas pije ten płynny żar długim i głębokim haustem, chce nim wypalić rozpaczliwy żal w swym sercu. Potem zaciąga się mocno dymem papierosa i pragnie by nieogolony zaczął cośkolwiek mówić. Ale najpierw chciałby się pomodlić, właśnie dlatego że wszystko jest tak beznadziejne. Odmawia więc te same co wczoraj modlitwy, tym razem najpierw za Oczy, by ich nie zapomnieć. Jej Oczy są zawsze przy nim, lecz nie zawsze z jednakową wyrazistością. Czasem znikają na całe miesiące i wówczas są przy nim tylko tak jak własne usta czy stopy, które zawsze są obecne, choć czuje się je tylko wtedy gdy zabolą. Czasem zjawiają się, jak to zdarzyło się wczoraj jak palący ból; w takich dniach modli się za nie wieczorem; dziś musi modlić się za nie już z rana. Teraz modli się za Żydów z Czerniowiec i Kołomyi; ale w Galicji Żydzi są wszędzie. Galicja: to słowo jest podobne do węża mającego maleńkie łapki i tułów podobny do noża, do węża z błyskającymi oczami, który miękko pełza i kroi ziemię, rozcina ją na dwoje. Galicja... ciemne, piękne i bolesne słowo. W tym właśnie kraju muszę umrzeć.

Jest dużo krwi w tym słowie, krwi spływającej z noża. Bukowina, myśli, to jest solidne słowo; tam nie umrę, w Galicji umrę, we Wschodniej Galicji. Gdy się rozwidni muszę zobaczyć na mapie jak biegnie granica tej Bukowiny, której nigdy nie zobaczę; dojeżdżamy coraz bliżej. Czerniowce to już Bukowina, nie zobaczę ich.

— Czy Kołomyja to jeszcze Galicja? — pyta nieogolonego.

— Nie wiem. To Polska, zdaje mi się.

Każda granica oznacza straszną ostateczność. Stanowi jakąś

linię i koniec, a pociąg przejeżdża ją tak samo, jak przejeżdżałby trupa, czy żywego. Andreas minął granicę i wszelkie nadzieje w nim zamarły. Nie wróci już do Francji, nie znajdzie już Oczu, ani ust, ani serca, ani kobiecych piersi należących do tych oczu. Oczy pozostaną na całą wieczność tylko oczami, nie uzupełnią się nigdy ciałem, włosami, ubraniem, drogimi kobiecymi rękami, jakie mogłyby go kiedyś może pieścić. Ta nadzieja była zawsze tak żywa, bo oczy należały przecież do żywego człowieka, do żywej dziewczyny, czy kobiety. Teraz koniec. Są tylko oczy, nie zobaczy warg i ust, nie usłyszy żywego bicia serca pod miękkim ciałem, nigdy... nigdy... nigdy. W niedzielę rano, między Lwowem a Kołomyją. Czerniowce leżą dużo dalej, niemal tak daleko jak Nikopol, lub Kiszyniów. „Wkrótce" stało się bardziej zwężone, bardziej bliskie. Dwa dni, Lwów, Kołomyja. Czuje że do Kołomyi może jeszcze dojedzie, lecz nigdy jednego kroku dalej. Ani serce, ani usta, tylko dusza, nieszczęsna piękna dusza, nie posiadająca ciała; objęta parą ramion, jak czarownica stosem, na którym ma być spalona...

Granica wiele odcięła. Przede wszystkim Paula. Pozostały tylko wspomnienia, nadzieje i marzenia. „Żyjemy nadzieją", mówił kiedyś Paul. To tak jakby ktoś powiedział: „Żyjemy na kredyt". Nie mamy żadnej pewności... niczego... tylko oczy, a nawet nie wiemy, czy trzy i pół letnie modlitwy sięgnęły tam, dokąd sami trafić mamy nadzieję...

Tak, gdy później wyrwał się ze szpitala w Amiens i pospieszył pod tamtą górę, zastał wszystko inaczej. Droga nie była szara, nie biegła pod górę, była zupełnie zwyczajna, ciągnęła się wzdłuż grzbietu pagórka. Mur też nie chwiał się i nie wywracał: stał na miejscu. Opodal stał dom, którego nie przypominał sobie. Poznał ceglany parkan, w którym murarz, opuszczając niektóre cegły, pozostawił otwory układające się w ażurowy wzorek. Stał tam francuski farmer z fają w zębach, z całą francuską złośliwą, ołowianą pogardą patrzącą mu z oczu. Ten człowiek wiedział tylko tyle, że wszyscy wówczas stąd uciekli, że Niemcy wszystko tu splondrowali, tu — gdzie w poprzek drogi rozpięty był transparent z napisem: „Za plondrowanie i rabunek — kara śmierci". Oczu nie było! Była tylko żona tego Francuza. Tęga matrona, trzymająca rękę za dekoltem, z twarzą podobną do królika. Córki, siostry, kuzynki, dzieci — w ogóle nie mieli. Tylko niewielką izbę, pełną bohomazów, dusznego powietrza i złośliwych spojrzeń gospodarzy, patrzących na jego beznadziejne i bolesne poszukiwania.

To okno i tę gablotkę rozbili Niemcy. Dywan powypalali niedopałkami papierosów. Rozwalali się na tapczanie ze swymi dziwkami. Wszystko zaświnili. Gospodarz spluwa z po-

gardą. Ale to wszystko działo się później, nie w czasie bitwy, gdy Amiens płonęło, gdy samolot spadł opodal w łan zboża, gdzie jeszcze teraz widać jego sterczący wrak. Faja wskazuje za okno... tak, sterczy tam przewiązany trójbarwną kokardą, a obok na mogile połyskuje w słońcu francuski hełm, to wszystko prawda. Prawdą też był odór smażonego mięsa, zalatującego z kuchni, prawdą były połamane okno i gablotka i pobliska katedra w Amiens, „arcydzieło francuskiego gotyku..."

Oczu ani śladu!

— Może któraś z tych dziwek — mówi gospodarz, a w jego spojrzeniu można było dopatrzyć się teraz odrobiny współczucia. To wspaniałe: drwić i mieć współczucie, współczuć niemieckiemu żołnierzowi, należącemu do tej samej armii, która pokradła naczynia i zegary, zaświniła tapczan, wszystko zapaskudziła.

Andreas stoi na progu domu tak obolały, patrzy tak żałośnie w to miejsce na drodze, gdzie wówczas padł nieprzytomny, ogarnia go tak wielki smutek, że głuszy wszelkie cierpienie. Farmer kiwa głową, jakby nigdy jeszcze nie widział takiego smutku, jak w oczach tego żołnierza ciężko wspierającego się na swym kiju.

— *Peut-être* — mówi — *peut-être une folle*, jakaś wariatka z tego zakładu — wskazuje ręką w kierunku muru, za którym wznoszą się wysokie budynki z czerwonymi dachami, wśród bujnych pięknych drzew. — To zakład dla obłąkanych.. Rozbiegli się oni wówczas i z wielkim trudem trzeba ich było odnajdywać...

— Dziękuję... dziękuję — powlókł się w kierunku zakładu. Do muru było blisko, lecz musiał iść wzdłuż niego nim znalazł bramę. Z dawnego zakładu nie ma nikogo. Teraz są tu ranni i chorzy, informował wartownik w stalowym hełmie, i ambulans dla weneryków. — Wielki ambulans — dodaje wartownik. — Ty też złapałeś?

Andreas patrzy na rozległe pole, gdzie sterczy wrak samolotu, przewiązany trójbarwną wstęgą i gdzie francuski hełm połyskuje w słońcu.

— To jest tutaj takie tanie — ciągnie znudzony wartownik — możesz już za pięćdziesiąt fenigów — śmieje się — pięćdziesiąt fenigów!

— Tak — odpowiada... myśli natomiast: czterdzieści milionów mieszkańców liczy Francja, to zbyt wiele, nie można Jej szukać. Muszę czekać... muszę zaglądać w każde spotkane oczy. Nie chciało mu się poświęcać dalszych trzech minut na dojście do miejsca gdzie był raniony. Teraz widzi jakieś inne pole, inną drogę, wszystko jest jakieś inne. Mur też nie jest ten sam co wówczas. Może ten mur już zapomniał, tak jak i ludzie, jak chybotał się i padał ze strachu. A wrak samolotu może to tylko urojenie, zjawa przewiązana francuskimi barwami. Po cóż

oglądać to pole? Po co wlec się jeszcze trzy minuty i znów z nienawiścią i bólem rozmyślać o patriotycznej poezji, którą on sam wbrew swej woli urzeczywistnia? Po co torturować dłużej umęczone nogi?

— Teraz jesteśmy już bardzo blisko Przemyśla — mówi nieogolony.

— Daj mi jeszcze raz butelkę — prosi Andreas. Pije.

Dniało coraz wyraźniej, chłód przejmuje dotkliwie, już można rozpoznać polski horyzont. Ciemne domy, płaszczyzna pełna cieni, a nad nią niebo jakby grożące zawaleniem z braku jakiegoś oparcia. Może to już jest Galicja, może ta wyłaniająca się z mroku równina, szara, pełna smutku i krwi, to już Galicja... Galicja... Wschodnia Galicja...

— Ale długo spałeś — zagaduje nieogolony — od siódmej do piątej. Już jest po piątej. Minęliśmy Kraków i Tarnów. Ani oka nie zmrużyłem, a już tak dawno jesteśmy w Polsce. Kraków — Tarnów — teraz Przemyśl...

Cóż za fantastyczna różnica między Przemyślem a Renem! Dziesięć godzin spałem i znów jestem głodny, a pozostało mi tylko czterdzieści osiem godzin życia. Dwie doby już są poza mną. Od czterdziestu ośmiu godzin wisi owo Wkrótce nade mną: Wkrótce już umrę. Najpierw było to pewne, lecz dalekie; pewne, ale niejasne; wciąż zwężające się, ścieśnione, zbliżone już o dwa dni, i każdy obrót kół pociągu niesie mnie tam, każdy obrót kół wyrywa cząstkę mego nieszczęsnego życia. Te koła burzą moje życie, oddzielają je od jego bezsensownego rytmu, toczą się przez polskie ziemie równie głucho i bezdusznie, jak toczyły się wzdłuż Renu, wciąż te same koła. Może Paul patrzył właśnie na to koło pod drzwiami, zaoliwione i zaskorupiałym brudem obrośnięte koło wagonowe, toczące się z Paryża, a może z Havru. Z Paryża. Z Dworca Montparnasse... tam gdzie w jesiennym powiewie, pod parasolami, w koszykowych fotelach siedzą sobie ludzie i popijają wino. Wchłaniają słodki pył Paryża, sączą absynt lub Pernod, z niedbałą wytwornością prztykając niedopałki do ścieków płynących pod tamtym łagodnym, zawsze jakby drwiącym niebem. W Paryżu jest pięć milionów mrowia ludzkiego, mnóstwo ulic, mnóstwo zaułków i wiele, wiele domów, lecz pewno z żadnego Jej oczy nie patrzą; pięć milionów, to także zbyt wiele... Nieogolony zaczął nagle mówić. Zrobiło się jaśniej, niektórzy śpiący budzili się walcząc ze snem. Wydawało się że chce powiedzieć coś zanim tamci oprzytomnieją, coś w czasie nocy, na ucho nocy, która słucha...

— To straszne, że już jej nie zobaczę, wiem o tym — szep-

tał nieogolony — i pojęcia nie mam co z nią będzie. Trzy dni już jestem w drodze. Trzy dni! Co ona przez ten czas robiła? Nie sądzę, by Moskal jeszcze u niej siedział. Nie, przecież wrzeszczała jak zwierzę... jak ludzkie zwierzę stojące przed lufą zabójcy. Nikogo u niej nie ma, a ona czeka. O, za nic nie chciałbym być kobietą. Zawsze czekać... czekać... czekać... czekać.

Nieogolony podniósł głos, lecz był to jakby stłumiony, cichy krzyk. „Ona czeka... nie może żyć beze mnie. Nikogo u niej nie ma i nikt do niej nie przyjdzie. Czeka na mnie, a ja ją tak szalenie kocham. Jest teraz niewinna, jak młoda dziewczyna, która nigdy nie myślała nawet o pocałunkach, a ta jej niewinność jest tylko dla mnie! Wiem: to okrutnie straszliwe przerażenie oczyściło ją całkowicie... i nikt inny na świecie, nikt inny, tylko ja mogę jej pomóc, a tymczasem siedzę w pociągu pod Przemyślem... pojadę do Lwowa... do Kołomyi... i nigdy już nie wrócę do Niemiec. Tego żaden człowiek nie zrozumie; dlaczego nie wsiądę w pierwszy powrotny pociąg i nie pojadę do niej... dlaczego? Żaden człowiek nie może tego zrozumieć. Lecz ja boję się tej jej niewinności... a kocham ją tak bardzo, i umrę, a ona już nic innego ode mnie nie dostanie, jak tylko urzędowe pismo: „Padł za Wielkie Niemcy..." Pociągnął bardzo duży łyk.

Jakże wlecze się ten pociąg, nie czujesz tego, kolego? Chciałbym dalej, daleko dalej... jak najprędzej i jak najdalej... i nie wiem dlaczego nie przesiadam się w pociąg powrotny, mam jeszcze dość czasu... prędzej powinien toczyć się ten pociąg, o wiele prędzej...

Niektórzy ze śpiących już się pobudzili i mrugają markotnie w błędnym świetle płynącym z równin...

— Boję się — mamrocze nieogolony koledze do ucha — boję się, boję się śmierci, ale jeszcze bardziej boję się powrotu do niej... dlatego wolę chyba umrzeć... może napiszę jeszcze do niej...

Obudzeni czesali się, zapalali papierosy, pogardliwie wyglądali na zewnątrz, gdzie wśród widocznie nieurodzajnej gleby stały ciemne chałupy; bezludny kraj.... het gdzieniegdzie pagórek... wszystko szare... polski widnokrąg...

Nieogolony milczy. Wygląda jak bez życia. Nie mógł zasnąć przez całą noc; jest wyczerpany, oczy wyglądają jak zmatowiałe lustro, policzki zapadnięte i zżółkłe, a dawno nie golona twarz obrasta rudo-czarną brodą.

— To są właśnie zalety pepanc 3,7 — mówi jakiś bardzo poprawny głos — to są właśnie zalety... zwrotność... ruchliwość...
— I tylko zaledwie puka — śmieje się inny, równie poprawny głos.

— Ależ skąd?!

— Tak, właśnie za to dostał krzyż kawalerski... a my? myśmy mieli tylko pełne portki odwagi...

— Tylko Führera winni słuchać. Precz z arystokratami! Nazywa się von Kruseiten. Też nazwisko! Chciał, przeklęty, lepiej wiedzieć...

Nieogolony zasnął. Gdy rozpoczynało się podobne bzdurzenie, mógł spać, natomiast w ciszy trzeźwiał natychmiast. „Muszę się jakoś pocieszyć, pozostały mi tylko dwie noce", myśli Andreas, „dwie długie, długie noce, chciałbym je spędzić samotnie. Gdyby ci wiedzieli, że modliłem się za Żydów z Czerniowiec i Kołomyi, z pewnością aresztowaliby mnie natychmiast a co najmniej wsadzili do szpitala dla wariatów... zwłaszcza ten pepanc 3,7".

Blondyn bardzo długo trze wąskie, szpetnie zamroczone oczy z odrażającymi strupkami w kątach powiek. Częstuje kolegę białym chlebem z marmeladą i wciąż jeszcze ma kawę w butelce. Andreas znów jest głodny i nie mogąc opanować swego wzroku łakomie patrzy na wielki bochen blondyna. Wspaniały jest ten biały chleb.

— Tak — wzdycha blondyn — moja matka go piekła. — Potem Andreas długo siedzi w klozecie i pali. Klozet jest jedynym miejscem, w którym naprawdę jest się samemu. Jedyne miejsce na całym świecie i jedyne w sławetnej armii Hitlera. Przyjemnie i odprężająco działa posiedzenie w takiej samotności, a papieros sprzyja kojącym rozmyślaniom. Toteż Andreas czuje jak zwolna przezwycięża swój beznadziejnie smutny nastrój, jak znika dławiąca go zmora. Tu jest sam, i wszyscy są z nim. Gdy nie jest sam — wszystko pierzcha, ale teraz jest z nim Paul i oczy wymarzonej dziewczyny... Nieogolony i blondyn... i ten co twierdził, że wojna właściwie jest już wygrana, i ten od zalet pepanc 3,7... wszystko jest z nim i modlitwy są żywsze, bliższe, gorętsze. Będąc sam nie czuje się tak opuszczony. Dziś wieczorem, we Lwowie, muszę znów długo się modlić — myśli — tak, wieczorem, we Lwowie. Lwów jest moją odskocznią... między Lwowem a Kołomyją... pociąg wciąż zbliża się do celu i koła toczące się z Gare Montparnasse, może z Le Havre, może z Abbeville, zbliżają się do Przemyśla... Tak już blisko do mojej odskoczni...

Za oknami jest już jasno, lecz wydaje się, że słońce dziś się nie ukaże. Na szarych warstwach chmur płynie tylko jaśniejsza plama i łagodnie oświetla dalekie lasy i faliste pagórki, wsie i ciemno odziane postacie, osłaniające dłońmi czoła i potrzące na pociąg. Galicja... Galicja.... Długo siedział w swym zaciszu, aż wyrwały go zeń gwałtowne bębnienie w drzwi i lawina sołdackich przekleństw.

Do Przemyśla pociąg nadszedł bez spóźnienia.

Wypogodziło się, słońce przebiwszy chmury kładło się połyskliwymi promieniami na zakurzonych kamieniach i piasku. Andreas i blondyn odczekali aż wagon opustoszał i budzą brodatego. Perony też już wyludniły się. Brodaty mruczy swoje „Tak", wstaje od razu przytomny, cęgami rozcina druty blokujące drzwi i otwiera wyjście wprost na peron. Zbierają swe manatki, Andreas ma ich najmniej. Torba z jedną koszulą, parą skarpetek i drobiazgami, hełm stalowy, karabin został w sieni u Paula. Blondyn ma plecak lotniczy i kuferek, brodaty — dwa kartony i tornister, obaj mają pistolety. Dopiero teraz widzą, że brodaty jest podoficerem. Jego matowe naszywki odbijają od szarego kołnierza. Dworzec jest pusty i smutny, wygląda na stację towarową. Na prawo ciągną się baraki, dużo baraków: barak-odwszalnia, baraki-kuchnie, baraki-poczekalnie, baraki noclegowe, musi też być niewątpliwie i barak-burdel, gdzie wszystko gwarantuje całkowitą higienę. Brodaty najwidoczniej zna teren. Wyprowadza ich poza labirynt barakowy. Pod jakimś świerkiem, przy jakimś już trawą zarośniętym bocznym torze, skąd widoczne były wieże starego Przemyśla i wstęga Sanu, rozkładają legowisko. Brodaty kładzie swoje bagaże i mówi: — Pójdę po prowiant podróżny, dowiem się o pociąg do Lwowa, a wy tu pośpijcie sobie trochę. — Zabiera ich karty urlopowe i zmierza w kierunku zabudowań. Idzie bardzo ociężale i wolno, kołysząc się jak marynarz. Teraz dopiero widzą ile plam i dziur, jakby od drutu kolczastego, jest na jego roboczych spodniach.

Południe, zrobiło się gorąco. Cień świerków nie daje już łagodnego chłodu, jest sucho. Blondyn rozciągnął swój koc, obaj leżą oparłszy głowy na pakunkach i patrzą na dachy miasta i dymiące baraki, na kołyszącego się, jak marynarz, brodatego, znikającego między barakami. Opodal stoi pociąg, z dymiącą lokomotywą, idący w kierunku Niemiec. Z okien wychylają się gołe głowy żołnierskie. Dlaczego nie siadam do tego pociągu, to naprawdę niezrozumiałe, myśli Andreas. Dlaczegóż w tym kraju, gdzie wszystko można kupić, nie staram się o kartę urlopową i nie jadę z powrotem nad Ren, czy na Gare Montparnasse w Paryżu, gdzie mógłbym przetrząsać dom za domem i szukać pieszczoty rąk, należących do Oczu... Pięć milionów, to tylko ósma część, dlaczego nie miałbym tam Jej znaleźć... dlaczego nie jadę z powrotem do Amiens i nie strzelę sobie w łeb, tam, przy tym murze, w tym miejscu gdzie Jej wzrok tak bliski i drogi, zapadł mi głęboko i trwale w duszę, choć widziałem go tylko ułamek sekundy? Ale te myśli są tak okaleczałe jak i jego nogi, a nogi rozprostowywały się teraz wygodnie na ciepłym piasku, wyciągały się, wyciągały, mógłby je chyba wyciągnąć het, aż do środka Przemyśla.

Wyczerpani i zmęczeni długą drogą w wagonie wojskowym — siedzeniem i spaniem w kucki w kurzu i brudzie — wypoczywają obaj, drzemiąc.

Gdy Andreas przebudził się słońce zatoczyło już duży łuk; brodatego jeszcze nie ma, blondyn pali papierosa. Pociąg w kierunku Niemiec dawno odszedł, ale stoi już następny w tym samym kierunku. Z baraku-odwszalni wypełzają szare sylwetki żołnierzy z plecakami, tornistrami, karabinami zawieszonymi na szyjach i kierują się do tego pociągu. Nagle jakaś sylwetka zaczyna biec, za nią trzy, dziesięć... o, już wszyscy biegną, potrącają się, gubią manatki... cały szary, beznadziejny wąż pędzi... bo jeden zląkł się czegoś i zaczął...

— Gdzie masz mapę? — pyta blondyn. Są to pierwsze słowa jakie między sobą zamieniają. Andreas wyciąga ją z kieszeni i rozpościera na kolanach. Jego wzrok nieruchomieje na napisie „Galicja". A palec blondyna, rasowy i dystyngowany mimo brudu i zniszczenia, błądzi dużo dalej na południe-wschód, dłoń zakrywa zatokę między Odessą a Krymem, wreszcie brzeg paznokcia zatrzymuje się na Nikołajewie.

— Nikołajew? — pyta Andreas.

— Nie. — Blondyn wzdryga się cały, palec posuwa się dalej, widać, że patrzy na mapę myśląc o czymś innym. — Nie — powtarza — Oczaków. Tam stoi moja bateria przeciwlotnicza. Przedtem byliśmy na Kubaniu, wiesz, ale teraz ten Oczaków.

Niespodzianie obaj spojrzeli jeden na drugiego. Tyle godzin spędzili obok siebie, pili, jedli, grali w karty, spali oparci jeden o drugiego, a dopiero teraz przyglądają się sobie. Dopiero teraz nad oczami blondyna ukazuje się odrażająca, niemal szaro-biała śluzowata skóra. Andreas wzrokiem jakby przebijał słaby strup, który ledwie zasklepił się na ropiejącej ranie. Teraz nagle rozumie odpychający fluid, bijący od tego z pewnością kiedyś przystojnego mężczyzny, smukłego blondyna o arystokratycznych, wydłużonych dłoniach, o na pewno ładnych oczach, kiedy jeszcze nie były zamglone.

— Więc to tak — myśli.

— Tak. Tak to jest — szepcze blondyn, — jakby wyczuwając myśli kolegi, i dalej ciągnie przejmująco cichym głosem. — To tak jest. Wachmistrz mnie uwiódł. Jestem kompletnie zniszczony i zakażony i nic mnie na świecie nie cieszy. Żarcie też nie. To tylko tak wygląda. Jem, piję, śpię — wszystko automatycznie. Nic nie poradzę, zniszczyli mnie. — Podniósł głos: — Sześć tygodni staliśmy na pozycji w bagnach Siwaszu... szeroko dookoła, bezludzie zupełne, żadnego budynku, żadnego, choćby rozwalonego, muru, tylko błota, łoziny, bagna, wody i komary... i tylko sowieckie samoloty przelatywały, jeśli chciały ata-

kować nasze transportowce lecące z Odessy na Krym. Sześć tygodni przemęczyłem się tam, to się nie da opowiedzieć. Było nas sześciu obsługi jednego działa i wachmistrz. Żadnego stworzenia w pobliżu. Zaopatrzenie podwożono nam na skraj bagien raz na dwa tygodnie, musieliśmy je po kładkach taszczyć do naszego stanowiska. Żarcie było naszą główną rozrywką, trochę łapaliśmy ryby, a głównym zajęciem było tłuczenie komarów... całe chmury komarów... żeśmy tam nie powariowali!... Nasz wachmistrz to było nieprzeciętne bydlę. Dniem i nocą spluwał wyzwiskami i przekleństwami i żarł wstrętnie. Mięso i tłuszcz tylko, bez chleba. „Tak, westchnął przeraźliwie, człowiek nie jedzący już chleba jest stracony, mówię ci. Tak..." Zamilkł, zapanowała okropna cisza, tylko słońce jeszcze piękniej, jeszcze łagodniej złociło widnokręg i sylwetkę Przemyśla.

— Mój Boże — jęczy blondyn — uwiódł nas, co tu więcej powiedzieć? Byliśmy wszyscy tacy... oprócz jednego. Ten nie chciał. Był starszy, żonaty, miał dzieci, często wieczorem płacząc pokazywał nam ich fotografie... przed tym. Ten nie chciał, bronił się, groził... poza tym był mocniejszy niż my pięciu razem. Jednej nocy, gdy sam stał na warcie, wachmistrz go zastrzelił. Podkradł się i od tyłu trzasnął! Po tym wszystkich nas wyciągnął i musieliśmy pomagać mu trupa do bagna zataszczyć. Jakże ciężkie są trupy ludzkie... człowieku! Zwłoki ludzkie są przeraźliwie ciężkie, cięższe niż cały świat. W sześciu ledwie go unieśliśmy. Było ciemno, padał deszcz, myślałem że to już prawdziwe piekło. Wachmistrz napisał meldunek że stary buntował się, że groził mu pistoletem, a na dowód załączył pistolet starego, w którym brakowało jednego ładunku. A oni, posłali żonie starego zawiadomienie, że jej mąż padł za Wielkie Niemcy w bagnach Siwaszu... tak! W osiem dni po tym zaopatrujące nas auto przywiozło mi kartę urlopową i telegram, że nasza fabryka zniszczona, żebym przyjeżdżał zaraz. Nie wracałem już na pozycję, od razu tym samym autem w drogę! — Przy tych słowach wyrywa mu się okrzyk dzikiej radości. — Wachmistrz podobno szalał. Mnie przesłuchano w kancelarii jako świadka śmierci starego. Zeznałem tak jak wachmistrz meldował i wtedy... w drogę! Z baterii do Oczakowa, później do Odessy i dalej... — Znów obaj milczą i tylko słońce znów jeszcze piękniej i jeszcze łagodniej złoci widnokrąg; Andreas czuje dławiące go obrzydzenie. To chyba najstraszniejsze — myśli — chyba najstraszniejsze....

— Nic mnie już nie cieszy i nie mogę już znaleźć żadnej przyjemności. Na kobietę boję się spojrzeć. W domu przez cały urlop płakałem i wyłem jak kretyn. Matka podejrzewała jakąś chorobę, lecz nic jej nie powiedziałem, tego przecież nikomu mówić nie można...

Jakżeż to głupio, że właśnie w tej chwili słońce tak wspaniale świeci, myśli Andreas, wciąż nie mogąc opanować obrzydzenia, a jednocześnie próbuje uścisnąć dłoń blondyna, lecz ten cofa się gwałtownie: — Zostaw! nie trzeba — jęczy i przewraca się na brzuch, obejmuje ramionami głowę i szlocha, szlocha przeraźliwie, jakby przed nim pękała ziemia i rozwierała się otchłań. A nad tym szlochem, nad barakami, nad Przemyślem, nad Sanem — uśmiecha się złocisto-błękitne niebo...

— Umrzeć, tylko umrzeć, bardzo chcę umrzeć i wtedy koniec... — słowa blondyna są zdławione, zduszone i Andreas spostrzega, że blondyn łka teraz najprawdziwszymi, kapiącymi łzami.

Andreas nic teraz nie widzi. Wydaje mu się że wał krwi, flegmy i brudu przetacza się po nim; zaczyna modlić się rozpaczliwie i desperacko, jak tylko modlić potrafi się tonący, nie widzący ani brzegu, ani ratunku...

Dobrze jest tak płakać, myśli, taki płacz koi... jaki nie szczęśliwy jest ten kto nigdy nie zapłakał! I ja powinienbym płakać, koniecznie... brodaty płakał, ten tu obok płacze, a ja od trzech i pół lat nie uroniłem łzy, nie rozpłakałem się ani razu od tego pamiętnego dnia w Amiens, kiedy wracałem spod Jej muru, kiedy nie mogłem zdobyć się na trzy minuty marszu, aby popatrzyć na pole, na którym tak mnie trafiło....

Odszedł i drugi pociąg w kierunku Niemiec. Dziwne, snuje dalej Andreas, gdybym nawet chciał teraz zawrócić, to nie mogę. Nie mogę przecież zostawić tych dwóch samych, to niemożliwe, a poza tym wcale nie pragnę powrotu; nie wrócę już nigdy...

Na torach, z kierunku opustoszałego dworca, gdzie grupka polskich robotników poprawiała coś przy podkładach, ukazuje się dziwna postać w roboczych spodniach nie podobna do tego zrezygnowanego i zmaltretowanego brodacza, który w pociągu usiłował zagłuszyć wódką swą rozpacz. Zbliża się inny człowiek, tylko spodnie są brodatego. Twarz wygolona i różowa, czapka nieco na bakier, w oczach coś podoficerskiego wyraża drwinę i cynizm, chłód i militaryzm, coś wypranego ze wszelkich iluzji. Zaniedbany, brudny brodacz zjawia się teraz jako domyty i wygolony, uczesany i wyświeżony podoficer Willy.

Już nie można nazywać go nieogolonym lub brodatym, trzeba teraz myśleć i mówić: Willi. Tymczasem blondyn dalej leży na brzuchu, z głową oplecioną ramionami, a z jego ciężkiego sapania trudno jest zrozumieć — śpi, jęczy, może płacze?

— Śpi? — pyta Willi.

— Chyba śpi.

Willi rozkłada starannie przyniesione zapasy na dwie jednakowe racje. — Na trzy dni — powiada — po całym chlebie dla

każdego, po kawale gotowanej kiełbasy, prawie po pół funta masła, po osiemnaście papierosów i po trzy rolki dropsów.

— A twoja porcja, Willi?

Willi patrzy zdziwiony, niemal obrażony: — Mam przecież swoje kartki żywnościowe jeszcze na kilkanaście dni!

Trudno jest uwierzyć, że to co Willi opowiadał w pociągu, nie jest jakimś koszmarnym przywidzeniem, że ten starannie ogolony — obecnie w cieniu świerków spokojnie i uważnie wkładający nowiutkie spodnie, świetnie skrojone i zaprasowane — to ten sam bardzo nieszczęśliwy brodacz z wagonu. Willi wygląda teraz na prawdziwego podoficera i jedynie w oczach można dostrzec źle zamaskowane cierpienie.

— Mamy także i piwo — mówi, sadowiąc się obok i urządzając z kartonowego pudła coś w rodzaju stołu. Stawia trzy butelki i rozkłada polską słoninę, pszenny chleb i młodą cebulkę. Piwo jest doskonałe i nawet dość chłodne.

— Kapitalni są ci polscy fryzjerzy. Fantastyczne: za sześć marek jesteś człowiekiem, nawet włosy masz wymyte. A jak ostrzyżone, jak uczesane! — Zdejmuje czapkę i pokazuje doskonałe ostrzyżony kark. — To jest fryzura! — Andreas przygląda się wciąż jeszcze zdziwiony przemianą niedawnego brodacza i spostrzega teraz w jego oczach coś sentymentalnego, tak coś po podoficersku melancholijnego. Odległość baraków, cień świerków, ciepły piasek — stwarzają nastrój zaciszny i miły.

— Musicie obaj też pójść umyć się, ogolić, odświeżyć i pozbyć się tego smrodu i brudu. Będziesz się czuł jak nowonarodzony, przejdzie senność i zmęczenie, będziesz... — Willi szuka odpowiedniego wyrażenia — będziesz... no, będziesz innym człowiekiem. Mamy jeszcze dwie godziny czasu do pociągu. Wieczorem będziemy we Lwowie. Dalej pojedziemy cywilnym kurierem Warszawa-Bukareszt. Wspaniały pociąg. Jeździłem nim. Trzeba co prawda mieć odpowiednie stempelki — śmieje się głośno — ale ja już się o te stempelki postaram, tylko nie pytajcie gdzie i jak...

(c.d.n.) *Heinrich BÖLL*

(Autoryzowany przekład S.W. KOZŁOWSKIEGO)

Powyższa książka ukazała się w języku niemieckim pod tytułem *Der Zug war pünktlich.*

Dramat „wyzwolenia"

Być może, że w ogóle nie dojdzie ani do konferencji wielkiej czwórki ani do utworzenia — takiego czy innego — ,,pasa neutralnego''. Jakiekolwiek jednak stawialibyśmy horoskopy, należy obiektywnie stwierdzić, że w obecnej fazie wyzwolenie poprzez ,,neutralizację'' posiada większy stopień prawdopodobieństwa niż wyzwolenie poprzez akcję zbrojną.

Wolność jest pojęciem stopnia. Jednostka czy naród w różnym stopniu mogą być wolni. Wyzwolenie jest również pojęciem skali. Tylko wyzwolenie będące owocem i konsekwencją zwycięskiej wojny jest pełnym 100% wyzwoleniem. Wszystko inne — ,,is a matter of degree''.

Nie ulega wątpliwości, że wyzwolenie poprzez neutralizację nie jest pełnym wyzwoleniem i w niczym nie przypomina... jutrzenki wolności wyśnionej przez poetów. Niemniej, z punktu widzenia polskiej polityki każde wyzwolenie byłoby dla Kraju błogosławieństwem. Każde — nawet tylko połowiczne.

Dla Polaka, Austria nie stanowi dobrej ilustracji wyzwolenia poprzez neutralizację — ponieważ ów sympatyczny kraj nie był satelitą. Również neutralizacja Niemiec — gdyby kiedykolwiek do niej doszło — miałaby specjalny charakter, ponieważ tylko część Niemiec jest państwem satelickim.

Co należałoby rozumieć przez termin ,,neutralizacja'' w odniesieniu do Polski, Czechosłowacji czy Rumunii?

Jest wysoce prawdopodobne, że w oczach Moskwy Polska stałaby się krajem neutralnym, gdyby rząd reżimowy wydał deklarację w której uroczyście by stwierdzono, że Polska nie wejdzie nigdy do żadnego systemu sojuszów ani z wschodem ani z zachodem a jej terytorium jest całkowicie wolne od obcych wojsk i baz.

Gdyby tego rodzaju deklaracje ogłosiły jednego dnia wszystkie państwa satelickie — Moskwa mogłaby twierdzić, że Europa Wschodnia została zneutralizowana. Dyplomacja sowiecka wysunęłaby zapewne pogląd, że statut neutralny nie jest w żadnym wypadku związany z ustrojem wewnętrznym danego państwa. Neutralne może być państwo o ustroju monarchistycznym, demo-

kratycznym czy jakimkolwiek innym. Niewątpliwie domagać się neutralizacji państwa N — jest czymś zupełnie różnym od żądania, by w państwie N przeprowadzono wolne wybory pod kontrolą międzynarodową.

I tu jesteśmy u dna problemu ,,wyzwolenia'' poprzez neutralizację. Istotnie, każde państwo bez względu na ustrój może być neutralne pod warunkiem jednak, że rząd sprawujący władzę w tym państwie nie został narzucony siłą przez obce mocarstwo. Obiektywnym sprawdzianem mogą być w tym wypadku jedynie wolne wybory.

Trzeba wreszcie odróżnić neutralność od neutralizacji. Powiedzmy — państwo X deklaruje, że jest neutralne. Tego rodzaju decyzja jest jednostronnym aktem politycznym i państwo X każdej chwili jest władne ową decyzję anulować. Neutralizacja natomiast wynika z umowy i niesie z sobą zobowiązanie, którego państwo zneutralizowane nie może jednostronnie wypowiedzieć. Polityczna literatura brytyjska bardzo ściśle rozgranicza powyższe terminy i pojęcia.

Choć jest rzeczą (w mojej opinii) mało prawdopodobną by Sowiety zgodziły się w najbliższych miesiącach na neutralizację krajów Europy wschodniej — nie oznacza to jednak, że propozycje tego typu odrzucą za pół roku czy za rok. Może więc byłoby nie od rzeczy zastanowić się co tego rodzaju rozwiązanie oznaczałoby w praktyce i czy leży ono w naszym interesie?

Na emigracji zżyci jesteśmy z wizją uwolnienia poprzez zwycięstwo. Jest oczywiste, że zwycięstwo obejmowałoby kapitulację komunizmu i komunistów z śmietanką polskich komunistów włącznie.

Uwolnienie poprzez neutralizację wyglądałoby zgoła odmiennie. Neutralizacja nie oznaczałaby ani kapitulacji komunizmu, ani wyjęcia partii komunistycznej spod prawa. Jeżeli przyjęto by zasadę wolnych wyborów pod międzynarodową kontrolą nie oznaczałoby to bynajmniej, że mocarstwa zachodnie gotowe są cofnąć uznanie rządowi reżimowemu a za legalny rząd polski uznać Egzekutywę.

Należy raczej przyjąć, że w takiej sytuacji ścierałyby się z sobą dwa poglądy. Sowiety — jeżeli zgodziłyby się na wybory — z całą pewnością reprezentowałyby pogląd, że wybory powinien przeprowadzić uznany przez wszystkich obecny rząd (reżimowy) i że z wszelkimi projektami poszerzenia politycznej podstawy rządu należy zaczekać do wyniku wyborów.

Nie wykluczam, że Amerykanie i Anglicy domagaliby się natomiast przebudowy obecnego rządu (reżimowego) proponując by w jego skład weszło kilku nie-komunistycznych polityków z Kraju i z zagranicy.

Który z polityków emigracyjnych w takiej sytuacji zgodziłby się na wyjazd do Kraju?

Na emigracji mamy tylko ,,program'' obliczony na zwycięstwo. Kiedyś... kiedyś... gdy komunizm upadnie gotowi będziemy wrócić (nie wszyscy... nie wszyscy!) i objąć schedę. Nato-

miast walka polityczna z komunizmem w Kraju to nie jest nasza „misja".

Nie trudno przewidzieć, że posypałyby się protesty a nasi politycy i działacze udowadnialiby na zebraniach i w prasie, że neutralizacja jest nową Jałtą i wskutek tego obowiązkiem politycznej emigracji jest jeszcze silniej okopać się w Londynie i trwać na posterunku.

Nie trudno również przewidzieć, że jedynym politykiem, który w takiej sytuacji wyraziłby gotowość wyjazdu do Kraju byłby p. St. Mikołajczyk.

Według mojej opinii — choć daleki jestem od poddawania w wątpliwość szczerości jego uczuć patriotycznych — p. Mikołajczyk jest politycznie kartą przegraną, zarówno w Kraju jak i zagranicą. Wątpię również czy w tym wypadku Amerykanie poparliby jego kandydaturę. Ożywić p. Mikołajczyka w takim momencie byłoby równoznaczne z wskrzeszeniem widma Jałty i klęski, która po niej nastąpiła.

Lecz w gruncie rzeczy to są wszystko szczegóły bez większego znaczenia. Polska „wyzwolona" poprzez neutralizm byłaby tak różna od patriotyczno-propagandowej kliszy — że o ile (być może) w pewnym stopniu rozwiązywałaby problem Kraju — o tyle z całą pewnością nie stanowiłaby rozwiązania problemu emigracyjnego.

Jeżeli zakładamy możliwość rozwiązania „neutralistycznego" musimy rozważyć pewne elementy stałe, które nie znikną z pola widzenia bez względu na to jak się sytuacja rozwinie i ułoży.

Pierwszym elementem stałym są Sowiety. Choćby Rosja wykazała jak najdalej posuniętą ugodowość, choćby wycofała z Polski bazy i garnizony a za nową granicę przyjęto linię z 1939 roku — to niemniej, Sowiety pozostaną tym czym są dziś — atomowym mocarstwem świata Nr 2.

Bezpieczeństwo zneutralizowanej Polski byłoby pokryte gwarancją OZN, czy też klauzulami układu mocarstw. Nie wydaje mi się jednak by było rzeczą możliwą odbudować w Kraju na przestrzeni roku czy dwóch zaufanie do jakichkolwiek gwarancji. Przeciętny mieszkaniec Polski zdawałby sobie doskonale sprawę, że neutralizacja jest formą przejściową. Nie miałby też najmniejszych wątpliwości, że w razie wybuchu konfliktu — czy tylko zaostrzenia sytuacji międzynarodowej — nie Amerykanie zajmą „neutralną" Polskę (w pierwszych trzech dniach) lecz ...Sowiety. Znowu Sowiety. Tych realistycznych perspektyw nie przysłoniłyby żadne mowy, komunikaty, żadne „gwarancje" ani żadna propaganda. Fakt bezpośredniego sąsiedztwa z atomowym kolosem sowieckim byłby jednym z ważnych czynników kształtujących polityczny profil zneutralizowanej Polski. Gdyby Polska została wyzwolona w wyniku totalnej klęski Rosji, oczywiście ani w Polsce ani w żadnym z państw wschodnio-europejskich nie odżyłyby partie komunistyczne. Klęska Sowietów byłaby w praktyce równoznaczna z klęską światowego komunizmu.

„Wyzwolenie" poprzez neutralizację nie oznaczałoby ani klęski komunizmu ani partii komunistycznych. Ponieważ tak we Francji jak i w Anglii partie komunistyczne działają legalnie i jawnie — nikt nie mógłby żądać wyjęcia spod prawa partii komunistycznych w zneutralizowanej Polsce czy Czechosłowacji. Natomiast państwa Zachodu — gdyby kiedykolwiek miało dojść do neutralistycznych rozwiązań — winny nieugięcie domagać się przeprowadzenia w krajach wschodnio-europejskich wolnych wyborów pod kontrolą międzynarodową. To jest kardynalny punkt programu i w tej sprawie nie może być żadnych kompromisów czy ustępstw.

Osobiście jestem przekonany, że w wyniku wyborów partia komunistyczna w Sejmie zneutralizowanej Polski dysponowałaby poważną ilością mandatów i nie byłoby rzeczą możliwą utworzenie rządu bez udziału komunistów.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Sowiety są znienawidzone przez 99'9 % polskiego społeczeństwa. Niemniej propagandzie komunistycznej — trzeba to powiedzieć otwarcie — powiodło się przekonać Polaków w kilku istotnych sprawach.

Różnorakie akcje zmierzające do zdyskredytowania polityki Polski dwudziestolecia — osiągnęły znacznie większy rezultat niż jesteśmy skłonni sądzić. Totalna klęska przypieczętowana inferno warszawskim wpłynęła głęboko na zmianę postawy. Z kości warszawskich powstańców i żołnierzy leśnych nie powstał mściciel lecz pozytywista i kolaborant. Polska jest komunizowana nie przez Rosjan lecz głównie przez Polaków i polskimi rękami — od Bezpieki po socrealizm, od kołchozów po reżimowy katolicyzm.

Osobiście sądzę, że przekonanych autentycznych komunistów w Polsce są ciągle tylko setki. Natomiast przekonanych kolaborantów są setki tysięcy... a może miliony.

Anty-amerykańska i anty-zachodnia propaganda uprawiana przez reżim nie przekonywuje Polaków w Kraju. Niemniej w pewnym stopniu żywi kompleks nieufności, kompleks, że nas „sprzedano".

W państwie totalistycznym ludzie daleko pełniej i plastyczniej zdają sobie sprawę z faktu, że w obecnej epoce o losach milionów decyduje kilku ludzi. Na konferencji w miejscowościach XY trzech panów może zadecydować o losie wschodniej Europy na szereg lat. Kolaboracjonizm czeski, polski czy węgierski, jest w dużej mierze konsekwencją postawy Zachodu, który w imię pokoju zawsze gotów jest do takiego czy innego „deal'u" z Sowietami. Po tej stronie „żelaznej kurtyny" większość roni łezkę nad upadkiem wolności, lecz równocześnie godzi się z ujarzmieniem milionów — po tamtej stronie barykady większość wzdycha do wolności równocześnie współpracując z tyranem. Istnieje ścisła zależność między tymi dwoma zjawiskami.

Jakie byłyby reakcje na „zneutralizowanie" Polski panów Kowalskich w Łowiczu czy Kwiatkowskich w Grybowie?

Komuniści wyjaśniliby pośpiesznie wszystkim wokół i każ-

demu z osobna, że neutralizacja nie jest ani kontr-rewolucją ani powrotem do warunków z 1939 roku. Prasa reżimowa zaprezentowałaby nową sytuację jako zwycięstwo polityki sowieckiej. Rozumowanie panów Kowalskich opierałoby się prawdopodobnie na następujących przesłankach :

...Sowiety wprawdzie wycofały się ale są nadal tuż za miedzą i potęga ich pozostała nietknięta. Nikt kładąc się spać w zneutralizowanej Warszawie nie może mieć pewności czy nie obudzi się w Warszawie re-okupowanej. Powtórna okupacja może zadecydować się w obrębie kilkunastu godzin. A wówczas wiadomo co spotka tych, którzy głosowali na ludowców, socjalistów czy na jakąkolwiek inną partię opozycyjną. Międzynarodowa komisja (kontrolująca wybory) nie ochroni ludowców czy socjalistów przed ...podróżą daleko na północ. Wówczas będzie się nazywało (p. Kowalski jakby już czytał artykuł wstępny w „Trybunie Ludu") ...że ludowcy, socjaliści itd. byli agentami amerykańskimi. To oni płatni pachołkowie Pentagonu pogwałcili statut neutralności Polski, która swą wolność po *raz drugi* zawdzięcza zwycięskiej armii czerwonej. I co wtedy ?

Pan Kowalski, gdyby był całkowicie pewien tajności i uczciwości wyborów, oddałby swój głos na jedną z partii opozycyjnych ale długo by się zastanawiał czy jawnie przystąpić do opozycji. Bardzo znaczny procent panów Kowalskich i Kwiatkowskich do końca nie dałoby wiary, że wybory będą istotnie tajne i uczciwe.

Sytuacja partii komunistycznej w zneutralizowanej Polsce byłaby zupełnie inna niż pozycja komunistów we Francji czy we Włoszech. Ani Francja ani Włochy nie mają setek kilometrów wspólnej granicy z Sowietami. Komuniści w Polsce są partią, która jest na miejscu, która dzierży w swych rękach całość organizacji państwowej od najniższego po najwyższy szczebel. Gdzież są partie opozycyjne ? W moim przekonaniu w Polsce nie ma żadnych partii opozycyjnych — są tylko bierni, utajeni, niezorganizowani opozycjoniści.

Nie wiem ilu znalazłoby się na emigracji intelektualistów, pisarzy, działaczy, polityków — którzy ustatkowane, bezpieczne i nie zawsze biedne życie w Londynie czy w Nowym Jorku byliby gotowi zamienić na trudną i niepewną polityczną walkę w zneutralizowanej Polsce ? O ileż wygodniej byłoby wówczas ogłosić, że neutralizacja nie ma nic wspólnego z wyzwoleniem, że w gruncie rzeczy w Polsce trwa nadal stan zamaskowanej okupacji i że w konsekwencji obowiązkiem politycznej emigracji jest pozostać „na posterunku" na Zachodzie.

Neutralizacja w pierwszym okresie byłaby prawdopodobnie formą zamaskowanej okupacji. Niemniej obowiązkiem polityków, działaczy, pisarzy, publicystów byłoby powrócić.

Nawet jeżeli się przyjmie, że w zneutralizowanej Polsce komuniści (w pierwszej fazie) zatrzymaliby znaczny procent kluczowych pozycji to jednak Polska nie byłaby państwem totalistycznym. Opozycja działałaby jawnie i legalnie.

Rozwój wewnętrznej sytuacji zależałby od dwóch czynników. Od układu międzynarodowego i od dynamiki sił antykomunistycznych w Kraju.

W pierwszym okresie wielu kolaborantów pozostałoby na swych dawnych pozycjach. Uważaliby, że jest bezpieczniej stawiać w dalszym ciągu na komunistów niż na ,,neutralistyczną demokrację''. Jestem pewien, że pierwsze wybory w zneutralizowanej Polsce nawet gdyby formalnie były wolne — w praktyce nie byłyby wolne od terroru. Dziesiątki tysięcy kolaborantów wahałoby się zerwać z komunistami w obawie przed represjami. W takiej sytuacji łatwo sobie wyobrazić, że nie jeden z działaczy przybyłych z Zachodu usłyszałby gorzką uwagę: ,,Jak się Sowietom znudzi neutralizm to pana Amerykanie wywiozą jak Mikołajczyka — a co z nami?''

Gdyby koncepcja europejskiego bloku neutralnego przybrała kształty realne a poczucie niepewnej tymczasowości ustąpiło miejsca zaufaniu w trwałość i bezpieczeństwo układu — wówczas w krajach Europy wschodniej nastąpiłby wielki renesans demokracji i spadek wpływów komunistycznych. Przez ,,trwałość układu'' nie należy rozumieć, że Czesi, Polacy czy Węgrzy uwierzą z czasem, iż Sowiety zrezygnowały z celów światowej polityki komunistycznej. Trwałość i bezpieczeństwo układu oznaczałoby odbudowę zaufania. Ludzie we wschodniej Europie musieliby odzyskać wiarę, że odbudowywane przez nich demokratyczne formy życia nie zostaną poświęcone na takiej czy innej konferencji. Mieszkańcy wschodniej Europy wiedzieliby dokładnie, że neutralizacja nie chroni ich przed wojną. Musieliby jednak równocześnie mieć realne podstawy do przekonania, że Stany Zjednoczone odpowiedzą siłą na każdą próbę naruszenia ich statutu neutralnego.

*

Celem tego artykułu nie jest ani przepowiadanie ani nawet ustalanie stopnia prawdopodobieństwa. Ponieważ jednak nie jest wykluczone, że w bliżej nieokreślonej przyszłości statut państw satelickich może ulec zmianie (nie koniecznie według recepty ,,neutralizacji'') jest rzeczą konieczną oswoić się z myślą powrotu nie w charakterze zwycięzcy lecz politycznego bojownika.

Totalny charakter doktryny komunistycznej narzuca kliszę, że komunizm albo zwycięża-panuje albo upada. To nie jest prawdą gdyż sytuacja partii i reżimów komunistycznych w poszczególnych krajach jest tylko i wyłącznie funkcją polityki zagranicznej Sowietów. Jeżeli Kreml uzna, że Sowietom opłaca się to na innym polu — reżim komunistyczny w Polsce wyląduje nagle w sytuacji znacznie mniej korzystnej niż w roku 1945, a P.P.R. będzie musiała dostosować się do warunków z jakimi walczą partie komunistyczne we Francji czy we Włoszech. Przykładów w tej materii nie brak.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

DEMOKRACJA CZY INTENDENTURA?

Pisywanie co miesięcznych korespondencji polityczno-emigracyjnych z Londynu staje się zadaniem coraz bardziej niewdzięcznym. Mieliśmy bowiem już rozmaite „ciała" nad Tamizą, rządy uznawane i nieuznawane, Rady Narodowe takie i inne, ale tworu równie bezbarwnego jak T.R.J.N. i wszystkie jej nadbudówki, nie notowały dotąd kroniki emigracyjnych poczynań.

Narzekaliśmy na śp. Radę Narodową. Ale przecież to był prawdziwy parlament w porównaniu z T.R.J.N. Krytykowaliśmy na tych łamach p. Kuncewicza ale niemniej jakaż to była postać kolorowa i zaczepna w porównaniu z tym zgodliwym towarzystwem, które bez przerwy mówi o jedności tak jakby jedność była sama w sobie celem i programem. Czytając owe „wyamcone" biuletyny Egzekutywy (w porównaniu z nimi „zamkowy" PAT to szczyt francuskiej lekkości i polotu) chciałoby się tym panom powiedzieć: „Po co wam ta jedność, o której piszecie tak nudno — skoro absolutnie nie wiecie co z tą jednością począć?"

T.R.J.N. nie zdobyła się do tej pory dosłownie na nic. Wszystko w dalszym ciągu jest tymczasowe i „na czas kryzysu", którego przezwyciężyć nie można, bo nie ma po temu ani woli ani koncepcji.

W każdym bezstronnym obserwatorze musi się w końcu zbudzić podejrzenie, że jedną z głównych przyczyn owego bezruchu jest owa reklamowana jedność. Wszyscy są zgodni (i zjednoczeni) jak długo operuje się ogólnikami i frazesami i dlatego nie można wyjść poza frazesy i ogólniki. I tak np. wszyscy są zgodni w opinii, że istnieje kryzys wewnętrzny spowodowany nie ustąpieniem p. Zaleskiego. Ale w sprawie co należałoby zrobić, by ów kryzys przezwyciężyć zdania są podzielone. By zachować murowaną jedność nie podejmuje się żadnej decyzji i wszyscy są zadowoleni. W polityce zagranicznej jakiś sprecyzowany program a tym bardziej konkretne akcje — mogłyby zarysować jedność, wobec czego poprzestaje się na wyrażaniu od czasu do czasu ostrożnych ogólników.

Cesarz Franciszek Józef, miłościwie nam niegdyś panujący w Galicji, każdą audiencję rozpoczynał od sakramentalnego ostrzeżenia: „Nur ohne Einzelheiten!" (Tylko bez szczegółów!). Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego wykazuje zdumiewające przywiązanie do tej cesarskiej tradycji. Czy to będzie sprawa powiększenia liczby radnych pochodzących z wyborów, czy to będzie zagadnienie reorganizacji statutu Skarbu Narodowego — najpilniejszy czytelnik oficjalnych biuletynów nie znajdzie jednego szczegółu, jednego konkretnego sformułowania tylko same ogólniki, które nic nie mówią.

Równocześnie przywódcy obozu w przemówieniach adresowanych do

tzw. szerokiej publiczności (w Londynie i na prowincji) podkreślają jako epokowe osiągnięcie sam fakt zjednoczenia. Płatnikowi na Skarb Narodowy uparcie się tłumaczy, że T.R.J.N. zrealizowała wymarzony, wyśniony mit zgodnej współpracy piłsudczyków z ludowcami i endeków z socjalistami. Jeden z mówców (skądinąd bardzo wybitny pisarz i krytyk) uniesiony na skrzydłach propagandy przyrównał Akt Zjednoczenia do Aktu Konstytucji Trzeciego Maja.

U nas — w myśl odwiecznej tradycji — każdy obóz polityczny musi mieć swoją mitologię. Konikiem T.R.J.N. jest zjednoczenie. Sugerując skromnie, że jest to osiągnięcie na miarę Konstytucji majowej apeluje się o poparcie finansowe do społeczeństwa znużonego emigracyjnymi swarami. Powyższa taktyka psychologiczna jest dobrze ujęta i przynosi rezultaty.

Na odcinku wewnętrznym sytuacja T.R.J.N. nie jest łatwa. Ruch ku demokratyzacji i autonomii, który ,,wybuchnął" w okresie prezydenckiego kryzysu — nie jest już do opanowania. Uchwały terytorialnych komisji o bezpośrednim przekazywaniu kwot na tzw. cele bezsporne, powoływanie władz skarbowych w drodze wyborów, to są wszystko zdobycze z których płatnicy już nie zrezygnują.

Jak już informowaliśmy naszych Czytelników (Kronika angielska — ,,Kultura", Nr 4/90) Główna Komisja Skarbu Narodowego postanowiła cofnąć swą zgodę w odniesieniu do tzw. ,,zarządzeń tymczasowych". Oświadczono, że ponieważ kryzys w Skarbie został opanowany nadszedł czas by powrócić do normalnej gospodarki jaką prowadził Skarb Narodowy przed powstaniem kryzysu. Przez ,,normalną gospodarkę" Główna Komisja rozumie całkowite podporządkowanie wszystkich komisji terytorialnych centrali londyńskiej.

W odpowiedzi na ową centralistyczną inicjatywę Komisja Skarbu Narodowego na Kanadę wydała oświadczenie w którym przypomniano i jeszcze raz wyjaśniono ,,centralistom" w Londynie, że tzw. tymczasowe postanowienia nie mogą być samowładnie anulowane zarządzeniami londyńskiej centrali. Uchwały o których mowa zostały uchwalone przez płatników i można je uchylić czy zmienić na tej samej demokratycznej drodze. Innymi słowy powrót do ,,normalnej gospodarki" w zrozumieniu londyńskiej centrali — oznaczałby likwidację demokratycznej procedury przyjętej przez organizację Skarbu Narodowego w Kanadzie (i w innych krajach osiedlenia).

Grosz publiczny w dyspozycji nominatów — całkowita centralizacja à la intendentura wojskowa to jest ów ideał ,,normalnej gospodarki". Władze wyłonione z wyborów — gospodarka groszem publicznym w oparciu o uchwały płatników — to wszystko są wyskoki, które niestety musiało się tolerować w okresach kryzysu. Z chwilą gdy kryzys minął po co komu demokracja? Intendentura wystarczy.

Okazało się jednak w praktyce, że proces demokratyzacji i usamodzielnia organizacji Skarbów Narodowych poza Wielką Brytanią — zaszedł zbyt daleko i wskutek tego powrót do ,,normalnej" intendenckiej gospodarki nie jest możliwy.

Zmianę frontu najplastyczniej ilustrują następujące oficjalne wypowiedzi : Oto pierwsza z nich :

> ,,Radosny fakt opanowania kryzysu w zakresie Skarbu umożliwił Komisji Głównej *odwołanie* (podkreślenie moje) zarządzeń tymczasowych".

Wiadomości Skarbu Narodowego, (21) 1.

A oto druga wypowiedź :

> „Biorąc pod uwagę zasady powszechności i zarazem dobrowolności świadczeń, na których ofiarnym i wytrwałym wysiłkiem tysięcy działaczy i płatników zbudowana została instytucja Skarbu Narodowego, Główna Komisja zleca Prezydium przygotowanie i opracowanie w porozumieniu z Komisjami Terytorialnymi zmian statutowych, które by zapewniły płatnikom możność udziału w wyborach władz terytorialnych w drodze głosowania''.

Cytuję za biuletynem Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego, Nr 16/55).

Jak widzimy „radosny fakt opanowania kryzysu'' nie spełnił — na szczęście — pokładanych w nim nadziei. Skapitulowano i postanowiono „stan tymczasowy'' ulegalizować na drodze zmian statutowych.

Cytowana powyżej uchwała jest bardzo charakterystycznie zredagowana. Mówi bowiem wyraźnie, że wybory dotyczyć będą wyłącznie skarbowych władz terytorialnych. Innymi słowy pod naciskiem opinii płatników w krajach zamorskich a w szczególności w Kanadzie — centrala londyńska zdecydowała się uznać fakty dokonane. Jak wiadomo w wielu krajach osiedlenia z Kanadą włącznie terytorialne władze Skarbu Narodowego już od dawna wyłaniane są w całości na drodze wyborów. W odniesieniu do tych krajów uchwała Głównej Komisji jest klasyczną musztardą po obiedzie.

Pominięto natomiast wyniosłym milczeniem sprawę wyborów naczelnych władz Skarbu Narodowego z londyńską Główną Komisją włącznie.

Odnosi się wrażenie, że nasi stołeczni przywódcy kolebią skrycie nadzieję, że ruch demokratyczny powiedzie się ułagodzić pewnymi koncesjami i (co najważniejsze!) ograniczyć jego zasięg do terytoriów zamorskich. Niech sobie Polacy w Kanadzie wybierają swoje władze skarbowe — jak ich to bawi — ale tu, na ziemi brytyjskiej nikt nikogo wybierać nie będzie ! Gdyby Polacy w Ziemi Ognistej czy na Hawajach wyłonili terytorialny oddział T.R.J.N. również w drodze wyborów — centrala londyńska pogodziłaby się zapewne jeszcze i z tym dziwactwem. Wybory mogą być wszędzie — byle nie w Wielkiej Brytanii. Tu mamy bowiem autorytety, które nie mogą podlegać kontroli wyborców.

Wydaje się, że istotnie nasi stołeczni przywódcy uważają za rzecz realną i możliwą istnienie Skarbu Narodowego, którego władze terytorialne będą wybieralne a władze centralne nominowane.

Miejmy nadzieję, że płatnicy zamorscy będą się domagać zmian statutowych idących w tym kierunku by komisje terytorialne miały zapewniony wpływ na wybór członków Głównej Komisji Skarbu Narodowego w Londynie. Zasada wybieralności musi obowiązywać na wszystkich szczeblach organizacji władz Skarbu Narodowego. Nie ma najmniejszego powodu by w Kanadzie Skarb Narodowy był zorganizowany na demokratycznych zasadach a w Londynie był biurem intendenckim.



W londyńskich kołach politycznych spotykałem się wielokrotnie z opinią, że przeceniamy znaczenie wyborów, które najprawdopodobniej niczego by

nie zmieniły. Reprezentanci tego poglądu sądzą, że politycznie zainteresowani i zorientowani są tylko członkowie partii i wskutek tego gdyby przyszło do wyborów głosowaliby członkowie partii politycznych a bezpartyjne masy emigracyjne w 98 % nie wykazałyby dla tej inicjatywy żadnego zainteresowania.

Nie podzielam w pełni tej opinii. W każdym razie myślę, że trzeba przyjąć, iż w ewentualnych wyborach wzięliby udział wszyscy lub niemal wszyscy członkowie partii politycznych i niezrzeszeni sympatycy. Natomiast większość bezpartyjnych dopiero w chwili wyborów przekonałaby się w pełni, że jest politycznie ,,bezdomna" i nie dysponuje żadną poważniejszą organizacją.

Na emigracji nie można mówić o wyborach powszechnych. Niemniej o ile wybory mają mieć jakiś sens i służyć pewnemu celowi musimy przyjąć pewne minimum ,,powszechności". Jeżeli wybory organizowałaby Egzekutywa w oparciu o obecną T.R.J.N. — to oczywiście przyjąć należy za pewne, że w praktyce wybory byłyby przeprowadzone przez koalicję partyjną, która tworzy trzon Tymczasowej Rady Jedności Narodowej. ,,Niezależni" i bezpartyjni — nie dysponują ani funduszami ani organizacją, ani ,,siatką" w terenie. W takich warunkach stopień powszechności wyborów — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — zredukowałby się do 10 czy 15% ogółu uchodźców, którzy w taki czy inny sposób związani są z partiami politycznymi. Wybory tego typu byłyby fałszywe i szkodliwe. Fałszywe — ponieważ nie byłyby reprezentatywne w odniesieniu do bezpartyjnych mas stanowiących 90 % uchodźctwa — i byłyby szkodliwe ponieważ stwarzałyby pozór powszechności.

Byłoby wielkim błędem przyjąć, że tylko członkowie partii względnie sympatycy programowi są autentycznymi emigrantami politycznymi. Tysiące emigrantów bez jakiejkolwiek przynależności partyjnej płaci regularnie na Skarb Narodowy (członkowie ,,historycznych" partii płacą od bardzo niedawna!) i byłoby rzeczą absurdalną odmawiać im statutu emigranta politycznego tylko dlatego, że nie są członkami NiD'u czy Stronnictwa Narodowego.

Przez minimum powszechności wyborów w warunkach emigracyjnych należy rozumieć wybory, które by objęły 70 do 80 % płatników Skarbu Narodowego. By osiągnąć owo minimum powszechności wybory należałoby przeprowadzić w oparciu o sieć organizacyjną Skarbu Narodowego.

Większość londyńskich przywódców politycznych przywiązuje wielką wagę do zachowania jeżeli już nie centralizmu to przynajmniej wyraźnej jedności organizacyjno-politycznej z Polakami w innych krajach osiedlenia. Jednak swoją polityką Londyn coraz bardziej odcina się od krajów zamorskich. Prawdziwie zjednoczyć Polaków poza granicami Kraju można by tylko w ramach jednej, na prostych, jasnych, demokratycznych zasadach opartej organizacji, która służyłaby celom ogólnym i bezspornym. Tego typu polityczną organizacją winien być Skarb Narodowy.

A jak dla członka Polonii kanadyjskiej czy australijskiej przedstawia się owo londyńskie zjednoczenie przyrównane do Konstytucji 3-ciomajowej?

Mamy T.R.J.N. w której nie mamy ani jednego radnego pochodzącego z wyborów. Wiadomo powszechnie, że jeżeli dojdzie kiedyś do wyborów — dotyczyć będą one strefy wielko-brytyjskiej a wyłonieni z wyborów radni stanowić będą 25 a może 30 % statutowego składu T.R.J.N. Reprezentacja polityczna, która w 70 % składa się z delegatów a w 30 % z wybranych

przedstawicieli pochodzących z jednego kraju osiedlenia — roszcząca sobie mimo to pretensje do reprezentowania Polski w wolnym świecie — byłaby dziwolągiem pozbawionym wszelakiego sensu.

Obok tej skomplikowanej instytucji, która w swym łonie zamierza pogodzić dwie całkowicie różne zasady reprezentacji (poprzez wybory i poprzez delegowanie) — mamy Skarb Narodowy, który np. w Kanadzie jest instytucją opartą o zasadę wyborów, lecz już w Londynie ten sam Skarb Narodowy jest instytucją opartą o system z wyborami nie mający nic wspólnego.

Musimy sobie powiedzieć, że istnieje kardynalna różnica pomiędzy kompromisem a chaosem. Niestety obóz zjednoczenia jest chaosem pojęć politycznych i założeń organizacyjnych a nie kompromisem. Trzymając się kurczowo centralizacji i „legalizmu" (który w wydaniu Rady Trzech już dawno przestał być legalizmem) — opierając się na autorytetach i nominatach, odnosząc się nieufnie do wyborów i do wszelkich przejawów demokratyzacji życia politycznego na emigracji — zjednoczeniowy ośrodek londyński de facto rezygnuje z idei zjednoczenia Polaków w świecie.

W krajach zamorskich a nie w Wielkiej Brytanii powstają organizacje polonijne. I tak cytowany tylekroć w tym artykule Skarb Narodowy w Kanadzie jest już dziś w pewnym sensie organizacją polonijną opartą o zasady organizacyjne, które przetrwają londyńskie teorie o „mandatach Kraju" o wyższości delegacji nad wyborami itp.

Jeżeli nasz pobyt na obczyźnie potrwa dłużej niż okres życia jednego pokolenia — wszystkie nadzieje związane są z instytucjami polonijnymi, z instytucjami z prawdziwego zdarzenia obliczonymi na zwyczajnie, demokratycznie myślących ludzi Zachodu.

Tromtadracja i intendentura — nie mają szans przetrwania.

LONDYŃCZYK

Przemiany ludnościowe w Europie Wschodniej

Przedmiotem tego opracowania jest ocena istoty i kierunku przemian ludnościowych w krajach leżących za Żelazną Kurtyną, ściśle mówiąc w Bułgarii, Czechosłowacji, Polsce, Rumunii i na Węgrzech. Nie potrzebuję chyba udowadniać czytelnikom „Kultury" dlaczego taka ocena jest niezbędna dla zrozumienia istoty przemian w strukturze społecznej i gospodarczej krajów które znalazły się pod jarzmem sowieckim. Wydaje się bowiem, że bez zbadania demograficznego podłoża tych przemian nie może być mowy o analizie socjologicznej jak również i ekonomicznej, co więcej, analiza demograficzna umożliwiać powinna zbadanie stopnia odwracalności przemian dokonywujących się na całym obszarze, który pozostaje pod kontrolą Moskwy.

Analiza demograficzna sytuacji w Europie Środkowo-Wschodniej nie jest bynajmniej rzeczą łatwą, a to głównie dla braku danych statystycznych i rzeczowych. Żelazna Kurtyna jest pojęciem, które oznacza nie tylko przeszkodę fizyczną i polityczną w wymianie myśli i słowa pisanego; pojęcie Żelaznej Kurtyny stosuje się w równej mierze do informacji o przemianach gospodarczych i społecznych, których istotna treść otoczona jest ścisłą tajemnicą. Demograf który, dla przykładu, chciałby zbadać dynamikę populacyjną w Wielkiej Brytanii, Francji czy też w innym, prawdziwie demokratycznym państwie na Zachodzie — znajdzie bez trudu podstawowe dane umożliwiające tego rodzaju analizę: wyniki spisu ludności, dane o płodności kobiet, stopień śmiertelności i zgonów. Dane te ogłaszane są na Zachodzie w urzędowych publikacjach statystycznych. Tymczasem w Rosji Sowieckiej jak również i w krajach tzw. demokracji ludowej statystyka demograficzna otoczona jest nieprzebytym murem

tajemnicy państwowej. Dla przykładu można zacytować wyniki spisu ludności w Polsce z grudnia 1950 roku. Otóż wyniki te zostały opublikowane w sposób jak najbardziej niezadawalający a mianowicie w postaci jednej tablicy podającej globalne dane o ludności Polski bez uwzględnienia podziału na grupy wieku, zatrudnienia itd. Ta jedna tablica to było wszystko co Administracja warszawska uważała za wskazane ogłosić. Dla porównania ze stanem przedwojennym warto podkreślić, że wyniki spisu ludności z roku 1930 opublikował Główny Urząd Statystyczny w ośmiu tomach obejmujących parę tysięcy stron druku i kilka setek tablic, wykresów itp.

Dla tych właśnie przyczyn w analizie demograficznej oprzeć się trzeba na danych fragmentarycznych jakie od czasu do czasu znajduje się w przemówieniach przywódców komunistycznych i publikacjach urzędowych. Dane te, jak to już zaznaczyłem, noszą charakter fragmentaryczny i cytowane są zwykle dla poparcia takich argumentów jak rzekome osiągnięcia w służbie zdrowia, szybkość procesów uprzemysłowienia, jak również rzekomy wzrost poczucia bezpieczeństwa i poparcie dla reżymu komunistycznego wyrażające się w zwiększonej dynamice populacyjnej. Analiza oparta na tego rodzaju źródłach musi być z natury rzeczy niekompletna.

Do trudności związanych z brakiem odpowiednich źródeł dochodzi jeszcze problem zmian granic politycznych i przesunięć ludności w wyniku wojny. Zmiany te, które dotknęły w wielkim stopniu Polskę, Rumunię i Czechosłowację a w znacznie mniejszym stopniu Bułgarię utrudniają porównanie przedwojenego stanu rzeczy z obecnym.

DRUGA WOJNA ŚWIATOWA I JEJ NASTĘPSTWA DEMOGRAFICZNE

Sytuacja demograficzna w Europie Środkowo-Wschodniej uległa radykalnym przemianom w czasie drugiej wojny światowej a to na skutek działania dwóch czynników którymi były polityka masowego wyniszczania i masowe deportacje. Aby uzmysłowić sobie ogrom zniszczenia biologicznego ludności obszaru, który Józef Poniatowski nazwał Intermarium (1), wystarczy spojrzeć na tablicę 1. Według tzw. projekcji populacyjnych, opartych na przedwojennych stopach ruchu naturalnego ludności a opracowanych w czasie ubiegłej wojny przez grono najwybitniejszych demografów amerykańskich, skupiających się wokół Uniwersytetu w Princeton, ludność pięciu państw Europy Środkowo-Wschodniej wzrosłaby w roku 1948 do liczby z górą 82 milionów (2);

(1) *Eastern Quarterly,* sierpień, 1950.

(2) *The Future Population of Europe and the Soviet Union; Population Projections* 1940-1970, Liga Narodów, 1944, Cyfra 82 miliony dotyczy przewidywanej ludności w obecnych granicach politycznych.

w rzeczywistości zaś ludność tego obszaru w roku 1948 wynosiła tylko nieco ponad 68 milionów.

Na niedobór wynoszący 14 milionów ludności składają się następujące pozycje.

a) Niedobór urodzeń;

b) Nadwyżka zgonów ponad przedwojenną normę;

c) Straty wynikające z przesunięć ludności.

a) *Niedobór urodzeń.*

Istnieje powszechne mniemanie, że lata wojny były okresem tendencji zniżkowej w stopie urodzeń o charakterze noszącym wszelkie znamiona klęski biologicznej. W rzeczywistości tak nie było, nawet w krajach takich jak Polska gdzie polityka populacyjna okupanta zmierzała świadomie do obniżenia stopy urodzeń. Oczywiście, że nie ma sposobu do oceny statystycznej różnic w ruchu naturalnym w okresie wojny z braku dokładnych danych. W Polsce rejestracja urodzeń i zgonów przestała działać w okresie wojny; w innych krajach Intermarium działania wojenne uniemożliwiły systematyczną rejestrację zjawisk naturalnych. Dane fragmentaryczne zebrane przez demografów po wojnie pozwalają nam tylko na szacunek strat wynikających z niedoboru urodzeń. Na przykład w Polsce stopa urodzeń w okresie czterech lat okupacji niemieckiej zmalała o mniej więcej jedną ósmą w stosunku do trzechlecia poprzedzającego wybuch wojny (szacunek S. Szulca). Nie był to więc spadek, który nosił znamiona klęski demograficznej.

b) *Nadwyżka zgonów.*

Straty z tytułu nadwyżki zgonów ponad normalną śmiertelnością urosły na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej do rozmiarów olbrzymiej klęski (patrz Tablica 2). Warto tu podkreślić, że olbrzymia większość strat (blisko 6 1/2 miliona na ogółem 7 milionów) to były straty wśród ludności cywilnej spowodowane prześladowaniem z ręki okupanta; straty te objęły cztery piąte całej ludności żydowskiej osiadłej na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej.

c) *Straty wynikające z przesunięć ludności.*

Straty z tytułu przesunięć ludności dotknęły przede wszystkim Polskę. Przesunięcia ludności w Polsce można podzielić na ruchy uchodźców i przesiedleńców. Do pierwszej kategorii należy 300-tysięczna rzesza Polaków (wojskowych i cywilnych), która szukała schronienia w państwach ościennych Polski w wyniku i bezpośrednio po klęsce wrześniowej w 1939 roku. Do drugiej kategorii należy z górą milion deportowanych do Rosji Sowiec-

kiej w okresie 1940-1941 (3) i dwu i pół milionowa masa ludzi wywiezionych na roboty przymusowe w głąb Trzeciej Rzeszy, z których (według obliczeń IRO) 400.000 osób odmówiło repatriacji. Wreszcie należy tu wymienić ludność polską ziem wcielonych do Rosji Sowieckiej na podstawie paktu zawartego między Ribbentropem i Mołotowem w roku 1939 (4).

Drugim krajem Intermarium który stracił część swej ludności z tytułu przesiedleń i zmiany granic była Rumunia. Rumunia straciła trzy miliony swych obywateli kiedy Rosja Sowiecka zajęła całą Bukowinę. Również spore grupy mniejszości narodowych opuściły Rumunię — w tej liczbie około 170.000 Węgrów oraz 200.000 Niemców z Transylwanii.

Węgry prawie zupełnie nie zostały dotknięte przesunięciami ludności; Bułgaria zgodziła się w ostatniej fazie wojny repatriować około 220.000 osób pochodzenia tureckiego. W Czechosłowacji straty wynikające z przesunięć ludności dotknęły element obcy a mianowicie Niemców Sudeckich, z których 2 1/2 miliona wysiedlono w okresie 1945-1947.

DYNAMIKA POPULACYJNA W OKRESIE POWOJENNYM

Uczony, który bada przebieg ewolucji demograficznej danego kraju może z łatwością (jeśli tylko posiada podstawowe dane) określić fazę ewolucji w której znajduje się ludność danego kraju. W teorii przebieg ewolucji demograficznej jest następujący. W pierwszej fazie ludność wzrasta bardzo powoli lub utrzymuje się na poziomie stałym; w tej fazie śmiertelność dorównuje wysokiej stopie rozrodczości i przyrost naturalny jest znikomy. drugiej fazie obserwujemy szybki wzrost ludności który jest wynikiem zmniejszenia śmiertelności w wyniku postępu wiedzy medycznej, hygieny, i ogólnych warunków życia; w tej fazie rozrodczość utrzymuje się nadal na wysokim poziomie. Dopiero w trzeciej fazie ewolucji demograficznej można zaobserwować gwałtowny spadek rozrodczości (spowodowany najczęściej popularyzacją kontroli urodzin), przy równoczesnym utrzymywaniu się niskiej śmiertelności. Następstwem tego stanu rzeczy jest zwolnienie wzrostu ludności a w krańcowych wypadkach początek zmniejszenia się stanu liczebnego ludności.

Mało jest społeczeństw u których ewolucja demograficzna nie wyszła jeszcze poza fazę pierwszą. Do niedawna jeszcze w pierwszej fazie znajdowały się wielkie masy ludności południowej i wschodniej Azji. Ale nawet i tam rozpowszechnienie i zastosowanie na wielką skalę podstawowych środków profilaktycznych, takich jak użycie DDT na terenach malarycznych, masowe

---

(3) Cytuję wg. Kulischera, *Europe on the Move* (1946).

(4) 1.200.000 osób uzyskało prawo „powrotu" do Polski z Kresów Wschodnich w latach 1945-1946.

szczepienia — przyczyniło się w ciągu kilku ubiegłych lat do gwałtownego zmniejszenia śmiertelności i to przede wszystkim śmiertelności niemowląt. Nie ulega żadnej wątpliwości, że narody Dalekiego i Bliskiego Wschodu wchodzą szybko w drugą fazę ewolucji demograficznej i że ich wzrost liczbowy osiągnie już wkrótce punkt szczytowy.

W trzeciej fazie ewolucji demograficznej znajduje się większość społeczeństw Europy Zachodniej. Niektóre z nich jak np. Francja stoją wobec problemu rychłego już zahamowania wzrostu ludności; inne — jak np. Wielka Brytania — wchodzą w okres stabilizacji wzrostu ludności przy zachowaniu tendencji zniżkowej jeśli chodzi o rozrodczość.

Wszystkie narody Europy Środkowo-Wschodniej z wyjątkiem Polski przeszły już szczytowy punkt drugiej fazy ich ewolucji demograficznej. Zarówno na Węgrzech jak i w Rumunii, Bułgarii i przede wszystkim w Czechosłowacji obserwujemy od kilku lat zwolnienie tempa wzrostu ludności do poziomu znacznie niższego od tego jaki zanotować można było w ciągu ubiegłych czterdziestu lat.

To samo można powiedzieć o wskaźnikach dynamiki populacyjnej w tej części Europy. Z wyjątkiem Polski wszędzie można zaobserwować tendencje zniżkowe wskaźników przyrostu naturalnego (5). Tablica 3 zestawia dane dotyczące wskaźników przyrostu naturalnego dla całego obszaru w ciągu dwóch pięcioleci okresu międzywojennego (1920-1924 oraz 1935-1939) i dla niektórych lat okresu powojennego.

Analiza danych statystycznych zawartych w Tab. 3. utwierdza nas w przekonaniu, że ludność Intermarium znajduje się w trzeciej fazie ewolucji demograficznej. Zmniejszająca się stopa urodzeń, tendencja zniżkowa lub stabilizacja śmiertelności — oto wskaźniki daleko zaawansowanej ewolucji demograficznej. Krótki, bo zaledwie pięcioletni okres w czasie którego stopa przyrostu naturalnego wzrastała na całym obszarze z wyjątkiem Rumunii (6) był zjawiskiem przejściowym, charakterystycznym dla wszystkich państw w których wystąpił tzw. proces kompensacyjny. Zjawisko to wystąpiło po ostatniej wojnie we większości krajów które dotknięte zostały działaniami wojennymi w następstwie czego spadła rozrodczość.

DYNAMIKA POPULACYJNA W POLSCE

Jak już zaznaczyłem wskaźniki dynamiki populacyjnej Polski powojennej są zupełnie różne od wskaźników dla pozostałej czę-

---

(5) Przez wskaźnik przyrostu naturalnego rozumiemy różnicę między stopą urodzeń i stopą zgonów mierzoną w stosunku do tysiąca mieszkańców (promille).

(6) Katastrofalne położenie gospodarcze Rumunii w latach powojennych odzwierciedliło się w niskiej rozrodczości i wysokiej śmiertelności. W roku 1946 przyrost naturalny był ujemny. Oficjalne dane za rok 1953, świadczące o wielkim spadku śmiertelności wydają się podejrzane.

ści Intermarium. Jest to zjawisko wagi zasadniczej dla oceny roli Polski w chwili obecnej i w przyszłości na obszarze Międzymorza. Przyrost naturalny Polski przewyższa trzykrotnie przyrost Węgier a dwukrotnie Czechosłowacji; dynamika populacyjna Polski powojennej jest zjawiskiem powszechnie niedocenionym a nawet nieznanym wśród rzesz polskiej diaspory.

Warto się zastanowić dlaczego tak jest. Jak wytłumaczyć zdumiewającą prężność populacyjną społeczeństwa w którym co szósty obywatel padł ofiarą polityki eksterminacyjnej obu okupantów? Mam wrażenie, że odgrywa tu rolę czynnik psychologiczny jakim jest świadoma dążność do zapełnienia olbrzymich strat wojennych. Łączy się z tym oddziaływanie Kościoła Katolickiego na podtrzymywanie nierozerwalności i oporu rodziny polskiej przeciwko tym siłom, które zmierzają do rozluźnienia związków małżeńskich.

Nie można też pominąć niektórych czynników obiektywnych wśród których najwyższą rolę odgrywa przesunięcie na Ziemie Odzyskane elementu wiejskiego o wysokiej prężności demograficznej. Osadnicy na terenie województw zachodnich to w przeważnej części chłopi z Kresów Wschodnich należący do tych grup wieku, które biorą pełny udział w procesach reprodukcyjnych. To też tłumaczy fakt, że stopa urodzeń na Ziemiach Zachodnich należy do najwyższych na świecie; w roku 1953 przeciętna dla tego obszaru wynosiła 37,1 pro mille, w niektórych zaś powiatach sięgała 50 pro mille. Pamiętać również trzeba o tym, że tak wysokie nadwyżki urodzeń nad zgonami na obszarze Ziem Odzyskanych świadczyć mogą tylko o poczuciu bezpieczeństwa i stabilizacji u elementu polskiego.

Powstaje teraz pytanie czy wysokie wskaźniki przyrostu naturalnego w Polsce utrzymają się na czas dłuższy czy też wystąpią w Kraju te same tendencje zniżkowe jakie obserwujemy na pozostałej części obszaru Międzymorza. Można by bowiem postawić hipotezę mówiącą, że to co się w Polsce obserwuje jest niczym innym jak tylko przedłużonym nieco procesem kompensacyjnym. Otóż wydaje mi się, że taka hipoteza jest nie do obrony.

W społeczeństwach Europy Zachodniej proces kompensacyjny trwał dokładnie tak długo jak długo potrzeba było czasu na wypełnienie luk w rocznikach wojennych. Jest to normalna tendencja u ludzi którzy nie mogli mieć dzieci w czasie wojny. Natomiast w Polsce wysoka nadwyżka urodzeń nad zgonami utrzymuje się nadal, po zapełnieniu luk w rocznikach wojennych. Co więcej, do czynnego udziału w procesie reprodukcyjnym zaczynają wchodzić stosunkowo liczne roczniki lat trzydziestych. Piszę ,,stosunkowo'' liczne aby w ten sposób podkreślić że roczniki te nie poniosły strat tak olbrzymich jak roczniki z lat dwudziestych przetrzebione w czasie wojny. Innymi słowy rolę pozytywną zacznie tu odgrywać czynnik strukturalny podczas gdy do tej pory dominował czynnik dynamiczny.

Nie można wreszcie zapomnieć o czynnikach instytucjonalnych i ekonomicznych takich jak rozbijanie jedności rodziny i zatrudnienie kobiet w przemyśle. Są to czynniki o podłożu politycznym. I tu właśnie leży punkt ciężkości problemu oceny przyszłego stanu liczebnego ludności Polski. Nacisk polityczny i ekonomiczny na instytucję rodziny działa w kierunku odwrotnym aniżeli korzystna struktura demograficzna. Toteż dalsza ewolucja demograficzna Polski zależy w znacznej mierze od tego w jakim stopniu reżym komunistyczny podtrzymywać będzie ucisk polityczny na instytucję rodziny. Konkluzja ta dotyczy również, *mutatis mutandis*, pozostałej części obszaru Europy Środkowo-Wschodniej.

Jerzy ZUBRZYCKI

TABLICA 1.

LUDNOŚĆ EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ
(w milionach)

Kraj (w obecnych granicach)	1939	1948 (*projekcja*)	1948 (*rzeczywistość*)
Bułgaria	6.3	6.8	7.1
Czechosłowacja	14.7	14.9	12.3
Węgry	9.2	9.4	9.2
Polska	32.1	34.0	23.9
Rumunia	15.8	17.2	15.9
	78.1	82.3	68.4

TABLICA 2.

NADWYŻKA ZGONÓW W CZASIE II. WOJNY ŚWIATOWEJ
(w tysiącach)

Kraj	*Cywilne ofiary prześladowań politycznych*	*Żołnierzy zabitych*	*Żydzi*	*Razem*
Bułgaria		10	10	20
Czechosłowacja	75	200	140	415
Polska	2.500	100	3.200	5.800
Rumunia		300	160	460
Węgry	50	140	240	430
Razem	2.625	750	3.750	7.125

TABLICA 3.

PRZYROST NATURALNY W EUROPIE ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ WEDŁUG OFICJALNYCH DANYCH (na 1.000 ludności)

Okres	*Bułgaria*			*Czechosłowacja*			*Polska*			*Rumunia*			*Węgry*		
	U	S	PN	U	S	PN	U	S	PN	U	S	PN	U	S	PN
1920-24	39.6	21.3	18.3	26.7	16.5	10.2	....	....	....	37.6	24.0	13.6	30.2	20.9	9.3
1935-39	24.2	13.9	10.3	17.8	13.3	4.5	25.3	14.1	11.2	30.2	20.2	10.2	20.1	14.3	5.8
1946	25.6	13.7	11.9	22.7	14.0	8.7	25.9	15.0	10.9	19.6	20.0	-0.4	18.7	15.0	3.7
1947	24.0	13.4	10.6	24.2	12.1	12.1	26.6	11.5	15.1	23.4	22.0	1.4	20.6	12.9	7.7
1948	....	....	....	23.4	11.5	11.9	29.3	11.2	18.1	....	....	....	19.1	11.2	7.9
1946-49	....	....	....	23.4	13.1	10.3	28.0	10.1	17.9	....	....	....	20.0	13.2	6.8
1953	....	....	....	....	....	....	30.1	10.2	19.9	24.0	11.7	12.3	....	....	....

Objaśnienia :

U = stopa urodzeń.
S = stopa śmiertelności.
PN = stopa przyrostu naturalnego.
.... = brak danych statystycznych.

Szkolnictwo w Polsce

W dwóch kolejnych zeszytach znanego urzędowego wydawnictwa *La Documentation Française,* wydanych przed kilku miesiącami, zobrazowany został rozwój polskiego szkolnictwa w latach powojennych (1944-1954) (1). Wielka dyskusja na temat nauczania i wychowania, która rozpoczęła się w kraju, właśnie latem 1953 i ciągnęła się aż do wiosny roku następnego, niewątpliwie przyczyniła się do wzbudzenia u francuskich czynników oświatowych żywszych zainteresowań systemem szkolnym w jednym z największych w Europie państw demokracji ludowej. Tym bardziej, że była ona toczona w warunkach względnego liberalizmu i objęła znacznie szerszy zakres zagadnień pedagogicznych i dydaktycznych niż nieco wcześniejsza, przeprowadzona w Związku Sowieckim. Ułatwiała więc z jednej strony dokładniejszą niż dotąd analizę systemu szkolnego, z drugiej umożliwiała rzetelną ocenę rezultatów nauczania i wychowania.

W okresie wstępnych przygotowań do reformy szkolnictwa we Francji było rzeczą pożyteczną przyjrzeć się bliżej osiągnięciom organizacyjnym i liczbowym oraz klęskom pedagogicznym i dydaktycznym systemu oświatowego w Polsce powojennej. Czy zresztą tylko oświatowego?

Studium o *Szkolnictwie w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej* jest pierwszą, i powiedzmy od razu, udaną próbą zwięzłego ale dokładnego i wszechstronnego ujęcia powojennej historii oświaty w Polsce. Pisane sucho, w formie urzędowego raportu (jak wszystkie zresztą publikacje *La Documentation Française*) mieści w sobie bardzo bogaty materiał nie tylko w tekście, ale i w wielkiej liczbie przypisów, bardzo porządnie sklasyfikowanych pod względem chronologicznym i rzeczowym.

W pierwszej części studium autor omawia organizację wszystkich stopni nauczania, poczynając od przedszkolnego i kończąc na wyższym (sharmonizowanym z rytmem uprzemysłowienia kraju). Znajdujemy tu również omówienie oświaty dla dorosłych i trudności, na jakie ona napotyka. Kryteria selekcji młodzieży

(1) La Documentation Française, Présidence du Conseil. Secrétariat Général du Gouvernement, 14, rue Lord Byron, Paris (8), Notes et Etudes Documentaires, 8, novembre 1954. N° 1954. *L'Enseignement dans la République Populaire de Pologne.* Première partie: L'Organisation de l'Enseignement, pp. 21. 10 novembre 1954, N° 1946; Deuxième Partie: Le Corps enseignant et le milieu scolaire, pp. 28.

uczącej się i ich praktyka uzupełniają dział ściśle organizacyjny. W rozdziale drugim mieści się charakterystyka celów nauczania i wychowania, programów i metod w obu okresach rozwoju szkolnictwa: eklektycznym i marksistowsko-leninowskim.

W drugiej części autor sporo miejsca poświęca nauczycielstwu wszystkich typów szkół, omawiając kolejno formowanie pedagogów, ich obowiązki zawodowe i pozaszkolne, warunki pracy i sytuację materialną. Po krótkim przedstawieniu rozwoju administracji szkolnej, roli komitetów rodzicielskich, komitetów pomocy szkole i organizacji dziecięcych i młodzieżowych, autor przechodzi do jednego z najciekawszych działów, a mianowicie do oceny rezultatów nauczania i wychowania. Ujęty on jest nieco inaczej niż poprzednie. Gdy w tamtych każde twierdzenie autora znajduje na poparcie bogatą dokumentację w przypisach i tablicach statystycznych, to w dziale o rezultatach nauczania i wychowania autor pozwala najczęściej mówić bezpośrednio licznemu zespołowi dziennikarzy, literatów, nauczycieli, rodziców i dygnitarzy szkolnych, biorących udział w dyskusji na temat błędów stalinowskiego systemu szkolnego. Rola autora polega tu przeważnie na starannym zebraniu materiału dyskusyjnego, uporządkowaniu go i sklasyfikowaniu według ważności problemów pedagogicznych i dydaktycznych.

Ta wielka dyskusja na temat spraw szkolnych obnażyła z całą bezwzględnością rażące błędy systemu szkolnego. Daleko posunięty ,,materializm dydaktyczny'', przeładowanie materiałem nauczania programów i podręczników szkolnych, sztywne schematy, sztance ideologiczne i pseudosocjologiczne, spłycane poza tym kolejno przez autorów podręczników szkolnych, nauczycieli i młodzież, niezrozumiałe słownictwo wypełniające strony podręczników, wszystko to już by wystarczyło, aby dzieciom i młodzieży obrzydzić naukę szkolną przez samo zmuszanie do bezmyślnego i powierzchownego z natury rzeczy ,,wkuwania'' uświęconych formułek. Ale to nie wszystko. Uczniowie są przemęczeni nie tylko nadmiarem materiału nauczania. ,,Politgramota'' zmusza nauczycieli do dodatkowego męczenia siebie, młodzieży i dzieci w godzinach pozalekcyjnych. Poza tym ,,prace społecznie użyteczne'' narzucane w sposób biurokratyczny, zabierają każdego tygodnia uczniom (i nauczycielom) wielką liczbę godzin w czasie tzw. wolnym od zajęć szkolnych. Przy tym wszystkim — modelowanie życia szkoły na wzór życia zakładu produkcyjnego jeszcze bardziej pogorszyło pod względem pedagogicznym, dydaktycznym, a nawet moralnym sytuację i uczniów i nauczycieli. Wreszcie odrzucenie przez ,,pedagogikę'' sowiecką zasady samorzutności dzieci i młodzieży w nauczaniu i wychowaniu zamknęło ciasny krąg życia szkolnego, skazując wychowawców i wychowanków na praktykowanie dzień w dzień potwornego zakłamania i na codzienne wchłanianie potężnej porcji beznadziejnej nudy. Rozrastający się wśród młodzieży problem dzieci ,,trudnych do prowadzenia'' i ,,chuliganów'' jest aż nadto

wyraźnie związany z całokształtem stalinowskiego systemu szkolnego.

W końcu swego studium autor podsumował obietnice komunistycznych czynników oświatowych i zarządzenia, które zapowiadały rozluźnienie ciasnych i sztywnych struktur ideologicznych, narzuconych szkole poprzez programy i podręczniki, odciążenie uczniów i nauczycieli od części materiału programowego i zajęć nadobowiązkowych, zerwanie z dotychczasową zasadą całkowitej i wyłącznej odpowiedzialności nauczyciela za wyniki nauczania i wychowania, podnoszenie kwalifikacji nauczycielskich itd. Niektóre z tych obietnic zostały już zrealizowane. Zerwanie jednak z przestarzałym i obskuranckim systemem szkolnym nie jest sprawą prostą ani łatwą. Ale ,,odwilż'', która w Polsce rozpoczęła się właśnie na terenie szkoły, trwa nadal i zatacza coraz szersze kręgi. Można mieć nadzieję, że zwolna, niszcząc biurokratyczne przeszkody, wniesie trochę wiosny w ponure mury współczesnej szkoły polskiej.

Opublikowanie przez Présidence du Conseil tej ciekawej i cennej pod względem dokumentacyjnym pracy jest rzeczą zasługującą na uwagę i zarazem na uznanie. Może otworzyć ona oczy wielu ludziom, a zwłaszcza ,,Mandarynom'', którzy uznając ,,pewne niedociągnięcia'' systemu sowieckiego, próbują przekonywać, iż ,,mimo wszystko'' stwarza on jednostce ,,doskonałe warunki kształcenia i wychowania''.

Henryk WROŃSKI

Z krajowej prasy literackiej

ODWET TRZECIORZĘDNYCH

,,Próbuj ogonem gdzie nie przejdzie głowa'' powiada włoskie przysłowie. Wszelkie przedwczesne śmiałości i triumfy ,,inteligentnych marksistów'' w Polsce ukazują się we właściwym świetle kiedy prasa donosi o ostatnim Plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, a zwłaszcza kiedy podaje fragment referatu Putramenta (,,Przegląd Kulturalny'', Nr 21, 16-22 czerwiec br.). Jak widzimy ogon znów jest w łasce i tzw. ,,myślący'' muszą wysłuchiwać pouczeń pisarza mającego w literaturze rangę trzeciorzędną, już znowu bez protestu. Przy ,,naukowej prowokacji'' która stanowi istotę rozmaitych ,,odwilży'', użytek zrobiony z zalet rozumu i serca jest naiwnością albo niemal bohaterstwem. Tak wygląda przywołanie do porządku :

,,Pilnie notując każde niepowodzenie, wydymając je, pieczołowicie przemilczając wszystko inne, wszystko, co w nowej poezji, w nowej powieści, nie jest niepowodzeniem, krytycy tacy zdołali

wytworzyć odpowiednią aurę dokoła pewnej kategorii pisarzy".

„W ostatnim roku polityczny sens tej roboty, która nazywa się niby krytyką potknięć artystycznych, nie może już budzić wątpliwości. Kierunek uderzenia tej dywersji ideologicznej jest jasny : w pisarzy, którzy usiłują wyrwać się z burżuazyjno-inteligenckiej otoczki, którzy usiłują włączyć się w czynne życie naszego kraju. W tych, którzy pierwsi posłuchali głosu naszej Partii, którzy szli tam, gdzie ona ich wołała, którzy robili to, czego — ich zdaniem — spodziewała się po nich".

„Winniśmy zażądać od naszych krytyków i redaktorów czasopism literackich, aby wyrobili w sobie wyższe poczucie odpowiedzialności za całokształt naszej literatury, za postępy w niej realizmu socjalistycznego".

To znaczy : ani być za mądrym, ani milczeć. Chwalić. „W zamknięte usta nie wpadnie nawet mucha" powiada inne włoskie przysłowie.

t.

Wartownicy

Mówię szczerze i otwarcie: jestem pod wrażeniem lektury tomu pt.: „Dziesięciolecie Polskich Oddziałów Wartowniczych przy Armii Amerykańskiej w Europie, 1945-1955". Nie ulega wątpliwości, że zarówno sama książka jak i bohater tej opowieści — Oddziały Wartownicze — są czymś nowym i bez precedensu w naszej powojennej historii.

Zacznijmy od książki.

Mieliśmy wiele książek tego typu wydawanych przez oddziały kultury i prasy polskich jednostek wojskowych na Zachodzie. Wszystkie te wydawnictwa ociekają propagandą, patriotyczną werbalistyką i rozbrajająco naiwną megalomanią.

W powodzi wojskowej literatury „Dziesięciolecie Polskich Oddziałów Wartowniczych" stanowi całkowite novum. Aż się wierzyć nie chce, że taka książka mogła ukazać się po polsku!

Przeczytawszy rzeczową i krótką przedmowę płk. Sobolty przerzuciłem kilka stron szukając jego fotografii. Chciałem zobaczyć jak wygląda Polak stojący na czele wartowniczej organizacji. Byłem całkowicie pewien, że zgodnie z uświęconą tradycją tekst książki poprzedzi portretowe zdjęcie Dowódcy. Przerzuciłem pospiesznie całą książkę, ale zdjęcia nie znalazłem. Mój Boże! gdyby to było wydawnictwo takiego czy innego polskiego korpusu — fotografia dowódcy zdobiłaby dosłownie co trzecią stronę książki. Co wznioślejsze cytaty z rozkazów byłyby równie szczodrze zaprezentowane czytelnikom i potomności.

Książka Wartowników utrzymana jest w nowym stylu. Nie jest ani suchym zestawieniem faktów i dat ani nudnym wyciągiem kronikarskim. Jest niezmiernie żywa i dynamiczna, gdyż nie stanowi historycznego nekrologu lecz przeciwnie opisuje organizm aktywny i w rozwoju. Zupełny brak propagandy i wojskowo-patriotycznego tromtadractwa w zestawieniu z osiągnięciami Oddziałów Wartowniczych, z którymi książka nas poznaje, więcej mówi o duchowym klimacie tych formacji niż najwnikliwszy reportaż.

Dwie rzeczy charakteryzują Wartowników. Sposób w jaki mówią o swoich osiągnięciach i sposób w jaki mówią o swoich sojusznikach i pracodawcach to jest Amerykanach. Nikt nie znajdzie w książce Wartowników żadnej ,,laurki'' pod adresem wojskowych władz amerykańskich. Kto jednak przeczytał omawianą książkę nie może mieć najmniejszej wątpliwości, że to co łączy Wartowników i Amerykanów jest autentyczną przyjaźnią wynikłą z wzajemnego szacunku i wzajemnego uznania.

Najbardziej godną podziwu jest działalność Oddziałów nie bezpośrednio związana ze służbą wartowniczą. Wartownicy poza służbą uczą się i kształcą oraz wydatnie wspomagają pieniężnie kulturę i naukę polską poza granicami Kraju.

Ustanowili nagrody dla pisarzy i dla plastyków, wspomogli hojnie londyńskie ,,Wiadomości'', ufundowali numer ,,Kultury'', wypłacają stypendia uczącej się młodzieży, wspierają polskie instytucje naukowe. Wydają jedno z najlepszych pism jakie mamy na emigracji — ,,Ostatnie Wiadomości'', których tygodniowy Dodatek jest świetnym tygodnikiem literacko-naukowym skupiającym na swych łamach czołowych pisarzy polskich w wolnym świecie.

Skąd się na to wszystko biorą pieniądze?

Pieniądze biorą się ze składek, z dobrowolnych składek Wartowników, które stanowią główne i podstawowe źródło zasilające kasę Funduszu Społecznego Oddziałów Wartowniczych. Wymowniej niż słowa mówią cyfry bilansu Funduszu na dzień 31 grudnia 1954 roku. Oto najważniejsze pozycje:

Nagrody O.W. oraz dotacje dla polskich instytucji kulturalnych i dobroczynnych na obczyźnie DM	32.300
Krzewienie oświaty w O.W.	138.100
Szkolenie zawodowe wartowników	20.300
Wartownicy w ciężkim położeniu	92.900
Opieka nad byłymi wartownikami-inwalidami, chorymi, w podeszłym wieku oraz w ciężkich warunkach materialnych	293.400
Subwencja dla Komitetu Akcji Pomocy Chorym na Gruźlicę Polakom	106.700
Elementarze dla dzieci wyjeżdżających na emigrację	2.900
Szkolnictwo powszechne poza O.W.	148.800
Szkoły średnie poza O.W.	12.600
Stypendia indywidualne	254.100
Wyższe zakłady naukowe	107.800
Utrzymanie wydawnictwa ,,Ostatnie Wiadomości'' i drukarni O.W.	294.400

Ogólna suma wydatków Funduszu od początku, w relacji innych walut wynosi: przeszło 428.000 dolarów amerykańskich; przeszło 153.000 funtów angielskich; przeszło 151.000.000 franków francuskich.

Oddziały Wartownicze są dziś wielkim centrum kulturalnym o różnorodnym zasięgu działania. Wartownicy nie są wojskiem, ale przecież jest coś z berentowskiego ,,Nurtu'' w ich poczynaniach. Wartownik, który po dwóch latach służby, emigruje do Ameryki czy do innego kraju osiedlenia — wywozi z sobą nabój kultury polskiej, który starczy na całe życie. *Wartownicy nie są Polskim Wojskiem. Ale stać się nim mogą z dnia na dzień, jak nikt spośród nas. Nie wiemy co przyszłość kryje przed nami i jaka przypadnie jeszcze kiedyś rola Oddziałom Wartowniczym.*

Nie jest moim celem formułowanie na tym miejscu syntetycznej oceny działalności Oddziałów Wartowniczych. Chciałem natomiast zwrócić uwagę Czytelników ,,Kultury'' na omawianą książkę, która zawiera m. in. świetny szkic Wojciecha Zaleskiego.

Jesteśmy beznadziejni w zakresie politycznym, ale polskość to nie tylko ,,polityczny'' Londyn. Wszyscy jesteśmy spragnieni sukcesu i dlatego lektura książki Wartowników krzepi niczym wańkowiczowski cukier. Niewątpliwie to są dzieje sukcesu i niewątpliwie Oddziały Wartownicze są jedną z najbardziej udanych polskich inicjatyw podjętych i zrealizowanych poza granicami Kraju.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Potrzeba psychologów

Dziesięć lat upływa od czasu gdy ukazała się książeczka, której tytuł zdawał się wskazywać, że przedstawia ona stanowisko Kościoła wobec nowoczesnej psychologii. Wydana z pieczątką ,,nihil obstat'' broszura ta (1), szeroko rozpowszechniana wśród emigracji, zapewne poważnie wpływała na postawę myślową wielu osób, które miały do czynienia z różnymi aspektami zagadnień psychologicznych w swej pracy zawodowej, a więc nauczycieli i wychowawców, może działaczy społecznych i polityków, na pewno kapłanów. Paradoksalnym faktem jest jednak, że książeczka ta bynajmniej nie omawia psychologii, a terminem tym nazywa wyłącznie psychoterapię, której trzy systemy (najgłośniejsze, ale nie jedyne) przedstawia bardzo pobieżnie, co jest zrozumiałe wobec szczupłości pracy, ale co gorzej, bałamutnie.

Jakiż jednak może mieć sens wspominanie dziś broszurki sprzed dziesięciu lat? Otóż, w ciągu tego dziesięciolecia żadna inna praca, przedstawiająca zagadnienia psychologii, czy to z apro-

(1) W.P. Witcutt, *Psychologia nowoczesna wobec myśli katolickiej,* F. Mildner and Sons, Londyn, 1954. Str. 56.

batą władz duchownych, czy bez niej, nie ukazała się w języku polskim na emigracji. A tymczasem psychologia naukowa staje się z roku na rok przedmiotem o znaczeniu coraz większym, przewyższającym już dziś sensacyjne zdobycze fizyki jądrowej czy chemii biologicznej. Jest to jeden z najważniejszych odcinków nowoczesnej wiedzy, która, jako nauka stosowana, w sposób nieodwracalny kształtuje najbliższą przyszłość ludzkości.

W Kraju, pod rządami komunistycznymi, psychologia należy do działów nauki najsilniej skrępowanych. Jest ona tam rygorystycznie ograniczona do jednostronnego, wąskiego, ,,oficjalnego'' kierunku wywiedzionego ze ,,szkoły Pawłowa'' (której teorie zresztą także zostały skastrowane zgodnie z potrzebami i wymaganiami Partii). Tylko tu, na Emigracji, psychologowie-Polacy mają możność rozwijania pracy naukowej, zdolnej równoważyć ciasnotę partyjnej psychologii marksistowskiej i stanowić niezbędny w przyszłości ośrodek nauki teoretycznej i stosowanej.

Psychologia nowoczesna jest nauką w pełnym tego słowa znaczeniu i popularne jeszcze na początku tego stulecia rozważania, czy psychologia może lub powinna uzyskać status nauki ścisłej, należą do historii.

Człowiek stawał zawsze wobec zjawiska nastawień, dążeń i reakcji innych, jak również i własnej osobowości. Obserwacje, pamięć i przewidywania takich zjawisk stanowią doświadczenie ludzkiego zachowania się, czyli, inaczej mówiąc, ludzkiej psychologii. Zastanawanie się nad takimi doświadczeniami, czy to z prostej ciekawości, czy też z potrzeb praktycznych codziennego postępowania prowadzi do pewnego zakresu wiedzy, który często nazywany jest ,,chłopskim'', albo ,,zdrowym rozumem''.

Znaczne rozszerzenie i wysubtelnienie wiedzy wynika z zastosowania ścisłych metod formalnych rozumowania i komentowania doświadczeń. Jest to wiedza porządkująca całkowite pole doświadczeń w układ koncepcji i nosi nazwę wiedzy humanistycznej. W zastosowaniu do wiedzy ludzkiego postępowania będzie to psychologia filozoficzna. Jest to ten właśnie zakres działalności intelektualnej, który dość powszechnie rozumiany jest jeszcze pod nazwą ,,psychologii'', choć takie rozumienie tego terminu jest już anachroniczne.

Nowoczesna wiedza psychologii wynikła z zastosowania ścisłych metod nie tylko do rozumowania, ale również i do doświadczania. Cechą zasadniczą każdej obserwacji jest, że może ona być porównywana z innymi, podobnymi obserwacjami. Obserwacja staje się naukową wtedy, i tylko wtedy, gdy takie porównywanie może być uczynione pomiarem. Mierzenie jest zatem niezbędnym czynnikiem obserwacji naukowej i tylko wiedza oparta na takiej obserwacji jest nauką sensu stricto. Obserwacja naukowa może być mniej lub więcej ścisła, co zależy od dostępnej techniki mierzenia, ale zawsze musi być możliwe określenie ścisłości pomiaru, a więc wyznaczenie granic ewentualnego błędu.

Obserwacja nieporównywalna na drodze pomiaru nigdy nie jest naukowa, choćby nawet była wnikliwa czy genialna. Taka obserwacja może być podstawą opinii czy wiary, systemu filozoficznego czy dogmatu, ale nie może być podstawą nauki.

Psychologia nowoczesna jest wiedzą zachowania się i reakcji osobowości człowieka, opartą wyłącznie na obserwacjach naukowych. Choć z konieczności niekompletna, gdyż jeszcze nie wszystkie czyniki zachowania się ludzkiego są dostępne istniejącym metodom badań naukowych, jest to już dziś dziedzina wiedzy zdumiewająco obszerna. Tak wielka, że niemal niedostępna jako całość do ogarnięcia przez żaden umysł badawczy. Rozpada się ona przeto na szereg dziedzin oddzielnych i ażeby pracę w zakresie psychologii prowadzić rzetelnie i skutecznie potrzebny jest cały zespół o skoordynowanym zakresie poczynań.

Zespół taki może i powinien powstać na Emigracji, gdzie Polacy, zajmujący się naukowo zagadnieniami psychologicznymi,, są bodaj niemniej liczni niż w Kraju (2). Są między nimi uczeni zajmujący wybitne stanowiska akademickie w uniwersytetach i instytutach naukowych wolnego świata. Są psychologowie wykonywujący praktykę zawodową — w zakresie psychologii przemysłowej, społecznej, wychowawczej, terapeutycznej itd. — rozproszeni po wszystkich kontynentach. Poza tym istnieją liczne grupy młodzieży, prowadzącej studia akademickie w tym zakresie. Potrzeba jest tylko jednego czynnika : rozpowszechnienia i pogłębienia świadomości w całym społeczeństwie na uchodźtwie, że od rozwoju i zastosowania psychologii naukowej zależeć będzie przyszłość ludzkości, a przede wszystkim naszego kraju, w stopniu znacznie większym, niż od postępów jakiejkolwiek innej dziedziny wiedzy, czy techniki.

Nie zdajemy sobie na ogół dostatecznie sprawy ze znaczenia faktu, że w roku bieżącym — teraz właśnie — wychodzą w Polsce pierwsze zastępy maturzystów i maturzystek, których *całe* wychowanie i wykształcenie szkolne, od pierwszej znajomości z abecadłem, miało miejsce w ustroju szkolnym, kierowanym i kontrolowanym przez władze komunistyczne. To wykształcenie szkolne i przysposobienie intelektualne oparte jest wyłącznie na zastosowaniu metod psychotechnicznych, wyprowadzonych z nowoczesnej refleksologii. Metody te stanową potężny instrument kształtowania osobowości człowieka we wzór anty-indywidualny, plastyczny, niezdolny do krytycznego myślenia ; osobowości, której przełamany kręgosłup intelektualny zastąpiony jest sztywnym gorsetem reakcji warunkowych.

Zdobycze psychologii, jak zresztą każdej nauki, mogą być zawsze użyte dwojako : w celu niszczenia i budowania, terroryzowania i ubezpieczania, ograniczania swobody i rozszerzania wolności. Zależy to tylko od tego kto i w jakim celu instrumentem tym włada.

---

(2) Wedle bardzo ostrożnych ocen jest ich na uchodźstwie znacznie powyżej setki !

Czy mamy zastępy pisarzy, wychowawców, nauczycieli, którzy byliby świadomi nie tylko celów i zadań, ale właśnie metod i techniki właściwego, skutecznego działania? Czy mamy kadrę pracowników naukowych, którzy byliby zdolni w potrzebie zorganizować kształcenie grup instruktorów w zakresie metod psychologicznych? Ba, czy istnieją ośrodki emigracyjne, gdzie rozbudziła się już świadomość, że zorganizowane poparcie pracy naukowej i studiów, przede wszystkim w dziedzinie psychologii, jest jednym z czołowych zadań społecznych, narodowych i kulturalnych? Że w rozpoczynającej się epoce techniki i nauki trzeba nareszcie zerwać z tradycyjną naszą metodą nie-święci-lepiągarkizmu i postawą jakoś-to-będzizmu?

J. HORZELSKI

WIADOMOŚCI PSYCHOLOGICZNE

Grono Polaków pracujących w Anglii naukowo w różnych działach psychologii, przy pomocy i poparciu miesięcznika „Kultura", przystępuje do stworzenia wydawnictwa, którego zadaniem będzie rejestrowanie osiągnięć i wysiłków psychologów-Polaków na emigracji, oraz nawiązanie między nimi kontaktu i ewentualnej współpracy.

Zamierzone jest wydawanie biuletynu, obejmującego streszczenia w języku polskim wszelkich prac naukowych, ogłaszanych w jakimkolwiek języku przez autorów Polaków, a dotyczących zagadnień psychologii lub psychotechniki (tak wychowawczej jak terapeutycznej).

Pierwszy zeszyt „Wiadomości Psychologicznych" ukazać się ma w końcu roku bieżącego i zawierać będzie streszczenia prac publikowanych w ciągu roku 1954. W dalszym ciągu biuletyn wydawany będzie jako kwartalnik.

Spisy psychologów-Polaków na emigracji nie są kompletne, przeto prosimy o łaskawe podanie niniejszej wzmianki do wiadomości wszystkim Polakom, którzy mogliby być zainteresowani tą sprawą.

Wszelkie zapytania prosimy kierować na nazwisko J. Horzelski do redakcji „Kultury".

O teatrze

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL TEATRALNY W PARYŻU

Momenty w których odsłania się nam coś jak sama istota teatru są krótkie. Powraca się potem ciągle do tych kilku doświadczeń, z nimi porównuje się każde nowe i najczęściej ma

się uczucie niedosytu. Ten międzynarodowy Festiwal, z udziałem dwudziestu i jeden narodów, z trzydziestu pięcioma sztukami w piętnastu językach, też, zakładamy, może przynieść najwyżej godzinę, dwie, teatralnej emocji w stanie czystym a dobrze jeżeli nie zostawi nas i bez tego.

Niedosyt współczesnego widza niepokoi mnie, jako widza. Na pewno istnieje ,,matecznik'' teatru w który dane jest nam czasem przeniknąć. Ale może nie byłoby go bez zwyczajnego lasu naokoło, a chcieć wszystko zamienić w puszczę znaczy chcieć niemożliwości? Jeżeli tak, to olbrzymia działalność niezliczonych zespołów jest tylko pascalowskim ,,divertissement'', miotaniem się koniecznym żeby wypełnić dziurę czasu i żeby przygotować, poprzez wprawę reżyserów czy szkolenie aktora, jeden wieczór na tysiąc, który tamto okupi — albo przechować tradycje do chwili kiedy powstanie teatr prawdziwy.

Myślałem, oglądając sztuki Festiwalu, o Leonie Schillerze. Z jego osobą łączy się dla mnie jeden z przelotnych błysków zrozumienia. O widowisku, które zostało mi w pamięci, nikt, o ile się nie mylę, dotychczas nie pisał.

Było to zimą 1943 roku. Schiller wystawił — oczywiście tajnie — swoją ,,Pastorałkę'' i zaproszeni pojechali z Warszawy na miejsce podmiejskim ,,samowarkiem''. Odbywało się to w klasztorze. Zakonnice prowadziły zakład dla niepełnoletnich przestępczyń, których wiele produkowało okupowane miasto — głównie prostytucja, kradzieże, a właściwie włóczęgostwo i bezdomność. Te dziewczęta matka-przełożona powierzyła Schillerowi i dopomogła w zdobyciu materiałów na kostiumy. Postąpiła mądrze: i próby i kilka przedstawień ,,Pastorałki'' stanowiły dla jej pupilek przeżycie, którego na pewno nigdy nie zapomniały i kto wie jak to wpłynęło później na ich losy.

,,Ona ma wejście wielkiej aktorki'' powiedział ktoś kiedy wychodziliśmy z klasztornej kaplicy. Miał rację. Niezwykła ta matka przełożona. Trzeba jednak wiedzieć, że jej zrozumienie wychowawczej roli teatru i jej przyjaźń z Schillerem miały swoje przyczyny. Kiedyś, w czasach które są już legendarne — w latach dwudziestych — była znakomitą aktorką. W historii polskiego teatru pozostała jako najlepszy Puk w ,,Śnie nocy letniej'' Szekspira. Żeby tak wchodziła do kaplicy, wyprostowana, wspaniała w powadze, z bielą habitu owijającą jej szyję — trzeba było tragicznego zdarzenia o którym dużo pisały dzienniki paryskie, bo stało się to w Paryżu. Zabiła ze współczucia. Człowiek ten był nieuleczalnie chory. Sąd ją uniewinnił. Tak dawne to są czasy, tak straszliwymi sprawami od nas oddzielone, że nie będzie plotkarstwem wymienić nazwisko: w życiu świeckim nazywała się Umińska.

Esencja teatru ma to do siebie, że wymyka się opisowi, nie lubi opisu. ,,Pastorałka'' nie grana w Polsce od tamtej daty, jest widowiskiem ludowym, równie sięgającym w rdzeń polszczyzny jak ,,Pan Tadeusz''. Widowiskiem ruchu, tańca i śpiewu. Siedziałem, zapominając że jestem, ze skurczem w gardle. Później

upływały miesiące, lata i wszystko trwało, niezatarte, trwa do dziś. Święty Józef ma fioletową szatę, krótko ostrzyżoną głowę („ona niedawno przeszła tyfus"), garbi się, opierając się na kiju, a Matka Boska śpiewa zwracając się do niego cienkim, ledwie dosłyszalnym głosikiem : „Pomaluśku, Józefie, pomaluśku proszę...!"

Ta Matka Boska, w niebieskiej szacie, jest kruchej i spokojnej piękności. Mała prostytutka która ją gra, podnosi ręce nad dzieciątkiem ruchem niezaradnym, niedoświadczonej matki. I wtedy przychodzi to nagłe uświadomienie sobie, że przecież teatr sakralny polega właśnie na transformacji dokonującej się przed naszymi oczami, że dziewczyna gra tylko samą siebie, prawdziwszą od tej co włóczyła się z niemieckimi żołnierzami, że jest, wstępując w wyższy wymiar, tylko sobie przywrócona. Są też rozpasane tańce pasterzy, pozwalające na refleksję o wyzwalającej władzy rytmu — i jakże rzadko znajdzie się wśród zawodowych aktorek taką jak ten mały, gruby, brzydki chłopak — skokami wyraża swój humor, złoty humor. Co zostałoby jednak z tej „Pastorałki" przeniesionej na wielką scenę? Tutaj nie więcej niż pięćdziesiąt osób publiczności — ze dwudziestka gości z Warszawy, zakonnice, najbliżsi sąsiedzi klasztornych budynków.

Później, po latach, też nie teatr zawodowy mnie raz wziął, choć widziałem wiele sztuk. Zdarzyło się że znalazłem się w Leeds. Grały tam zespoły z całej Anglii i jeden z nich, właśnie z Leeds, wystawił „Le soulier de satin" Claudel'a w angielskim przekładzie. Do tego autora nigdy nie umiałem się przekonać, wydawał mi się zbyt wielomówny, nie wnikam słusznie czy niesłusznie. W interpretacji amatorów z Leeds nic z płynności frazy, sama dzikość i gwałtowność słowa — być może przyczyniał się do tego charakter angielskiego języka. Ale również dzikość, gwałtowność postaci, morza i okręty, afrykańska twierdza, spalanie się Rodryga i Dony Prouhèze, całe to poczucie nieodwołalności, jedyności czynów ludzkich, rejestrowanych na zawsze w Księdze Niebios. Przedstawienie trwało cztery godziny. Cztery godziny z wyciągniętą szyją, w fascynacji, w zapatrzeniu. To prawda, że pod koniec sala była prawie pusta. Ale ci co zostali do końca, wiedzieli po co.

Nie ma potrzeby utrzymywać się koniecznie na tak wysokim diapazonie. Teatr to także walenie się kijami, fikanie koziołków, kopanie w wypięty tyłek, olbrzymie dwumetrowe chłopy przebrane za panienki i pokazujące spod spódnicy białe majtki. W okolicach Bożego Narodzenia w prowincjonalnych miastach angielskich tłumy — głównie dzieci z rodzicami — ciągną oglądać „Pantomime". Trudno wyliczyć wszystkie elementy które składają się na sympatyczną wulgarność tej niemal narodowej instytucji : cyrk; parodia; bajka; historie duchów; nawet rewia; nawet tresowane psy; nawet petardy i prawdziwe dymy na scenie. Całość obudowuje bardzo luźno jeden centralny motyw. W „Pantomime", którą widziałem, była nim piosenka o Humpty Dumpty

z ,,Alicji w krainie czarów''. Makabryczny pokój w którym straszy bardzo mi się podobał: portret wysuwa rękę i łapie delikwenta za włosy, krzesło podjeżdża pod sufit, szafy są pełne nieboszczyków. Podobała mi się też Julia wagi półciężkiej, z żółtymi warkoczami grubości nogi od stołu, odpychająca drabinę, po której wspina się Romeo. Z monologów zwróconych do publiczności, która wyła ze śmiechu, nie rozumiałem nic; o sprawach lokalnych i w lokalnym narzeczu. Za to cieszyłem się z dziećmi za każdym razem kiedy zjawiał się przed rampą człowieczek który pokazywał sali pieska z czarnego sukna i pytał: ,,Children! can it grow?'' ,,No!'' krzyczały dzieci, a niektóre ,,yes''. W następnym antrakcie piesek był większy a wreszcie dosięgał rozmiarów lwa. ,,Can it grow?'' ,,Yes!''.

To też teatr. Robiony przez biednych komediantów tworzących jakieś swoje zamknięte środowisko poniżej klanu adeptów sztuki, wzgardzony przez autorów teatralnych, w swojej rutynie i skomercjalizowaniu przechowuje coś cennego. Mylą się pewnie angielscy autorzy nie biorąc tych gotowych form za punkt wyjścia.

Przejdźmy do Festiwalu. Nie można zobaczyć oczywiście wszystkich sztuk. Już na samym początku opuściłem teatr irlandzki, podobno bardzo dobry. Nie udało mi się też dotychczas być na tradycyjnej operze chińskiej z Pekinu, co może i lepiej, zważywszy, że, choć obudziła ona powszechny zachwyt, nie wiele może nam dopomóc w rozwiązywaniu problemów teatralnych w Europie.

THEATRE WORKSHOP.

Duży sukces mało znanego Anglikom zespołu z dzielnicy East End. ,,Arden of Feversham'', ta anonimowa sztuka wierszem, w której podejrzewa się współpracę najlepszych piór Anglii elżbietańskiej, powstała w czasie kiedy ani gazeta ani radio, ani film nie konkurowały z teatrem w eksploatowaniu *fait divers*. Dobry pan, sir Tomasz Arden, zostaje zamordowany przez swoją żonę ,,sweet Alice'', która sprzymierza się ze złymi plebejuszami. Bo plebejuszem-arywistą jest jej kochanek Mosbie, są nimi służący który dopomaga w spisku i jęczący na ciężary dzierżawca i wynajęci przez niego bandyci. Być może ten podział na białe i czarne charaktery dodawał dreszczu grozy ówczesnym widzom (bynajmniej w większości nie arystokratycznym) przez zbrodnię klasowej *lese maiestatis*. Sztylet przebija sir Ardena w ostatnim akcie; cała sztuka oparta jest na kolejnych nieudanych próbach morderstwa, w których tragedia wybucha w farsę. Workshop jest przykładem teatru nie oddzielającego się od widowni, mrugającego do niej bezustanku. Wszystko jest zaznaczone grubymi jaskrawymi krechami, cienia kameralności. Zmierza do zaciekawienia i do wywołania rechotu, ani na chwilę nie zapomina że tłum cockney'ów jest przed nim i że pachnie piwem (tak może grał Globe?). Daje to doskonałe wyniki w farsie — na czołową

postać wyrasta bandyta w wykonaniu Coopera, prawdziwy ,,brodiaga'' czy urke czy żulik, przechwalający się a tchórzliwy. Gorsze wyniki w dramacie występnych miłości. Alicja zbyt wyrazista, niemal krzycząca, jest tylko taka, jaka powinna być w kronice kryminalnej, za mało jest osobą. Kobiety są słabą stroną Workshop, z wyjątkiem reżyserki Joan Littlewood która nadaje sztukom doskonałą jedność ruchu.

Jeżeli w pokazanym następnego wieczoru ,,Volpone'' Ben Johnsona reżyserka ubiera aktorów w dzisiejsze kostiumy, dzieje się to pewnie ze względu na jej publiczność, bardziej wrażliwą na woogie-bougie i pląsy hermafrodytów dwudziestego wieku niż na renesansowe akcesoria. Skrzyżowanie elżbietańskiego wiersza z marynarkami, strojami plażowymi i nawet przyborami do podmorskich łowów stwarza Wenecję fantastyczną, nie należącą ani do dawnego, ani do naszego czasu, ale o dużej sile sugestywnej. Volpone Coopera w niczym nie przypomina Volpone'a Jouveta; tamten był obleśnie chytry, czający się, spoglądający spode łba; ten jest bon-viveur, hałaśliwy, traktujący swoje podstępy jako dobry kawał. Wydaje mi się że sztuka ta — nie tylko w ujęciu Workshop — ma wadę konstrukcji : najlepszy pomysł (udawać umierającego żeby wyłudzać pieniądze od osób liczących na spadek) wyładowuje się w pierwszym akcie, operacje jakich dokonuje Mosca żeby z kolei oszukać Volpone'a przynoszą zwolnienie tempa. Satyra jest tak ostra odrazu w ekspozycji, że nie wiele dalsze akty mogą do niej dorzucić.

Przyjemności jakie daje Workshop są przede wszystkiem natury wizualnej : barwa, ruch, malowniczość skutecznie skonstrastowanych postaci; żadna skłonność do fałszywej poetyczności nie zamąca brutalnej ekspresji. Figury zostają wyryte w pamięci widza. To dużo. Na próżno szukalibyśmy tu jednak śladów teatru który ,,poślubia niebo z ziemią'' czy dźwiga człowieka poprzez gest obrzędowy, graniczący w ten sposób z tańcem.

KRÓL EDYP.

Bardzo dobrze dla autora jeżeli się chce zamknąć oczy i słuchać, źle dla reżysera i aktorów. Centre Dramatique Romand z Lozanny pokazał ,,Króla Edypa'' Sofoklesa w przekładzie znanego hellenisty szwajcarskiego André Bonnard. Piękno tekstu i potęga tragedii są tak duże, że nie łatwo im oczywiście sprostać. Zasadnicze pytanie : czy wolno grać Sofoklesa nie tworząc kompozycji rytmicznej tak różniącej się od ,,życiowych'' zachowań jak wiersz różni się od prozy ? Z drugiej jednak strony, hieratyczność musi być wcielona, ukryta, a nie stanowić pokostu czy ornamentu. Mieszanina indywidualnej gry Edypa ze sztucznym hieratyzowaniem chóru i ludu ateńskiego decyduje tu o porażce. Tragedia zmienia się w popis solowy Paula Pasquier, który, bardzo dobry jako aktor, jako reżyser nie rozwiązał zadania. Sceny zbiorowe reprezentują gatunek dotychczas gdzie niegdzie jeszcze uprawiany w szkołach dramatycznych — rytmiza-

cji czysto zewnętrznej — i niekiedy zbliżają się do oleodruku (dziewczęta z amforami). Jeszcze więc raz dostęp do greckiego „teatru totalnego" jest nam zamknięty, choć wiemy teoretycznie, że jest możliwy.

ITALIA.

Z neapolitańskim „Il Teatro de Eduardo" wkraczamy w szaleństwo południowej gestykulacji, elokwencję dosięgającą paroksyzmu i przechodzącą niemal w taniec derwiszów, lekkość Comoedia del arte. Nie często zdarza się napotkać tak zgraną komediancką rodzinę jak ci podwładni Eduarda Filippo, dyrektora, reżysera, głównego aktora, a również w tym wypadku autora sztuki „Questi Fantasmi". Przez zaraźliwość atmosfery myśli się o jednym z piękniejszych filmów ostatnich lat, właśnie o wędrownych komediantach, „Złota Kareta" Renoir'a. Przeczytawszy w programie przy każdym nazwisku bohaterów tych okropnych przygód w mieszkaniu nawiedzonym przez duchy, określenie ich funkcji : „dusza stroskana", „dusza zgubiona", „dusza zmęczona", „czarna dusza" itp. nie oczekujemy oczywiście ani satyry ani pedantyzmu ale rozrywki. Duch jest tylko kochankiem żony. Na jego plus trzeba zapisać, że po każdym jego zjawieniu się mąż znajduje pieniądze. Podnosząca włosy na głowie gromada duchów, które zstępują w blaskach gromów to po prostu żona, dzieci i teściowie kochanka. Wrzaski żony „My umarli, my wszyscy umarli" są zdolne przekonać największego sceptyka, po czym rozpętuje się pandemonium możliwe chyba tylko w zaświatach — i w Neapolu. „Twarzą do publiczności" jest rozwiązane przy pomocy prostego chwytu : mieszkanie ma balkon zwrócony do widowni. Naprzeciwko mieszka niejaki profesor Santana, „dusza użyteczna, ale która nie pojawia się nigdy". Konwersacje Filippa z tym niewidocznym sąsiadem są najśmieszniejszym akcentem widowiska. Wykład ściśle własnego sposobu przyrządzania kawy trwa kwadrans i nie potrzeba wcale znać włoskiego żeby ulegać nieporównanej sile komizmu. „De Filippo" pracują już ponad dwadzieścia pięć lat, zaczynali w sali kinowej swego rodzinnego miasta. Wolelibyśmy może żeby pokazali jak stosują swoją wirtuozerię do repertuaru bardziej tradycyjnego np. do przypadków Poliszynela.

COMEDIE DE PROVENCE.

Douking, dyrektor, reżyser i dekorator Comédie de Provence, z siedzibą w Aix, objeżdżającej cały południowy-wschód Francji, stwierdza że chodzi mu o „wzruszenie widza i przeniesiene go na kilka godzin w świat, gdzie będzie on żył intensywnie życiem nietrwałych istot". W jakim stopniu można żyć dzisiaj intensywnie życiem elegantów i elegantek komedii XVIII weku jest dla mnie, przyznaję, niewiadomą. Teren pasjonujących

badań dla historyka obyczajów, owszem, ale dla teatru, chuda strawa. Zawsze rebus ułożony z miłości i z pieniędzy, przy pomocy tego rebusu krytyka, która dla ówczesnego dobrego towarzystwa musiała mieć posmak skandalu, zbyt wielu znajomych i przyjaciół zauważyło się w tym lustrze. O ,,Ainsi va le monde'' Congreve'a w adoptacji Dominique Aury i Augusta Desclos można powiedzieć że jest satyrą okrutną wyższych sfer angielskich i pewnie popisem dla wirtuozów dialogu ale na scenie poruszają się tylko marionetki ciągane za sznurek przez autora a światek który tak się toczy jest malutki. Trudno zapomnieć że Swift był współczesnym Congreve'a i że ten sam strój co ci gentlemani nosił bohater ,,Podróży Guliwera''; w krainie olbrzymów pewna panienka zabawiała się w ten sposób że jego, karzełka, sadzała sobie na sutce. Powróciwszy z krainy szlachetnych koni, kiedy uściskała go żona, padł zemdlony: nie do zniesienia był dla niego smród ludzkiego ciała. Krytykę absolutną, aż do obsesji cielesnej odrazy wobec gatunku, przeprowadziła proza Swifta, w porównaniu z nią teatr wydaje się konwencją raczej bezbarwną. A przecież Comédie de Provence sztuką Congreve'a zyskuje na Południu, jak słychać, duże triumfy. Ładne kostiumy, mierna gra, z jedną wyróżniającą się Marcelle Arnold w roli lady Wishfort (jakby swiftowska obrzydliwość starej malującej się damy). Osobiście na ten rodzaj teatru jestem zupełnie obojętny, nie winiąc ani Congreve'a, ani adoptatorów. Nie wiadomo jak wypadłoby to w innej interpretacji. Dlaczego jednak nie uznać, że są w historii teatru okresy jego zwężenia? Ben Johnsona można grać w każdych kostiumach, ,,Rewizor'' Gogola przeżył upadek carskiej Rosji. Zależy jak kto odbija się przy skoku i czy ten skok wynosi go poza kredowe koło jego czasu.

POLSKA.

O, jakże dziwne, jak dziwne, jak niewypowiedzianie dziwne. Być na przedstawieniu ,,Lata w Nohant'', którego premierze asystowało się w Warszawie przed wojną, nagle spostrzec, że upływ lat drążył powoli utwór literacki, zmieniając go w coś innego niż był wtedy, owego dawnego wieczoru, szczypać się w kolano żeby przekonać się że tak, to ja a to ta sama sztuka, z trzech głównych wykonawców której Przybyłko-Potocka jest pod ziemią, Ziembiński ma swój teatr w Brazylii a Nina Andrycz jest żoną szefa rządu Polski Ludowej.

Największą wadą ,,Lata w Nohant'' Iwaszkiewicza w wykonaniu krakowskiego teatru Kameralnego jest zgęszczona nuda, przyjmowana z początku z niedowierzaniem, nadzieją, następnie z rezygnacją. Nuda z chwilą pojawienia się Chopina ustępuje miejsca gorącej chęci, żeby chwycić polano i wybić z aktora jego cierpiącą szlachetność, wreszcie w końcowym żywym obrazie (Chopin gra, wszyscy słuchają) — coś jak Kościuszko pod Racławicami — przekształca się w zażenowanie. Na tym zapada kurtyna i w barze paryski Polak pyta mnie melancholijnie: ,,Mo-

że to nieprawda że mieliśmy w Polsce dobry teatr? Może nam się tylko tak zdawało?

Co zaszło? Przecie oklaskiwaliśmy kiedyś to „Lato w Nohant"? Czy winni byliśmy braku perspektywy, braku skali porównawczej? Jeżeli tak, to czy podobny brak perspektywy nie zadecydował o wysłaniu do Paryża krakowskiego teatru Kameralnego i czy nasze pretensje nie wydadzą się ludziom w Polsce niezrozumiałe? Kto tu winien? Autor czy wykonawcy?

„Lato w Nohant" podejmuje motyw popularnej niegdyś sztuki „Tessa" obiegającej wszystkie europejskie sceny: motyw cyganerii w rodzinie czy cyganerii rodzinnej. Tkwi przy tym w obyczajowości przedwojennej Warszawy, która lubowała się w odkrywaniu swobód seksualnych. U Iwaszkiewicza George Sand wyznaje córce, że od siedmiu lat nie jest kochanką Chopina, taż córka w objęciach rzeźbiarza Clésingera traci dziewictwo, choć jest zakochana w Chopinie. Chopin lubi pokojówki, Maurycy uwodzi Augustynkę, Rosière pilnuje swego Wodzińskiego — i to wszystko w jednym domu. To czarujące zagęszczenie płciowe tworzyło aurę miłą dla wieku pokwitania. Czas nie wiele z tego oszczędził. Nastąpiła dewaluacja „swobód". Tak więc zabrakło poważnej pomocy, jaką dla reżysera dbającego o ‚magię" domu w Nohant była erotyczna solidarność publiczności. Tym bardziej zainteresowanie przesuwa się ku George Sand i Chopinowi — a ten, wzruszająca dla Polaków przed wojną osobliwość, przekształcony ostatnio w narodowego świątka, jest nieznośnym balastem. Żeby to zagrać trzeba wyjątkowych aktorów. Ten sąd o komediopisarzu nie umniejsza mego szacunku dla Iwaszkiewicza — autora wierszy.

Dekoracje Kantora chybiają celu: nie czuje się wiejskiego domu, ogrodu, a przede wszystkim, zamiast ścieśniać, rozszerzają, dając miejsce dla akcji, która nie nastąpi. Można z nich wnioskować, że po naturalistycznym poście ceni się wątpliwą, bo doczepioną poetyczność, stosując ją nawet w tych wypadkach kiedy jest ona tylko zbytnim przyciskaniem pedału. Figurki ludzkie maleją, rozpraszają się na wielkiej scenie teatru Sarah Bernhardt. Oto drugi powód dla którego ich losy tracą znaczenie. A trzeci — wykonawcy. Przed wojną wirowali, czepiali się siebie, zderzali, uniesieni jednym ruchem. Było od nich gęsto. Teraz — zdumiewa brak jakiejś kompozycji dośrodkowej: wchodzą i wychodzą. Czy to ma być kłębowisko domu pełnego młodzieży? O realizmie! Smutni jacyś. George Sand (Zofia Jaroszewska) której rola mniej polega na błahych raczej kwestiach niż na *personality,* nie umie krzyczeć władczo: „Janie, fidybus!" Clésinger stracił swoją samczą zuchwałość, Solange (Halina Kuźniak) nie jest już bezczelną panicą wychowaną w dostatkach i smacznym kąskiem na który warto się oblizać, jakim była w wykonaniu Andryczówny: chuda, w nerwach proszę pani, a krzyczy, chucherko biedne, źle jakoś odżywione. Augustynka też chudziutka, trochę sepleni a pan Rousseau do cyrulika nie do malarza podobny. Tylko Maurycy (Kazimierz Meres) ma trochę młodości

i nieco swobodniej porusza się starsze pokolenie — Wodziński (Zdzisław Mrożewski) i Rosière (Alicja Matusiak). Erotyczna sztuka grana bez erotyzmu. Contra naturam. Może dlatego cała akcja wydaje się tak wątła? I jest horror horrorów: Chopin. To prawda, że do tej osobistości odnosimy się wrogo. Nie do Fryderyka Chopina który mieszkał sobie w Paryżu i komponował muzykę, oczywiście; do tej małpy którą z niego zrobiono na użytek ludu. Już za okupacji niemieckiej zaczynało z nim być niedobrze. A później to całe planowe u-sentymentalnianie, żeby swojsko, po narodowemu, z kalendarzem błogosławionych. Z trzech wielkich Mickiewicz mało znany za granicą, zresztą dzieło jego trzyma się za mocno, Kopernik Słowianin honorowy (ni Niemiec, ni Polak, tylko obywatel miasta Toruń — ale to zbyt skomplikowane dla mas), Chopin za to samograj. Jerzy Kaliszewski pokazał nam Chopina przepisowego: i pokasłuje i łapie się za pierś i gra na fortepiano i cichym, boleściwym głosem przemawia, muchę przypominając która wyszła z mąki.

A oni, tam w Polsce? Podoba im się? To skomplikowane. Przypuszczam że ciągłe przebywanie w tyglu podgrzewanym na narodowo uniewrażliwia na szmirę. Dlatego np. „poetyczność" w filmach rosyjskich jest ich największą skazą. Zresztą zachodzi i co innego. Sfera „kultury", podobnie jak inne, nie jest tam uważana za sferę swobodnego sądu. Witold Balicki i inni, którzy przygotowali nam to przedstawienie, są na pewno dostatecznie inteligentni żeby szmirę odróżnić ale prawda własna sobie a prawda społeczna sobie. Siła złego na jednego a każdy jest z osobna tylko jeden. Wyobrażam sobie jak będą łgali o triumfach. I zupełnie bezkarnie. Pomoże im w tym pewnie francuska komunistyczna prasa literacka, jeszcze bardziej usentymentalniona niż polska i stojąca na niższym, na ogół, poziomie.

A w programie, po cóż tyle o orderach? Jak świat światem nie one świadczyły o wartości pisarza czy aktora; było raczej odwrotnie. „Zemsty" Fredry nie widziałem, bo nie umiano podobno poradzić sobie ze zmianą dekoracji i dano ją tylko raz.

◆

Uzupełniam moją ocenę recenzją przeczytaną w „Arts" kilka dni później. Oto ona:

„Zespół Teatrów Krakowskich przyniósł nam najbardziej konwencjonalne obrazy dogorywającego teatru. Styl, gra, dekoracje, wszystko świadczyło o zużyciu jego koncepcji dramatycznych. Formacja aktorów przeznaczała ich najwyżej na odtwórców Rostanda czy Porto-Riche'a. Ich refleksy pochodziły wprost z końca XIX wieku, czas o nich zapomniał. „Zemsta", a w szczególności „Lato w Nohant" wykazywały wszelkie najbardziej alarmujące symptomy nieuleczalnego zestarzenia. Zespół Teatrów Krakowskich próbował nas dosięgnąć zdruzgotaną bronią. Byliśmy zbyt skutecznie chronieni przez świat nowych wzruszeń, żeby nie przyjąć tych prób uśmiechem pobłażania".

Padło ważne słówko ,,refleksy''. W roku 1945 oglądałem w Krakowie pierwszą wystawę artystów plastyków po wojnie. Uderzyło mnie, że obrazy, niezależnie od tego czy niby impresjonistyczne czy niby kubistyczne czy inne niby, były bardzo podobne przez kolorystyczne ubóstwo, coś jak pajęczynę. ,,Izmy'' którym hołdowali poszczególni malarze pozostawały całkowicie na powierzchni, były tylko maskaradą. ,,Zszarzenie refleksów'' w ciągu ostatnich dziesięciu lat stało się plagą, niekoniecznie przez tych co siedzą wewnątrz dostrzeganą, a przynajmniej *nie tak* jak przez kogoś z boku. Po okropnościach sztuki wyłącznie tematycznej przyszło z ,,odwilżą'' opamiętanie ale co się o tym pisze, nie sięga w istotę zjawiska, dlatego że ludzie są doszczętnie upupieni terminologią. ,,Refleksy'' ostatecznie decydują o tym, że nawet zalecając jako mistrzów Matisse'a czy Paul Klee otrzyma się rezultaty te same co zachęcając do malowania ,,jak żywych'' przodowników pracy. Natomiast ,,refleksy'' tkwią w bardzo trudnej do uchwycenia i analizowania, przy dostępnych nam dzisiaj środkach, atmosferze zbiorowej. Ta z kolei prowadzi nas do rozważań o zatamowaniu, o zabójczych skutkach przymusowego milczenia o tylu sprawach. Wybitny poeta Tadeusz Różewicz dotychczas pisze prawie wyłącznie o okropnościach wojny, przy czym ta stanowi dla niego po prostu rodzaj symbolicznego worka obejmującego wszystko co poetę, jako instrument wrażliwy na otoczenie, dzisiaj przytłacza. Aktor i reżyser też *niepostrzeżenie* szarzeją.

,,Dziewiętnastowieczność'' sztuki nie pochodzi więc tylko z nakazów wprowadzonych w życie w 1949-1950 roku. Niewątpliwie wpływ kulturalny Rosji ciężko tu waży. Jednak, jak np. w ,,Lecie w Nohant'', może być ,,dziewiętnastowieczność'' i po odrzuceniu pluszowych kanap czy kurków z których kapie prawdziwa woda. Czy istnieją jakieś środki o ograniczonym, siłą polityki zasięgu, żeby temu przeciwdziałać? Gorzko pomyśleć, że kiedy kraje zachodnie oddają się szałowi kolekcjonowania płyt dobrej muzyki i wspaniałych reprodukcji malarstwa, te rzeczy w Polsce są prawie niedostępne. A to wszystko nie są błahe zagadnienia. Bo świeżość, drapieżność ,,refleksów'' ma moc zmieniania rzeczywistości. Niejakie nadzieje wolno łączyć z rozwojem ruchu wydawczego w Polsce i dużymi nakładami tzw. klasyków. To nie wystarczy żeby rozwiązywać zbiorowe urazy, a nawet na pewno je pogłębia, ale podminowuje, drąży prymitywną wiedzę stalinizmu o człowieku, utrzymując przekonanie, że narody są czymś więcej niż grupami folklorystycznymi (choćby i z Chopinem na dodatek).

SZWECJA.

Blondyni w smokingach i damy w wieczorowych toaletach na widowni. Królewski Teatr ze Sztokholmu grał ,,Ojca'' Strindberga. Już jak autentyzm, to autentyzm: meble z epoki, kanapa wytarta, stół z pluszową serwetą, żelazny piec, o który grzeje

się sobie ręce a za ścianą wyje zimowy wiatr. Właściwie duet aktorski : on i ona, po latach małżeństwa. Ona krew jego pije i umie. To wyciąga rękę — znaczy : ,,daj pieniądze !'', to znów sączy, że może to nie on jest ojcem ich córki — aż chłop jak tur zostaje zniszczony przez jej zimną przebiegłość, ryczy, rzuca w nią lampą, wtedy ona ma dowody, że wariat i pozbywa się męża odsyłając go do domu obłąkanych. Dlaczego Sztokholm wylągł znakomite aktorki filmowe łatwo pojąć : gdzież szukać solidniejszych podstaw realistycznej sztuki aktora, niby anatomii od której zaczyna się medycyna ? Doskonałość. Mucha nie usiądzie. Ale gdybym nawet znał szwedzki, nic by mi z tego nie przyszło, poza pewnie refleksją, że Przybyszewskigo dzisiaj nie dałoby się wskrzesić. Bądź co bądź ten silny mężczyzna u Strindberga jest oficerem, ma określony status społeczny a jego furie są, że się tak wyrażę, mięsiste, tłem jest cywilizacja kupców, drwali, marynarzy i farmerów; wykorzenieni inteligenci u Przybyszewskiego szaleli już z założenia.

U.S.A.

,,Medea'' Robinsona Jeffers, w reżyserii Guthrie Mac Clintic, z Judith Anderson w roli głównej, jest niepokojącym widowiskiem. Przyczynia się do tego już sama grecka baśń o czarownicy którą Jazon przywiózł ze swojej wyprawy do barbarzyńskiej Kolchidy po Złote Runo; przyczynia się również poemat jaki zbudował na tym wątku Jeffers, z natury swego talentu bliski namiętnej i ponurej aurze mitu. Nade wszystko jednak przyczynia się Anderson, prawdopodobnie jedna z największych współczesnych aktorek. Rozpętanie tej odtrąconej Medei która z nienawiści do męża morduje swoje dzieci, sięga granic gdzie ekspresja staje się już nie do zniesienia. Szał w tragedii jest oczywiście nieprzyzwoity — i niezbędny. Drobne przesunięcie poza linię zakreśloną przez naszą zdolność odbiorczą niszczy wszelki efekt. Anderson utrzymuje się (czyżby?) na linii granicznej ; odnoszę wrażenie że w ciągu lat poddawała tę rolę rewizji, wyrzekając się stopniowo zbyt jaskrawych środków. Z tej gry ciekawe byłoby nakręcić film i puszczać go w zwolnionym tempie : każde odchylenie palca jest wystudiowane, rozpacz rozłożona na takty.

Nie miałem na ten wieczór biletu prasowego i poszedłem na najwyższą galerię za 150 franków (to, co się pisze o niedemokratycznych cenach w teatrach paryskich jest na ogół nieprawdziwe) stamtąd podziwiając dykcję. Właściwości języka na pewno wpływają na styl pracy aktora. Jego gest kształtuje się zależnie od metryki danemu językowi najbardziej właściwej. W tragedii i w poezji widzę tu przewagę języków szorstkich, o akcencie jambicznym, nad językami ,,śpiewającymi''. Te pierwsze zmuszają aktora do ciągłej czujności, ,,podrywają'' go, zapobiegając automatyzmom.

,,Medea'' mogłaby pouczyć reżyserów w Polsce o ścisłym związku jaki zachodzi pomiędzy teatrem i malarstwem współczes-

nym. Czerwona szata Medei na tle wielkich niebiesko-srebrnych schodów; ultramarynowa plama morza; krwawe, potępieńcze światło wewnątrz kiedy otwiera się brama pałacu : każda scena jest dziełem nowoczesnego pędzla, stosującego nowe zdobycze do traktowanego chętnie przez poprzedników tematu ze starożytności. Sprawa darów twórczych Ameryki w plastyce nie nadaje się do pośpiesznych uogólnień. Natomiast faktem jest popularyzacja arcydzieł światowej sztuki (tak np. w wielu pociągach wiszą duże, wysokości około metra, reprodukcje Renoir'a, Matisse'a i Picassa).

Moim ideałem teatru ta ,,Medea", już nie tragedia grecka z jej rytmiką i rytuałem, nie jest. Należy ona do tego cyklu dramatycznego co dzieła O'Neila i proza Faulknera. Wiąże ją z Grecją głębokie wyczucie siły Przeznaczenia.

Drugą zapowiedzianą sztuką amerykańską jest ,,The skin of our teeth" Thorntona Wildera.



W ,,matecznik" teatru wpada się najczęściej nie spodziewając się tam trafić. Nie doznałem olśnień na tym Festiwalu, z wyjątkiem paru sekund, tu i ówdzie, na dwóch spektaklach londyńskiego Workshop. Liczę jeszcze na kilka zespołów, między innymi na teatr Bertolda Brechta którego ,,Kredowe koło Kaukazu" czytałem szereg lat temu w amerykańskim przekładzie.

Czesław MIŁOSZ

Czy pierwszy polski "little theatre"?

Skoro za zawodowego artystę dramatycznego uważa się osobę, która oprócz wrodzonych zdolności posiada wykształcenie fachowe, uzyskane w normalnej szkole teatralnej — to czas już powiedzieć, że polski dramatyczny teatr zawodowy na emigracji zakończył swą działalność A.D. — powiedzmy — 1953. Dziś, aby jako tako zagrać dobrą wieloobsadową sztukę dramatyczną, trzeba by ściągnąć w jedno miejsce aktorki i aktorów ze Stanów Zjednoczonych, Monachium i Wielkiej Brytanii, a i to w takiej sztuce role amantek objąć by musiały panie koło 40-tki i panowie po pięćdziesiątce. Teoretycznie jest to ciekawa możliwość, ale w praktyce nie należy brać jej pod uwagę. Z drugiej

strony rzetelnie prowadzony, swoiście skomercjalizowany, na swój sposób ambitny i konsekwentnie dostosowany do stylu rozrywkowego (*entertainment!*) kabaret literacki Mariana Hemara zawsze świadomie stał na marginesie właściwego teatru dramatycznego, pomimo że zatrudniał i zatrudnia niektórych prawdziwych aktorów dramatycznych. Wreszcie uruchomiony niedawno w Londynie ,,Teatr Nowy'' (Belski, Hopen), jak dotychczas oscylujący pomiędzy myszkowatymi ambicjami repertuarowymi (,,Panna Maliczewska'') a parodią operetki (*zrefrenizowana* ,,Piękna Helena''), zaczyna dość chwiejnie wstępować w ślady angielskich teatrów klubowych. Przy całej życzliwości dla tej imprezy i z pełnym szacunkiem dla dobrej woli organizatorów — najlepiej sobie od razu powiedzieć, że mając personel ,,fifty-fifty'' zawodowo-amatorski nie jest ona i nie może być teatrem zawodowym, choćby nawet wszyscy aktorzy ,,Nowego'' posiadali dyplomy ZASP-u, albo ,,szkół'' emigracyjnych.

Czy w tych warunkach są potencjalne możliwości polskich realizacji teatralnych w wolnym świecie — nie sporadycznych, amatorskich (bo te istnieją i będą występować, ale nas tu nie interesują, jako zjawisko czysto socjologiczne, a nie artystyczne), lecz realizacji posiadających wyraźne znamiona twórczości artystycznej? Krótka, ale bardzo ciekawa historia działalności londyńskiej grupy ,,Pro Arte'' upoważnia do nadziei, że możliwości takie mogą powstać.

Wydaje się że kierowniczka tego zespołu, Olga Żeromska, swe metody pracy wzoruje na amerykańskich teatrach niezarobkowych. Amerykański ruch teatrów niezarobkowych rozpoczął się we wczesnych latach dwudziestych naszego wieku jako reakcja na spłycenie i komercjalizację teatru i filmu w Stanach Zjednoczonych. Ruch ten, mający trzy główne gałęzie — zawodowe lub półzawodowe ,,Little Theatres'', amatorskie ,,Community Theatres'' i najciekawsze z nich studenckie ,,University Theatres'' — rozwinął się bardzo szybko i dziś — mimo różnych kryzysów — może się pochwalić blisko tysiącem małych teatrów, z czego takie stany jak New Jersey, Texas, Nowy Jork i Kalifornia posiadają ich po kilkadziesiąt. Waga gatunkowa tych placówek teatralnych jest ogromna. Bogata już dziś literatura przedmiotu pozwala zapoznać się z historią i zasadami działania przeciętnych amerykańskich teatrów niezarobkowych. Można je streścić w paru słowach : fachowe i płatne kierownictwo (reżyserem może być tylko zawodowiec), ambitny repertuar, nieschlebianie niewybrednej publiczności (czyli odrzucenie zasady ,,entertainment'', będącej rakiem anglosaskiego teatru zawodowego, na korzyść zasady przeżycia artystycznego), żarliwość i bezinteresowność wykonawców (dochody są przeznaczane na podniesienie poziomu przedstawień, choć w niektórych teatrach aktorzy dostają zwrot kosztów) i wreszcie tendencja do poszukiwań eksperymentalnych. Amatorstwo nie jest bynajmniej cechą wyróżniającą te teatry, bo grywają w nich także (a w niektórych wyłącz-

nie) aktorzy zawodowi, a napięcie pracy niezawodowców z reguły przekracza miarę tzw. *hobby*.

Grupa „Pro Arte" powstała w Londynie przed półtora rokiem Obecnie liczy około 40 osób, w 90% młodzieży (od lat 16 do 30) i jest artystycznie prawie samowystarczalna, gdyż gromadzi literatów i tłumaczy, malarzy, architektów i aktorów (dziś jeszcze amatorów). Prezesem jest Stanisław Nowodworski, kierowniczka Grupy ma solidne przygotowanie zawodowe: jest absolwentką Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej i magistrem polonistyki, dobrą tłumaczką i esseistką. Kierownik muzyczny, Zbigniew Gedl jest fachowym dyrygentem i dobrym akompaniatorem, a przy tym kompozytorem.

Dotychczas „Pro Arte" dało dwie pełne premiery, a mianowicie wieczór jednoaktówek (Fredry „Świeczka zgasła", Alfreda de Musset „Tak, albo nie" w przekładzie Olgi Żeromskiej, irlandzkiego poety Johna Synge'a „Cienie wąwozu" w przekładzie W. Gniatczyńskiego i „Willa na sprzedaż" Sachy Guitry w przekładzie Z. Ławrynowicza) i wieczór conradowski: „Freję z Siedmiu Wysp" (adaptacja sceniczna Żeromskiej) i „Jutro". Prócz tego pokazano publiczności „Pana Beneta" A. Fredry i sztukę czytaną K. Wierzyńskiego pt. „Towarzysz Październik". Realizacja „Pana Beneta" była dalszym dowodem, że Grupa rozwija się pomyślnie. Pomysłowa reżyseria tej jednoaktówki dowodzi, że Olga Żeromska nie poprzestaje na powtarzaniu dobrych wzorów, lecz szuka własnego wyrazu. Poza tym udało jej się osiągnąć niezłą grę zespołową, poprawne, a nawet dobre (p. Stanisław Nowodworski) podawanie fredrowskiego wiersza i świeżość, jakiej już nie jest w stanie dać teatr „zawodowy" (para amantów — Górniakówna-Giedroyć, zabawny Maciuś Michała Kiersnowskiego). Mimo trudnych warunków (raczej estradowych, niż scenicznych) dekoratorzy prostymi środkami stworzyli iluzję szlacheckiego dworu sprzed stu lat. 14 czerwca Grupa dała wieczór krajowych sztuk czytanych, mianowicie po jednym akcie ze „Znaków wolności" Romana Brandstaettera, „Drogi do Czarnolasu" A. Maliszewskiego i z „Rzeczpospolita zapłaci" Haliny Auderskiej.

Opublikowany w programach repertuar zamierzonych pełnych realizacji scenicznych obejmuje następujące sztuki: „Przedziwną szewcową" Federico Garcii Lorca (przekład Floriana Śmieji, termin wystawienia — październik br.), „Bal Złodziei" Jeana Anouilh'a (przekład O. Żeromskiej), i „Zwiastowanie" Paul Claudela, „Marchołt" Romana Brandstaettera, „Historia bardzo chwalebna o Zmartwychwstaniu Pańskim Mikołaja z Wilkowiecka" i „Złotą czaszkę" Słowackiego.

Zapleczem materialnym Grupy jest londyńskie Koło Nr 30 SPK (w osobie ofiarnego i oddanego Antoniego Czułowskiego). Przy dotychczasowych niedostatecznych wpływach z biletów Koło Nr 30 zmuszone jest pokrywać niedobory, do których — w obecnych warunkach — nie wlicza się żadnych honorariów dla zawodowców.

Wszystkie dotychczasowe imprezy upoważniają do następujących wniosków. Popełniono błąd wystawiając artystycznie błahą jednoaktówkę Sacha Guitry ,,Willa na sprzedaż''. Niepotrzebnie zaangażowano Grupę do udziału w akademii spadochroniarzy (jesień 1954), choć trzeba przyznać, że sposób rapsodycznej dramatyzacji tematu broni nowoczesnej był ciekawy. ,,Pro Arte'' nie powinno brać udziału w żadnych galówkach, chyba że otrzyma zupełną swobodę wystawiania pozycji pełnowartościowych (jak to miało miejsce z ,,Panem Benetem''). Reżyseria jednoaktówek Guitry, Synga, Musseta i ,,Świeczki'' Fredry (wiosna 1954) była bardzo dobra, natomiast wykonanie aktorskie jeszcze amatorskie (z wyjątkiem może Musseta). Duży krok naprzód wykazały realizacje Conrada. Nie licząc wieczoru premierowego na którym ,,Freja'' — w przeróbce obciążona pewnymi dłużyznami w akcie I-ym — wykazała braki aktorskie i techniczne, obie sztuki conradowskie, ciekawie i pracowicie wyreżyserowane, grane były poprawnie, miejscami dobrze — i to już według standardu ocen dla teatru półzawodowego. Nowy przekład ,,Jutra'' (W. Gniatczyńskiego) zdał egzamin sceniczny dostatecznie (ale nie więcej). Repertuar na przyszłość jest bardzo interesujący i słusznie ambitny, a kolejność zamierzonych realizacji wskazuje na poczucie odpowiedzialności. Mam nadzieję, że gdy dojdzie do Słowackiego aktorzy pokonają już braki w czystym akcencie polskim, co stanowi bolesny problem tej grupy, złożonej prawie wyłącznie z młodzieży wychowanej i wykształconej w Anglii lub Irlandii.

Jeśli chodzi o zespół grających, to wydaje się, że konsekwentnie unikano wciągania ludzi bez wyraźnych zdolności aktorskich. Potencjalne możliwości wydają się niemałe, można już zanotować pewne osiągnięcia. Wśród kobiet wybiły się Irena Różycka, Alina Wierzbicka (z wyjątkiem akcentu) i najlepiej po polsku mówiąca Genia Górniakówna. Z mężczyzn najbardziej obiecującymi okazali się dotychczas : bardzo interesujący Zbigniew Miłoszewski, Bohdan Doliński, Michał Kiersnowski i nieoczekiwane odkrycie ,,Pro Arte'' — ,,cichociemny'' spadochroniarz Benon Łastowski. Nie znaczy to jednak, aby pozostałe osoby — wszystko ludzie zdolni — nie mogły wykazać się dobrymi i coraz lepszymi osiągnięciami przy następnych realizacjach. Z plastyków najciekawsze pomysły zaprezentował do tej pory dobry kolorysta ze szkoły Szyszko-Bohusza — Jan Pieńkowski.

Prasa emigracyjna przyjęła Grupę ,,Pro Arte'' na ogół poważnie i życzliwie, czasem nawet serdecznie. Życzę im, by nie tracąc rozpędu i pracując wytrwale i zespołowo jak najszybciej stali się pierwszym polskim ,,Little Theatre'' — świadomym do czego dąży.

KRYTYK

KONKURS NA SZTUKĘ TEATRALNĄ

Dla uczczenia rocznicy zgonu Adama Mickiewicza, pragnąc wzbogacić repertuar teatrów polskich i pobudzić twórczość dramatopisarską na obczyźnie *Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą* rozpisuje KONKURS NA SZTUKĘ TEATRALNĄ.

Nagrody : I. — £75.0.0 — ufundowana przez Towarzystwo Przyjaciół Teatru Polskiego.

II. — £50.0.0 — ufundowana przez Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą.

III. — £30.0.0. — ufundowana przez Komitet Roku Mickiewiczowskiego.

Warunki Konkursu : 1. Utwór winien posiadać formę dramatyczną; 2. Rodzaj sztuki może być dowolny. (Dramat, tragedia, sztuka, komedia, itd.); 3. Temat winien dotyczyć spraw polskich w przeszłości lub chwili obecnej; 4. Sztuka nie może być poprzednio wystawiona, lub wydana drukiem; 5. Sztuka musi wypełnić cały wieczór teatralny (circa 2 godz. 30); 6. Jury zastrzega sobie prawo powielenia nagrodzonych lub wyróżnionych sztuk; 7. Od wszystkich sztuk granych przez zespoły teatralne przypadną autorom tantiemy.

Jury Konkursu stanowią : dr L. Kielanowski, dr Z. Nowakowski, Z. Rewkowski, dr T. Terlecki, dr S. Wieniewski.
Konkursu nastąpi dnia 24 grudnia 1955. Prace, złożone na Konkurs winne być oznaczone tylko godłem. Do przesyłki należy dołączyć zamkniętą kopertę zawierającą : imię, nazwisko i adres autora, oznaczoną tym samym godłem. Prace należy nadsyłać na adres :

Związek Artystów Scen Polskich Zagranicą
55 Princess Gate, London S.W.7.

Epizod miński 1918 roku

Historia może nie najnowsza, bo mająca już 37 lat. Dotyczy jednak bardoz ciekawego epizodu z dziejów naszych walk o niepodległość. Epizod jest ciekawy przede wszystkim dlatego, że chodzi o parę dni „niepodległości" na wschodnich krańcach dawnej Rzeczypospolitej po 124 latach niewoli, a na całe osiem miesięcy przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości „oficjalnej". Po drugie dlatego, że historiografia polska dni te albo przemilcza, albo fałszywie wyolbrzymia.

Epizod zdarzył się w końcu lutego 1918 roku w Mińsku Litewskim. Okres ten był dla polskich sił zbrojnych i dla miejscowych Polaków bardzo groźny. W rejonie Bobrujska nad Berezyną i dalej na wschód — aż do Rohaczewa nad Dnieprem — niedawno utworzone oddziały I korpusu gen. Dowbór-Muśnickiego toczyły rozpaczliwe walki z nacierającymi ze wszystkich stron oddziałami bolszewickimi. Mimo że późniejsze opisy i sprawozdania starały się jakby zatuszować grozę ówczesnej sytuacji, nie można jednak nazwać jej inaczej jak rozpaczliwą. I nie tylko chodziło o liczebną przewagę bolszewików. Oddziały bolszewickie były źle dowodzone, zdemoralizowane i mało bitne. Przewaga liczebna nie była czynnikiem głównym. Gorzej, że i w oddziałach polskich „morale" było bardzo nierówne. W wielu jednostkach szerzyły się dezercje. Duch podtrzymywały bodaj jedynie elementy inteligencko-ziemiańsko-ochotnicze. Stacjonująca w Bobrujsku tzw. legia oficerska nie była oparciem pewnym, co później potwierdziły wypadki w końcu maja tegoż roku w Bobrujsku (patrz M. Wańkowicza „Strzępy epopei"). Słowem — korpus Dowbora, choć po zajęciu Bobrujska nieźle wyposażony w materiał wojenny, był maleńką, szarpaną ze wszystkich stron wysepką wśród rozfalowanego morza dziczy rewolucyjnej.

W tym samym czasie położenie ludności polskiej Mińska, kilkakrotnie powiększonej przez wojenny napływ uchodźców, było tragiczne. Oddaleni o paręset kilometrów od „centrum" dowborowskiego musieli znosić nie tylko „normalne" szykany władz bolszewickich (np. tzw. „uszczelnienie mieszkań burżuiskich"), ale i doświadczać szczególnej nienawiści tych władz, które widziały — poniekąd słusznie — zarówno w wojsku polskim, jak i w ogóle w Polakach, oparcie reakcji i kontrrewolucji. Dla ścisłości trzeba jednak stwierdzić, że ówczesnemu uciskowi bolszewickiemu daleko było jeszcze do

---

Materiały, zamieszczane w tym dziale, drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

później osiągniętej perfekcji. Polskie życie społeczno-kulturalne nie ustawało ani na chwilę. Wychodziła gazeta „Dziennik Miński", która niemal otwarcie nawoływała przebywającą w Mińsku młodzież polską do przekradania się do Bobrujska i wstępowania do oddziałów Dowbora. Jednocześnie działała podziemna organizacja polska pod wodzą kapitana Ignacego Matuszewskiego (pseudonim „Topór"). W kilku osobiście mi znanych wypadkach organizacja ta ułatwiła młodym chłopcom polskim (przeważnie uczniom gimnazjalnym) przedostanie się do Bobrujska.

Tak trwało do pewnego wieczora w drugiej połowie lutego 1918 roku. (Dokładnych dat nie pamiętam, ponieważ jednak są „historyczne", można je łatwo znaleźć w innych źródłach). Wieczoru tego do Mińska przyszła wieść o zerwaniu rokowań pokojowych niemiecko-sowieckich w Brześciu. Wtedy to Trocki wyskrobał ołówkiem chemicznym na tynku jednej z sal w twierdzy brzeskiej pamiętne słowa: „Ni wojny, ni mira — Leon (tak!) Trockij". Na tę wieść wielotysięczny garnizon bolszewicki w Mińsku rozpoczął pośpieszną ewakuację w kierunku na północo-wschód (Borysów), bo drogę na Bobrujsk zagradzał mu korpus Dowbora. Od tamtych czasów zdarzyło mi się oglądać szereg „pośpiesznych" ewakuacji, ale chyba żadnej z nich nie można porównać z tym, co się działo w Mińsku w ten zimny zmierzch lutowy. Była to ucieczka po prostu paniczna: samochody, dorożki i wozy konne, tłumy pieszych — wszystko to uchodziło ulicą Zacharzewską (w rok potem — przez 11 miesięcy — zwaną ulicą Mickiewicza, a jeszcze później i zapewne po dziś dzień — Sowiecką) na dworzec tzw. brzeski. Panikę potęgowała plotka, że Mińsk ma być zajęty nie przez wojska niemieckie, lecz przez polskie oddziały legionowe. Plotka, której nawet niektórzy z nas wierzyli, świadczy do jakiego stopnia byliśmy w czasie wojny odcięci od wypadków w Polsce: nie wiedzieliśmy, że Legiony od dawna już nie istniały, a Piłsudski był więźniem w Magdeburgu.

Żadnych walk nie było. Nie było zresztą ani celu, ani sensu, ani możności zatrzymywania tej ogarniętej paniką fali. Bolszewicy uciekali przeważnie bez broni, słyszałem jednak o kilku wypadkach rozbrojenia, przy czym uciekający oddawali broń jak najpotulniej, byle im pozwolono uciec. Zdarzyły się inne wypadki — również mało heroiczne. Tak np. nieżyjący już od dawna p. S., pozbawiony prawej ręki skutkiem nieszczęśliwego wypadku w wieku młodzieńczym, stanął na ulicy Zacharzewskiej na drodze panicznej ucieczki i — grożąc rewolwerem trzymanym w lewej ręce — żądał oddawania posiadanej gotówki. Żądał przy tym wyłącznie rubli carskich gardząc tzw. „kierenkami". Przykład pana S. jest dowodem do jakiego stopnia doszła panika bolszewików. A oto inne zdarzenie, w którym sam brałem udział. Doszło do nas, że na dworcu brzeskim wśród kilku pociągów pod parą dosłownie oblepionych przez „czubaryków" (jak wtedy nazywaliśmy żołnierzy bolszewickich) stoi pociąg mający odjechać na wschód, a zawierający sprzęt samolotowy, samochodowy i amunicję. „Zdobyliśmy" ten pociąg samoczwart — bez większego trudu — pozwalając wspaniałomyślnie obsłudze na odjazd do Borysowa. (To „zdobycie pociągu" opisałem dwukrotnie: w „Słowie" wileńskim Nr 39 z roku 1934 oraz w tygodniku londyńskim „Lwów i Wilno" (Nr 105 z r. 1949).

Wyżej opisane wyczyny bohaterskie odbywały się jednocześnie z akcją „ujawniania się" organizacji kpt. Matuszewskiego. Akcja ta — polegająca na opanowaniu arsenału i rozdawaniu broni Polakom-ochotnikom na ulicy Magazynowej (lokal polskiego tow. gimnastycznego „Sokół") przeszła szybko i sprawnie. Uzbrojona w ten sposób „samoobrona polska" (bo tak ją nazywaliśmy) miała na celu głównie objęcie pieczy i porządku w mieście z którego uciekło i wojsko i milicja bolszewicka. A warto podkreślić, że miński świat kryminalny, który prawdopodobnie w duszy nienawidził bolszewików

niemniej od nas, potrafił „uczcić" ich ucieczkę po swojemu: nie słyszeliśmy w tych dniach o napadach rabunkowych lub nawet o większych kradzieżach. Walk, jak wspomniałem, nie było, bo i nie było z kim walczyć.

Panowanie nasze w Mińsku trwało dwie i pół doby. Na trzeci dzień do miasta wkroczyły — przy dźwiękach piszczałek i bębnów — wojska niemieckie złożone przeważnie z podtatusiałych landszturmistów. Znowuż — nikt nawet nie myślał walczyć z nimi i — co tu obwijać prawdę w bawełnę — powitaliśmy ich jak zbawców. Odpięliśmy z rękawów kożuszków i bekiesz opaski biało-czerwone, a broń złożyliśmy spokojnie we wspomnianym lokalu przy ulicy Magazynowej. Dla porządku dodam, że i „zdobyty" przez nas pociąg dostał się w ręce Niemców. Tylko panu S. udało się uratować ruble carskie.

Oto jaki przebieg miało naprawdę to bez mała trzydniowe panowanie polskie w Mińsku w końcu lutego 1918. Mijały jednak lata. Widocznie niektórzy uczestnicy powyższych zdarzeń, a pod wrażeniem ich opowiadań, niektórzy z naszych historiografów uznali za potrzebne podkoloryzować i „uheroicznić" te wypadki — wypadki ciekawe może, lecz na pewno nie bohaterskie. A więc np. Stanisław Mackiewicz w swej na ogół ścisłej „Historii Polski" (Londyn, 1941) w rozdziale „Rewolucja rosyjska i wojsko polskie na wschodzie" pisze na str. 73: „I korpus... po zaciętej walce zdobywa Mińsk Litewski dnia 19 lutego 1918 roku". Oczywiście o zdobyciu Mińska przez I korpus nie mogło być mowy. Był oddalony wtedy od Mińska o paręset kilometrów i miał inne poważniejsze kłopoty niż zdobywanie Mińska, o czym wspomniałem na wstępie. Zresztą dalsze wypadki, jak — wkroczenie Niemców do Mińska jak posunięcie się ich na wschód, jak zawarcie przez nich czegoś w rodzaju przymierza z I korpusem, jak wreszcie rozbrojenie tego korpusu w maju 1918 roku — są to zdarzenia historyczne o charakterze bardzo spornym. Nie należą do tematu niniejszego wspomnienia.

Prócz Stanisława Mackiewicza inni pisarze — zarówno w Polsce, jak i na emigracji też dorzucili parę cegiełek do tworzenia dokoła „epizodu mińskiego" jakiejś legendy walk niepodległościowych. Osobliwą cegiełką jest artykuł w jednym z pism polsko-amerykańskich, w którym epizod miński został podniesiony do godności „powstania" (!) i nazwany „Świętem Białoruskim" (Dziennik Polski, Detroit, nr z 30 marca 1954). Przy całym moim sentymencie do Białorusinów i szacunku do ich aspiracji niepodległościowych, stwierdzić muszę, że w „epizodzie mińskim" z lutego 1918 żadnej, najmniejszej roli nie odegrali. (Chyba że nazwiemy Białorusinami Polaków, którzy, jak niżej podpisany, od stuleci na Białej Rusi zamieszkiwali).

Michał K. PAWLIKOWSKI

Książki

Nowe wydanie „Soli ziemi”

Dwadzieścia lat upływa w tym roku od ukazania się w druku *Soli ziemi*. Dla powieści jest to ogromny przeciąg czasu. Niektóre z nich dożywają wprawdzie wieku Matuzalema, ale są to zjawiska rzadkie, będące przedmiotem rozważań historyków literatury. Na ogół powieści żyją krótko i nieraz po paru latach już zmieniają swe oblicze tak, że nie odnajdujemy w nich więcej wrażenia odniesionego z pierwszej lektury. Niedawno zajrzałem do głośnej powieści J.-P. Sartre'a *l'Age de raison*, którą czytałem przed dziesięciu laty jako nowość wydawniczą. I tym razem wydała mi się świetna, ale czytałem ją niemal na nowo, nie znajdując więcej na jej stronicach tego, co wydawało mi się w 1945 istotne.

Takie doświadczenia każą krytykom zachowywać ostrożność w chwaleniu. Niesłusznie zapewne, bo zmienność sądów i wrażeń wywoływanych przez powieści należy do samego życia literatury. Zmienia się perspektywa w jakiej je widzimy, zmieniają się także czytelnicy. O tych samych sprawach mamy inny sąd w 30-tym i w 50-tym roku życia. Na dłuższą metę zmienność i niepewność sądów jest jeszcze widoczniejsza. Książki które zachowały czytelników na przestrzeni kilku stuleci, czytane były przez każde pokolenie dla innych powodów.

Od 1935 *Sól ziemi* uległa też różnym zmianom. Rewelacyjna była np. dla mnie jej lektura w tłumaczeniu francuskim, w którym *Sól ziemi*, odarta z wittlinowskiego języka — podobnego do łąki, gdzie każda roślina kwitnie inną barwą i posiada własny wykrój liści — ukazała mi się w klasycznych szatach prozy francuskiej.

Więcej jeszcze zmienili się zapewne czytelnicy, którzy przecinali niegdyś jej kartki we Lwowie, Warszawie lub Białymstoku i dziś czytają ją znów na emigracji, przymierzając do nieznanych sobie dawniej wzorów. Jeszcze inaczej zapewne czytać ją będą młodsi wiekiem, którzy nigdy nie widzieli żywych wzorów Piotra Niewiadomskiego, naczelnika stacji Topory-Czernielica,

---

Józef Wittlin. *Sól ziemi*. Powieść o cierpliwym piechurze. Wydanie piąte.. Roy Publishers, New York, 1954. Printed in Italy. Cena w oprawie $350 w brosz. $2.80.

sztabsfeldfebla Bachmiatiuka i pułkownika a. D. Aloisa Leithubera i dla których postacie te będą fantastycznymi tworami wyobraźni.

Po dwudziestu latach, oderwana od wielu aktualności i realiów lokalnych, *Sól ziemi* ukazuje się jako dzieło wysokiej ambicji literackiej i długiego namysłu, o mistrzowskiej konstrukcji i uderzającej równowadze między różnymi składnikami tworzywa. Dostrzegam też wyraźniej ślady długiego obcowania autora z literaturą świata antycznego.

Ślady te widoczne są przede wszystkim w samej budowie powieści, której akcja toczy się równolegle na poziomie cesarza Franciszka Józefa i na poziomie niepiśmiennego robotnika kolejowego w Galicji Wschodniej. Posiedzenie rady koronnej otwierające powieść ma w sobie coś z sławnych zebrań Olimpijczyków, przeciw wyrokom których człowiek śmiertelny nic nie może. Porównanie Franciszka Józefa z Zeusem i potęgi skrywającej się w regulaminie piechoty z Mojrą znajduje się zresztą na stronie 238 powieści. Związki między *Solą ziemi* i sztuką antyczną nie kończą się jednak na tym.

Od pierwszych już stronic uderza czytelnika dystans zachowywany przez autora w stosunku do postaci i wypadków na obu poziomach powieści. Wszystkie odruchy, jakie mogłaby wywołać kontemplacja ułomności człowieka i stworzonych przezeń instytucji, są w *Soli ziemi* otamowane przez właściwą autorowi niezłośliwą ironię, poczucie humoru i nieustanną czujność nad zachowaniem proporcji między rzeczą i słowami w jakich się o niej mówi. W stosunku do opisywanych postaci i wypadków autor pozostaje sobą, jest wolny.

Troski tego rodzaju były właściwe wielu pisarzom i myślicielom świata antycznego. Skrępowani wpływami pięciu planet, wolą bogów, wyrokami losu i surowością praw, ludzie tego świata starali się w miarę możności pozostać wierni sobie, być sobą, i drogę do tego widzieli w różnych odcieniach oddalenia od większej części spraw ludzkich.

Myśli i uczucia tego rodzaju nie przemawiają wyraźnie w żadnym z bohaterów *Soli ziemi*, niesionych biernie przez potop powszechnej mobilizacji do *l'grand trou noir d'ousqu'on n'revient jamais*. Towarzyszący im jednak na radzie koronnej, w wagonach transportów wojskowych i koszarach główny choć niewidzialny bohater powieści, to jest sam autor, czuwa nad tym, aby nikt z nich nie przestał być sobą, nie zmienił się w papierowy symbol aprobaty lub protestu i nie stracił swych ludzkich proporcji.

Możność przejścia tej drogi przez świat objęty powszechną mobilizacją, nie wpadając w obojętność i nie ustępując nic z właściwej autorowi życzliwości i odrazy do przemocy, jest pewnego rodzaju zwycięstwem, zostawiającym czytelnikowi, jak tragedia antyczna, rodzaj niewytłumaczonej bliżej euforii. Sama koncepcja artystyczna *Soli ziemi* wydaje mi się dziś najbardziej uderzającym aspektem tej powieści.

Przez 20 lat styl Wittlina nie stracił wcale uroku nowości. Przyczyniła się zapewne do tego okoliczność, że literatura bieżąca odzwyczaiła nas od postaw dyskretnych i powściągliwych. Zachowanie odległości w stosunku do opisywanych postaci i środowisk, zwane wówczas obiektywizmem, należało do zwyczajów naturalistów i było nawet jednym z kanonów ich *religion littéraire*. Dla większej pewności tego efektu naturaliści brali zazwyczaj za tło swych powieści środowiska, na które łatwiej im było patrzyć z góry na dół, jak środowiska felczerów, podoficerów i drobnych urzędników. Ale to są dawne czasy. Od trzydziestu lat płyniemy pod flagą neosentymentalizmu czyli lekceważenia dla wszelkiej proporcji między wyrazem uczuć i sytuacjami dającymi do tego powód. Najdrobniejsza nawet okazja upoważnia obecnie do głośnego spluwania lub wyrażania zamaszystości i krzepy. Taki jest styl naszego czasu, uświęcony niedawno przez Akademię szwedzką w formie nagrodzenia najwybitniejszego przedstawiciela literatury muskularnej. Z natury swej styl ten pozbawiony jest dyskrecji. Nikt nie krępuje się więcej w rozładowywaniu w druku złego humoru lub w ciągnięciu czytelnika za guzik od marynarki przez całe tomy duszących koszmarów i nocy bez świtu.

Wśród nieprzymuszonych obyczajów naszej epoki *Sól ziemi* jest powieścią o rzadkiej dystynkcji i słusznym tytułem zwróciła na siebie uwagę znawców w różnych krajach. Kołomyjskie tło nie przeszkodziło wcale jej zrozumieniu. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby u obcych, na podstawie lektury *Soli ziemi,* powiat kołomyjski zaczął uchodzić za siedzibę jakiejś szczególnie delikatnej i zapoznanej kultury. Nie ulega wątpliwości, że *Sól ziemi* jest jedną z najlepszych powieści polskich dwudziestolecia niepodległości.

Regionalizmy *Soli ziemi* są, jak cała powieść, bardzo dyskretne. Widać że powstały w czasie, kiedy powiat kołomyjski nie był ani częścią ziemi obiecanej, ani rzeczą istniejącą już tylko w pamięci. Są to rozsiane niewidocznie po stronicach książki, jak gdyby przypadkiem, słowa, słówka i intonacje, po których poznają się nieomylnie ludzie pochodzący z jednej okolicy. Dostrzegą je zapewne tylko nieliczni, pamiętający dotąd o jakich godzinach przechodziły do Kołomyi pociągi.

Paweł HOSTOWIEC

Przed powrotem do raju

Podczas gdy epoka rozwoju władztwa techniki i przemysłu zamyka swój okres produkcją coraz potężniejszych i straszliwszych bomb, rozpoczynająca się epoka rozwoju władztwa intelek-

tu otwiera swój okres tworząc coraz wspanialsze i sprawniejsze automaty. W kończącej się epoce maszyny służyły tylko do produkowania energii, zastępując siłę fizyczną mięśni ludzkich i zwierzęcych. W nowej epoce maszyny będą zastępować również siłę intelektualną mózgu człowieka.

Wygląda to prawie tak jak cytata z utopii ,,Erewhon'' Butlera, a przecież jest to stwierdzenie nieomal dosłownie powtórzone za jednym z najwybitniejszych uczonych współczesnych, który tak właśnie rozpoczął swój referat na posiedzeniu grupy znakomitych uczonych poświęconemu zagadnieniom roli mózgu w psychologii człowieka. (Profesor psychiatrii W.S. McCulloch, rok 1950. The Hixon Symposium.)

Nazwa elektronowych mózgów, spopularyzowana w najrozmaitszych sensacyjnych wzmiankach dziennikarskich, jest dostatecznie znana. Funkcjonowanie tych mechanizmów jest, w istocie, wzorowane w dużym stopniu na działaniu kory mózgowej, ale różnice, choć nie ograniczają się tylko do skali fizycznych rozmiarów, są i w tej dziedzinie tak istotne, że warto o nich wspomnieć.

W ,,elektronowych mózgach'' rolę komórek nerwowych spełniają lampki elektronowe lub przekaźniki elektromechaniczne. Lampka elektronowa, nawet w swej nowoczesnej, ,,lilipuciej'' postaci jest gigantem w porównaniu z komórką mózgową. W lampce elektronowej czynnikiem istotnym jest przestrzeń pomiędzy katodą (która wysyła strumień elektronów) a siatką (która bieg elektronów reguluje). Przestrzeń ta nie daje się zredukować poniżej milimetra. Odpowiedni czynnik w komórce mózgowej, grubość membrany komórkowej, wynosi około mikrona, a więc tysiąc razy mniej. Ten stosunek 1:1 000 w wymiarze liniowym odpowiada stosunkowi jednego do tysiąca milionów w wymiarze objętości. Kiedy więc największy ,,mózg elektronowy'', zawierający 20.000 elementów, waży ponad 30 ton, zajmuje przestrzeń dużej sali i zużywa 150 kilowattów energii elektrycznej, to mózg ,,naturalny'' zawiera przeciętnie około 10.000 milionów komórek, ale waży niewiele ponad pół kilograma, mieści się w małym pudełku czaszki i zadowala się dwudziestu paru wattami energii. Łatwo wyliczyć, że przeciętny mózg jest odpowiednikiem (potencjalnie) około pół miliona ,,elektronowych mózgów'' połączonych razem w jedną baterię.

Pewną kompensatę dysproporcji stanowi szybkość — komórka mózgu elektronowego może wykonać około miliona oddzielnych połączeń na sekundę, podczas gdy komórka mózgowa nie przekracza 200 połączeń w tym czasie. Maszyna jest zatem 5.000 razy szybsza. Na tym zresztą polega jej największa użyteczność. Skomplikowane, nudne obliczenia, które by cały sztab rachmistrzów zatrudniały przez całe ich życie, wykonywane są przez ,,mózg elektronowy'' w ciągu paru godzin.

Mózgi elektronowe, takie jak największy amerykański ENIAC, ulepszony dodatkiem ,,pamięci'', choć nieco mniejszy,

angielski EDSAC (*), czy inne, choć zasadniczo są maszynami matematycznymi, mogą również wykonywać i wykonują funkcje rozumowania logicznego. Zazwyczaj rozumowanie dedukcyjne czy indukcyjne jest procesem dość prostym i dla jego wykonania nie opłaca się zajmować czasu kosztownej maszyny. Byle doktór filozofii kosztuje znacznie taniej. Ale są już okazje, gdy konieczny łańcuch rozumowań jest długi, skomplikowany i najeżony możliwościami pomyłek. W takich wypadkach zastosowanie mózgu elektronowego daje olśniewające a błyskawiczne wyniki.

Automaty elektronowe nie ograniczają się jednak bynajmniej do maszyn matematycznych czy logicznych. Może jeszcze bardziej imponujące, bo łatwo spostrzegalne efekty dają mniejsze mózgi elektronowe sprzęgnięte z mechanizmami o przeznaczeniu przemysłowym. Ta dziedzina automatyzmu, mniej znana szerokim sferom społeczeństwa, ma znaczenie społeczne przewyższające wielokrotnie jakiekolwiek inne możliwe czynniki nowoczesnej cywilizacji, nie wyłączając procesów nuklearnych (które nawiasem mówiąc bez pomocy takich automatów byłyby w ogóle niemożliwe).

Samoczynne maszyny, zdolne zastępować rękę człowieka precyzyjnie, a co więcej *inteligentnie,* są w technice atomowej, oczywista, niezbędne i z tej strony rozwój podobnych mechanizmów otrzymał impuls największy. Ale nie wyłącznie stąd. Wiele innych gałęzi przemysłu może już dziś stosować urządzenia automatyczne, wykonywujące nie tylko skomplikowane czynności obróbki i montażu, ale równocześnie kontrolujące poszczególne fazy wykonania, zapobiegające pomyłkom i usuwające braki. Wydawać by się to mogło pustym fantazjowaniem, gdyby zakłady tego rodzaju już nie istniały. Od lat, na przykład, funkcjonuje w Anglii fabryka produkująca tak skomplikowany przedmiot jak odbiornik radiowy, który całkowicie, od początku do końca, z wszystkimi uzwojeniami, kondensatorami, opornikami, regulatorami itd. wykonywany jest wyłącznie przez automat. Lampki elektronowe nie są w tej fabryce produkowane, ale automat wmontowuje je w odbiornik samoczynnie, sprawdza działanie aparatu i nawet pakuje go do skrzynki, gotowy do transportu. Cała ta fabryka, która przy swej produkcji bez zautomatyzowania musiałaby zatrudniać paruset ludzi, obsługiwana jest przez garstkę mechaników, utrzymujących automat w ruchu i załogę szoferów ciężarówek, transportujących materiały i gotowy produkt.

W dzisiejszym stanie techniki nie ma prawie przemysłu,

(*) Nazwy te są inicjałowymi skrótami pełnych nazw: ENIAC — Electronic Numerical Integrator and Calculator; EDSAC — Electronic Delayed Storage Automatic Computer. Inne z bardziej znanych, a już komercjalnie produkowanych maszyn tego rodzaju są: ACE — Automatic Computing Engine; SEC — Simple Electronic Computer; różne typy APEC — All Purpose Electronic Computer i inne.

który nie mógłby być w całości lub w znacznej części kompletnie zautomatyzowany. Jest to tylko kwestia nakładu finansowego, a nie zapominajmy, że koszt niewielkiej ,,zlokalizowanej'' wojny czy nawet utrzymania zbrojnego pogotowia obronnego wystarczyłby na to aby przemysł przeciętnego państwa europejskiego zautomatyzować kompletnie w kilka lat.

Dotyczy to nie tylko funkcji technicznych w przemyśle. Czynności administracyjno-biurowe mogą być w lwiej części zautomatyzowane, nie wyłączając nawet takich zadań jak czytanie i odpowiadanie na listy handlowe, prowadzenie rachunkowości itp. Ba, nawet zadania znacznie bardziej ,,intelektualne'' mogą być przekazywane automatom elektronowym. Niektórzy z nowoczesnych cybernatyków twierdzą, że nie tylko mogą, ale nawet muszą być zlecane maszynom najrozmaitsze czynności naukowe jeżeli dalszy postęp nauki ma być utrzymany. Ogromna większość zadań wykonywanych dziś przez pracowników naukowych polega na dokonywaniu pomiarów i obserwacji, na przeważnie żmudnym kalkulowaniu wyników tych doświadczeń i wyprowadzaniu z nich uogólnień, a przede wszystkim na wyszukiwaniu odpowiednich danych w powodzi przyczynków i informacji naukowych. Wszystkie te czynności z powodzeniem, a z bez porównania większą szybkością i dokładnością wykonywać mogą automaty, uzupełniając je na żądanie odpowiednim zakresem wnioskowania dedukcyjnego, czy indukcyjnego.

Pozwolić to może uczonym na przezwyciężenie konieczności wąskiej specjalizacji. Delegowanie masy prostych zadań na mechanizmy umożliwi skoncentrowanie inteligentnego wysiłku na najwyższe czynności intelektu — spostrzeganie i rozumienie związków zachodzących pomiędzy odległymi zespołami zjawisk naturalnych, a stąd wyprowadzanie szerokich koncepcji teoretycznych.

W ten sposób zakres koniecznych czynności człowieka w ustroju cywilizacyjnym ulegnie dalszemu, znacznemu zredukowaniu. Być może, iż przed końcem bieżącego stulecia jeszcze nie będziemy odbywać regularnych podróży międzyplanetarnych, ani eksploatować geologicznych bogactw księżyca, ale na pewno każde cywilizowane społeczeństwo będzie mogło zaspokajać wszystkie swe potrzeby, redukując ustawową liczbę wymaganych godzin pracy człowieka do kilkunastu może tygodniowo i dając mu wzamian poziom utrzymania znacznie wyższy niż dziś.

Nie trzeba dodawać, że wobec tych perspektyw, czy nawet więcej niż perspektyw — pewności iż rozwój wypadków nieuchronnie a szybko do tego zmierza — psychologia społeczna staje z głębokim lękiem. Czy człowiek jest kulturalnie i intelektualnie dostatecznie przygotowany do dobrodziejstwa bezczynności? Czy jesteśmy już w sposób odpowiedni wyekwipowani aby móc rozpocząć powrót do raju?

J. H.

Pouget

Pouget urodził się w roku 1847, umarł w 1930. Jean Guitton który znał go dobrze w swojej młodości, napisał „Portrait de M. Pouget" — książka ta wyszła w roku 1941, kiedy autor był jeńcem wojennym w Niemczech. Po długiej przerwie uzupełnił ją inną książką o człowieku którego uważa za swego nauczyciela (*).

Kim był Pouget? Synem chłopskiej rodziny w Owernii i wspomnienia jego dzieciństwa wprowadzają nas w epokę której codzienne życie zostało zbyt przesłonięte przez daty podręczników historii. Kiedy Pouget pasał jeszcze krowy, słyszał od swojej rodziny o Napoleonie, o którym jego ciotka mawiała: „Aquil Poleïoun, o montado lo taillo, ourion dugut lou tuia". Czy to po francusku? Nie, mało kto sobie uświadamia zasięg ludowego języka tzw. *patois* we Francji i tylko posługując się szczątkami łaciny jakie zostały nam w pamięci, rozumiemy że zdanie znaczy: „Ten Napoleon, wyrósł zanadto, powinno by się było go zabić". Ta sama ciotka pamiętała jak nosiła żywność ukrywającym się dezerterom — na wsi panowała opinia, że kto znajdzie się w armii napoleońskej nie wróci żywy i uchylanie się od służby wojskowej nie przynosiło ujmy.

Pouget został księdzem. Następnie wstąpił do zakonu Lazarystów. Przez wiele lat uczył w seminarium przedmiotów które studiował z pasją: matematyki, fizyki, chemii, wreszcie hebrajskiego i greki. Jego wiek dojrzały przypadł na czas rozwoju nowej wiedzy o przełomowym znaczeniu: krytyki tekstów biblijnych. Wywołała ona ferment również w Kościele, dając początek ruchowi modernizmu który w początku XX-go wieku został potępiony encykliką „Pascendi". Zbytnie podkreślanie obiekcji niewierzących w wykładach (co było metodą, a nie solidaryzowaniem się z opiniami przeciwnika) stało się przyczyną odsunięcia Pougeta od pedagogii. Wkrótce stracił wzrok. Ostatnie dwadzieścia kilka lat życia był ślepy, nie ruszał się prawie z domu zakonnego Lazarystów w Paryżu. Takim go znał Jean Guitton i pokochał tego człowieka za wszystko co w nim znalazł: pogodę, mądrość, pobożność i nieustanną aktywność umysłową; a pchała go do studiowania ciągle nowych dzieł z zakresu filozofii i nauk ścisłych (jeżeli czytali mu głośno nowicjusze zakonni, wybierał tylko takie książki które by nie zgorszyły maluczkich).

(*) Jean Guitton. *Dialogues avec monsieur Pouget*, Grasset, 1954.

Guitton więc przywołuje postać zupełnie niemal nieznanego księdza i stawia mu monument. Nie tylko, poprzez niego nawraca ku problematyce niedostatecznie dzisiaj rozważanej. Od XVI-go wieku, kiedy umysł ludzki wyzwolił się ze scholastycznych przyzwyczajeń i rozpoczął badania nad przyrodą, rosła potrzeba poddania wszelkich dziedzin krytycznym sprawdzianom rozumu; ruchy protestanckie podchodziły rozumowo do Pisma Św., brak im jednak było niezbędnego aparatu naukowego; dopiero wiek XIX przyniósł naukową analizę tekstów. Trzeba sobie uświadomić jak wielki był to przewrót: żyjemy nim dotychczas, ale z różnych powodów nastąpiło w ciągu ostatnich lat jakby przyćmienie czy zapomnienie konfliktów, jakby linia podziału na wierzących i niewierzących przebiegała gdzie indziej. Warto nawiasem przypomnieć, że ferment który we Francji symbolizują Renan czy Loisy, słabo wyraził się w piśmiennictwie tak katolickiego kraju jak Polska. Jego śladem w literaturze jest „Niebo w płomieniach" Jana Parandowskiego, powieść wydana na krótko przed drugą wojną światową. Umyślnie zaczęliśmy od daty urodzenia Pougeta żeby wprowadzić wymiar czasu. Podając poglądy swego nauczyciela Guitton składa dowód że ciągłość polemiki biblijnej jest zachowana. Powodzenie książek Guittona we Francji świadczy też że zaspakajają one jakąś potrzebę publiczności katolickiej i nie-katolickiej. Odpowiadają na często dziś powtarzane pytanie: „Jak można wierzyć?" to jest jakie rozumowanie towarzyszy wierze u tych co uważają się za katolików. Oczywiście nie są to książki „popularyzacji" religijnej.

Pouget nie był modernistą i w niczym nie odstępował od nauki Kościoła rzymskiego. Krytykę przeprowadzoną przez naukę uważał jednak za błogosławieństwo dla katolicyzmu który dzięki temu może dojść do pełniejszego uświadomienia sobie prawdy na której się wspiera. „Nie trzeba żeby religia katolicka wydawała się religią głupków albo dzieci. Trzeba żebyśmy we wszystkim co czynimy uszanowali L o g o s" powiadał. „Katechizm, to pigułki teologii. Często dzieci nic z tego nie rozumieją. Są tam pytania na które pierwsi chrześcijanie nie wiedzieliby co odpowiedzieć". „Nasze racje wierzenia są bardzo liczne i głębokie. Wymagają poważnych studiów. Lud, wierząc wspiera się na przykładzie tych których ceni". „W XVII wieku wierzono bardziej wolą niż głową... Dziś nie mamy takich trudności żeby wierzyć, bo mamy znacznie więcej wiedzy historycznej".

Wiedza historyczna: bo „kiedy zniszczy się więź między wiarą i historią, nie ma już mostu między niebem i ziemią". Chociaż Pouget ostrzegał: „To, co dla nas jest następstwem w czasie, jest ładem dla Niego; patrz na tę linię: koniec nie jest starszy niż początek" — to ugruntowanie zasad religijnych bez poczucia historii uważał za niemożliwe. Śledził powolne dojrzewanie świadomości moralnej w narodzie który jedyny miał zmysł historyczno-proroczy, w Izraelu. Porównywał np. dwa pierwsze

rozdziały księgi Genezy i podkreślał, że rozdział II pochodzi prawdopodobnie z XI-go wieku przed Chrystudem, a rozdział I został zredagowany w okolicach V wieku przed Chrystusem i widać w wyobrażeniach o stworzeniu świata ogromny postęp. Nie tu miejsce na streszczanie metody Pougeta. Do jej cech należy pojęcie *mentalności* jakie wprowadzał: księgi natchnione przez Boga przekazują pewne ziarno przeznaczone aby się rozwijało, ale w otoczce *mentalności* jaka panuje w danym okresie, na nią składa się stan wiedzy i techniki, obraz świata właściwy tym co księgi piszą i czytają. Istotna jest skuteczność (,,Bóg jest pedagogiem''). Chrystus przemawiał językiem jaki był jego współczesnym dostępny (i stan umysłów, oczekiwanie Żydów, pojawianie się małych proroków wchodzi tu w ogólny rachunek jako potrzebna gleba). Dzieje Kościoła były dla Pougeta przedmiotem historycznej kontemplacji — jego trwałość, jego działalność poprzez pryzmaty mentalności tego czy innego stulecia — jak augustynizm czy tomizm.

Metoda Pougeta była skomplikowana — jak zawsze kiedy zbliżamy się do przedmiotu który wymaga instrumentów specjalnie dla niego przygotowanych. Błędy protestantów i modernistów zdawał się tłumaczyć ich pośpiechem. Uważał że badania nad historią religii są zaledwie skromnym początkiem, w tym mniej więcej stadium, co biologia trzysta lat temu. Czytając Guittona trudno oprzeć się przypuszczeniu że jego intencją było pokazać Pougeta właśnie dlatego, że przeżywamy nasilenie historyzmu które chyba nie osiągnęło jeszcze swego szczytowego punktu. Możliwe, że patrząc na rzecz z dystansu odkryje się szczególną rolę ruchów marksistowskich które ucząc związku zjawisk pozwolą następnym pokoleniom uchwycić coś z religii jako rozwoju w dziejach. Guitton w ,,Dialogach z p. Pouget'' (które są dialogami z jego cieniem) skarży się na to co Halévy nazywa ,,przyśpieszeniem historii'' i mówi o przeczuciach końca. Na to Pouget wybucha śmiechem: ,,Hm! Hm! 'Ostatnie czasy' Apokalipsy! Ja to sądzę że kosmos ma jeszcze solidne rezerwy, nawet Ziemia, nawet życie na Ziemi. Nasz gatunek jest młody. Gatunek trwa mniej więcej trzysta milionów lat. Świat fizyczny jest w rozkwicie: nie ma dwóch miliardów lat. Czytałem kiedyś u angielskiego autora że jeżeli przez wysokość Obelisku wyobrazić przeszłość Ziemi, przez grubość monety trwanie człowieka na Ziemi, przez grubość znaczka pocztowego trwanie cywilizacji — no cóż, trzeba byłoby naładować znaczków na wysokość Mont Blanc żeby otrzymać obraz jako długo na Ziemi będzie trwało życie. A więc ludzkość myśląca. Ta ludzkość której Chrystus przyrzekł swoje wsparcie 'po wszystkie dni' ''.

,,Ludzkość myśląca'' dla Pougeta ma swoją naturę-typ od której nie może oddalić się bezkarnie — z czego wynikał dla niego najsilniejszy dowód apologetyczny: ,,Praktycznie rzecz biorąc, ludzie nie mogą znać Boga inaczej niż w społeczeństwie gdzie panuje sprawiedliwość i miłość. Żeby praktykować sprawiedliwość i miłość, trzeba żeby natura ludzka przestrzegała swe-

go typu. A bez wiary w Boga, czy to jest praktycznie możliwe?"

Pouget, pogrążony w wielkiej całości rozwijającej się w czasie (od przyjścia Chrystusa czyż upłynęło więcej niż mgnienie?) był optymistą: „Kościół dzisiejszy ma tyleż siły co dawniej. Kościół się nie starzeje". Narzekano na Francję — on nie narzekał: „Mówi się że Francja nie jest chrześcijańska. Dla mnie dostatecznie! (*Elle l'est joliment!*) Włoski ksiądz mówił mi o Sycylii skąd wraca: ceremonie... Ale weźmy naszych chłopów, naszych robotników: odróżnią całkiem dobrze to co uczciwe od tego co nieuczciwe. I to jest chrześcijaństwo. Było z tym całkiem inaczej u narodów pogańskich, nawet bardzo cywilizowanych".

Z dwóch książek Guittona, pierwsza chronologicznie daje dużo materiału i wprowadza w filozofię Lazarysty. Nowsza jest lepiej napisana i od niej chyba wskazane jest zacząć, jeżeli ktoś poczuje sympatię do Pougeta. Obie składają się na dzieło szacunku i przyjaźni, tego porozumienia między pokoleniami, które rzadko spotyka się w czynie.

L.

Świadectwo klęski

Trzech co najmniej rzeczy można się było spodziewać po Ferdynandzie Goetlu, gdy wydawnictwo Veritas ogłosiło zamiar wydania jego pamiętników wojennych (*): odparcia wypływających jeszcze tu i ówdzie (zwłaszcza w kołach byłych żołnierzy A.K.) zarzutów o jego rzekomej współpracy z Niemcami, ciekawego naświetlenia sprawy Katynia, z którą autor zetknął się jako jeden z pierwszych, i ponad wszystko — jakiejś artystycznej syntezy polskiej tragedii lat 1939 - 1945, albo choćby przedstawienia jej w takiej formie, aby mogła służyć za wzór wstępującym w twórczość pisarzom. Gotowa książka tylko w małym stopniu spełnia te oczekiwania.

Osobiście nigdy nie wierzyłem, aby Goetel był kolaborantem, o co pomawiały go plotki i o co — już we Włoszech — „zahaczyła" go „dwójka", poskromiona po jakimś czasie przez gen. Andersa (vide str. 216). Z uwagi jednak na samego autora „Pod znakiem faszyzmu" wolałbym aby trochę poważniej traktował swą obronę. Bo cóż czyni Goetel w swym pamiętniku? Opisuje odmowę zapisania się na Volkslistę (co zaproponował mu dr Grundmann z warszawskiego *Propaganda-Amt*), potem daje dość krótkie relacje o swych — rzadkich zresztą i podejmowanych tylko z inicjatywy niemieckiej — kontaktach z innymi urzędnikami niemieckimi (w czasie których zawsze był stroną odmawiającą takiej czy innej współpracy, z wy-

(*) Ferdynand Goetel, *Czasy wojny*. Biblioteka Polska K.O.W. Veritas, Londyn, 1955, obwoluta E. Czarnowskiego, str. 276 i 2 nlb., cena 15/— w oprawie płóciennej.

jątkiem wyjazdu do Katynia), najcięższe zaś zarzuty opinii publicznej kwituje po prostu gniewliwymi i pogardliwymi zaprzeczeniami. Pisząc o książce Goetla jako o zjawisku czysto literackim nie mogę i nie zamierzam zastanawiać się nad tym, w jaki sposób czytane byłyby te relacje przez kogoś, powołanego do rozpatrywania ich w charakterze zeznań osoby zainteresowanej w osądzie szczegółów i motywów swego postępowania.

Nie sposób jednak nie zauważyć, że autor całkowicie pominął punkt naprawdę istotny. Nie wspomniał mianowicie, że była — jak pisze Stefan Korboński w swych pamiętnikach „W imieniu Rzeczypospolitej" — „głośna w roku 1940 i przykra sprawa pisarza Ferdynanda Goetla, oskarżonego o współdziałanie z wydziałem propagandy dystryktu warszawskiego przez nakłanianie literatów do rejestrowania się w tym wydziale i podporządkowania się jego zarządzeniom" i że — cytuję ciągle Korbońskiego — „została ona odłożona do rozpatrzenia po wojnie".

Świadomą czy przypadkową dyskrecję w tej kwestii posuwa Goetel tak daleko, że wymieniając „wszystkich" delegatów rządu (i charakteryzując ich ujemnie) pomija zupełnie nazwisko ostatniego — właśnie Stefana Korbońskiego. Wreszcie już pod koniec książki, jak gdyby od niechcenia, bo nawet nie podając daty ani roku, autor „Czasów wojny" drukuje zaskakującą wersję o źródłach plotek, dotyczących swej rzekomej współpracy z Niemcami. Oto — nie mniej i nie więcej — tylko źródłem tym, jak pisze, był „przekorny jak zawsze Nowaczyński", który dla eksperymentu puścił w obieg w jednej z kawiarń warszawskich plotkę, że Goetel został podobno wezwany do Berlina na jakieś rozmowy polityczne. Za parę dni plotka ta wróciła — pisze Goetel — do Nowaczyńskiego, uzupełniona szczegółami rozmów pana Ferdynanda z Goebbelsem. „Śmieszny ten incydent" — konkluduje Goetel — „uczciliśmy paru kieliszkami wódki".

Nie czuję się powołany do komentowania tej relacji. Ograniczę się do przypomnienia, że były to niebezpieczne czasy; plutony egzekucyjne A.K., N.S.Z. czy K.W.C. działały sprawnie i znacznie błahsze podejrzenia lub poszlaki mogły spowodować proces, albo i likwidację bohatera tego typu „dowcipów". Myślę, że gdyby Nowaczyński żył i przebywał na emigracji, powinien za zrobienie takiego kawału koledze literatowi stanąć przed sądem obywatelskim. Choć nie uchodzę za człowieka pozbawionego poczucia humoru, wolałbym nie być przedmiotem takich „żartów", a już na pewno nie wypiłbym nawet jednego kieliszka na ich intencję. Dla ścisłości trzeba by może dodać, że Jan Dobraczyński w swym cyklu artykułów o Adolfie Nowaczyńskim (ogłoszonych w pierwszych latach po wojnie w „Dziś i Jutro") nie wspomina o żadnych makabrycznych eksperymentach, co zresztą nie znaczy, aby ten nie zdarzył się istotnie.

Co do Katynia, to wydaje mi się, że Goetel nie przeczytał chyba innych relacji w tej sprawie. Jego streszczenie zeznań Iwana Kriwozercowa (str. 259-273) jest znacznie krótsze i mniej ciekawe od świetnej relacji Józefa Mackiewicza o tym samym przedmiocie (str. 173-194 książki „The Katyn Wood Murders") a sam opis wizyty w Lesie Katyńskim niewiele wnosi ciekawego. I pod tym względem bije go o wiele długości Józef Mackiewicz.

Tak samo relacje o marszałku Śmigłym roją się od nieścisłości. Ucieczka jego z Rumunii przedstawiona jest wręcz fałszywie. A przecież przebywa na emigracji „koronny" świadek mjr J. Krzeczkowski którego wspomnienia drukowała „Kultura" w numerze 9/35.

W ogóle jest rzeczą zastanawiającą jak mało autor „Czasów wojny" zauważył i jak skromny jest jego wkład do faktologii zdarzeń już opisanych przez Bora-Komorowskiego, Korbońskiego, Stypułkowskiego, Podlewskiego, kpt. Jerzego, Pytlakowskiego, Szyfmana, Bogusławską i innych ! Czyżby Goetel, który z wielką łatwością i wzgardliwą pewnością siebie feruje bardzo surowe wyroki, naprawdę nie przeczytał choćby najważniejszych relacji o czasach, które sam opisuje ? Podejrzenie takie nasuwa choćby amatorskie i w dodatku nieścisłe opisywanie takich faktów jak zamach na Kutscherę, dokładnie przedstawiony przez gen. Bora-Komorowskiego (str. 159-165 „Armii Podziemnej") lub sprawa zerwania rokowań o zawieszenie broni w połowie powstania (Goetel — str. 157-158, Bór — str. 350-354).

Skoro więc książka Goetla nie przedstawia większej wartości pamiętnikarskiej (bo i komentarze nie grzeszą szczególną głębią ani odkrywczością), to może przynajmniej pozostanie w literaturze jako wartościowa pozycja prozy artystycznej ? Obawiam się, że nie. Gdyby to były wspomnienia jednego z tysięcy emigrantów, trzeba by powiedzieć, że są dobrze napisane. Laikowi można by wybaczyć monotonię stylu (który tylko z rzadka rozbłyska jakąś piękniejszą kadencją) i takie manieryzmy jak „załatwił to krótką ręką" (co ma znaczyć „od ręki"). Ale nie autorowi „Kar-Chatu" ! Od Goetla mieliśmy prawo oczekiwać czegoś więcej — przynajmniej tego, by nie wydawał książki nie na swoim poziomie.

Rozumiem, że klęska nie jest dobrym źródłem natchnienia, zwłaszcza klęska człowieka, co — jak sam powiada — związał swój los i życie z obozem politycznie przegranym i klęska pisarza, który dziś musi przyznać, że popełnił błąd pisząc apologię faszyzmu. Ale w takim razie, czy nie lepiej było poczekać ze wspomnieniami, przetrawić je na tyle, by jak u Kazimierza Brandysa i innych — przetworzyły się w sztukę ? A tymczasem, — skoro Veritas stawia na zasłużonych i uznanych — wznowić „Ludzkość", „Kar-Chat", „Z dnia na dzień", albo „Przez płonący Wschód" — książki doskonałe, a z pewnością nieznane bardzo wielu nowym czytelnikom na emigracji. Szkoda, że tak się nie stało. Smutne to widowisko, gdy znakomity pisarz klęskę własną i swego narodu kwituje artystyczną porażką.

Janusz JASIEŃCZYK

Historia Vichy

Rola marszałka Pétaina, Lavala i tzw. „Vichy" jest dotychczas przedmiotem namiętnych kontrowersyj, które nie pozwalają na bezstronną ocenę tych kilku lat. Pierwszą bezstronną próbą bilansu jest książka Roberta Aron pt. *Histoire de Vichy* — 1940-1944 (*). Znaczną część tego okresu spędziłem w Vichy, najpierw aż do okupacji tzw. wolnej strefy mieszkając

(*) Librairie Arthème Fayard. Paris 1954, str. 768.

tam stale, a następnie, w roku 1943 i z początkiem 1944 — częste przyjazdy pozwoliły mi na śledzenie poszczególnych etapów rozwojowych sytuacji. Byłem więc stosunkowo blisko tego centrum politycznego Francji okupowanej i miałem możność śledzenia rozwoju wydarzeń.

Jeśli chodzi o stronę informacyjną — to książka Arona przynosi przeważnie rzeczy znane. Zasługą autora jest jednak ich uporządkowanie i — na ogół słuszne — naświetlenie. Słabość marszałka Pétaina, jego brak woli połączony z równoczesnym uporem, ustawiczne wahania i stałe ustępowanie wobec żądań Lavala, Darlana lub Abetza — to wszystko dobrze charakteryzuje politykę Pétaina poczynając od zawieszenia broni poprzez Montoire — usunięcie Lavala (13 grudnia 1940) — okres ,,delfinatu" Darlana — powrót Lavala — zajęcie ,,wolnej strefy" przez Niemców — aż do końcowego etapu w Sigmaringen. Pétain występuje we właściwym świetle: jego złudzenia iż zdoła ocalić Francję starczy upór i niemożność utrzymania raz powziętej decyzji, która zaczynała się od stanowczej odmowy a zawsze kończyła na ustępstwach — są doskonale przedstawione. Książka zawiera pewne dłużyzny (okres Bordeaux i Zgromadzenia Narodowego w Vichy); za to program reform społeczno-ustrojowych, związanych z ,,rewolucją narodową" jest może nieco zlekceważony, chociaż autor przyznaje, że wiele z nich utrzymało się po dziś dzień. Słusznie jednak podkreśla Aron, że tego rodzaju reformy nie mogły być lansowane w chwili, gdy połowa Francji była okupowana i gdy rząd nie miał pełnej swobody nawet w zakresie ich praktycznej realizacji. W ten sposób wiele wartościowych idej zostało złączonych z ,,polityką kolaboracji" i następnie nie można już było do nich powrócić. Książka Arona zawiera niewątpliwie szereg drobnych usterek, ale będzie pozycją niezwykle cenną przy badaniu tego okresu.

W końcowej konkluzji Aron powstrzymał się od odpowiedzi na tak często dyskutowane pytanie, czy polityka Vichy z punktu widzenia interesów Francji i historii była korzystna czy szkodliwa. Istotnie, wydarzenia te są jeszcze zbyt świeże i rozpętały one zbyt wiele namiętnych dyskusyj, by móc wydać już teraz bezstronną ocenę. Rola Pétaina i Vichy jest niesłusznie oceniana przez większość Francuzów i cudzoziemców, istnieje zbyt często skłonność do przesady albo w kierunku gloryfikowania, albo odwrotnie — całkowitego przedstawiania jej w czarnym świetle. Nawet dzisiaj, trudno byłoby twierdzić z całą pewnością, w jakim kierunku poszedłby rozwój wydarzeń, gdyby Pétain nie podpisał zawieszenia broni. Czy w ten sposób oddał on aliantom usługę uniemożliwiając Niemcom zajęcie Afryki północnej, jak to twierdzą niektórzy Francuzi ? Czy obecność wojsk niemieckich wzdłuż całej granicy pirenejskiej — byłaby skłoniła generała Franco do udzielenia Hitlerowi prawa przemarszu przez Hiszpanię ? Niewątpliwie polityka Pétaina pozwoliła na opóźnienie całkowitej okupacji Francji i na uniknięcie przez wielu Francuzów deportacji i egzekucji, ale zaakcentowała ona również rozbicie Francuzów na dwa wrogie obozy, co wyraziło się w czasie wyzwolenia w licznych aresztowaniach i mniej lub więcej usprawiedliwionych wyrokach. Wielu Francuzów przypłaciło życiem bezkrytyczny stosunek do przemówień i deklaracyj Pétaina. Można było tego uniknąć, gdyby marsz. Pétain ustąpił po wkroczeniu Niemców do tzw. ,,wolnej strefy".

Polityka ,,kolaboracji" polegająca na uzyskaniu realnych ustępstw wza-

mian za słowne zapewnienie współpracy — wymagała żelaznych nerwów, mogła ona być prowadzona przez człowieka młodego, a nie — przez osiemdziesięcioletniego starca. Natychmiast po Montoire zaczęły się długotrwałe naciski na Francję i Pétain zdobył się na mocną reakcję raz tylko, 13 grudnia 1940 roku, gdy przez usunięcie Lavala nie dopuścił do wciągnięcia Francji w konflikt zbrojny z Anglią. Jest to jego niewątpliwą zasługą, ale w ciągu czterech lat okazał się człowiekiem zbyt słabym do kierowania polityką francuską w tak wyjątkowo trudnym okresie.

Na zakończenie, jeden szczegół interesujący z punktu widzenia polskiego: Robert Aron wprowadził w swej książce nowy termin, „polonisation". Nie oznacza on asymilacji językowej lub narodowej lecz upodobnianie systemu okupacji istniejącego we Francji do systemu Gauleiterów i masowego wyniszczania wprowadzonego przez Niemców w Polsce. Autor używa wielokrotnie tego terminu, ale nie wydaje się on zbyt szczęśliwy i dlatego prawdopodobnie nie zdobędzie sobie prawa obywatelstwa w języku francuskim.

J. B.

Nafta na Bliskim Wschodzie

W popularnej literaturze politycznej nafta łączy się z wojną, co oczywiście jest przesadą. Stanowi ona natomiast obiekt wcale zaciekłych walk rywalizacyjnych, no i bardzo poważnych dochodów. Nie tylko dla wielkich przedsiębiorstw, ale i dla skarbu państw w których płynie.

Praca Stephaen Hemsley Longrigg (1) jest bardzo cennym przyczynkiem do dziejów Bliskiego Wschodu. Posiadamy wielką ilość prac specjalnych o nafcie w tym rejonie: geologicznych, gospodarczych i politycznych, obok tego mnóstwo całkowicie bezwartościowej literatury propagandowej, brakło jednak zwięzłego niejako podręcznika informującego ściśle i obiektywnie o wszystkich aspektach tego zagadnienia. Ten brak znakomicie wypełnia Longrigg. Spędził wiele lat w służbie przedsiębiorstw naftowych na Bliskim Wschodzie, dzięki czemu odznacza się nie tylko znajomością terenu, ale posiada bezpośrednie podejście do zagadnienia. Uchronił się od roli rzecznika koncernów naftowych, rządu brytyjskiego czy zainteresowanych państw. Autor wykazuje prawdziwą obiektywność w analizie prac poszczególnych koncernów wydobywając każdorazowo światła i cienie.

Longrigg nie zaspokoi apetytów czytelnika szukającego sensacji, wyobrażającego iż obok nafty na Bliskim Wschodzie musi płynąć krew. Jest to natomiast bardzo sumienna, wręcz drobiazgowa historia powstania i założenia towarzystw naftowych, zwięzły obraz ich organizacji, produkcji itp. Z beznamiętnych zestawień, suchych dat uzyskuje się bardziej dramatyczny obraz zmian politycznych jakie zaszły w omawianym terenie, aniżeli z bezwartościowych i głośno reklamowanych książek. Przesunięcia pakietów akcji, wejście na teren każdego nowego towarzystwa grupy finansowej to odpowied-

(1) *Oil in the Middle East*, Its discovery and development by Stephen Hemsley Longrigg, Royal Institute of International Affairs, Oxford University Press, London 1954, XIII, 305 pp.

nik przesunięć i zmian na arenie międzynarodowej. Były silne wpływy Niemiec i Turcji. Znikły. Z kart pracy Longrigga wyraziście wyłania się rywalizacja brytyjsko-rosyjska a potem zjawiają się Amerykanie, naprzód jako nieznaczni partnerzy a potem przejmują niepodzielnie kierownictwo. Jak wspomnieliśmy zmagania te w omawianej pracy są sumiennie przedstawione i wyrażają się w procentach portfelu akcyjnego, nazwach koncernów, wzrastających gwałtownie wpłat do skarbów państwowych.

Praca Longrigga nie tylko analizuje i naświetla działalność wszystkich przedsiębiorstw naftowych Bliskiego Wschodu, nie ograniczając się do firm produkujących ale obejmuje rafinerie, transport, centrale sprzedażne itp.

Omawia związki i współzależność poszczególnych firm, rejony ich działania. Praca uzupełniona jest przejrzystymi tabelami, wysoce pomocnymi dla szybkiej orientacji. Poważnym minusem jest natomiast brak bibliografii. Można zrezygnować z odsyłaczy, ale zestawienie źródeł, nawet u Autora, który sam zbierał materiały, jest raczej celowe.

Dzieło Longrigga napisane jest w formie bardzo przystępnej i przeznaczone jest dla szerokiej rzeszy inteligentnych czytelników, a nie dla specjalistów.

(b. h.)

Bestia i gentleman

Trudno jest zdecydować czy Evelyn Waugh jest bardziej katolikiem czy bardziej konserwatystą. Katolicyzm angielski ma zresztą często specjalnie arystokratyczne zacięcie, nie pozbawione uroku. Łączy się z zamiłowaniem do wina i dobrymi manierami. Wytworny Mgr. Knox, paradoksalny Ojciec d'Arcy, niezawodnie dobry smak mebli i kuchni w Campion Hall, erudycja Benedyktynów i sceptyczna światowość Jezuitów, a nawet nasz przyjaciel Auberon Herbert, składają się na elitarną mniejszość świadomą swej wartości, liberalną, zarazem bardzo angielską i bardzo europejską. Katolicyzm angielski tej kategorii tkwi korzeniami w angielskiej wsi, ma tendencje uroczo anachroniczne, nienawidzi protestantyzmu, urbanizmu, industrializacji, socjalizmu, purytanów i ludzi pozbawionych tradycji.

Książki Evelyn Waugh są bodaj najlepszym wykwitem tej arystokratycznej niechęci do współczesnej cywilizacji. Olśniewająco dowcipny, o przenikliwej inteligencji, ma on specjalną słabość do poczciwego bohatera z dobrej rodziny, o intuicyjnym wyczuciu tradycji, kochającego zwierzęta i poświęcającego obfity wolny czas miłemu ,,hobby" w granicach od ornitologii do filatelistyki. Ma się czasem wrażenie że sam Waugh musi być w głębi duszy zażenowany własną bystrością umysłu i ciętością. Cechy te przystoją bardziej cudzoziemcowi niż angielskiemu ,,county gentleman". W książkach jego intelektualiści różnego pokroju, dowcipne miejskie snoby, dziennikarze i aferzyści — to dość podejrzana swołocz zarzucająca sidła na kuzyna Johna i ciocię Mary z Welton Park czy Bridgeport Towers (Wiltshire).

Waugh — stokroć subtelniejszy od autorki ,,Błękitnej Krwi" — jest poniekąd ,,anty-Magdaleną Samozwaniec". Z pobłażliwym uśmiechem reha-

Waugh Evelyn, *Dziennikarz z przypadku*, ,,Veritas", Londyn, str. 256.

bilituje on niewinny snobizm podrujnowanych dworów, oparty na historii Kraju i rodzinnej anegdocie. Wydając *Dziennikarza z przypadku* (w oryginale : *Scoop — a Novel about Journalists*), Veritas informuje nas poważnie, że autor „uczy nas i polepsza bawiąc". Bawi nas w każdym razie znakomicie. Osobiście wolę te książki Waugha które stosunkowo najmniej „uczą i polepszają". „Black Mischief" jest jedyną książką przy której sam w pokoju wybucham głośnym śmiechem ze cztery razy. „Scoop" zawiera podobne ładunki humoru, oparte zresztą na tej samej niezawodnej recepcie: rasowego, narodowego czy klasowego „dépaysement" bohaterów, przeniesionych raptem w całkowicie obce im środowisko. Wynikają z tego przezabawne rozmowy dziadów z obrazami, subtelnie rozwinięte wersje dialogu dwóch głuchych.

„Scoop" jest także satyrą na przedwojenną wielką brukową prasę — Beaverbrooków i Northcliffe'ów z ich dziennymi ekspresami i lustrami, wieczornymi standardami i gwiazdami. Poczciwy kuzyn (tym razem William) przejdzie szczęśliwie przez piekło wielkiej prasy, przez opartą na nieporozumieniu wyprawę do Afryki i powróci do swego dworu, wujków, ciotek, niań i badań nad życiem gryzoniów.

Tłumaczenie Teresy Skórzewskiej jest żywe i przekazuje nam rytm Waugha. Corker „drapiący się w piersi" i kilka innych potknięć należy przypisać zbytniemu pośpiechowi. Ale, skoro zapewne w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat wydamy na emigracji więcej tłumaczeń współczesnych powieści angielskich, warto by wprowadzić jakąś racjonalną konwencję co do transkrypcji angielskich imion i nazwisk i pewnych obcych terminów. Jestem osobiście zwolennikiem „Johna" i „Williama". Ale wobec tego — skąd „Mikołaj" i „Józia"? „Miss Holloway" nie powinna sąsiadować z „Panią Bearer". Jeśli decydujemy się na „Jermyn Street" i „King's Bench Walk", a nawet na „West Kensington" — to dlaczego nie „R.C.A.", zamiast „Królewskiego Klubu Automobilowego" ? I czy dla Polaków na emigracji, wiernych czytelników „Daily Express", atmosfera książki nie stałaby się jaśniejsza gdyby „Bestia Codzienna" pozostała po prostu „Daily Beast"?

KAJ

Notatki wydawnicze

Pierwszego marca 1954 upłynęło ultimatum postawione przez Kościół francuskim księżom-robotnikom. Było ich zaledwie koło osiemdziesięciu. Osiemdziesięciu mężczyzn na czterdziestomilionowy naród. Przysłowiowa kropla w morzu. Ale o znaczeniu symbolicznym. Tyle że zmieniał się sens symbolu, zależnie od obserwatora. Czym byli księża-robotnicy dla Kościoła ? Dla katolickiej burżuazji ? Dla robotników ? Czym byli we własnym wyobrażeniu ? Trudno było dać jasną odpowiedź na te pytania póki to odważne doświadczenie miało miejsce w historycznych ramach Kościoła Katolickiego. Wypowiedzi były różnorodne, sprzeczne ze sobą. Wewnętrzna spoistość, hierarchia, solidarność, dyskrecja, posłuszeństwo otaczały całą sprawę mgłą

tajemnicy. Działały one nawet przy jej finale. Mimo poruszenia opinii publicznej, zarówno katolików jak agnostyków, z dnia na dzień niemal przestano się nią zajmować. Prasa podała różne oceny liczby księży-robotników którzy „poddali się" wyrokowi Kościoła. Oceniano ją na 50 do 75% całości. Ale w niespełna rok po potępieniu księży-robotników, ci z nich którzy nie poddali się wyrokowi Kościoła i pozostali na swych „posterunkach" wydają zbiorowy tom *Les Prêtres-Ouvriers* (Les Editions de Minuit, Paris, 1954), który jest pierwszym historycznym dokumentem tego apostolatu. Wynika z niego po pierwsze, że na ogólną liczbę osiemdziesięciu, zaledwie około dwudziestu księży posłuchało nakazu biskupów i opuściło swą pracę w fabrykach. Pozostali postanowili nadal walczyć sami.

Walczyć o co? Ze zbiorowego tomu wynika, że księża-robotnicy postanowili w pierwszym rzędzie walczyć o „rewolucję", którą zresztą łączą z partią komunistyczną, a więc z ostatecznym zwycięstwem Sowietów.

„Nie boimy się: jesteśmy pewni naszej wiary, pewni naszego Kościoła. I wiemy że Kościół nie oparł się nigdy na długą metę rzetelnemu postępowi ludzkiemu... Gdyby robotnicy przyszli do nas kiedyś mówić o religii, czy nawet prosić o chrzest, zaczęlibyśmy od zapytania ich czy zastanowili się nad przyczynami nędzy robotniczej, czy biorą udział w walce którą ich towarzysze toczą dla dobra ogólnego" (*Les Evènements et la Foi*, 1940-1952, Paris, Editions du Seuil). Ewangelizacja została podporządkowana „rewolucji". Księża-robotnicy stali się marksistami, podczas gdy chcieli zrobić chrześcijan z robotników.

Księża-robotnicy i „postępowi katolicy" francuscy w ogóle stosują w przybliżeniu następujący system rozumowania: marksizm — czy komunizm — jest rewolucją na płaszczyźnie społecznej, doczesnej i na tej płaszczyźnie chrześcijanin może współpracować z komunistami. Religia dotyczy życia duchowego: a życie duchowe będzie mogło rozkwitnąć nanowo dopiero po rewolucji. Można oczywiście zrozumieć dlaczego umysłowości głęboko chrześcijańskiej bliższy jest komunizm, ze swym dogmatyzmem, skrajnością, z wiarą w odkupienie i zbawienie, od wszelkich form myślenia agnostycznych, sceptycznych, dla których kwestia zbawienia człowieka właściwie nie istnieje, które przejmują z góry że zła nie można ostatecznie wykorzenić, że wszystko sprowadza się do wyboru zła mniejszego. „Postępowi" chrześcijanie padli ofiarą transpozycji mitu chrześcijańskiego w micie marksistowskim. „Proletariat" jest nowym mesjaszem, który odkupi grzechy upadłego świata. „Społeczeństwo bezklasowe" jest wyjściem z historii, można w nim odnaleźć echo „Królestwa Bożego na Ziemi". Z czego ci chrześcijanie nie zdają sobie sprawy, to że zbawienie człowieka rozgrywa się *albo* wewnątrz duszy ludzkiej wobec Boga, *albo* poprzez walkę klas wewnątrz historii, ale że utożsamianie religii transcendentalnej z religią doczesną jest niemożliwe.

Czytając świadectwa które składają się na tę książkę, nie sposób nie czuć szacunku dla charakteru, entuzjazmu i ofiarności księży-robotników. Ze zgrozą czyta się o ich prześladowaniach przez policję francuską, o biciu dwóch księży którzy brali udział w manifestacji przeciw Ridgeway'owi. Ale nie jako księża. Mimowoli przychodzi na myśl że doświadczenie „księży-robotników" pełnię sensu mogłoby osiągnąć w krajach komunistycznych... Tam dopiero groziłoby tym księżom prześladowanie z powodu ich wiary, księża ci byli prześladowani jako robotnicy, ściślej mówiąc jako komuniści,

ich misji samej. Niestety, jak wiemy, „postępowi" katolicy w kraju który już przeszedł rzekomo przez „rewolucję", jak w Polsce, zbyt są zajęci płatnymi posadami w różnych działach reżymowej propagandy, aby móc myśleć o ewangelizacji robotników. Zresztą ewangelizacja ta jest w Polsce zapewne mniej potrzebna niż na Zachodzie, nie tylko z powodu głębiej zakorzenionego życia religijnego narodu, ale dlatego że przy nowej formie wyzysku przez komunistyczne państwo, nadzieje wyzwolenia społecznego skierowane są tam przeciw komunizmowi...

(J)

Kronika ukraińska

Dnia 24 maja miał miejsce w Bonn *dzień kultury ukraińskiej*, zorganizowany przy współpracy niemiecko-ukraińskiego Towarzystwa im. Herdera — osiemnastowiecznego pisarza, który, jak wiadomo, pierwszy docenił znaczenie poezji ludowej w Europie. „Dzień kultury ukraińskiej" składał się między innymi z koncertu pieśni ukraińskich i z wystawy obrazów Seweryna Boraczka oraz rzeźb H. Kruka. Niemcy były reprezentowane między innymi przez Bundesministra W. Krafta, który podkreślił w swym przemówieniu, że kultura ukraińska stanowi nierozłączną część kultury zachodniej. Na konferencji prasowej było obecnych szereg dziennikarzy zagranicznych.

◆

W żywo i zajmująco napisanym wspomnieniu Andrija Kihiczaka, o wybitnym pisarzu galicyjskim, Iwanie France (zmarłym we Lwowie w 1916 roku), zamieszczonym w paryskiej gazecie „Ukrajineć-Czas" znajdują się też i polonica. Jak wiadomo Franko miał wielu przyjaciół Polaków i współpracował z polską prasą Galicji. A. Kihiczak, opisując odwiedziny Franka we wsi Hołobutiw, zauważa, że piękno przyrody tej wsi, położonej przy zbiegu dwu rzek, a także grozę powodzi opisał Franko jedynie po polsku, w „Obrazkach Galicyjskich". Goszcząc w Hołubutowie w domu księdza unickiego i szambelana papieskiego L. Szankowskiego zapoznał się pisarz z właścicielem wsi margrabią Janem Tarnowskim. Był to zdeklarowany ukrainofil, pisze autor, i obaj wraz z lewicowym pisarzem Franką służyli staruszkowi szambelanowi do mszy i z zapałem wyśpiewywali na nieszporach. Wpływ Franki na Tarnowskiego był podobno tak wielki, że ów wydzierżawił wszystkie dworskie grunty chłopom, a naśladowała go wkrótce jego bratanica Gordonowa w Zawadowie i Niedużowie. To też sprawiło, zdaniem p. Kihiczaka, że z tych wsi nie było emigracji za ocean, jako że nie było tam głodu ziemi.

◆

W amerykańskim socjalistycznym tygodniku „Narodna Vola" ukazało się wspomnienie o zmarłym niedawno Prezydencie Republiki Ukraińskiej,

Andriju Liwyćkim, który po zawarciu pokoju ryskiego mieszkał w Warszawie. Autor, Jakiv Tanciura, przypomina między innymi postać aktorki teatru ukraińskiego w Galicji, Morskiej, z pochodzenia Polki. Gdy ta, porzuciwszy scenę, osiadła w Warszawie, składała od czasu do czasu wizyty grzecznościowe A. Liwyćkiemu i pewnego razu spotkała się w jego salonie z premierem Sławkiem, którego nie znała a który dobrze mówił po ukraińsku. Zanim nadszedł gospodarz obaj goście rozpoczęli rozmowę po ukraińsku, przy czym Morska narzekała jak mogła na ówczesny reżym polski, że robi różne szykany Ukraińcom. Sławek potakiwał. Drzwi się otworzyły, wszedł gospodarz i przywitał się naprzód z artystką, która jednak nie chciała dać za wygraną i z właściwym sobie temperamentem dalej opowiadała rozmówcy o krzywdach doznawanych przez Ukraińców od rządu polskiego. Liwyćkyj taktownie przerwał rozmowę słowami: ,,Pozwolą państwo, że ich zapoznam. Pan premier Sławek, pani Morska"...

•

Ukraińska prasa emigracyjna poświęca ostatnio sporo miejsca umowie w sprawie Austrii, a zwłaszcza dwu punktom tej umowy, które według projektu sowieckiego miały zapewnić poparcie Austrii dla ,,dobrowolnej repatriacji" emigrantów oraz zobowiązywać ją do wydawania ,,zbrodniarzy wojennych". Niepokój prasy ukraińskiej wywołany został zwłaszcza tym, że jednocześnie Sowiety podpisały z Jugosławią układ, w którym także jest mowa o dobrowolnej repatriacji i że jednocześnie wybuchła tak zwana ,,afera Wasyłaki". Ten ostatni był do niedawna na emigracji jednym z czołowych działaczy tak zwanego obozu ,,federalistów" (zwolenników federacji z Rosją i przeciwników niepodległości Ukrainy). Według części prasy ukraińskiej Wasyłaki był od dawna sowieckim agentem, według innych czując się coraz bardziej izolowany w swym dążeniu do ,,federacji" z Rosją, wybrał on zamiast samobójstwa fizycznego samobójstwo moralne i przeszedł na stronę sowiecką. I oto pewnego dnia Wasyłaki wystąpił w Berlinie jako przewodniczący sowieckiego komitetu ,,Powrotu do ojczyzny" na konferencji prasowej, w której między innymi oskarżał organizację, którą sam stworzył i na czele której stał, o to, że jest utrzymywana przez amerykański drugi oddział. Komitet zaczął prowadzić zawziętą akcję propagandową wydając nawet gazetę pod tytułem ,,Wozwraszczenie na rodinu", w której zapewnia tych co ,,opuścili ojczyznę sowiecką z powodu jakiejś krzywdy czy niesprawiedliwości, że krzywdy mijają, a miłość do ojczyzny zostaje" i obiecuje nawet tym, co służyli ,,we wrogich ojczyźnie organizacjach", że ,,ojczyzna" ich przyjmie. Ukraińska prasa niepodległościowa nie sądzi by działalność komitetu mogła mieć jakieś praktyczne skutki (trudno by Ukraińcy lub Bałtowie uważali Sowiety w ogóle za swoją ojczyznę). Zadaniem tej akcji jest tylko wywołać wśród ukraińskich emigrantów poczucie niepewności, wrażenie że N.K.W.D. wszędzie ich znajdzie, nieufność do współemigrantów jako do ewentualnych szpiegów sowieckich. W tym celu komitet rozsyła gdzie tylko może swoją propagandę, aby — jak pisze monachijska *Suczasna Ukraina* — adresaci zapytywali się z niepokojem: — Skąd oni mają mój adres?

W tym świetle także punkty umowy z Austrią i Jugosławią wydają się częścią wojny nerwów przeciw politycznej emigracji anty-sowieckiej. Jednakże, jak podkreślają *Ukrajinśki Visti* (organ Ukraińskiej Partii Radykalno-

Demokratycznej, prasa niepodległościowa ma zadanie o wiele łatwiejsze, bo sowiecki komitet nie rozporządza żadnymi argumentami rzeczowymi, a niepodległościowcy nie muszą nawet przekonywać swoich rodaków, gdyż ci dobrze sami wiedzą co myśleć o Sowietach. Natomiast U.R.D.P. uważa, że powstanie komitetu jest doskonałą okazją, aby z faktami w ręku przypomnieć światu o sprawie ukraińskiej. Utworzony w tym celu specjalny fundusz spotkał się, jak się wydaje, z wcale entuzjastycznym poparciem, skoro niektórzy czytelnicy pisma *Ukrajinśki Visti* oddają na cel walki z sowieckim komitetem repatriacyjnym aż 25% miesięcznego zarobku.

◆

Jak podają *Ukrajinśki Visti*, w brytyjskiej strefie Niemiec zaczęto tworzyć obok polskich. jugosłowiańskich i bałtyckich także ukraińskie oddziały wartownicze (M.S.O.). Oddziały ukraińskie znajdują się już w dziesięciu puntach, między innymi w Hamburgu, Duesseldorfie i Essen, mają około trzydziestu podoficerów i kilku oficerów Ukraińców. Oficerem lub podoficerem może zostać każdy były podoficer lub oficer armii ukraińskiej lub sowieckiej. W oddziałach ukraińskich służą także Białorusini, Czesi, Słowacy itd.

◆

Problem używania języka macierzystego przez dzieci emigrantów rozwiązany został w interesujący sposób w ukraińskim „Małym Seminarium" w Lourdes. Jak podaje katolicki miesięcznik *Nasza cerkva* (nr 4) w seminarium znajduje się 47 chłopców, w tym czterech z Anglii, dziesięciu z Triestu, po dwu z Belgii i Niemiec, reszta z Francji. W ten sposób chłopcy, którzy nieraz mówią lepiej po francusku lub po angielsku niż po ukraińsku, zmuszeni są posługiwać się między sobą językiem ukraińskim. Najsłabiej władają ukraińskim niektórzy uczniowie z terenu Francji, najlepiej, bo tylko po ukraińsku, mówią dzieci z Niemiec.

◆

Nasza cerkva (nr 2) podaje za biuletynem „Church and the World" wiadomość o życiu religijnym w Związku Sowieckim. Według autora, który jak się zdaje jest Rosjaninem, najwięcej klasztorów znajduje się w republikach bałtyckich i w Zachodniej Ukrainie, w Rosji jest tylko kilka klasztorów (podczas gdy ogólna ilość prawosławnych klasztorów w całym Związku wynosi sto jeden). Oprócz Gruzji większość klasztorów znajduje się w republice ukraińskiej (także na Bukowinie i Zakarpaciu), białoruskiej (między innymi były klasztor katolicki w Żyrowicach), łotewskiej i litewskiej (między innymi dwa klasztory w Wilnie). Innymi słowy większość klasztorów znajduje się na terytoriach katolickich, czy też do niedawna katolickich.

◆

W paryskim *Ukraińskim Słowie* Jurij Artiuszenko komentuje kontakty ukraińskiej cerwi prawosławnej w Niemczech ze Związkiem misyjnym ewangelicko-luterańskim — niedawno miała miejsce 6-dniowa wspólna konferencja — oraz obecność delegatów tejże cerkwi na zjeździe światowego związku

kościołów w Herrenalb koło Karlsruhe. Autor przypomina, że Kościół ukraiński miał związki z Zachodem od początku swego istnienia aż do chwili gdy dostał się pod władzę Moskwy i podkreśla rolę ukraińskiej cerkwi na emigracji w tworzeniu związku prawosławnych kościołów narodów ujarzmionych przez Moskwę.

(*av*)

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

DON SMITH. *Ching-Fou ou La cuisine du diable.* Roman. Pp. 249. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

GAILLARD (Roger). *Le „joueur" et le Sapajou.* Suite de „La vie d'un joueur". Pp. 300. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

LAUWICK (Hervé). *La femme est au vainqueur.* Roman. Pp. 275. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

KAZIN (Alfred). *Retour à Brooklyn.* Traduit de l'américain par Henriette Nizan. Pp. 196. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

AUDIBERTI (Jacques). *L'Abhumanisme.* Pp. 226. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 550).

MACKIEWICZ (Józef). *Droga do nikąd.* Str. 384. Okładkę projektował Tadeusz Terlecki. (Wyd. Księgarnia Polska „Orbis" w ramach „Biblioteki Autorów Polskich", Londyn, 1955).

REYMONT (Władysław St.). *Z ziemi chełmskiej. Pielgrzymka do Jasnej Góry.* Tom XVII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". Str. 190. (Nakł. Katolick. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, luty 1955. Cena 15 sh.).

ZAHORSKA (Stefania). *Ofiara.* Str. 118. Rysunki Feliksa Topolskiego. Wydanie bibliofilskie. Wszystkie egzemplarze numerowane. (Nakł. Społeczności Akademickiej U.S.B. w Londynie. Tłoczono w Oficynie Stanisława Gliwy, Londyn 1955. Cena egz. 13 sh.6d.

ODRACZ (Fedir). *W dorozi.* Str. 151. (Nakł. „Peremoha", Buenos Aires, 1954).

SZLEMKEWYCZ (M.). *Zahublena Ukrainska Ludina.* Str. 159. Życie i Myśl, New York, 1954).

PEYREFITTE (Roger). *Les clés de Saint-Pierre.* Roman. Pp. 436. (Ed. Flammarion, Paris, 1955, frs 650).

WAUGH (Evelyn). *Dziennikarz z przypadku.* Przeł. z angielskiego Teresa Skórzewska. Str. 256. Tom XIII serii czerwonej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, cena egz. 15 sh.).

SCHERER-VIRSKI (Olga). *The Modern Polish Short Story.* Str. 266. (Wyd. Mouton and Co — S'Gravenhage, 1955).

LEPKYJ (Bohdan). *Mazepa.* Str. 346. (Nakł. Two Naukowe im. Szewczenki, N. York, 1955. Cena dol. 2,50).

KULISZ (M.). *Twori.* Str. 475. (Nakł. Twa Naukowego im. Szewczenki, New York, 1955. Cena dol. 3,50).

HAEDENS (Kléber). *Adieu à la rose.* Str. 253. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 500).

SALMON (André). *Souvenirs sans fin.* Pp. 393 (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 950).

JOUHANDEAU (Marcel). *Le langage de la tribu.* Pp. 264. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 600).

BERNANOS (Georges). *Dialogue d'Ombres.* Nouvelles. Pp. 183. (Ed. Plon, Paris, 1955, frs 360).

POULET (Robert). *Handji.* Pp. 253 (Ed. Plon, Paris, 1955).
DELHOMME (Jeanne). *Temps et destin.* Essai sur André Malraux. Pp. 266. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 650).
KAZANTZAKI (Nikos). *Le Christ recrucifié.* Pp. 408. (Ed. Plon, Coll. Feux Croisés, Paris, 1955, frs 990).
REBET (Lew dr.). *Teoria nacji.* Str. 199. (Nakł. Wydawnictwa „Sucżasna Ukraina", Monachium, 1955).
BLOCH-MICHEL (Jean). *Journal du désordre.* Pp. 214. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 580).

DOKUMENTY CHWILI

BRINTON (Crane). *Visite aux Européens* suivi d'un dialogue entre Raymond Aron et l'auteur. Pp. 212. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).
GASCAR (Pierre). *Chine ouverte.* Pp. 184. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 450).
ARON (Raymond). *L'Opium des intellectuels.* Pp. 337. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).
GOETEL (Ferdynand). *Czasy wojny.* Str. 276. Obwolutę projektował E. Czarnowski. Tom XVI, serii czerwonej „Biblioteki Polskiej" (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", luty 1955, Londyn, cena 15 sh.).
LARTEGUY (Jean). *Les jeunes du monde devant la guerre.* Documents recueillis. Pp. 201. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, fr. 450).
GROSS (Feliks). *Foreign Policy Analysis.* Str. 179. (Wyd. Philosophical Library, New York, 1954. Cena dol. 3,75).

RÓŻNE

KOSSAK (Zofia). *Rok Polski.* Obyczaj i wiara. Str. 238. 53 ilustracje i 12 przerywników w tekście. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas", Londyn, luty 1955),
STETZKO (Jaroslav). *Der Hoehere Sinn Unseres Kampfes.* Str. 48 (Nakł. Ukrainischer Informationsdienst, Monachium, 1955. Cena DM 1,50).
KOZARYNOWA (Zofia). *O braciach kłótnikach i wesołej Basi.* Opowieść dla dzieci z 10 ilustracjami Leli Pawlikowskiej. Str. 315. (Nakł. Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas", Londyn, styczeń, 1955).
ROPS (Daniel) AMIOT (F.). *Apokryfy Nowego Testamentu.* Z przekładu francuskiego tłumaczyła Zofia Romanowiczowa. Str. 247. Tom V serii niebieskiej „Biblioteki Polskiej". (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas" Londyn, styczeń 1955, cena egz. 15 sh.).
WARSZAWSKI (J. ks., T. J.). *Polonica z rzymskiego Kodeksu Nowicjuszy Towarzystwa Jezusowego* (1565-1586). Str. 207. (Wyd. Rzym, 1955).
Forced Labor in the „People's Democraties". Str. 177 (Varityper). Wyd. Mid-European Studies Center Free Europe Committee, Inc. New York, 1955).
KANTAK (Kamil l'abbé). *Le culte de la Ste Vierge en Pologne.* Pp. 28. (Rzym, 1954).

POEZJE

MIŁOSZ (Czesław). Epochos sąmoningumo. *Poezija.* Su autoriaus ivadiniu zodziu. Verte ir redegavo Juozas Kekstas. Uzsklanda parase Alfonsas Nyka-Niliunas. Str. 92. ze słowem wstępnym i fotografią autora. Tom I. Biblioteki „Literaturos Lanku", Buenos Aires, 1955. Nakład 300 egz.

NAUKA

HEGEL (G.W.F.). *Leçons sur l'histoire de la philosophie.* Introduction : système et histoire de la philosophie. Traduit de l'allemand par J. Gibelin. p. 340. (Ed. Gallimard, Paris, 1955, frs 750).
POZNANSKI (Victor). *L'Allemagne et l'Europe.* Les origines et la scission entre la pensée romantique allemande et l'humanisme occidental. Str. 127. Powielacz (Université de Strasbourg. Centre des Hautes Etudes Européennes, Mai, 1955).

Jeszcze pro domo mea

W rozważaniach, poprzedzających pierwszą i piątą pieśń *Odyssei* w nowej wersji mego przekładu (,,Kultura'' Nr 4/78) pozwoliłem sobie sprowokować p. Stanisława Westfala do zabrania głosu na temat archaizmów w tej pracy. Rad jestem, że pan Westfal, którego nazwałem żartobliwie ,,Wielkim Inkwizytorem języka polskiego, ale i przyjacielem piśmiennictwa w tym języku'' zechciał podjąć rzuconą mu przyjaźnie (purpurową) rękawicę. Rad jestem, gdyż dzięki pouczającej rozprawce p. Westfala pt. ,,Moja wycieczka na Itakę'' (,,Kultura'' Nr 3/89) mogę raz jeszcze wrócić do ważnej dla mnie sprawy archaizacji. Nazwałem siebie grzesznikiem a mój przekład *Odyssei* grzechem młodości, muszę więc dalej grać tę rolę, aż do uzyskania absolucji. Istotnie, to co od czterdziestu z górą lat robię z moją ,,Odysseją'' jest zabiegiem oczyszczającym, a może nawet czyśćcowym, jeśli wziąć w rachubę liczne stronnice przekładu, które wrzuciłem do pieca (w Polsce) i do ,,incineratora'' (w Ameryce). To też wdzięczny jestem każdemu, kto mi chce pomóc w dostaniu się do raju. Gdym w młodych latach zaczął się borykać z trudnościami, jakie nastręcza poetycki przekład Homera, nieraz korzystałem z życzliwych wskazówek filologów, językoznawców, hellenistów, polonistów. Profesor Sinko np. polecił mi *,,Rejestr budowy galeony''* Kleczkowskiego (niestety imię tego autora wypadło mi z pamięci). W tej książce znalazłem mnóstwo potrzebnych mi terminów żeglarskich i okrętowych, przeważnie holenderskiego pochodzenia. A jak cenne były dla mnie rozmowy z wielkim miłośnikiem starej polszczyzny i gwar, Stefanem Żeromskim, któremu zimą roku 1921 czytałem w Zakopanem parę pieśni przekładu, m. in. pieśń piątą ,,morską'' (1).

(1) W drugiej połowie tzw. dwudziestolecia modne było u nas utyskiwanie na tzw. żeromszczyznę. Krzywiono się wadliwą jakoby kompozycją, zwłaszcza większych utworów Żeromskiego, wypominano mu, czasem nie bez słuszności, różne przerosty i nadmiary. Raził antyżeromszczyków ,,nieznośny barok'' jego stylu i języka, raził liryzm, któremu starali się przeciwstawić

Cieszę się, że p. Westfal uważa Słownik Lindego i Słownik Warszawski za Pismo święte języka polskiego. Nie rozstawałem się z tymi, jak p. Westfal słusznie je nazywa „świętymi tekstami" w latach 1918-1924, gdy już mogłem tłumaczyć *Odysseję* systematycznie, a nie dorywczo. Szczególnie drogie jest mi wspomnienie obcowania z Lindem. Nigdy go nie miałem na własność. Gdy jesienią 1918 roku, a więc w wigilię swego zgonu, austriacko-węgierska armia rozstała się ze mną jako z inwalidą, w 50 procentach niezdolnym do pracy, postanowiłem tych 50 procent niezdolności wraz z pozostałymi 50-ciu zużyć na tłumaczenie Homera. Natychmiast po powrocie do Lwowa i wynajęciu „pokoju kawalerskiego z osobnym wejściem" (dla homerowych bogów, a zwłaszcza bogiń) przy stromej ulicy Kadeckiej, między — o bogowie! — Parkiem Stryjskim, a wzgórzami Cytadeli, pożyczyłem od przyjaciół sześć grubych tomisk Lindego. Nie długo z nimi popasałem w tamtych, zaczarowanych stronach. 1. listopada wyszedłem z domu na obiad, a wróciłem dopiero z końcem miesiąca, po zakończeniu działań wojennych w mieście, rozdartym linią frontu i nienawiści na dwie nierówne części. Ja musiałem spędzić ten czas w części ukraińskiej, mój pożyczony Linde — w polskiej. Zanim z resztą „martwego inwentarza" przeprowadziłem się na Łyczaków, dziecinnymi saneczkami powiozłem Lindego przez całe miasto, po lodzie i śniegu i zamarzniętych kałużach krwi. Nie umiem powiedzieć, czy była to krew polska, czy ukraińska.

Lecz przejdźmy do obrony, czy do wyznawania grzeszków, które mi wytyka p. Westfal. W niektórych wypadkach muszę mu przyznać rację, bez zastrzeżeń. Peccavi. Ale większość odstępstw od Kanonu, o które pomawia mnie p. Westfal odziedziczyłem po innych grzesznikach i heretykach. Dziś, w New Yorku, po tylu latach, trudno mi powiedzieć, co od kogo wziąłem. Jeżeli idzie o autorów nowszych, ulubionych mistrzów mojej młodości, najwięcej winien jestem Dygasińskiemu, Żeromskiemu, Wyspiańskiemu, Kasprowiczowi, Orkanowi i Berentowi. Skąd zaś oni wzięli swe archaizmy, poprawne lub wadliwe, a ile własnych nowotworów umieścili w takich działach jak np. *Gody życia, Legenda* i *Bolesław Śmiały* (rapsod i dramat), *Popioły, Duma o hetmanie, Drzewiej* lub *Żywe Kamienie,* to już p. Westfal lepiej ode mnie wyjawi. Myślę, że należałoby sformułować zasadę

własny umiar, lub po prostu — oschłość. Dziś większość dzieł tych purytanów, dzieł — owszem poprawnych w budowie, „miłych" i lekko strawnych jak woda „przeminęło z wiatrem", a barokowy autor „Wiatru od morza" wciąż przemawia wielkim i żywym głosem do obolałej wrażliwości Polaków i w Kraju i na emigracji. Śmieszny wydaje się przekąs z jakim niektórzy esteci polscy mówią o baroku. Tak, jakby nie był on naszym stylem narodowym, przeważającym i w sztuce i w życiu i nawet po śmierci. Jakby go nie było w naszych gestach, w naszej emfazie, w naszej historii. Barokowy był nie tylko Sobieski, ale i Piłsudski. Nie tylko Wacław Potocki, ale i Tuwim. Jego „Kwiaty polskie" mogą służyć za szkolny przykład piękności baroku w poezji XX wieku.

tego, co składa się na (przepraszam za ten mój nowotwór) słowostan jakiegoś języka. Które z wyrażeń, pojawiających się po raz pierwszy na żywych ustach (grzechu) lub na „martwych” kartach książek, wolno wcielić do tego słowostanu, a których nie wolno i dlaczego nie wolno. Jakie są granice, w których pisarz może folgować konieczności stwarzania nowych słów?

Ale ciągle uciekam od konfesjonału i prowokuję spowiednika, żeby sam się spowiadał. Zgadzam się z p. Westfalem, że przymiotnik *szczerozłocisty* jest zbytecznie rozszerzony przyrostkiem: st. Moja wina. Ale ten przyrostek dodałem, aby mi heksametr nie kulał. Zgadzam się, że *„sięgnąć* języka” wymaga przedrostka. W wydaniu książkowym nowej wersji, jeśli takowe „dojdzie do skutku” Telemach *„zasięgnie* języka o ojcu”. Słusznie powiada p. Westfal, że tylko trójsylabowość przymiotnika *„rychliwy”* wpłynęła na jego obecność w heksametrze:

„Rychliwy byłby ich kres i gorzkie zwarzone wesele”.

Sądzę, że da się to zmienić na „rychły”. *„Poboiszcze”* jest chyba żeromszczyzną. Może je znajdziemy w *Słowie o Walgierzu*. A może u Dygasińskiego w *Godach życia?* Kombinację *„szumniepienny”* chyba ściągnąłem z *Popiołów*. Gdybym zamiast *trutki* dał w heksametrze *truciznę,* postawiłbym obok siebie dwa amfibrachy, co wpłynęłoby na zwolnienie tempa i pogrubiłoby tonację. Ale jakoś to urządzę tak, aby p. Westfal nie gorszył się tym, że chcę „męże” uśmiercać trutką na myszy. *„W domie”* wziąłem zapewne w spadku po Wyspiańskim. Nie mogę przysiąc, ale ową *mokrzać* widziałem w jakimś starym tekście. Czy nie u Klonowicza? W każdym razie ja jej nie wymyśliłem. *„Namiot”* lub *„namiotka”* jako okrycie głów białogłowskich nie po raz pierwszy pojawia się w przekładzie utworu archaicznego. *Wiecę* zdaje się widziałem w *Odyssei* mego czcigodnego poprzednika Lucjana Siemieńskiego.

Ale teraz grzesznik przestaje bić się w pierś i zaczyna się spierać z Inkwizytorem. *Cierpiennik* najlepiej oddaje grecki epiteton *„polytlas”*. Prawdą jest, że został utworzony na wzór *męczennika,* ale nie w tym znaczeniu, w jakim owa mama mówiła o męczącym ją synalku. Ja tego cierpiennika nie sfabrykowałem. Wziąłem go żywcem z jakiegoś tekstu, albo ze słownika. Muszę bronić mojego: *unasza się,* chociażby dlatego, że: *„unosi się”* dałoby w skandowanym wierszu groteskowy dźwięk: *si się*. Tych *siś* i *miś* staram się unikać w poezji, a niekiedy i w prozie. Upieram się jak kozioł przy „biesiadzie składkowej”. W oryginale użyty jest rzeczownik: *ho eranos*. W doskonałym Słowniku grecko-polskim Węclewskiego czytamy: *„ho eranos* 1) *biesiada składkowa, piknik,* 2) *towarzystwo, miesięczne składki płacące, w celach wzajemnego wspierania się, zabawy”*. Nie uwzględniłem tego szczegółu ani w pierwszym, ani w drugim wydaniu mego tłumaczenia i uczyniłem źle. Obecnie naprawiam to uchybienie. Pedantycznie dokładny Parandowski

tłumaczy: ,,Widać, że to nie biesiada składkowa''... W obu najnowszych ,,pingwinowych'' przekładach prozą na język angielski brzmi to jeszcze pospoliciej. U wypranego z wszelkiej poetyczności i magii E. V. Rieu: ,,No signs of subscription supper here!'' A w znacznie szlachetniejszym języku W.H.D. Rouse'a: ,,It is clear that this is no bring-what - you-like picnic!'' Przykro mi, ale tu wyraźnie jest mowa o pikniku. Podobnie z tymi zębami Ateny, spoza których ,,wydarło się jej słowo''. Są one typowe dla homerowego obrazowania. W oryginale brzmi to tak: ,,pojon se epos fygen erkos odonton''. W prozie Parandowskiego: ,,wymknęło się spoza zagrody twych zębów''. *Erkos* znaczy: zagroda, płot, ogrodzenie. Opuściłem tę *zagrodę* w mniemaniu, że słowo, które wydarło się spoza zębów, daje dostatecznie żywy obraz.

Cały Olimp wzywam na świadków, że nigdy w ręku nie miałem ,,Lekarza wiejskiego'' Ludwika Perzyny, a ów *domarad,* dobry polski odpowiednik nostalgii, widziałam albo w *Żywych kamieniach,* albo — o zgrozo! — w samym Piśmie świętym. *Sędziwa dziewka* i mnie do smaku nie przypada, gdy myślę o dziewce od krów lub jakiejś innej dziewczynie. Ale, podobnie jak po niemiecku — stara *służąca* może być: eine alte Magd, a po angielsku: an old maid, tak i Eurykleja, stara służebnica Laertesa a potem Odyssa może od biedy być sędziwą dziewką. Przyznaję, że trochę uległem tu Wyspiańskiemu, który dziewkami nazwał nawet boginie zwycięstwa. Czasownik: *zwiać,* jako synonim czasowników: *ulotnić się,* lub lwowskiego: *wyrwać,* brzmi nie tylko slangowo, lecz nawet ironicznie. Dobrze jednak i bardzo zmysłowo oddaje nagłe zniknięcie bóstwa, nie podlegającego prawom fizyki. Przywraca tajemniczość zjawisku *zwiania* postaci nadprzyrodzonej, która przybrała postać ludzką. Nie myli się p. Westfal, mówiąc, że celownik *mi* w okrzyku Telemacha, zwróconym do zalotników:

,,Ej, wy gachowie bezczelni, matkę mi chcecie poślubić?''

daje dwuznaczność i że ,,Edyp się kłania''. Owszem — kłania się. Często kłania się on tam, gdzie dorosły syn, osobliwie jedynak, ujawnia uczucia, jakie w nim budzi powtórne małżeństwo pięknej matki lub sama możliwość takiego małżeństwa. Pewno nie mielibyśmy ,,Hamleta'', gdyby morderca jego ojca nie ożenił się z jego matką.

Pozejdon zamiast *Posejdon* pisał Dmochowski w tłumaczeniu *Iliady,* Siemieński w tłumaczeniu *Odyssei.* Tak samo pisze krakowianin, prof. Sinko w swych przedmowach i komentarzach do obu tych przekładów, wydanych w ,,Bibliotece Narodowej''. Natomiast kujawianin Kasprowicz i lwowianin Parandowski piszą: *Posejdon.* Będę wdzięczny p. Westfalowi za radę, czym zastąpić: *,,natchnicwa''.* Użyłem tej formy niedokonanej, żeby uratować heksametr i jego dźwięczność.

Owszem *Odysseja* jest utworem elitarnym po grecku, więc

i jej przekład polski, jak o tym pisałem w „Pro domo mea", winien tę elitarność uszanować. Lecz myślę, że już czas zakończyć tę spowiedź z grzeszków przeciw Duchowi świętemu języka i podziękować panu Westfalowi za przyjemność rozmowy z nim, niestety przez Ocean, i głęboko westchnąć do świętego Hieronima, patrona tłumaczów, o pomoc i opiekę w dalszej pracy.

Józef WITTLIN

Wyjaśnienie

Dnia 31 marca br. Zygmunt Nowakowski krytykując w *Dzienniku Polskim* (Londyn) usterki językowe Stanisława Mackiewicza (felieton pt. *Trzymaj linię!*) dał wyraz arystokratycznemu poglądowi, który jest bodaj ogólną własnością polską: „co wolno wojewodzie, tego nie wolno pisarzowi, który nie jest Mickiewiczem". Zwykle lekko traktuje się usterki uznanych wielkości literatury, ostro zaś — uchybienia mniejszych pisarzy. Nie jest to sprawiedliwe. Mickiewiczowskie „*wiem Witołda, że z wojskami stoi*" (*Grażyna*) jest grzechem, jak grzechem jest mackiewiczowskie „dożywający swe ostatnie *lata*". Oczywiście Mickiewicz był wielkim wojewodą, a Mackiewicz, pisarz żywiołowy, jest mniejszym, ale obu jednakowo obowiązuje postulat dobrego języka. Wykazywanie usterek bynajmniej nie jest atakiem na całość ich twórczości, ani całość walorów artystycznych ich języka.

Ideał stuprocentowej doskonałości, nie wiem, skąd wzięty — może z procesów kanonizacyjnych? — jest plagą życia społecznego i politycznego. Pretensja do stuprocentowości, nierzadka u pisarzy (wyłączyć muszę p. Wittlina, który kilka uwag pogodnie przyjmuje), utrudnia krytykę ich języka — często wydaje im się, że muszą być ową stuprocentową cnotą pod każdym względem i uwagi krytyczne przyjmują z oburzeniem. A przecież głupstwa językowe trafiają się u artystycznie najznakomitszych pisarzy. Podam dwa przykłady z autorów, których cenię w każdym sensie wysoko, co bynajmniej nie odwodzi mnie od wytykania im głupstw. Bodaj na wzór rosyjskiego *bogopodobnyj* utworzył Żeromski pseudoarchaiczny przymiotnik *bodzepodobny* (por. str. 68 *Kryteriów poprawności językowej* W. Doroszewskiego) — wyczytał w jakimś tekście średniowiecznym miejscownik *o Bodze*, 'o Bogu', a ponieważ dzisiejszy miejscownik równy jest celownikowi, wydało mu się, że niegdysiejszy celownik musiał również być *Bodze*, nie *Bogu*, najzupełniej oczywiście mylnie! Albo Gołubiew, z wykształcenia wileński polonista, po którym zatem należałoby się więcej spodziewać niż po niepoloniście Żeromskim: rozciągał archaiczny biernik *ji* na dopełniacz który — jak polszczyzna polszczyzną — brzmiał zawsze tylko *jego*, i buch takie zdanie: „bracia gotowali się do największego święta: śmierci Chrystusowej a powstania *Ji* z martwych" (*Złe dni*, I, str. 267). Stoję na stanowisku maksymalnie możliwego autentyzmu oszczędnie stosowanego archaizowania morfologicznego i słownikowego (pierwszy postulat dla tłumaczy) i sądzę, że chociażby pod tym względem kontakt z językoznawcami może być dla pisarzy pożyteczny. Mógł

być już w epoce Młodej Polski, a zwłaszcza Skamandra, coraz bardziej w związku z rozrostem polonistyki językowej.

P. Wittlin uchyla niektóre moje krytyki stwierdzając, że poszczególne słowa wziął z takich a takich autorów. Już pewna piękna pani wylała na moją biedną głowę całą cytatę z Wyspiańskiego w obronie pana wittlinowego (a kysz, a kysz!) *zalotnego*-zalotnika. Owóż, niestety, to sprawy zasadniczo nie zmienia, bo co jest złe lub zbędne, jest złe lub zbędne w danej epoce wszędzie (drugi postulat: strzec się dziedzictwa). Co innego jest pozytywny, nawet kultowy, stosunek do twórczości i artyzmu języka np. Wyspiańskiego, a co innego dorywcza krytyka tych czy innych jego wyczynów językowych. Nb. bardziej subtelne traktowanie sprawy nowotworów ujawnia spore trudności. P. Wittlin używając *słowostanu* przeprasza za ten swój nowotwór. Owóż *słowostanu* używa Żeromski w *Snobizmie i postępie*: „Trudno by tu wyliczyć cały zastęp poprzedników, którzy od dawna pracowali nad gromadzeniem *słowostanu* gwarowego". Owóż tu sprawa zdaje się nie ulegać wątpliwości — Wittlin dziedziczy po Żeromskim — ale jednakie twory często wybuchają w języku zupełnie niezależnie, uzasadnione jedynie tym samym zespołem faktów (tu niemałą ilością złożeń na *-stan*, por. *drzewostan*, *zwierzostan* itd.).

Chciałbym teraz usunąć pewne nieporozumienia. Ja tylko zaapelowałem do południowców o używanie przynajmniej w piśmie Posejdona, bo nikogo w Polsce nie razi, podczas gdy Pozejdon robi na niepołudniowcach wrażenie marnej senzacji. Ganiąc *biesiadę* składkową podkreśliłem, że to „rzecz gustu", i nawet najznakomitszy słownik grecko-polski mnie od nagany nie odwiedzie, ani żadne tłumaczenie angielskie, które w tym wypadku może być przecież nawet gorsze (1) (osobiście wolałbym „a bring-what-you-like repast"). Nigdy bym nie posądzał p. Wittlina o to, że czytał *Lekarza wiejskiego* Perzyny i że stamtąd wziął dziwaczny *domarad*. *Domarad* wziął najprawdopodobniej p. Wittlin z Lindego, który cytuje Perzynę, ale Linde, rejestrator faktów tego dziwu nie uświęca.

Nb. przy całym szacunku, jaki żywię dla wielkiej pracy Lindego oraz autorów Słownika Warszawskiego dzieła te, dalekie od doskonałości leksykograficznej, nazywam „Pismem świętym" tylko żartem. Czyżbym pisał kryptycznie, niezrozumiale, czy różnica sztuk, którymi się paramy, sprawia, że moje pisanie jest dla p. Wittlina chwilami niejasne?

Na zakończenie: *natchniewa* można zastąpić formą *tchnie*, *daje natchnienie* itp. Przeobrócić, a nie: kuć ciężkie dziwolągi — czwarty postulat.

Odpór dawszy życzę p. Wittlinowi sukcesu, na który jego przekład stanowczo zasługuje.

Stanisław WESTFAL

(1) Niekiedy tłumaczenie Rieu jest lepsze. Rieu: „I never thought to hear such words from you" (str. 87, Zeus do Ateny). Wittlin: „jakież to słowo wydarło się *spoza twych zębów?*" (64). Czy tłumacz może zmieniać niekiedy autora jeśli wymaga tego smak jego czasów? Sądzę, że tak — trzeci postulat.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

W marcowym numerze ,,Kultury'' ukazał się w dziale ,,Dokumenty chwili'' artykuł zatytułowany ,,Skarb Narodowy w New Jersey''. Artykuł ten przedstawia przebieg dorocznego Wolnego Zebrania Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey w Stanach Zjednoczonych A.P. w dniu 9 stycznia br., a czyni to w sposób niezgodny z rzeczywistością i krzywdzący dla władz Zjednoczenia Narodowego.

Artykuł wzmiankowany jest niepodpisany i nie zaopatrzony żadną redakcyjną wzmianką. Robi więc wrażenie wypowiedzi władz Skarbu w New Jersey zamieszczonej pod powagą redakcji. Czytelnik ma prawo wszystkie stwierdzenia w nim zawarte uważać za ,,udokumentowane''. A tymczasem... tymczasem nadesłany do Londynu do Komisji Głównej Skarbu Narodowego szczegółowy protokół z tego właśnie zebrania daje zupełnie inny obraz przebiegu obrad.

Ale sprawa zgodności zamieszczonego w ,,Kulturze'' artykułu z rzeczywistym przebiegiem obrad to przede wszystkim sprawa władz Skarbu Narodowego w New Jersey oraz Komisji Głównej Skarbu Narodowego. Niech one szukają prawdy i sprawiedliwości.

Mnie dotyczą przede wszystkim stwierdzenia artykułu przedstawiające niezgodnie z prawdą sprawy budżetu, a w szczególności budżet Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego. Autor artykułu pisze między innymi :

> ,,...dotychczasowa ,,rada narodowa'', rząd oraz władze Skarbu Narodowego ignorowały potrzeby szkolnictwa polskiego na obczyźnie, wydawnictwa dzieł naukowych Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Polskiego Uniwersytetu w Londynie oraz wszelakich instytucji kulturalnych i naukowych, a natomiast łożyły i nadal łożą ogromne sumy na pensje różnych osób, pod np. płaszczykiem ,,dział ministerstwa obywateli na obczyźnie'', które jest w istocie nie działającą fikcją.
>
> Stwierdzić też trzeba, że stan ten nie tylko nie zmienił się na lepsze w ostatnich miesiącach to jest z chwilą powstania tzw. ,,tymczasowej rady'', ale nawet się pogorszył. Bowiem w budżecie swym za okres od 1 września 1954 do 31 grudnia 1954, ,,tymczasowa rada'' nie daje już ani grosza na potrzeby kulturalne i oświatowe, a natomiast jeszcze bardziej zwiększyła wydatki na opłacanie członków stronnictw, preliminując na okres tylko 4 miesięcy, niezależnie od sum na ,,tymczasową radę'' oraz skompromitowaną ,,komisję krajową'', aż ...26.040 zł. na ,,dział ministerstwa obywateli na obczyźnie'' i 19.800 zł. na tzw. ,,akcję zjednoczenia narodowego'', czyli na uposażenia dla członków stronnictw politycznych, czego płatnicy na Skarb Narodowy znieść nie mogą i absolutnie aprobować nie będą''.

Przede wszystkim weźmy w obronę poprzednią Radę Narodową i rząd. Stwierdzenia autora dotyczące gospodarki budżetowej, prowadzonej lub kontrolowanej przez te ciała, są fantazją, przeinaczeniem lub dowodem nieznajomości tematu. Ostatni budżet przedstawiony przez rząd gen. Odzierzyńskiemu i uchwalony przez Radę Narodową w czerwcu 1953 r. w części II-ej opierającej się na Skarbie Narodowym spośród ogólnej sumy wydatków £27.835 — na cele oświatowe i społeczne przeznaczył sumę £6.179, a więc więcej niż piątą część całości. Sumy te znajdowały się w dziale Ministerstwa dla Spraw Obywateli Polskich na Obczyźnie, nazwanym przez autora „nie działającą fikcją", a korzystały z nich nie tylko wszystkie instytucje wymienione przez autora jako „ignorowane" przez budżet, ale także inne według potrzeb wskazanych przez Komisję Skarbu Narodowego w poszczególnych krajach.

Jeśli chodzi o budżet Egzekutywy zakończony 31. 12. 1954, a scharakteryzowany powyżej przez autora, pragnę w imię prawdy i w interesie publicznym wyjaśnić oceny i informacje artykuły wkraczającego w dziedzinę fantazji.

I tak Dział Ministerstwa Obywateli Polskich na Obczyźnie obejmował rzeczywiście sumę 26.040 złp. (£1.302). Ani jeden grosz z tej sumy nie poszedł na „pensje" dla „członków stronnictw". Oto treść odnośnego działu w Budżecie:

Dział B. Par. 1. Akcja społeczna i łączność z organizacjami

Na obszarze	Brazylii — stypendia szkolne		3.680
—	Niemiec — potrzeby szkolnictwa		600
—	Hiszpanii — potrzeby kulturalno-oświatowe		400
—	Szwecji — kursy gimnazjalne		700
—	Nowej Zelandii — oświata pozaszkolna		400
—	Szwajcarii — kolonie letnie, Muzeum Rappersville		1.200
—	Argentyny — Biblioteka Polska, Harcerstwo		3.000
—	Francji:	1. prasa niepodległościowa	1.400
		2. szkolnictwo	2.400
		3. akcja młodzieżowa	500
		4. wiedza i sztuka	500
		5. propaganda	500
—	Kanady:	1. ochrona zabytków	3.560
		2. harcerstwo	2.100
		3. szkolnictwo	1.100
		4. Polski Instytut Naukowy	1.700
		5. stypendia	2.300
			26.040

(Budżet obliczony jest w złotych. Jeden złoty równa się jednemu szylingowi, lub 20 centów).

Dodać tu trzeba, że decyzje o przeznaczeniu poszczególnych sum w tym dziale należą do poszczególnych Komisji Skarbu Narodowego w odpowiednich krajach. Rada Jedności dokonywuje jedynie formalności zatwierdzenia pozycji uchwalonych przez te Komisje. Wyliczone cele mówią same za siebie. Komisja Skarbu na terenie Francji ma jeszcze szersze uprawnienia bo w odróżnieniu od innych Komisji nie nadsyła do Londynu oryginalnych kwitów, lecz w ramach przyznanego kredytu wypłaca odpowiednie sumy według własnego uznania. Tak więc np. kredyt „prasa niepodległościowa" został przyznany tygodnikowi „Syrena", a kredyt „Wiedza i sztuka" został przeznaczony na na-

grody udzielane w porozumieniu ze Związkiem Pisarzy i Plastyków podczas wystaw i konkursów.

Na terenie Kanady na uwagę zasługuje pozycja „Ochrona Zabytków" to to jest konserwacja tzw. „Skarbów Wawelskich" wokoło których ostatnio narobiono wiele niepotrzebnego a nawet szkodliwego szumu. Były one od dawna i są dotychczas otaczane troskliwą opieką ze środków Skarbu Narodowego. Stypendia w Kanadzie są przyznawane studentom wyższych uczelni po rozpisaniu konkursu przez Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Oddział w Kanadzie. Skromna dotacja dla samego Instytutu jest również przewidziana w budżecie.

Sumy na Tymczasową Radę Jedności Narodowej wynoszą £15 miesięcznie. Z trudem wystarcza to na znaczki pocztowe, papier. O pensjach nawet nikt nie myśli.

„Komisja Krajowa", to jest Komisja Badawcza Krajowa, została powołana przez Egzekutywę we wrześniu ub. roku celem zbadania spraw łączności z Krajem prowadzonej w ostatnich latach przez różne czynniki, zaczynając od głośnej „sprawy Bergu". Na jej prace budżet przeznaczył sumę £50. Członkowie jej pracują bezinteresownie, poświęcając tym bardzo uciążliwym pracom swój czas wolny od pracy zarobkowej. Nazywanie tej komisji „skompromitowaną" jest zapewne wynikiem pomyłki, ale pomyłki bardzo lekkomyślnej.

Akcja Zjednoczenia Narodowego to nie są „uposażenia dla członków stronnictw politycznych", a w budżecie przeznaczenie tej sumy jest wyraźnie przedstawione. Ogólna suma £990 w tym dziale jest przeznaczona jak następuje :

a) akcja referendum (następnie wyborów)	£440
b) akcja wydawnicza	100
c) wyjazdy w teren (zebrania publiczne)	150
d) przyjazdy do W. Brytanii i wyjazdy poza W. Brytanię	300

Suma przeznaczona na referendum i wybory została zresztą przeniesiona do nowego budżetu.

Istotnie budżet Egzekutywy zmniejszył dotacje na cele naukowe wypłacane w Londynie. Sumę autor obliczył dokładnie. Budżet wszakże nie jest wyrazem pragnień lub obiecanką-cacanką. Jest to po stronie wydatków i wypłat plan a zarazem zobowiązanie wypłat. Przy okazji drugiego budżetu Egzekutywa przedstawiła obok skromnego realnego budżetu także budżet „wizyjny" czy budżet potrzeb, ale ta „poezja budżetowa" jest tylko wskazaniem horyzontów, a nie zobowiązaniem. W okresie pierwszego budżetu Skarb Narodowy był w ruinie. Nie było żadnych podstaw do oczekiwania nawet skromnych wpływów ze Skarbu. Trzeba było najpierw Skarb odbudować. Nie można było preliminować w budżecie wydatków wiedząc, że na pewno nie będzie na ich pokrycie pieniędzy. Nawet owe zmniejszone kredyty nie mogły być niestety w ubiegłym okresie wykonane w całości. Z trudem udało nam się i to z brakami w stosunku do jednej placówki i poważnymi opóźnieniami wypłacić dotację na placówki dyplomatyczne. To uznaliśmy za potrzebę najpilniejszą. Na inne cele nie starczyło funduszów. W każdym razie wbrew oburzeniu autora ani jeden grosz w ubiegłym okresie budżetowym ze Skarbu Narodowego nie poszedł na potrzeby samej Egzekutywy.

Personel płatny Egzekutywy obejmuje zresztą tylko jedną osobę, skromnie płatną sekretarkę. Członkowie Egzekutywy pracują bezpłatnie, otrzymując zwrot kosztów przejazdów do wysokości £5 miesięcznie (około 15 dolarów miesięcznie). Niewystarczające wpływy finansowe oraz napór innych wydatków zwłaszcza w dziale zagranicznym i na odcinku oświatowym nie pozwalają nie tylko na „pensje" dla członków Egzekutywy, ale także na zatrudnienie jakiegokolwiek nawet niezbędnego personelu pomocniczego. Wszystko to zresztą napisane jest w budżecie równie jasno jak i zmniejszenie kredytów na cele oświatowe.

Sytuacja na odcinku Skarbu powoli się poprawia. Skarb Narodowy jest w obecnym okresie budżetowym jedynym źródłem wpływów i jedyną podstawą finansową naszej działalności politycznej. Ciągle jeszcze nie daje on możliwości zorganizowania koniecznego, choćby nawet bardzo skromnego aparatu wykonawczego. Ciągle praca Egzekutywy opiera się na bezinteresownej, ofiarnej współpracy grona ludzi, którzy pracując zarobkowo swój wolny czas oddają pracom publicznym. I na pewno, zwłaszcza wobec jawności budżetu i szerokiej nad nim dyskusji w Radzie Jedności Narodowej, wydatki na działalność zagraniczną oraz wydatki na cele kulturalne i społeczne będą zawsze uprzywilejowane w stosunku do wydatków na pracę samej Egzekutywy. Ale najpierw trzeba odbudować Skarb i znacznie, bardzo znacznie go rozwinąć. Do tej pracy wzywamy wszystkich Polaków.

Łączę wyrazy poważania.

Kazimierz SABBAT,

•

Szanowny Panie Redaktorze !

Jak wszystko, co wychodzi spod pióra A. Bobkowskiego, dziennik „Z notatek modelarza", którego pierwsza część wydrukowana została w Nrze 5/91 „Kultury", napisany jest ze swadą. Lecz niestety tak się już składa, że swada łączy się często z przesadą i brawurą. W dzienniku prywatnym każdy ma prawo wypisywać , co mu się podoba, jednak wypowiedzi, które posyła się do druku winny być nacechowane poczuciem odpowiedzialności. „Notatki" Bobkowskiego przynoszą szereg ciekawych wrażeń z Guatemali z okresu zeszłorocznej rewolucji, ale roją się także od skrajnie absurdalnych twierdzeń (autor nie usiłuje zresztą nawet ich udowadniać), od niesprecyzowanych bliżej zarzutów i niewybrednych inwektyw. Wspaniale odwróciwszy kota do góry ogonem wojujący antyintelektualista ciska obelgi pod adresem „jaskiniowców intelektu" i „wyrafinowanej ciemnoty intelektualnej", operującej „stężonym sloganem". Aczkolwiek na łamach „Kultury" ze zdziwieniem i z niesmakiem czyta się histeryczne trochę wywody, lektura nie jest bez korzyści. Poznajemy bowiem dość dokładnie ciekawy uraz psychiczny Europejczyka w stosunku do Europy, która go odrzuciła i skazała na „wspaniałą walkę o życie" w kraju — mówiąc oględnie — nieco prymitywnym. Oczywiście autoterapia psychiczna każe delikwentowi krzyczeć urbi et orbi, że to on sam odrzucił zgniliznę Europy, ale kompleks obrażonego wygnańca przebija z każdej strony, nawet z dumnych wyznań w rodzaju : „schamiałem do reszty".

Nie sposób omówić wszystkich nieścisłości i absurdów, a zresztą byłoby to niecelowe, bo z antyintelektualistami dyskusji prowadzić nie można : istnieje dla nich tylko *ich* emocjonalna racja. Dotknę tylko przykładowo paru spraw. W ramach swego bezkrytycznego entuzjazmu dla amerykanizmu Bobkowski zaszczyca nas wyznaniem, że lubi technikolor i cinemascope, oraz określa przy tej okazji filmy francuskie jako „ubożuchne bzdury". Nie będę kruszył kopii o wszystkie tytuły, jakie przytoczył, ale radziłbym mu ostrożność z takimi filmami jak „Belles de nuit" czy „La Ronde". Bobkowski nie ocenia filmów wedle kryteriów artystycznych, tylko według tego, co jego samego interesuje. Stąd średniej jakości film brytyjski „The Sound Barrier" określony jest przez niego jako „doskonały" (bo dotyczy samolotów) a świetny film francuski „Salaire de la peur" odsądzony został pod każdym względem od czci i wiary z powodu antyamerykańskiej tendencji. Jest przy tym

rzeczą ciekawą, w jak demagogiczny sposób Bobkowski buduje swoją argumentację. Zupełnie uboczny „antyamerykanizm" tego filmu (który w pierwszym rzędzie jest thrillerem o kapitalnie przeprowadzonym napięciu) wysunięty jest przez Bobkowskiego na centralną oś, wokół której wszystko się obraca. Następnie autor „Notatek modelarza" dyskwalifikuje film za drobne (i w dodatku wątpliwe) błędy w realiach. (Np. retoryczne pytanie „Jaki koncern amerykański.. otwierałby szyby naftowe bez wybudowania uprzednio drogi ?" i konkluzja „jedna bzdura na drugiej" w ogóle nie mają sensu. Zapewniam Bobkowskiego, że na omawianym filmie droga *jest* i właśnie drogą jadą samochody z nitrogliceryną). Faktem jest, że Bobkowski nie jest w stanie podejść do dzieła sztuki bez ujrzenia w nim tylko tego, co odpowiada lub zaprzecza jego uprzedzeniom.

Podejście to uwidacznia się także w różnym potraktowaniu tych samych problemów, gdy ujmują je ulubieni Amerykanie i nielubiani Europejczycy. Bobkowski słusznie rozpływa się nad wnikliwym samokrytycyzmem „From Here to Eternity". Można by wymienić sporo powieści, sztuk i filmów amerykańskich, których autorzy, unikając łatwego optymizmu, nie wahają się poddawać analizie różnych, mniej różowych aspektów amerykańskiego życia. Gdy Amerykanie to robią, wszystko jest w porządku. Ale jeśli Francuzi, czy Włosi ośmielą się podejść krytycznie do własnych problemów, Bobkowski mówi o nich, że się „ślinią", „taplają się po urojonych sytuacjach", „żerują na nędzy ludzkiej z lotu ptaka". A więc nie wolno Włochom piętnować niesprawiedliwości społecznych własnego kraju, bo to żer komunistycznej propagandy. Nie należy bagienka ruszać, niech śmierdzi. Chyba człowiek złej woli może uważać problemy socjalne, jakich dotykają filmy włoskie i francuskie za „urojone". A twierdząc, że nie należy tych kwestii roztrząsać, bo korzystają na tym komuniści, dowodzi się tylko, że się samemu nie ma wiary w ten wolny świat pod egidą Ameryki, który się okadza. Amerykanie nie boją się tego, że samoanaliza ich systemu może stać się bronią w ręku wroga. Podobnych praw nie odmawiajmy Europie. Jeszcze jedno: jeśli intelektualiści zachodni mają poczucie winy, to tylko dobrze o nich świadczy. Zaiste mamy powody do tego, by czuć się winnymi. Jeśli w Rosji jest nędza, trzeba nad tym ubolewać, ale nie ma się czemu dziwić. Natomiast zło krzewiące się w naszym ustroju, który chcielibyśmy uważać za doskonały, jest *skandalem*, o którym trzeba krzyczeć i pisać, który trzeba usunąć. Wina, którą się z tego powodu odczuwa, jest błogosławioną winą.

Bardzo charakterystyczna jest apoteoza anarchii, jaką nas Bobkowski uraczył na marginesie historyjki z Guatemalczykiem, który „nie miał ochoty" stać w ogonku, więc pchał się bez kolejki. Seria sloganów o politykach, których powinno się zmieniać „po męsku z pistoletem w ręce", o ludziach, którzy mają być „natchnieniem buntu", zapewne wybijając szyby i strzelając do wszystkich, których napotkają na drodze, wszystko to jest dziwnie znajome. Podejrzewam, iż Bobkowski wie równie dobrze jak ja, że anarchia jest rozwiązaniem utopijnym i że gdzie wielkie ilości ludzi muszą żyć z sobą na małych przestrzeniach, tam prawa i pewien porządek jest konieczny po to, żeby nie włażono sobie wzajemnie na odciski. Zauważę więc tylko, że „antykomunizm" nie wystarczy jako pozytywna ideologia, bo taką nie jest, a podszywanie się pod „szlachetnego anarchistę" nie uchodzi w ustach tego, kto kilkakrotnie podkreśla swą sympatię do skorumpowanej kliki na Formozie i trzymającego silną rączką naród dyktatora Hiszpanii. Rodzimi nasi faszyści też pozowali na niewinnych anarchistów i o tym trzeba pamiętać.

Po co to wszystko piszę ? Bobkowskiego nie przekonam, a czytelnicy „Kultury" sami wiedzą, co o jego wypowiedziach sądzić. Chodzi mi o jak najlepsze wykorzystanie łamów świetnego miesięcznika Pana. Zapowiedzia-

ny jest druk dalszych odcinków „Notatek". Oby tam autor zaoszczędził nam oczywistych nonsensów w formie ogólnych refleksji i ograniczył się do faktycznych opisów, które umie podawać zajmująco.

Bolesław TABORSKI,
Richmond, Surrey.

P.S.: Radbym wiedzieć, na czym Bobkowski opiera swoje twierdzenie o bezkrytycznym uwielbieniu dla Toynbee'go, jakie rzekomo panuje wśród intelektualistów zachodnich. Dzieło Toynbee'go zostało potraktowane bardzo surowo przez krytykę fachową i ogólną.

♦

Szanowny Panie Redaktorze,

Tak się składa, że otrzymując idealnie punktualnie Pańską „Kulturę", czytam ją zwykle dopiero wówczas, gdy zbierze się parę numerów.

Ponieważ bardzo interesuje mnie wszystko, co dotyczy penetracji komunistycznej w Ameryce Łacińskiej ze specjalnym zaciekawieniem przeczytałem w Nr 87/88 „Kultury" korespondencję p. Andrzeja Bobkowskiego z Guatemali pt. „Zachód nareszcie wyzwala".

Autor zaczyna od stwierdzenia: „Zawiniłem...", aby następnie, dość uszczypliwie i autorytatywnie, rozprawić się z artykułem o Guatemali p. S. Zarzewskiego, przeciwstawiając mu *własne* naświetlenie wydarzeń w tej republice środkowo-amerykańskiej. Czytałem, oczywiście, w Nrze 83 „Kultury" artykuł p. Zarzewskiego. Wydaje mi się, że autor istotnie zanadto zaufał prasie anglosaskiej. Ale cóż zrobił zamieszkały w Guatemali p. Bobkowski?

Przetłumaczył na język polski oficjalny raport Department of State z dnia 9 lipca 1954 roku, opracowany bodajże m. in. dla OEA (Organizacion de los Estados Americanos), pt. „Informe del Gobierno de Estados Unidos sobre la situacion en Guatemala", opatrzył go własnymi podtytułami, „uzupełnił" paru mało ciekawymi rozmówkami ze swymi guatemalańskimi przyjaciółmi, zamknął dość pochopnym peanem na cześć płk. Armasa i przysłał tę... korespondencję „Kulturze".

Raport D. of S., który czytałem w oryginale hiszpańskim, jest doskonale przejrzysty, udokumentowany, a tym samym — sugestywny. Ale, jak się rzekło, p. Bobkowski jest na miejscu, ma wśród miejscowych — przyjaciół, pisanie nie sprawia mu, o ile wiem, specjalnej trudności, a tzw. „epoka Arbenza", którą w Guatemali przeżył, dostarczyła mu na pewno mnóstwo materiału, arcydydaktycznego dla wszystkich ludzi, którzy pragną być wolnymi. Raport, jak raport, ze zrozumiałych względów wszystkich tych materiałów nie mógł podać, a p. Bobkowskiemu — nie chciało się. Drukując to, cośmy mieli okazję w „Kulturze" przeczytać, istotnie „zawinił". Wobec p. Zarzewskiego, którego tak złośliwie skarcił i wobec czytelnika, który miał prawo oczekiwać od współpracownika „Kultury" stale zamieszkałego w Guatemali, czegoś więcej niż sprytnie „przyrządzonego" raportu amerykańskiego.

W Nr 90 „Kultury", dla odmiany w „Listach do Redakcji" p. Bolesław Pomian-Piątkowski. ostro, niemal po kawaleryjsku, rozprawia się z Anatola Muhlsteina: „Wspomnieniami generała de Gaulle'a" (por. „Kultura" Nr 86). Nie moją rzeczą jest bronić p. Muhlsteina, ale — czytając znakomicie udokumentowane pamiętniki de Gaulle'a — nie raz byłem pełen podziwu i zazdrości dla wspaniałej nieustępliwości generała, tak niewspółcześnie bezkompromisowego w obronie każdego skrawka *jego* Francji. Myślę, że

wśród emigracyjnych szefów rządów, de Gaulle — pod tym względem — był bezkonkurencyjny. Czy de Gaulle ,,nie rozumiał ducha dziejów Francji", jak pisze autor listu, nie czuję się na siłach osądzić. Mam natomiast mikroskopijne prawo zauważyć — daleki od entuzjazmów nad francuską gotowością bojową —że chociaż w eskadrze foto-rozpoznawczej, do której p. Pomian-Piątkowski należał, nie było ,,ani jednego ,,wolnego Francuza", to np. w mojej służbie wojennej, bardzo podobnej do zadań wykonywanych przez autora listu (ale bardziej ,,przyziemnej"), nieraz stykałem się z kolegami — ,,wolnymi Francuzami". Bez złośliwości, ale na tle wielu mych rodaków, upstrzonych bojowymi odznaczeniami, a trzęsącymi się ze strachu jak... baranie ogony, te ,,Francuziki iz Bordo", często mnie drażniły swą rozsądną odwagą, a czasami, urzekającą każdego Polaka, wspaniałą brawurą.

Nie mam najmniejszego sentymentu dla ,,siostrzycy"-Francji, ani dla ,,polonofila"-de Gaulle, o którym ktoś w londyńskich ,,Wiadomościach" pisał że nawet w moskiewskiej operze myślał o... Polsce, ale wydaje mi się, że p. Pomian-Piątkowski nie jest obiektywny.

Na zakończenie — drobnostka. W odległej przeszłości, bo aż w Nrze 84 ,,Kultury", mojemu bezspornie ulubionemu współpracownikowi Pańskiego miesięcznika, p. Juliuszowi Mieroszewskiemu, trafiła się niedobra gaffa. Pisząc o ,,Kulturze" (w artykule: ,,Budujemy dom") przeprowadził delikatną paralelę z kiedyś w Paryżu wydawanym tygodnikiem ,,Die Zukunft". Myślę, znając przypadkiem kulisy ,,Die Zukunft", że ,,Kultura" może sobie pozwolić na drukowanie ,,sensacyj" Gorkina o Rokossowskim w... Hiszpanii, ale powinna unikać jak ognia jakiejkolwiek paranteli ze wspomnianym tygodnikiem Willi Munzenberga, o którego rzeczywistych zadaniach i działalności redaktor ,,Kultury" i p. Mieroszewski bezwzględnie powinni wiedzieć wszystko, co należy.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, uprzejme pozdrowienia.

Włodzimierz V. POPŁAWSKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Zapewne zdziwi Pana fakt, że bez doczytania do końca reaguję, i daję wyraz myślom, które mi się nasunęły w miarę czytania ,,Doliny Issy".

Otóż fakt przeczytania następnych części niewiele może zmienić. Dalszy bowiem ciąg może czytelnika jedynie bardziej jeszcze zbliżyć do niecodziennego zjawiska jakim niewątpliwie jest proza Miłosza. Śmiała, niezależna, urzeka swoją innością i świeżością. Uderza mile ucho, bo jest dźwięczna i śpiewna. Wystarczy przeczytać chociażby jedną kartkę na głos by się o tym przekonać. Bogactwo elementów wzrokowych nie nuży.

Urywkiem jakiegoś opisu przyrody czy doznań jednej z osób, którym każe żyć w swoim opowiadaniu, Miłosz wydobywa z pamięci czytelnika ignorowane dotąd przeżycia, które w miarę czytania nabierają nowego sensu. Chwilami czytelnikowi nasuwają się wątpliwości czy przeżycia takie miały w ogóle kiedyś miejsce. Czy naprawdę zauważył osę opuszczającą słodycz dojrzałej gruszki ? Czy zadziwiały go kontury przedmiotów wyłaniających się z mroku, w chwili gdy brzask wkradał się do pokoju ? Może pozostawał całkowicie obojętny na brzęczenie rojów muszek i granie kijanek w dolinie rodzinnego Bugu ?

To pewne, że podobne do kalejdoskopu, fragmenty, które budują ,,Dolinę Issy", działają pobudzająco na wyobraźnię a sugestywność prozy Miłosza daje czytelnikowi jedyne w swoim rodzaju wrażenie, że to wszystko jest takie znane czy swojskie.

Dziękuję Panu za drukowanie powieści Miłosza w ,,Kulturze" i udostępnienie jej szerokiemu kołu czytelników.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Irena GĘBSKA

✦

Wielce Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

List do Redakcji, zamieszczony w majowym numerze ,,Kultury" a podpisany przez ks. Wojciecha Artura Rojka z dodatkiem ,,Sekretarz Generalny", przeczytałem z wielkim zdziwieniem.

Muszę zaznaczyć, że odpowiedź na ten list taka, jaką by napisać należało, jest mi utrudniona tym, iż uważam się za przyjaciela autora listu, czego dowody dałem niejednokrotnie, a także przyjaznym dotąd odnoszeniem się ks. Rojka do mnie. Niemniej, list ks. Rojka wymaga — powiedzmy — wyjaśnień. Nadmienić też muszę, iż zarówno ks. Rojkowi jak i całemu zarządowi Komitetu Skarbu Narodowego na stan New Jersey, jest dobrze wiadome, iż to ja zawsze pisałem notatki do prasy o działalności tego Komitetu, jako doń należący od chwili jego zaistnienia. I to nie tylko z własnej nieprzymuszonej woli, ale właśnie na skutek zaleceń, a więc z upoważnienia Komitetu, z prezesem ks. prałatem Franciszkiem Kowalczykiem na czele. Sekretarz Komitetu ks. Rojek prosił mnie zawsze — także po tegorocznym walnym zebraniu — by przebieg opisać możliwie obszernie i szczegółowo.

Doprawdy dziwny wydaje się zarzut autora listu brzmiący:

,,Autor artykułu nie upoważniony przez Zarząd do tego rodzaju enuncjacji, wyraża poglądy ,,własne". zwłaszcza w omawianiu sporów konstytucyjnych i naświetlań działalności Skarbu Narodowego."

Tym więcej jest to dziwne i niezrozumiałe, że przecież tekst, zamieszczony w nr 3/89. 1955 ,,Kultury" był skrótem obszernego artykułu, zamieszczonego w tygodnikach: ,,Polska Wierna" i ,,Słowo Katolickie" nr 7(506), zajmującego całą 10-tą stronicę. Tygodniki te dotarły znacznie wcześniej i w większej ilości do uczestników walnego zebrania, a także członków Komitetu, niźli miesięcznik ,,Kultura". I wszyscy bez wyjątku, wraz z ks. Rojkiem, dziękowali mi za obszerne i dość szczegółowe opisanie przebiegu zebrania.

Oświadczenie ks. Rojka, iż na walnym zebraniu ,,pominięto wszelkie dyskusje na tematy sporne" — niestety nie odpowiada rzeczywistości. Dowodzą tego wyjątki z protokółu obrad, przytoczone przez ks. Rojka. Nie przypominam ich, by nie wydłużać mego wyjaśnienia. Ale zarazem muszę zaznaczyć i to z całym naciskiem, że być może uniknęłoby się dyskusji ,,na tematy sporne" gdyby właśnie ks. Rojek ich nie wszczynał.

Ks. Rojek powołuje się na zebranie zarządu, odbyte 4 marca br. Nie należy ono tutaj, więc nie będę przytaczał ogromnie burzliwego przebiegu obrad, jakie zdarzyły się także na następnym zebraniu (instalacyjnym) zarządu w dniu 11 kwietnia br. Zaznaczę tylko, że na tych zebraniach doszło do bardzo ostrych starć — choć ze strony innych mówców utrzymanych w tonie dopuszczalnym — z sekretarzem Komitetu, chcącym koniecznie podporządkować Komitet stanowy ,,komisji trzech" względnie ,,tymczasowej radzie"

Wniosek jego był zwalczony i odrzucony, względnie przezeń wycofany na każdym z zebrań — właśnie w imię nie łączenia się z żadną ze skłóconych stron w Londynie.

Zastanawiająca jest ironia, przebijająca z listu ks. sekretarza „zatroszczenia się o 'Oświatę i Wyższe Uczelnie'".

To, że zarówno me przemówienia na zebraniach polonijnych, jak i wniosek z jego motywacją na zebraniu walnym Skarbu Narodowego w stanie New Jersey, nie są tylko czczymi frazesami, świadczą chyba rokroczne (od pięciu już lat w USA, a przedtym na terenie Niemiec) moje ofiary pieniężne na te właśnie instytucje i na szkolnictwo, stanowiące liczne setki dolarów rocznie. Wyrażają się one cyframi wielekroć większymi, niźli te, jakie do maja 1954 roku stanowiły dotacje Skarbu Narodowego i rządu na te cele, ale *od chwili bezprawnego przejęcia Skarbu* przez czynniki partyjne, zupełnie ustały.

Zaznaczam z naciskiem, że od maja 1954, gdy stronnictwa (partie) polityczne nieprawnie zawładnęły funduszami Skarbu Narodowego, „tymczasowa rada" i jej „egzekutywa", nie przeznaczyły ani grosza na cele ogólnonarodowe, zużywając wszystkie pieniądze jakie napływają od patriotów na Skarb Narodowy, wyłącznie na swe własne, czysto osobiste potrzeby i to mimo, że nie są one żadnym organem nadrzędnym Polaków na obczyźnie w sensie prawno-konstytucyjnym.

Sekretarz Komitetu co prawda przytoczył tekst mego wniosku, skierowanego — nie jak chce i pisze ks. Rojek „pod adresem Głównej Komisji Skarbu Narodowego" — *do czynników kierowniczych w Londynie* (legal*nych i tymczasowych*), ale opuścił wymienione przeze mnie: Polskie Gimnazjum i Liceum w Les Ageux (dep. Oise) we Francji, Polski Uniwersytet na obczyźnie w Londynie i szkolnictwo polskie na terenie Niemiec. Być może mniemał, że skoro jest mowa ogólnie o szkolnictwie wyższym, średnim i podstawowym, to już uczelnie te są tymi słowy objęte. Chodziło mi jednak o specjalnie podkreślenie potrzeb tych właśnie uczelni.

Muszę dodać, że chyba nie jest do pomyślenia, by wniosek mój wyprysnął bez uprzedniego przygotowania doń zebranych odpowiednimi argumentami.

Gdy idzie o wniosek zgłoszony przez ks. Rojka i cenzora Stowarzyszenia Synów Polski a wiceprezesa Komitetu, p. Alberta Klempa, brzmiący: „*Przez Skarb Narodowy do Zjednoczenia Narodowego*", jaki obecnie stanowi slogan tymczasowej rady". to zaznaczam, że to ja ten wniosek napisałem, a uczyniłem to na prośbę ks. Rojka. Cenzor Klemp podpisał ten wniosek niezbyt chętnie i zapytał mnie jakie ma on znaczenie. Obawiał się bowiem — obecnie okazuje się to słuszne — by nie wzięto tego w Londynie za popieranie stronnictw, gdyż on (p. Klemp) jest im zdecydowanie przeciwny. Tak dalece, że gdyby Komitet nasz miano podporządkować czynnikom pozakonstytucyjnym, ustąpiłby z Komitetu. Wyraz temu swemu stanowisku dał p. cenzor Klemp na zebraniu Komitetu 11. 4. br. wieczorem w słowach bardzo zdecydowanych, jakie zgasiły ferwor ks. Rojka za poparciem stronnictw politycznych.

Protokół... Mój Boże. Fakt, że nie zawiera on mej mowy, wymierzonej przeciw partyjnictwu pośród Polaków na obczyźnie oraz przemówień pp.: Hemmerlinga, Zaprawa-Ostromeckiego, Markiewicza, Tacika, Skrzyńskiego i innych z nowej emigracji, a także pp.: mec. Tad. Rosponda, cenzora Alberta Klempa, wiceprezesa S.S.P. Stefana Kopycińskiego, kom. Z.N.P. Anny Kaźmierczakowej, mjra m. Wallington Władysława Maruta, prezesa K.P. Stan. Wesołowskiego, a w szczególności patrioty i działacza wielkiej miary ks. prał. Kowalczyka, przebywających w USA od dziesiątków lat lub tutaj urodzonych — wypowiadających się za utrzymaniem Komitetu zdala od niesnasek politycznych w Londynie i także gdzie indziej — bynajmniej

nie oznacza, że tych przemówień nie było. Zasłanianie się więc protokółem, nie jest wcale argumentem ważkim. Przecież wiadome jest nie od dziś, że protokóły z zebrań (nawet akademickich, na ogół oddających przebieg), nigdy i nigdzie nie są szczegółowe. Boć trzeba by — tak jak w parlamentach — mieć do tego celu stenografów, nakazując im, by nic nie opuszczali. Cóż więc dziwnego, że w krótkich, tylko pobieżnie czynionych notatkach, świadomie lub przez nieuwagę, pomijane są tematy, zwłaszcza gdy są one drażliwe albo zgoła przykre.

Zechce Pan, Panie Redaktorze, wybaczyć, iż zbyt obszernie wyjaśniam sprawę listu ks. Rojka, listu wysłanego do Redakcji bez wiedzy i aprobaty zarządu Komitetu.

Uczyniłem to dlatego, by inne komórki Skarbu Narodowego były choć jako tako zorientowane, na co są zużywane zbierane przez nie fundusze, po wysłaniu ich do Głównej Komisji Skarbu Naordowego w Londynie i jak się usiłuje mamić ofiarnych płatników.

Łączę wyrazy głębokiego poważania i prawdziwego szacunku.

Zbigniew ŁUKACŻYŃSKI

◆

Szanowny Panie Redaktorze,

Ze zdziwieniem przeczytałam w numerze 4 ,,Kultury'' recenzję p. T. S. z ,,Tworzywa'' Wańkowicza. Kończy się ona słowami : ,,Nie czuję się powołany do wydawania literackiego sądu o książce'' — jest to zresztą wstęp do serii zarzutów kategorii niewątpliwie literackiej.

Powstaje pytanie : czy w zamkniętym zresztą i niechętnym obcym, zespole ,,Kultury'' nie ma ludzi powołanych i przygotowanych naukowo do wydawania sądów literackich ? Jeśli dziś ukazuje się na emigracji książka znanego polskiego pisarza, obdarzonego nieprzeciętnym talentem, czy właściwe jest poświęcenie jej krótkiej ,,recenzji'' która zresztą recenzją nie jest, gdyż mówi raczej o Kanadzie niż o książce ?

Nie chcę polemizować z p. T. S., gdyż jedyną odpowiedzią mogłaby być nowa recenzja, oparta na zasadach krytyki literackiej. Pragnę tylko wzmiankować, że zarzut nadmiaru elementów (opisy przyrody, folklor, dygresje, itp., itp.) dowodzi, że p. T. S. nie zdawał sobie sprawy, że ,,Tworzywo'' — jak zresztą cała twórczość Wańkowicza — stoi na pograniczu reportażu i gawędy.

Nie tylko to jest jednak ważne. Rozdzieramy wciąż szaty nad literaturą polską na emigracji, nad trudnościami pisarza, warunkami w jakich pisze, trudnościami wydawniczymi.

Natomiast, gdy wychodzi książka polska, napotykamy bardzo często przedziwną ,,zmowę milczenia''. Brak recenzji. Recenzje poklepujące po ramieniu, pisane przez ludzi niekompetentnych, bądź uważających, że o książkach każdy może pisać, bo ostatecznie każdy kiedyś w szkole pisał wypracowania o miłości Skrzetuskiego do Heleny...

A jednocześnie — dyskusje kilometrowe nad literaturą na emigracji (patrz ,,Orzeł Biały''). A jednocześnie zachwyt nad słabiutką książką Gibbsa, która raptem urasta w oczach krytyków do rozmiarów epopei. Bo przecież Anglosas raczył się nami zainteresować.

Dwie książki. Wytwórczość standardowa, jedna z wielu książek płodnego pisarza angielskiego, napisana na podstawie opowiadań i lektury, ,,zamaczona'' patriotyzmem, heroizmem i ofiarą. Chylimy czoło, rozpływamy

się w zachwytach. Widzimy w tej książce to co jest dobre (stosunek do nas i prawda wypadków dziś już historycznych) i to o czym autor nie marzył — epos.

Gdzie indziej powstaje książka pisana w żmudnym trudzie podróży poprzez całą Kanadę, zmagania się z materiałem, z trudnościami przez współrodaków rzucanymi pod nogi. Powstaje pierwszy tom epopei o emigracji w Kanadzie. Temat dotąd dziewiczy w naszej literaturze staje się słowem.

Milczenie. Czasem nawet gorzej niż milczenie. Czyżby wciąż działał nasz narodowy kompleks niższości, czy być może... moralność socjalistyczna?

Dr Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA
Toronto, Ont.

Rzym, 18 *maja* 1955.

DO SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW « **SACRUM POLONIAE MILLENNIUM** »

Komitet S. P. M. poczuwa się do miłego obowiązku złożenia jeszcze raz najserdeczniejszego podziękowania wszystkim Prenumeratorom I-go tomu, a zwłaszcza tym, którzy większym datkiem umożliwili szybkie jego wydanie ku chwale katolickiej Polski, i dla jej duchowego dobra.

Dzieło to spotkało się z pełnym uznaniem zarówno swoich, jak i obcych; wobec potomnych będzie ono chlubnym świadectwem ofiarnego ducha przebywających poza Krajem katolików Polaków lub polskiego pochodzenia.

W najbliższych tygodniach przystępujemy do druku tomu II-go, który obok prac innych o aktualnej wartości będzie zawierał w związku z wielką rocznicą Mickiewiczowską /sto lat od śmierci naszego Wieszcza/ rozprawy naświetlające jego stosunek do religii i Kościoła.

Ponieważ już nie możemy liczyć na nowe większe pieniężne zasiłki, zmuszeni jesteśmy podnieść cenę poszczególnych tomów o 2 dolary, co zresztą nie przewyższa ceny podobnych wydawnictw we wszystkich krajach Starego i Nowego Świata.

Prosimy zatem o łaskawe i *rychłe* nadesłanie przedpłaty na tom II-gi w wysokości 8 *dolarów za tom broszurowany lub* 10 *dol. za tom oprawny w płótno lub imitację skóry.* Pieniądze najlepiej przesyłać czekiem bankowym (nie zaś przekazem pocztowym) w liście poleconym pod adresem:

J.E. Ks. Arcybiskup Józef GAWLINA,
Botteghe Oscure 15,
ROMA Italia

z dopiskiem: „na Millennium"

† *Józef GAWLINA,*
Przewodniczący Komitetu Rzymskiego
Sacrum Poloniae Millennium

RÉSUMÉ EN LANGUE FRANÇAISE

Kultura public la première partie du dépouillement de son enquête au sujet de la réversibilité des changements économiques et sociaux survenus en Pologne entre 1944 et 1955. Ce n'est pas en pensant à un avenir proche et concret que cette enquête a été entreprise. Il s'agissait plutôt d l'élucidation d'un système de pensée de l'émigration. Les meilleurs économistes et sociologues de l'émigration — les professeurs Zweig, Zauberman, Marczewski, Brzeski, etc. — répondent à nos questions. A part quelques exceptions, la plupart des réponses dénotent un scepticisme quant à la possibilité d'un retour à un système libéral.

Antoni POSPIESZALSKI contemple « Les Mystères du Temps » de points de vue philosophique, scientifique et religieux.

Witold LEITGEBER nous donne une « Image de l'Amérique » composée d'une série d'instantanés, dont il dégage une esquisse d'analyse sociologique.

Witold GOMBROWICZ règle ses comptes — dans ses « Fragments de Journal » — avec la littérature polonaise d'entre les deux guerres.

Jan BRZEKOWSKI, un des fondateurs et principaux animateurs de l'avant-garde poétique polonaise, nous donne une esquisse historique de cette avant-garde depuis 1917 jusqu'à la dernière guerre.

Marian PANKOWSKI oppose son « art poétique » à un récent article polémique de Jozef Lobodowski. Suivent des poèmes de plusieurs jeunes poètes de l'émigration.

Le nouveau roman de Czeslaw STRASZEWICZ est situé dans un terrain vague d'un port sud-américain.

Kultura commence la publication du roman de Heinrich BÖLL, *Le train était à l'heure.*

Juliusz MIEROSZEWSKI passe en revue plusieurs hypothèses de développements possibles au cas où la Pologne serait « neutralisée ». Il ne pense pas que cette « neutralisation » puisse mener de suite à une « libéralisation » réelle. Mais il faudrait s'habituer à l'idée que le retour de certains émigrés pourrait devenir nécessaire, si, au moins, le rôle d'une opposition leur était consenti.

Jerzy ZUBRZYCKI étudie les changements démographiques en Europe orientale. Il y observe — à part la Pologne — un passage de la deuxième à la troisième phase d'évolution démographique, c'est-à-dire à une courbe descendante.

Des chroniques politiques, culturelles et littéraires — dont un compte rendu de Czeslaw MILOSZ du Festival d'art dramatique de Paris — complètent ce numéro.

ENGLISH SYNOPSIS

Kultura publishes the first part of a study devoted to an inquest concerning the reversibility of economic and social changes which have taken place in Poland between 1944 and 1955. This inquest was not undertaken in terms of a near and concrete future. Its aim was, rather, to clarify a mood of thought among exiles. The best émigré economists and sociologists — such as Professors Zweig, Zauberman, Marczewski, Brzeski, etc. — answered our questions. With few exceptions, the answers denote a certain scepticism as to the possibility of a return to a liberal system.

Antoni POSPIESZALSKI contemplates «The Mysteries of Time» from the scientific, philosophic and religious point of view.

Witold LEITGEBER gives is a «Picture of America» composed of a series of flashes.

Witold GOMBROWICZ deals, in his «Diary» with Polish literature between the wars.

Jan BRZEKOWSKI, one of the founders of the Polish poetic «avant-garde», gives the history of the various literary and artistic streams which merged into the main «avant-garde» movement between 1917 to 1939.

Marian PANKOWSKI opposes his views on poetry to those of Jozef Lobodowski. His article is followed by several poems by young Polish poets.

The setting of Czeslaw STRASZEWICZ'S new novel is a strange South American port.

Kultura begins the publication of Heinrich BÖLL'S recent novel *The train arrived on time.*

Juliusz MIEROSZEWSKI reviews the possible development which might take place in Poland in the event of the «neutralisation» of Eastern Europe. He does not think that «neutralisation» could lead straight away to an authentic liberation. But one should get used to the idea that the return of certain exiles might be necessary were the «neutralisation» to bring about conditions for the existence of an effective opposition.

Jerzy ZUBRZYCKI studies demographic changes in Eastern Europe. He observes a trend in these countries — apart from Poland — leading from the second to the third (declining) phase of demographic evolution.

Political, cultural and literary reviews — among them an article of Czeslaw MILOSZ on the Paris International Dramatic Festival — complete this issue.

Korespondent londyński ,,Kultury'': Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie ,,LIBELLA'',
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant : Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal : 3e Trimestre 1955.

KULTURA REDAKTOR: JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 4, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria olaca", Serrano 2076, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 7, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab **rzozowska-Csaky,** 62, Vanderkindere, Bruxelles-ccle, Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia** **arcińska,** r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de aneiro, oraz **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, uritiba, Parana; **Hanna Lekszycka,** rua Guiarâ 39, vila Pompeia, Sao Paulo	25 cruz.	150 cruz.	250 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany-a, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, airobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, aris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: J. Szpilczyński, Stadhouderskade 0 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., I.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **Ja-ique Trading Co.,** 835 Queen St. W. Toronto 3, nt.; **St. L. Lemański,** 570 Aberdeen Ave., Win-ipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Dri-e, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 ueen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 700 ueen St. W. Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado ostal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarme-le Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** 13b) München 13, Gablonzerstr. 7/I	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal-erg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsga-an 3/IV, Stockholm		15 kor.	28 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee ve., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski,** „Gryf ubl.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Duda-ew Ossetyński,** 1818 N. Sierra Bonita Av., Holly-ood 46, Calif.; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.— 5 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewa-owski,** 27, Aberdeen Ave, Cambridge, Mass.; **. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. el. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robin-ood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Troja-owski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **. Dobczynski, Alma Shipping Co.,** 11 Cooper St., New York 34, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-71, Battersea Church Road. London. S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso rieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

IMPRIMERIE RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris-18e

Cena 300 frs.